

GORDON R. DICKSON

SMOK NA WOJNIE



Fantasy

GORDON R. DICKSON
Smok Na Wojnie

Rozdział 1

Miedziany imbryk do herbaty mknął pełną, nadaną mu magicznie szybkością poprzez leśny trakt. Wy- polerował już sobie spód, ocierając się na przemian to o darń, to znowu o gołą ziemię. Jego właściciel – mag klasy AAA+ S. Carolinus, kiedyś, wiele lat temu, rozkazał, aby zawsze w dwóch trzecich wypełniony był bliską zagotowania wodą na herbatę. Bez względu na wykonywaną misję, zawsze stosował się do tego polecenia.

"Bliska zagotowania" według Carolinusa oznaczało, że woda w imbryku znajdowała się tuż poniżej temperatury wrzenia. Mag mógł więc napić się herbaty o każdej porze dnia i nocy, gdy tylko miał na to ochotę.

Tak więc teraz imbryk gnał nie zatrzymując się, a woda niemal w nim wrzała. Od czasu do czasu, gdy kolebał się na nierównościach gruntu, chlapała wysoko na gorące ścianki i w postaci pary wydobywała się przez dziobek.

Kiedy to następowało, wydawał ostry, krótki gwizd. Nie miał na to żadnego wpływu, podobnie jak na gotującą się w nim wodę i wyprawę, mającą na celu ratunek Carolinusa, w której teraz uczestniczył. Był tylko imbrykiem. Gdyby jednak, jak podejrzewali niektórzy ludzie, przedmioty pochodzące z domu Maga posiadały osobowość, imbryk wkładałby w obecne zadanie całe swe gorące serce.

Mknął więc przez las z największą szybkością, jaką nadał mu Carolinus, czasami wydając ostry gwizd, a stworzenia zamieszkujące knieje reagowały na to zdziwieniem lub strachem.

Gdy mijał jedzącego niedźwiedzia, podniósł się on nagle na tylne łapy, mrużąc zaskoczony. Aragh – angielski wilk, który nie obawiał się niczego, lecz gdy chodziło o nieznane rzeczy, wykazywał typową wilczą ostrożność – skoczył w mgnieniu oka za drzewo, aby z bezpiecznej pozycji obserwować to dziwo. Napotkany dalej dzik, który zwykł atakować wszystko w zasięgu wzroku, zamrugał oczyma na ten widok, a jego zakrzywione szable zaślniły w słońcu. Zawsze gotów do szarży, tym razem zawahał się i zrezygnował.

Wycofał się ze ścieżki i przepuścił mały imbryk.

Dalej działo się podobnie. Jeleń uciekł przed nim, a wszystkie małe stworzenia, żyjące w ziemi, skryły się w swych norach. Wszędzie tam, gdzie się pojawił, wywoływał konsternację. Był to jednak tylko początek, przygrywka do tego, co nastąpiło, gdy wreszcie wydostał się z lasu na otwartą przestrzeń, otaczającą zamek de Bois de Malencontri, należący do sławnego Smoczego Rycerza – Barona Sir Jamesa Eckerta de Bois de Malencontri et RWeroak, chwilowo zresztą nieobecnego w swej rezydencji.

Imbryk pognął przez pole, przekroczył most nad fosą i przemknął przez otwartą, ogromną bramę w murze zamku. Stał przy niej na posterunku strażnik. Nie zauważył jednak imbryka do czasu, aż zaczął on pobrzękiwać na nierównościach belek, z których zbudowany był most. Gdy w końcu ujrzał to dziwo, omal nie upuścił włóczni. Jak każdy czternastowieczny strażnik strzegący głównej bramy zamkowej, miał rozkaz, aby nigdy, pod żadnym pozorem, nie opuszczać swego posterunku. W tym jednak przypadku pobiegł ile sił w nogach na dziedziniec, wrzeszcząc wniebo- głośy.

–Oszalał! Zawsze mówiłem, że tak się stanie! – wy- mamrotał zamkowy kowal, spoglądając spod wiaty swej kuźni, z obawy przed pożarem oddalonej od innych zabudowań.

Ponownie opuścił wzrok na kowadło, a gdy imbryk mijał go, towarzyszący temu dźwięk uznał za dzwonienie w uszach.

W tym czasie strażnik wpadł już przez otwarte drzwi zamku do Wielkiej Sieni, wciąż nie przestając krzyżeć: – Czarodziejski imbryk! Czarodziejski imbryk! Ra- tunku!

Jego głos odbijał się od ścian i rozlegał w całym zamku, aż zaczęła zlatywać się służba.

–Goni mnie! Pomocy! Ratunku!

Wrzawa dotarła nawet do zamkowej kuchni, gdzie Lady Angela de Bois de Malencontri et Riveroak po raz setny powtarzała kucharce, że po powrocie z wychodka musi umyć ręce, zanim zabierze się do dzielenia mięsa.

Lady Angela wyglądała niezwykle pociągająco w srebrzystoniebieskiej sukni i z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy. Usłyszawszy tumult, zaniechała dalszego strofowania, zakasała spódnicę i energicznie skierowała się w tę stronę, skąd dochodziły krzyki.

Kiedy dotarła do Wielkiej Sieni, jej złość zmieniła się w zdumienie na widok zbrojnych i służby skupionych pod ścianami. W oczach wszystkich czaił się lęk. Mały imbryk zdołał w jakiś sposób dostać się na wysoki stół i przycupnąć na jego środku. Gwizdał teraz bez przerwy, jakby to był czas na herbatę nie tylko dla Carolinusa, ale dla każdego, kto znajdował się w pobliżu.

–Pani! Pani! – wymamrotał strażnik, gdy mijała go, i trzymającego się kurczowo jednej z kolumn. – To czarodziejski imbryk! Proszę uważać i nie zbliżać się! To czarodziejski imbryk...

–Nonsens – stwierdziła Lady Angela, pochodząca przecież z innego, dwudziestowiecznego świata, gdzie nie wierzono już w takie rzeczy.

Energicznym krokiem podeszła do wysokiego stołu.

Rozdział 2 W tym samym czasie Smoczy Rycerz Sir James Eckert – Baron i w imieniu króla pan ziem le Bois de Malencontri et Riveroak (choć położenie tego ostatniego znał tylko on i Lady Angela), znajdował się o półtora kilometra od zamku.

Riveroak była to nazwa niewielkiego, dwudziestowiecznego miasteczka z college'em. Oboje pracowali w nim

jako asystenci, zanim wylądowali tutaj, w innym wymiarze, w czternastowiecznym świecie ze smokami, olbrzymami, piaszczomrokami i innymi podobnie interesującymi is- totami.

Dla wszystkich żyjących tu Riveroak było tajemniczym miejscem, gdzieś daleko, daleko za morzem, na zachodzie.

W tej chwili Sir James, lennik króla, słynący z łagodności w stosunku do swych poddanych, zajęty był zbieraniem kwiatów.

Znajdował się w drodze powrotnej z długiego pobytu na północy, na granicy między Anglią a Szkocją. Zatrzymał się, mając nadzieję, że wręczony żonie bukiet przynajmniej częściowo ułagodzi jej irytację, wywołaną tym, iż się spóźnił z powrotem.

Miejsce, gdzie rosły kwiaty, wskazał mu sąsiad i najbliższy przyjaciel, a jednocześnie wspaniały rycerz – Sir Brian Neville-Smythe. Był on niestety tylko zwykłym rycerzem, posiadaczem zniszczonego zamku, który z trudnością utrzymywał w stanie nadającym się do zamieszkania. Imię jego było jednak znane. Zasłynął nie tylko jako towarzysz Smoczego Rycerza, ale także jako mistrz kopii, zdobywając sławę w wielu turniejach rozgrywanych na angielskiej ziemi.

Stęskniony Sir Brian znajdował się teraz o dobre sześć kilometrów od tego miejsca, w drodze do swej ukochanej – przepięknej Lady Geronde Isabel de Chaney, obecnie pani na zamku de Chaney, ponieważ jej ojciec, Lord o tych samych tytułach, zaginał przed laty podczas wyprawy do Ziemi Świętej.

Ona i Sir Brian nie mogli pobrać się bez zgody ojca.

Z całą pewnością mogli jednak obcować ze sobą, czego nie omieszkali czynić. Sir Brian oraz Dafydd ap Hywel, mistrz łuku, byli z Sir Jamesem przy szkockiej granicy. Odwiedzili tam zamek Sir Gilesa de Mer, ich czwartego towarzysza i szlachetnego rycerza. Dafydd również wracał teraz do domu wraz z grupą banitów swego teścia – Gilesa o'the Wolda.

Ponieważ Sir Brian znał okolicę jak własną dłoń, a Smoczy Rycerz żył w tym świecie zaledwie od niespełna trzech lat, mistrz kopii wskazał przyjacielowi miejsce, w którym kwitły letnie kwiaty.

Wiedza Sir Briana była doprawdy imponująca. Na podmokłym gruncie obok jeziora znajdowało się mnóstwo roślin obsypanych pomarańczowożółtymi kwiatami.

Nie dało się ich porównać do róż, o których James (lub Jim, jak wciąż myślał o sobie) marzył. Niewątpliwie były to jednak piękne rośliny. Duży ich bukiet z pewnością mógł poprawić zły nastrój Angie, wywołany jego spóźnionym powrotem do domu.

Uzbierał już naręcze okwieconych gałązek krzewów, kiedy jego uwagę zwróciły jakieś pluski i bulgotanie, dochodzące od strony jeziora. Podniósł wzrok i nagle zamarł w bezruchu.

Woda na środku jeziora była wzburzona. Wznosiła się w ogromnych bańkach, które pękały odsłaniając kulisty kształt. Kształt ten rósł, rósł i rósł...

Jim nie mógł oderwać wzroku od tego zjawiska. Dostrzegł coś, co przypominało mokre blond włosy oblepiające czaszkę niezwyklej rozmiarów.

Potem odsłoniło się ogromne czoło, para dość niewinnie wyglądających niebieskich oczu pod gęstymi blond brwiami, potężny nos, szerokie usta o grubych wargach i masywna szczęka. Twarz ta byłaby kanciasta, gdyby nawet należała do człowieka normalnych rozmiarów. Naprawdę jednak było to oblicze niewiarygodnego giganta. Gdyby zachować właściwe proporcje, cała postać musiałaby mieć niemal trzydzieści metrów wzrostu. Jim uznał jednak, że tak małe jezioro może mieć najwyżej dwa i pół metra głębokości.

Nie miał jednak czasu zastanowić się nad tym, ponieważ właśnie wtedy głowa, z podbródkiem ledwie wystającym ponad poziom wody, zaczęła odwracać się w jego stronę.

Szyja, o rozmiarach proporcjonalnych do głowy, wywołała wielki wir. Powstała przy tym fala zalała brzeg jeziora i zmoczyła Jim a po kolana. Jednocześnie coraz dalsze części ciała giganta wyłaniały się z wody. Wynurzał się stwór nie tak wysoki, jak przypuszczał Smoczy Rycerz, ale bardziej niesamowity, niż można było sądzić.

Dziwoląg wyszedł wreszcie na brzeg jeziora, gdzie stanął ociekając wodą i spoglądając w dół na członka ludzkiego rodu. Przypuszczenia Jima okazały się mylne. Obcy nie miał więcej niż dziewięć metrów wzrostu.

Olbrzym był bardzo podobny do człowieka. Miał na sobie kawał szarej skóry, pozbawionej futra. Zwieszała się ona z jednego ramienia i opadała do kolan, przypominając strój Tarzana ze starych filmów. Lub, jak pomyślał Jim nieco irracjonalnie, wyglądał tak, jak zwykle przedstawiano jaskiniowców, odzianych w zwierzęce skóry.

Istniały jednak dwie podstawowe różnice pomiędzy gigantem a jaskiniowcami. A nawet trzy. Pierwszą był niezwykle wzrost. Drugą, iż na łądzie oddychał powietrzem z taką samą łatwością jak w jeziorze wodą. Trzecia była jednak najbardziej zadziwiająca. Ten człowiek lub istota, cokolwiek to było, zwęzał się ku dołowi.

Krótko mówiąc, poniżej tej niezwyklej głowy posiadał stosunkowo wąskie, jak na giganta, ramiona i jeszcze mniejszą w stosunku do nich klatkę piersiową. Dalsze części zmniejszały się ku dołowi, a ciało kończyło się stopami, które prawdopodobnie nie były nawet czterokrotnie większe od stóp Jima.

Jednakże jego ręce były potężne jak ramiona dźwigu.

–Czekaj *! – zahuczał gigant.

Tak przynajmniej usłyszał.

"Czekać? – zdziwił się. – Na co?" Nagle przypominając dawne lata w dwudziestym wieku, gdy był nauczycielem w Riveroak na wydziale anglistyki, uzmysłowił sobie, że to, co przed chwilą usłyszał, nie było słowem "czekaj". Zwrócono się do niego w staroangielskim i naprawdę słowo to brzmiało hwaet.

Od tego słowa rozpoczynał się staroangielski poemat Beowulf, stworzony czternaście stuleci przed czasami, z których przybył.

Usiłował przypomnieć sobie, co znaczy to hwaet, i ostatecznie uznał, iż jest to jakaś forma powitania. Obecnie był jednak zbyt roztrzęsiony, aby przypomnieć sobie staroangielskie słówka, które kiedyś wkuwał z ogromnymi trudnościami. Był zaszokowany takim zwrotem w świecie, ang. wait.

w którym wszystkie istoty ludzkie, zwierzęta i smoki mówiły tym samym językiem.

–Przy... przykro mi – wydusił – ale nie mówię...

Olbrzym przerwał mu, używając już ogólnie przyjętego języka.

–Oczywiście – zagrział. – Minęło dwa tysiące lat, jeśli dobrze pamiętam, a może już trzy? W każdym razie dawno tu nie byłem. Sposób mówienia musiał się zmienić.

W porządku, mały człowieku. Mogę mówić tak samo jak wy.

Strzelił palcami, co wywołało dźwięk podobny do wystrzału armatniego.

Gdy Jim odzyskał słuch, w jego wciąż zmaconym umyśle zrodziła się pierwsza logiczna myśl. Przeniósł wzrok z olbrzyma, przypominającego odwróconą piramidę, na jezioro, które teraz, w porównaniu z nim, wydawało się bardzo małe.

–Ale... – zaczął. – Skąd przybywasz? Jak dostałeś się...

–Zgubiłem drogę! – ryknął gigant, ponownie mu przerywając. – Minęło wiele wieków od czasu moich podróży ku temu miejscu. Zapomniałem drogę pośród podziemnych wód tej wyspy.

Jimowi przyszło do głowy, iż mowa przybysza przypomina teraz język Beowulfa, ale przetłumaczonego, z pewnymi naleciałościami charakterystycznymi dla starych ludzi morza.

Dzieliła ich odległość zaledwie kilku metrów, więc Jim był zmuszony zadzierać głowę, aby widzieć twarz olbrzyma, a i tak nie oglądał go w całej okazałości. Aby zwiększyć pole widzenia, cofnął się o jakieś dwanaście kroków.

–Nie obawiaj się! – huknął gigant. – Wiedz, że jestem Rrrnlf, Diabeł Morski. Mów mi "Ranulf", gdyż tak wy, małe ludziki, zwracaliście się do mnie ostatnim razem. Jak zwiesz się, młodzieńcze?

–Jestem... – Jim, bliski przedstawienia się po prostu jako "Jim Eckert", w porę ugryzł się w język. – Jestem Sir James Eckert, Baron Malencontri...

–Dziwne macie imiona ludziki! – stwierdził głośno olbrzym. – Nie przejmuj się jednak. Gdzież jest morze? Jim wskazał na zachód.

–Aha – stwierdził Diabeł Morski z satysfakcją. – A więc nie całkiem się zgubiłem. – Jego mowa z każdym wypowiedzianym zdaniem stawała się coraz bardziej normalna. – Stąd mogę udać się w dowolne miejsce pod ziemią i nie zgubię się już. Po co trzymasz to coś?

–To kwiaty dla mojej żony – wyjaśnił mu Jim.

–Ona jada kwiaty? – zagrział Rrrnlf, wlepiając weń wzrok.

–Nie – odparł Smoczy Rycerz, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji. – Ona po prostu lubi je mieć i patrzeć na nie, rozumiesz?

–Dlaczego więc nie przyjdzie tu, aby je zdobyć? – dopytywał się gigant.

Jima zaczynała irytować ta indagacja. Co, u licha, obchodziła tego stwora Angie i jej kwiaty? Nie miał jednak zamiaru denerwować swego rozmówcy.

–Ponieważ woli je dostać do ręki! – odparł.

W tym momencie pewien pomysł eksplodował mu w głowie jak fajerwerek. Zupełnie zapomniał o, co prawda ograniczonych, magicznych umiejętnościach, które posiadał, przybywając do tego feudalnego świata.

Szybko wypisał zaklęcie na wewnętrznej stronie czoła.

JAI MOJE UBRANIE WIELKOŚCI DIABŁA MORSKIEGO Natychmiast stwierdził, że ma twarz olbrzyma na swoim poziomie. Jak zwykle nie odczuł nic nadzwyczajnego, choć urósł do dziesięciu metrów.

Diabeł Morski wydał mu się teraz stworem o całkiem miłym, choć kanciastym obliczu i dziwnej budowie ciała.

Uwagę zwracały wyraziste, niezwykle niebieskie oczy, przywodzące na myśl morskie głębin. Błyszczały w nich, odbijając się, promienie słoneczne.

Co dziwne, Rrrnlf nie wydawał się wcale poruszony nagłym urośnięciem Jima.

–Aaa, mały Mag! – zauważył.

Jego głos wciąż brzmiał potężnie. Teraz jednak nie przypominał już odgłosu grzmotu.

–Dobrze, Magu! – powiedział Rrrnlf. – Nie obawiaj się. Znam magię i tych, którzy nią się posługują.

Uśmiechnął się do Jima.

–Mam szczęście, że cię spotkałem! – W słowach tych wyczuwało się radość. – Mag może być mi bardzo

pomocny. Poszukuję właśnie wstrętnego złodzieja, któremu powyrywam z ciała kończyny, gdy tylko go znajdę. Zostawię go, aby wił się w morskim mule jak robak! Użyj tylko swej magii i powiedz, gdzie go szukać.

–Obawiam się, że moja magia nie jest na tyle dobra – powiedział Jim. – Jestem jeszcze w tej dziedzinie początkującym. Przykro mi słyszeć, że zostałeś okradziony, choć...

–Najbardziej podle i podstępnie okradziony! – wykrzyknął Rrrnlf, nagle przybierając niebezpieczny wygląd. – Pozbawiono mnie mojej Damy!

–Twojej Damy? – zdziwił się Jim. Spróbował wyobrazić sobie kobietę odpowiadającą wzrostem olbrzymowi, ale przerastało to możliwości jego umysłu. – To znaczy twojej żony?

–Żony? Ależ skąd! – zagrzmiał Rrrnlf. – Po co Diabłu Morskiemu żona? To była Dama, którą zabrałem z dziobu zatopionego statku. Stanowiła uosobieniemojej utraconej miłości. Najwspanialsza Dama, ze złotymi włosami i trójzębem w dłoni. Uwolniłem ją i zabrałem w bezpieczne miejsce. Przez ostatnie piętnaście wieków obsypywałem ją i przyozdabiałem kosztownościami. Ale teraz została skradziona, i wiem przez kogo. To jeden z węży morskich! Tak, niegodziwy wąż morski, który pozazdrościł mi jej i skradł, gdy mnie nie było. Pewnie dołączył ją do swoich skarbów!

Jimowi mąciło się w głowie. Wystarczająco trudne było wyobrażenie sobie Morskiej Diablicy, ale jak poradzić sobie z informacjami, zawartymi w ostatnich słowach Rrrnlf'a? Wiedział co nieco o istnieniu węży morskich.

Stryjeczny dziadek smoka, w którego ciele znalazł się w tym świecie, kiedyś opowiadał mu o smoczym przodku, który dawno temu pokonał w walce węża morskiego.

Stwierdził, że nie potrafi przypomnieć sobie imienia węża – może nawet nigdy go nie słyszał? Jeśli chodzi zaś o smoczego przodka, to był nim Gleingul. Według stryjecznego dziadka to, czego dokonał Gleingul zwyciężając węża morskiego, było równe zwycięstwu Świętego Jerzego nad smokiem.

Powodu, dla którego Gleingul i wąż morski stoczyli walkę, nikt nigdy mu nie wyjaśnił. Jeśli jednak węże, podobnie jak smoki, także gromadziły skarby, słowa Rrrnlf'a miały sens.

–Rozumiem – stwierdził po chwili. – Niestety, nie mogę ci pomóc. Nigdzie nie widziałem żadnego węża morskiego...

–Już mi pomogłeś, wskazując kierunek ku morzu – rzekł olbrzym. – Powiniennem powrócić do poszukiwań, 1 nie obawiaj się, na pewno go znajdę. Granfer powiedział, że z jakiegoś powodu wszystkie węże morskie kierowały się w stronę tej wyspy. Ten, którego szukam, mógł schronić się pod nią, choć nie lubią one świeżej wody i unikają jej.

Nam, Diabłom Morskim, nie sprawia różnicy, czy woda jest słona, czy nie, a nawet, czy jesteśmy na powietrzu, tak jak w tej chwili. A teraz żegnam cię. Jestem twoim dłużnikiem, mały Magu. Wezwij mnie, jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy.

Po tych słowach odwrócił się, wszedł do jeziora i skierował ku jego środkowi. Woda skrywała go coraz bardziej w swych odmętach. Jim nagle przypomniał sobie o czymś.

–Ale jak cię znajdę? – krzyknął za olbrzymem.

Rrrnlf obejrzał się przez ramię.

–Zawołaj mnie z brzegu morza! – wyjaśnił. – Nawet taki ludzik powinien o tym wiedzieć. Usłyszę cię!

–A jeśli będziesz na drugim końcu świata? – dopytywał się Jim.

Życie w czternastowiecznym społeczeństwie nauczyło go zawierania licznych znajomości, które nieraz okazywały się przydatne. Nie miał pojęcia, w jakich okolicznościach Rrrnlf mógłby mu pomóc, lecz nie wolno było stracić takiej szansy. Olbrzym pogrążył się już niemal całkowicie w wodzie.

–Jeżeli jestem w morzu, twoje słowa dotrą do mnie! – powiedział gigant, któremu sponad wody wystawała już tylko głowa. – Morze pełne jest głosów i trwają one wiecznie. Jeśli wezwiesz mnie, usłyszę cię bez względu na to, gdzie będę. Żegnaj!

Wypowiedziawszy te słowa, zniknął pod powierzchnią.

Jim stał wpatrzony w jezioro, aż wzburzone wody wygładziły się, tak że nie pozostał żaden ślad obecności giganta. Wciąż będąc pod wrażeniem niespodziewanego spotkania, zmniejszył się do normalnych rozmiarów i powrócił do zbierania kwiecica. Następnie dosiadł konia bojowego – Gruchota, który stał nie opodal, skubiąc miękką, słodką trawę rosnącą na brzegu jeziora, i skierował go w stronę swego zamku.

Dotarcie do niego nie zabrało wiele czasu. Jadąc przez otwartą przestrzeń, utrzymywaną w celach obronnych między zamkiem a lasem, zaniepokoił się. Dom wyglądał na opuszczony. Przynaglił Gruchota do kłusa i po chwili przejechał po kłodach zwodzonego mostu i znalazł się na dziedzińcu.

Nikogo na nim nie zastał. Zaniepokojenie przerodziło się w złe przecucia. W pośpiechu zsiadł z wierzchowca i ruszył w stronę frontowych drzwi zamku. Nagle o mało nie upadł, pochwycony za kolana. Zaskoczony, spojrzał w dół i zobaczył wykrzywioną cierpieniem twarz zamkowego kowala, który wciąż obejmował jego nogi potężnym uściskiem nagich ramion poranionych odpryskami gorącego metalu.

–Panie! – zawołał kowal, który już dowiedział się, co nastąpiło po tym, jak minął go strażnik biegnący do zamku i wrzeszczący o czarodziejskim imbryku. – Nie wchodź!

Wszystkich trzyma tam w niewoli czarodziejski imbryk!

Będziemy zgubieni, jeśli ciebie także zniewoli! Zostań tu w bezpiecznym miejscu i przeciwstaw się temu złu swą magią. Inaczej wszyscy zginiemy!

–Nie bądź niemądry... – powiedział Jim, ale od razu uświadomił sobie, że łagodnością nic tu nie zdziała. Należy sięgnąć do znanych wzorów postępowania ze służbą w śred- niowieczu.

–Puszczaj, psie! – warknął tonem prawdziwego baro- na. – Czy uważasz, że boję się zniewolenia przez jakiś czarodziejski przedmiot?

–Nnn... nie? – wymamrotał kowal.

–Oczywiście, że nie! – rzucił Jim. – A teraz zostań tu, a ja zajmę się tą sprawą.

Kowal zwołnił uścisk, spoglądając z nadzieją na Jima.

W połowie drogi do zamkowych drzwi Jim zawahał się.

W tym świecie niczego nie można było być pewnym, a główną tego przyczynę stanowiła magia. Może rzeczywiś- cie istniały takie rzeczy jak czarodziejskie imbryki? Może rzeczywiście potrafiły zniewalać ludzi...?

Odrzucił od siebie te myśli. Był zły, że w ogóle w jego głowie mogło zrodzić się coś takiego. Przecież, przypomniał sobie, sam jest magiem, choć zaledwie klasy C.

Wszedł do Wielkiej Sieni i skierował się w stronę wysokiego stołu w przeciwległym końcu.

Tłoczyli się tu słudzy. Milczeli jak skamieniali, z całych sił przyciskając się plecami do ścian. Na wysokim stole rzeczywiście stał imbryk, z którego wydobywała się para, dzięki czemu, w co trudno uwierzyć, śpiewał cichym, monotonnym głosem, słyszonym jednak w całej sieni.

Patrząc na imbryk, z palcem wskazującym prawej ręki w ustach, co było zupełnie niezwykłym dla niej gestem, stała bezsilnie jego żona – Lady Angela.

Podobnie jak wszyscy wkoło, ona także tkwiła w bez- ruchu, nie wydając żadnego głosu.

Rozdział 3 Jim zatrzymał się pośrodku komnaty. Do tej chwili nikt nie zauważył jego obecności, teraz jednak czuł, że wszystkie oczy spoczęły na nim. Na szczęście był już blisko imbryka.

Lady Angela odwróciła się, słysząc odgłos kroków.

Wyjęła palec z ust i popatrzyła na męża, jakby zobaczyła ducha. On zaś podskoczył w górę prawie na wysokość stołu i porwał ją w objęcia.

–Angie! – zawołał.

Przez moment nie reagowała, ale wreszcie objęła go także i pocałowała mocno.

–Jim! – wykrzyknęła. – Och, Jim!

Ściskali się tak przez dobrą chwilę. W końcu Jim poczuł, że żona odpycha go od siebie. Gradowa chmura gromadziła się nad jego głową.

–Gdzieś ty był przez cały ten czas... – zaczęła.

Pośpiesznie wskazał na kwiaty, które trzymał cały czas w ręce.

–To dla ciebie – rzekł.

–Jim, nie obchodzą mnie... – zaczęła i spojrzała na bukiet.

Głęboko wciągnęła zapach kwiatów.

–Och, Jim... – Teraz głos jej brzmiał już zupełnie inaczej.

Pochyliła głowę i ponownie powąchała kwiaty, a następ- nie objęła męża i przyciągnęła do siebie.

–Niech cię licho! – szepnęła mu do ucha.

Pocałowała go namiętnie z udawaną już tylko złością.

–Ale czy u ciebie wszystko w porządku? – dopytywał się Jim. – Trzymałaś palec w ustach...

–Och, sparzyłam się o ten imbryk – wyjaśniła z iryta- cją Angie. – Nie mogłam uwierzyć, że woda gotuje się w nim bez żadnego podgrzewania, więc go dotknęłam.

Głupio zrobiłam! Ale jak to się dzieje, że zjawiasz się akurat w tej chwili? Użyłeś magii, czy czegoś podobnego?

–Nie – zaprzeczył Jim. – Ale cóż to za taka ważna chwila?

–Ponieważ imbryk chce z tobą rozmawiać.

–Imbryk? – Jim przeniósł wzrok z żony na parujące i śpiewające na stole naczynie. – Imbryk chce ze mną rozmawiać?

–Tak! Nie słyszysz go? – zdziwiła się Angie. – Po- słuchaj!

Jim nastawił ucha.

Imbryk wciąż śpiewał swym monotonnym, cienkim głosi- kiem. Z tej odległości można było odróżnić tylko pojedyncze słowa. Piosenka miała krótki refren, powtarzany bez końca.

Wydarzenie niebezpieczne.

Wzywam cię, Jimie Eckercie.

Twe przybycie jest konieczne.

Wzywam cię, Jimie Eckercie.

Jim zamrugał oczyma, gdy imbryk ponownie zaczął śpiewać ten czterowiersz. Wysłuchał go do połowy, zanim wyrwał się z oszołomienia.

–Jestem tu! – przemówił do imbryka. – To ja jestem Jim Eckert. Jestem tutaj. Co chcesz mi powiedzieć?

Imbryk natychmiast zmienił piosenkę.

Teraz brzmiała ona: Czeka na cię Carolinus, Byś mu wybawienie przyniósł.

Niczym w piekle cierpi męki, Z opiekunek brane ręki.

W Hill Farm żyją dwie "mędrzynie", Siła ich jest tylko w czynie.

Zabijają swym leczeniem, Przybądź przed ostatnim tchnieniem!

Ocal Carolinusa!

Ocal Carolinusa!

Ocal Caro...

–W porządku! W porządku, wysłuchałem wiadomości! – przerwał Jim, ponieważ wyglądało na to, że imbryk jest gotów śpiewać ostatnie słowa bez końca.

Imbryk zamilkł. Niewielki obłok pary wydostawał się jeszcze z dzióbka, lecz dźwięk zamarł. Miedziane ścianki imbryka migotały jak gdyby przepraszając, lecz jednocześnie z niemym wyrzutem, tak że Jim pożałował swego wybuchu gniewu.

–Przepraszam – rzekł na głos.

–Nie bądź głuptasem! – Angie przytuliła się do Jima. – To tylko imbryk. On nie rozumie przeprosin.

–Może masz rację. Ale widzę z tego, że Carolinus jest chory i niewłaściwie leczony przez jakieś kobiety. W tych czasach to bardzo prawdopodobne. Będę musiał natychmiast udać się do niego.

–Oboje udamy się do niego! – powiedziała Angie. – Czy ten imbryk nie śpiewał o kobietach, które posiadają siłę w ręku? Lepiej weźmy ze sobą kilku zbrojnych.

Theoluf!

Giermek Jima nadbiegł spod ściany.

–Jestem, pani.

Był nietypowym giermkiem, ponieważ uprzednio, zanim awansował, pełnił funkcję zbrojnego. Smagła twarz przeorana szramą oraz szopa lekko siwiejących włosów sprawiały, że choć miał niewiele więcej niż trzydziestkę, wyglądał na znacznie starszego.

–Wybierz ośmiu zbrojnych. Będziecie nam towarzyszyli – rozkazała Angie. – Zajmij się końmi i wszystkim, co, potrzebne do podróży. Ruszamy natychmiast.

Popatrzyła ponad jego głowę.

–Solange! – zawołała.

Zamkowa kucharka, czterdziestoparoletnia, wysoka kobieta, oderwała się od ściany. Była zbyt otyła, aby zgrabnie uklonić się, ale wykonała coś w rodzaju dygu.

–Jestem, pani.

–Dopilnuj, aby przygotowano prowiant dla zbrojnych, dla mnie i twojego pana – przykazała Angie. – Podczas mojej nieobecności odpowiadasz za całą służbę. Yves! Yves Mortain! O, tu jesteś. Jako dowódca zbrojnych, będziesz odpowiedzialny za zamek. Zrozumieliście?

–Tak, pani – potwierdził Yves.

Wraz z Solange skierował się w stronę drzwi. Kucharka choć miała fracuskie imię pochodziła z wyspy Guernsey.

–Jeszcze chwila! – rzekła Angie. – Czy ktoś z was wie cokolwiek o tych dwóch siostrach z... Farm Hill?

–Może Margot – powiedziała Solange, odwracając się. – Pochodzi z tamtych stron, pani.

–Margot! – zawołała żona Smoczego Rycerza. Wyglądało jednak na to, że Margot nie ma wśród służby zgromadzonej w Wielkiej Sieni. – Solange, znajdź ją natychmiast i sprowadź do nas!

–Tak, pani.

Margot pojawiła się w drzwiach prowadzących na wieżę i do kuchni chwilę po wyjściu Solange. Widocznie była tam zajęta jakąś pracą.

–Jestem, pani – rzekła kłaniając się.

Ona także była wysoka, lecz szczupła, z szerokimi ustami i siwiejącymi blond włosami.

–Co wiesz o dwóch siostrach z Farm Hill, które zajmują się pielęgnowaniem chorych.

–To Elly i Eldra, pani – stwierdziła Margot. – Córką Toma Eldreda, który był największym i najsilniejszym człowiekiem w okolicy. Obie odziedziczyły siłę po ojcu i bardzo go przypominają. W rezultacie żaden mężczyzna nie chce takiej żony z obawy, że to on może być bity, a nie, jak zwyczaj każe, jego połowica. Młody Tom Davely opuścił nawet dom i uciekł, gdy Eldred zakomunikował mu, że ma ożenić się z Elly, czy tego chce, czy nie...

–Dziękuję ci, Margot – przerwała zdecydowanie Angie, ponieważ służąca mogła tak gadać bez końca. – To wystarczy nam w zupełności. Możesz wracać do swoich zajęć.

Zwróciła się do Jima.

–Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, aby upewnić się, że zamek będzie właściwie zarządzany podczas mojej nieobecności. Powinieneś też wziąć świeżego konia. Gruchot nosił cię na grzbiecie dobrych kilka dni.

–Masz rację – przyznał Jim. – Pójdę i zajmę się tym.

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Smoczy Rycerz ruszył ku drzwiom Wielkiej Sieni, którą szybko opuszczała także służba, wyznająca zasadę, że jeśli nie nawijać się państwu na oczy, łatwiej zbijać bąki.

W niecałe pół godziny później wyprawa, mająca na celu ratowanie Carolinusa, ruszyła już w drogę. Jim i Angie jechali jako pierwsi, a za nimi Theoluf i ośmiu najlepszych zbrojnych. Imbryk pozostał w Wielkiej Sieni. Służba chodziła wokół niego, ale ponieważ obawiano się, że może posiadać w sobie jeszcze nieco magii, trzymano się od niego na dystans.

Jim i Angie zajęci byli rozmową na temat przeżyć ostatniego okresu. Zrelacjonowała mu wszystkie sprawy związane z posiadłością, potem zaś wysłuchała z uwagą opowieści o Diabie Morskim i wcześniejszych przygodach na szkockiej granicy. Jim mówił o Pustych Ludziach (którzy byli rodzajem duchów) oraz ludziach z pogranicza – nor- thumbriańskich rycerzach, żyjących przy granicy ze Szkocją.

A także, równie niezwykłych, Małych Ludziach.

Była zafascynowana faktem, iż Mali Ludzie przystali do Dafydd, którego chcieli uczynić swym przywódcą. Jim omal nie zdradził jej tajemnicy, którą przyrzekł zachować.

Dotyczyła ona powiązań łuczniaka ze starożytnym rodem królewskim, o których pamiętali tylko Mali Ludzie.

–Opowiedziałbym ci całą tę historię, ale Dafydd zobowiązał mnie do dyskrecji.

–Masz rację – przyznała Angie. – Wiem, że istnieją sprawy, o których nie możesz mi powiedzieć. Dopóki nie mają związku z twoim zdrowiem i bezpieczeństwem, nie muszę ich znać. Czy Mali Ludzie są niedobitkami Piktów, którzy żyli tam, kiedy Rzymianie zbudowali mur?

–Nie wiem. Moglibyśmy zapytać Dafydd, ale obieca- łem zapomnieć o jego powiązaniach z nimi i nie chciałbym do tego wracać.

Uścisnął jej dłoń. Popatrzyli sobie w oczy.

–Jesteś cudowna, wiesz? – powiedział Jim.

–Oczywiście, że wiem – odparła z przekonaniem Angie.

Również go uścisnęła i pojechali dalej strzeżeni przy strzeżeniu.

Dźwięcząca Woda, przy której mieszkał Carolinus, nie była daleko i dotarli do niej, zanim wyczerpały się im tematy do rozmowy. Sączawka, murawa i drzewa były takie jak dawniej.

Fontanna w dalszym ciągu znajdowała się pośrodku trawnika okolonego wysokimi wiązami. Trawa była przystrzyżona i gęsta, bez śladu chwastów. Jak kobierzec otaczała sączawkę i mały dom ze spadzistym dachem, który miał tylko dwa pokoje – po jednym na górze i na dole.

Do drzwi wejściowych prowadziła żwirowa alejka, zawsze skrętnie zagrabiana aż do pojedynczego stopnia przed wejściem. Obok dróżki znajdowała się mała, okrągła sączawka, pełna przepięknej lazururowej wody, z fontanną pośrodku. Jej strumienie rozpadały się na poszczególne krople. Zanim spadły do sączawki, wydawały dźwięk przypominający głos orientalnych szklanych kurantów poruszanych delikatnym wietrzykiem. Właśnie od tego pochodziła nazwa Dźwięczącej Wody.

Według Jima, był to zawsze przepiękny zakątek, ale teraz nie dało się tego o nim powiedzieć.

Wokół domku wałęsało się ze trzydzieści lub czterdzieści osób. Na soczystym, zielonym trawniku ustawione były ich nędzne schronienia (nie zasługiwały na miano namiotów).

Wszędzie wały się odpadki, a sami ludzie, głównie mężczyźni, choć znajdowało się między nimi kilka kobiet i dzieci, byli wyjątkowo brudni i obszarpani, nawet jak na warunki panujące w czternastym wieku.

Najwidoczniej siedziba Carolinusa została otoczona przez jedną z tych wałęsających się grup wagabundów i łotrów, którzy przez całe życie znajdowali się w drodze, pracując, kiedy nie mieli już innego wyjścia, i kradnąc, kiedy tylko mogli, jako że nie należeli do żadnego pana.

Oczywiste było także, iż tkwili tutaj jak sępy nad padliną, mając nadzieję, że Carolinus nie przeżyje, a wtedy będą mogli przywłaszczyć sobie wszystko, co znajdą w domu i obejściu.

Jim widział, że żona rozpoznała ich równie szybko jak on, a zbrojni zaczęli szykować się do walki. Usłyszał ciche szcęknięcie i zgrzyt metalu o metal, gdy cała ósemka z Theolufem na czele upewniała się, czy broń znajduje się w położeniu umożliwiającym jej szybkie dobyte.

Smoczy Rycerz bez wahania wjechał koniem w ciżbę, zmuszając ludzi do rozstąpienia się. Dotarłszy do żwirowej ścieżki, zsiadł z wierzchowca, a Angie zamierzała uczynić to samo. Wśród obszarpańców dały się słyszeć szepty świadczące o tym, że został rozpoznany. Jedni nazywali go smokiem, inni zaś rycerzem.

–Nie, Angie! – rzekł zdecydowanie, na tyle cichym głosem, by tylko ona go usłyszała. – Zostań w siodle. Tak będzie bezpieczniej. Wejdę sam.

–Nic z tego! – sprzeciwiła się Lady Angela. – Chcę przyjrzeć się tym tak zwanym pielęgniarkom.

Zeskoczyła z konia i szybko poszła dróżką, zanim Jim zdołał zaprotestować. Nie pozostało mu więc innego, jak podążyć za nią. Dotarli do drzwi, które Jim otworzył bez pukania.

Uderzyło w nich duszne, nieświeże powietrze, a półmrok panujący wewnątrz sprawił, iż przez chwilę nic nie widzieli.

Wreszcie dostrzegli Carolinusa leżącego na łóżku, którego wezglowie znajdowało się przy przeciwległej ścianie. Jedna kobieta, z obnażonymi ramionami, stała nad nim, podczas gdy druga zajęta była czymś w głębi pomieszczenia. Spo- jrzały na intruzów ze zdziwieniem.

Margot nie przesadziła w swym opisie. "Mędrzynie" były o metr wyższe od Jima, a każda ważyła od niego więcej o dobre dwadzieścia pięć kilo. Proporcje te odnosiły się także do szerokości w barach. Na odsłoniętym ramieniu kobiety, która stała przy łóżku Maga, widoczne były muskuły jak u zamkowego kowala. To właśnie ona pierwsza zareagowała na ich wejście.

–Ktoście wy? – wysapała barytonem. – To dom chorego. Wynocha stąd! No już!

Uniosła rękę, aby odgonić ich, jak natrętne muchy.

Jim usłyszał ruch z tyłu. Za plecami jego i Angie pojawił się Theoluf. Giermek pełnił obowiązki dowódcy zbrojnych, tak jak za dawnych czasów. Zarówno wyraz jego twarzy, jak i cała postawa świadczyły o zdecydowanym braku sympatii dla "pielęgniarek".

–Cisza! – warknął. – Macie okazywać cześć Barono- wi i Lady of Malencontri. – Położył dłoń na rękojeści miecza i wystąpił krok do przodu. – Słyszycie mnie?

Zachowujcie się jak należy w tak znamienitym towarzystwie!

–Elly! – wyjąkała kobieta, kurcząca się pod ścianą. – To Sir Smok i jego Lady!

–Smoczy Rycerz czy nie, to nie ich sprawa – huknęła jej siostra, stojąc wciąż przy łożu z uniesioną ręką. – Ta ziemia należy do Maga, którym mamy się zajmować.

Tutaj my wydajemy rozkazy. Wynoście się stąd! Wynocha!

No już!

Theoluf wyciągnął miecz z pochwy.

–Co rozkażesz, panie? – zapytał. Jego oczy gorzały. – Mam wezwać ludzi, zabrać je stąd i powiesić?

–Powiesić? – zdziwiła się głośno Angie. – Nie! To są czarownice. Spalić je! Zabierz je i spal... Obie!

Ta pod ścianą, którą zapewne zwano Eldrą, pisnęła głośno. Nawet Elly wydawała się wstrząśnięta. Jim popatrzył uważnie na żonę. Nigdy dotąd nie używała takiego tonu i nawet nie przypuszczał, że stać ją na taką bezwzględ- ność. Jego delikatna, łagodna Angie mówi o paleniu ludzi żywcem? Natychmiast zdał sobie jednak sprawę, iż żona nie traktuje tego poważnie. Chce tylko zburzyć spokój Elly, bardziej bystrej z sióstr.

Elly pozostała jednak nieporuszona na posterunku przy łóżku, chociaż nawet w tak słabym świetle, docierającym do środka przez kilka wąskich okien, dało się zauważyć, że pobladła.

–Gadanie o spaleniu to jedna rzecz, ale zrobienie tego to już całkiem inna sprawa! – rzekła pewnym głosem. – Tak się składa, że na zewnątrz mamy przyjaciół, którzy będą mieć coś do powiedzenia, jeśli wasi ludzie zechcą zrobić nam krzywdę...

–Proszę mi wybaczyć, mój panie, moja pani – odezwał się nowy głos.

Mały człowieczek, przyodziany w poszarpaną brązową sutannę, przepasaną sznurem z trzema węzłami – strój franciszkanina – wyłonił się z cienia za schodami, prowa- dzącymi na piętro. Jego czarne włosy były brudne i skot- tunione, ale miał wygoloną tonsurę.

–Doprawdy, szlachetni państwo, te dobre kobiety robią, co mogą, dla Maga, który jest przecież poważnie chory. Przeszedł kilka kroków i stanął naprzeciw Jima i Angie, ignorując Theolufa i jego nagi miecz.

–Jestem ojciec Morel, pasterz tego małego stadka, które widzieliście na zewnątrz – przeżegnał się -...którego strzeże Bóg, podobnie jak tego Maga i te dwie dobre kobiety, a także szlachetnych państwa. – Ponownie zrobił znak krzyża. – Dominus vobiscum.

Chociaż Jim był niewierzącym, spędził spory kawałek życia ucząc się średniowiecznej łaciny kościelnej i teraz okazało się, że nie na darmo. Zrozumiał te słowa i był w stanie odpowiedzieć fraciszkaninowi na jego "Bóg z tobą".

–Et cum spiritu tuo – rzekł. – Iz duchem twoim.

Zdawał sobie sprawę, że zakonnik użył łaciny przede wszystkim po to, by udowodnić, iż rzeczywiście jest duchów- nym. Teraz jednak ten mały człowieczek z wygoloną głową stracił zainteresowanie Jimem i zwrócił się do jego żony.

–Moja pani, zapewne żartowałaś tylko, mówiąc o spa- leniu tych dwóch dobrych kobiet – rzekł z naganą w głosie. – Mogę zaświadczyć, że nie są to czarownice, ale uczynne osoby, które ofiarowały swą pomoc chorym i znajdującym się w kłopotach. Tylko dzięki ich wysiłkom Mag dożył tej chwili.

–Czyżby? – zadrwił Jim.

Wystąpił do przodu i za łokieć odsunął Elly na bok.

Pomimo poprzednich gróźb, nie zaprotestowała. Położył dłoń na czole Carolinusa. Było wilgotne, ale nie rozpalone gorączką. Starzec sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Wie- kowe powieki uniosły się jednak na moment, a z ust dobiegł szept: – Zabierz mnie stąd...

–Nie martw się, Carolinusie – odparł Jim. – Zabiorę cię. Będziesz miał znacznie lepiej na zamku Malencontri.

Co one ci robiły?

–Wszystko... – wyszeptał Mag, lecz opadł już z sił i ponownie zamknął oczy.

–Ależ to okropne kłamstwo! – wtrąciła się Elly. – To majaki wywołane przez chorobę! Dałyśmy mu tylko środki przeczyszczające i zaledwie dwa razy upuściłyśmy krwi.

–To wystarczy, aby go zabić! – stwierdziła Angie.

Dołączyła do męża i stanęła u jego boku. Rzuciła przez ramię: – Theoluf, dopilnuj, aby kilku ludzi sporządziło nosze.

Niech zdobędą skądś drągi, a my ułożymy Carolinusa na kocach i ubraniach, które tu mamy.

–Tak, pani.

Theoluf schował miecz do pochwy, odwrócił się i wyszedł przez jasny prostokąt drzwi. Słyszeli, jak wydaje rozkazy zbrojnym.

–To go zabije! – krzyknęła Elly. – Tylko z trudem udaje się nam utrzymać go przy życiu. Nie przeżyje drogi do waszego zamku!

–A ja jestem pewna, że przeżyje – odparła ostro Angie. Przyłożyła dłoń do czoła Maga. – Pewnie wcale nie był tak poważnie chory. To wy doprowadziłyście go do stanu bliskiego śmierci, karmiąc tymi świństwami!

–On jest nasz! – odparła Elly równie gwałtownie. – Możesz być damą, ale na tym się nie znasz! Ostatnim życzeniem Maga, zanim utracił przytomność, było, abyśmy zostały przy nim. I zatrzymamy go tu bez względu na wszystko!

–Doprawdy, nie tylko te dwie dobre kobiety, ale cała moja trzódka byłaby smutna, widząc, jak usiłujecie zabrać stąd Maga, aby zmarł w drodze do waszego zamku – stwierdził bez zmruczenia oka ojciec Morel. – W imię Boże, będziemy musieli oprzeć się każdej takiej próbie!

–Mój panie! – dał się słyszeć głos Theolufa zza drzwi. – Czy możesz przyjść, żeby zamienić ze mną parę słów?

–Zaraz przyjdę! – powiedział Jim. Przyjrzał się kobiecie i zakonnikowi. – Jeśli po powrocie stwierdzę, że zrobiliście coś mojej żonie lub Carolinusowi, nikt z was nie zobaczy następnego wschodu słońca!

Aż sam zdziwił się, że gotów był spełnić tę groźbę.

Skierował się w stronę wyjścia. Na zewnątrz stał Theoluf, a za nim siedziało na koniach ośmiu zbrojnych z rękoma wspartymi na mieczach. Skutecznie powstrzymywali falujący tłum. Theoluf wyszeptał do ucha Jima: – Te szczury czekają tylko, aby ogołocić dom Maga.

Wszystko tutaj jest strzeżone za pomocą magii, ale magia zginie wraz ze śmiercią Maga. Z pewnością mają zamiar powstrzymać nas przed zabraniem go stąd i ocaleniem mu życia. Warto sprowadzić tu jeszcze z tuzin ludzi. Ta hałastrą ma pochowane długie noże, a może nawet kilka mieczy.

Jim zerknął na groźnie wyglądającą grupę, przyjrzał się brudnym strzępom ich namiotów i ubrań. Noszenie miecza było zakazane pod karą śmierci dekretem królewskim, chyba że miało się uprawniający do tego status społeczny lub pozwolenie kogoś, kto go posiadał. Ci ludzie w każdej chwili mogli zastać skazani na śmierć również z wielu innych powodów. Mieli więc czterokrotną przewagę nad Jimem i jego zbrojnymi. Na pewno potrafili posługiwać się bronią.

Jednym słowem, sytuacja nie przedstawiała się najlepiej.

Jim zdał sobie nagle sprawę, iż tak czy inaczej nie może zmienić decyzji. Żył w czternastym wieku, był baronem i rycerzem. Poddanie się takiemu motłochowi zhańbiłoby go na zawsze w oczach sąsiadów, włączając w to najlepszych przyjaciół. Sir Brian Neville-Smythe, jego najbliższy druh, nie mógłby mu tego wybaczyć. On sam nie zawahałby się zaatakować samotnie całej armii. A nawet, czego Jim był zupełnie pewien, sprawiłoby mu to nawet przyjemność.

Tak więc jedynym problemem było, kiedy zaatakować i jak zabrać stąd Carolinusa.

Może posłużyć się własną magią, aby pomnożyć liczbę swych ludzi lub uczynić ich kilkakrotnie większymi w celu skłonienia przeciwników do rezygnacji z użycia siły. Przy- pomniał sobie jednak, że jeśli ojciec Morel jest rzeczywiście członkiem jakiegoś zakonu, magia nie może zostać użyta.

Szpecially jeśli Morel modliłby się podczas prób rzucenia czaru. W przeciwnym wypadku również Carolinus użyłby magii, aby umknąć z łap tych pielęgniarek do zamku Jima, gdzie opiekowano by się nim należycie, nawet gdyby Angie była sama.

Nie miał także wątpliwości co do tego, że między dwiema siostrami a bandą włóczęgów istniały ściśle powiązania.

Cokolwiek wywołało chorobę Maga, musiało to być coś niezwykłego. Carolinus nigdy nie chorował, a choć magia może uleczyć rany, nie pomoże w przypadku choroby.

Prawdopodobnie na początku było to coś niegroźnego, ale wystarczyło jako pretekst, aby te dwie kobiety roztoczyły nad nim "opiekę". Wówczas ta zgraja w jakiś sposób musiała się o tym dowiedzieć i ściągnęła tu jak sępy. Elly i Eldra musiały bowiem zdawać sobie sprawę, iż ich zabiegi pogorszą tylko stan zdrowia Carolinusa.

Wiedziały, że jest to już stary i słaby człowiek, więc jego ciało nie będzie w stanie wytrzymać długo takiego traktowania. Dobrze się stało, że Jim, Angie i zbrojni dotarli do niego na czas. Tak naprawdę to zasługa imbryka, który w porę przyniósł wiadomość.

A więc posłużenie się magią nie wchodziło w rachubę.

Oznaczało to, iż musieli utorować sobie drogę siłą, licząc tylko na własny spryt i umiejętności. Dokonanie tego, niosąc jednocześnie Carolinusa, nie było łatwym zadaniem, skoro ci ludzie czekali tylko na okazję, by zabić Maga w trakcie walki.

Myśląc o tym, Jim postanowił upewnić się, czy magia rzeczywiście nie działa, zanim zrezygnuje z niej ostatecznie.

Przywołał do siebie Angie oraz Theolufa i powstrzymał wzrokiem ojca Morela, który, nie proszony, także próbował się zbliżyć.

Gdy towarzysze nachylili się do niego, Smoczy Rycerz wyszeptał: – Odsuńcie się i zróbcie mi miejsce. Spróbuję przemienić się w smoka.

Kiwnęli ze zrozumieniem głowami i odstąpili od niego.

Morel wyrzwał przez drzwi, mając wyraźną ochotę podkraść się do nich, lecz Theoluf wepchnął mniejszego od siebie franciszkanina do środka. Jim napisał w myślach znane już doskonale zaklęcie.

JA – POSTAĆ SMOKA, UBRANIA ZNIKAJĄ NIE ZNISZCZONE Nic się nie stało. Był nadal Jimem Eckertem i w niczym nie przypominał smoka.

A więc tak miały się sprawy. Popatrzył na Angie i Theolufa, zaś oni odpowiedzieli mu pełnym wyczekiwania spojrzeniem.

–Wyjaśnię to później – powiedział głośno.

Nie mogli liczyć na magię, trudno też spodziewać się korzystnego wyniku walki, gdy na każdego z nich przypadało czterech przeciwników.

Należy więc uciec się do forteli. Co czternastowieczny rycerz, taki jak Brian, zrobiłby w podobnym wypadku?

^ Rozdział 4 Oczywiście!

W głowie Jima zrodził się niespodziewanie pewien pomysł. Brian zapewne wzięłby w takiej sytuacji za- kładnika. Wątpliwe, by któraś z siostr nadawała się do tej roli.

Pozostawał jednak jeszcze ojciec Morel.

Jim odciągnął żonę na bok i szepnął jej do ucha tak cicho, aby nikt go nie usłyszał.

–Czy zarządziłaś, aby ktoś podążył za nami, gdybyśmy zaraz nie wrócili? – zapytał.

–Nie – odrzekła. – Z pewnością Yves Mortain wyśle pomoc, ale dopiero jutro rano. Nie podoba mi się jednak pomysł spędzenia tutaj nocy, szczególnie ze względu na stan zdrowia Carolinusa. Musimy jak najszybciej zabrać go do zamku. Trzeba ogrzać go, nakarmić i zapewnić mu właściwą opiekę.

Jim przytaknął i Angie wróciła do Carolinusa wraz z Theolufem, trzymającym obnażony miecz i groźnie spoglądającym na Elly, na wypadek gdyby któraś z "pielęg- niarek" usiłowała im przeszkadzać.

Smoczy Rycerz myślał intensywnie.

Mógł wprowadzić swych ludzi do domu i zamknąć drzwi. Carolinus roztoczył magiczne zabezpieczenia nie tylko wkoło domu, ale objął nimi także całą polanę, a były one lepsze od najsolidniejszych zamków. Nikt nie dostałby się tutaj, chociaż wydawało się, że te ściany można rozwalić uderzeniem pięści.

Jedno tylko przeszkadzało w realizacji tego planu – An- gie miała rację, że powinni jak najszybciej zabrać stąd Carolinusa. Stary Mag wyglądał na bliskiego śmierci. Był blady jak trup, leżąc na łożu w brudnej, zszarzałej todze, którą nosił zazwyczaj.

Czy uda im się jednak wydostać, wykorzystując Morela jako zakładnika? Bez wątplenia włóczędzy darzyli zakon- nika szacunkiem większym niż kogokolwiek innego. Z dru- giej jednak strony, ci oberwańcy już dawno zatracili wszelkie ludzkie uczucia. Mogli nie chcieć chronić franciszkanina, choć był dla nich z pewnością bardzo użyteczny – nie tylko zdobył sobie ich szacunek, lecz dzięki większej wiedzy i sprytowi mógł im przewodzić.

W tej chwili otworzyły się drzwi i jeden ze zbrojnych wsunął głowę do środka.

–Przygotowaliśmy już nosze, mój panie – rzekł.

–Za chwilę – odpowiedział Jim.

Głowa zniknęła, a drzwi zamknęły się. Jim zwrócił się w stronę ojca Morela.

–Zamierzamy wynieść stąd Carolinusa. Jeśli któryś z tych ludzi na zewnątrz sprawi nam jakiegokolwiek kłopoty, poderżniemy ci gardło. Będziesz naszym zakład- nikiem.

–Nie możecie tego czynić! – Morel wyprężył się na całą swą półtorametrową wysokość. – Jestem zakon- nikiem i zapewniam ci to nietykalność. Kto uczyni mi krzywdę, narazi na niebezpieczeństwo swą nieśmiertelną duszę.

Jim nie pomyślał o tym wcześniej. Nie zdawał sobie sprawy, że istniała tak poważna odpowiedzialność za uczynienie krzywdy duchownemu. Był jednak gotów na wszystko i miał zamiar wydać Theolufowi rozkaz, aby przyłożył sztylet do gardła zakonnika.

Spojrzał na giermka i zauważył, że Theoluf wyraźnie pobladł. Ostrzeżenie Morela mogło być tylko pustą groźbą, lecz sługa uważał, że lepiej tego nie sprawdzać. Oznaczało to także, iż żaden ze zbrojnych nie będzie miał odwagi zająć się Morelem.

Wszystko teraz zależało od Jima.

Grając dalej swoją rolę, wykrzywił twarz w złowieszczym uśmiechu.

–Nic sobie nie robię z takich gróźb! – oznajmił, nachylając się nad zakonnikiem. – Sam poderżnę ci gardło, jeśli będzie to konieczne! Bądź pewien, że tak zrobię!

Poskutkowało. Z twarzy Morela odpłynęła cała krew.

Jim niemal usłyszał jego myśli, iż Smoczy Rycerz już dawno zaprzedał swą nieśmiertelną duszę szatanowi.

Aby podkreślić znaczenie swych słów, Jim wyjął sztylet, chwycił zakonnika za tłuste włosy i szarpnięciem przycisnął do siebie. Przyłożył mu ostrze do gardła.

–No! – rzucił.

W tym momencie pojawiła się nowa przeszkoda.

–Nie zabierzcie nam chorego! – krzyknęła Elly.

Jim odwrócił głowę i zobaczył, że gdzieś z fałd ubrania wyjęła sporych rozmiarów nóż, który przyłożyła do szyi Carolinusa.

–Prędeż ujrzę go martwego, niż oddam komuś, kto nie potrafi mu pomóc!

Groziło to zaprzepaszczeniem wszystkich planów. Nagle Jim wpadł na doskonały pomysł.

–Uważasz więc, że możesz go uleczyć? – zapytał ironicznie. – A czy wiesz, że sama stoisz o krok od śmierci, ponieważ byłeś tak blisko niego? Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak niebezpieczną chorobą się zaraziłeś!

Ciągnąc Morela za włosy, zmusił go, aby podeszli do łóżka Carolinusa.

–Popatrz na niego, zakonniku! – polecił Jim. – Znasz przecież łacinę! Patrzysz w tej chwili na człowieka w ostatnich stadiach phytophthora infestans! Oczywiście wiesz, co to oznacza?

–Eee... tak. Tak, oczywiście! – odrzekł Morel i na- gle zaczął ze strachu szczękać zębami. – Jakże mogłem sam tego nie dostrzec? Te pielęgniarki są już skazane na śmierć!

Z przeciwnego końca pomieszczenia, gdzie stała Eldra, dał się słyszeć pełen przestrochu okrzyk. Twarz jej siostry wykrzywił nagły strach, lecz wciąż w ręku trzymała nóż.

–Jesteś magiem, a nie kimś, kto potrafi leczyć... – zaprotestowała Elly niezbyt pewnym głosem.

–Umiem także leczyć! – oświadczył Jim. – Ty, zakonniku, wiesz, co znaczą te łacińskie słowa. Czyż to nie najbardziej niebezpieczna zaraza na świecie, nawet gorsza od trądu?

–Tak... tak... tak... -wymamrotał Morel. Osunął się na kolana i próbował odczołgać od łóżka, ale stojący za nim Jim nie pozwalał na to.

Smoczy Rycerz zwrócił się do Elly i Eldry.

–Słyszaliście go. Posłuchajcie więc teraz, co jeszcze stanie się z Carolinusem i z wami, jeśli zaraziłyście się od niego. Na całym ciele, niczym włosy, zaczną wam wyrastać wstrętne, czarne palce. Jeśli je zauważycie, wiadomo będzie, że wasze ciało zaczyna gnić od wewnątrz.

Eldra ponownie krzyknęła z przerażenia, a nóż Elly zniknął w fałdach sukni.

–Sir... mój panie, magu... -mamrotała Eldra -jeśli zaraziłyśmy się tym, czy możemy przybyć do twojego zamku? Pomożesz nam?

–Zastanowię się – rzekł szorstko Jim. – A teraz, na wszelki wypadek, zatrzymam tu zakonnika, wy zaś wyjdźcie na zewnątrz i powiedzcie tym ludziom, co może ich spotkać, jeśli zbliżą się z nadto do nas.

–Mój panie... – zajęczała Elly. – Nie zapamiętałam tych łacińskich słów. Czy zechciałbyś je powtórzyć?

Jim wyraźnie powiedział nazwę, sylabizując: – Fy-to-fo-ra in-fe-stans.

Teraz Elly mogła już powtórzyć te dźwięki, mimo iż nie rozumiała ich znaczenia. Skierowała się ku drzwiom, lecz siostra uprzedziła ją i w panice wybiegła przed dom.

–Mój panie – rzekł niepewnie Theoluf. – Jestem twoim giermkim i umrę wraz z tobą. Inni nasi ludzie mogą jednak nie chcieć zbliżyć się do Maga, jeśli to rzeczywiście tak niebezpieczna choroba. A we trójkę nie będziemy w stanie go nieść.

Jim nie pomyślał o tym. Stał przez chwilę, wciąż przytrzymując ojca Morela, aż przyszedł mu do głowy kolejny pomysł. Przywołał do siebie Angie i odsuwając zakonnika na odległość wyciągniętej ręki, szepnął żonie do ucha:

–Zaraza ziemniaczana!

–Co? – zdziwiła się głośno Angie. – Za...

–Ciii – polecił Jim. – Uważaj. Nie mów tego na głos, nawet jeśli ta nazwa nic nie znaczy dla tych ludzi. Staralem się wymyślić jakąś okropną zarazę, której nazwy łacińskiej nie znałby zakonnik, a bałby się do tego przyznać, by nie wzięto go za nieuka. Zdołałem przypomnieć sobie tylko nazwę tej choroby, która zaatakowała ziemniaki w Irlandii.

Pamiętasz? W latach tysiąc osiemset czterdzieści sześć, czterdzieści siedem pola ziemniaczane zostały przez nią doszczętnie zniszczone. Prawdopodobnie zmarło wtedy z głodu około miliona ludzi.

–Tak pamiętam.

–Dobrze. Teraz idź i powiedz Theolufowi na ucho, że to wszystko to wybieg i po prostu posłużyłem się nazwą choroby rośliny, której jeszcze nawet tu nie mają. Później oboje wyjdźcie i po cichu powtórzcie to samo każdemu ze zbrojnych. Mogą nie uwierzyć Theolufowi, ale muszą zaufać swej pani – Lady Angeli de Malencontri et Riveroak. Ta banda na zewnątrz pomyśli, że przekazujecie sobie jakieś specjalne polecenia. Zrobisz to?

–Już idę! – odpowiedziała Angie i natychmiast wyszła.

Minęło niemal dziesięć minut, zanim zjawiła się ponownie, przyprowadzając ze sobą czterech zbrojnych, niosących nosze zrobione z dwóch drągów, prawdopodobnie odebranych wagabundom, ponieważ były z wysuszonego, okorowanego drewna. Pomiedzy nimi przywiązali kilka warstw ubrań, tworzących miękkie posłanie, na którym mógł być niesiony Mag.

–Teraz delikatnie ułożymy na nich Carolinusa – rzekł Jim do żołnierzy. – Wy dwaj przytrzymajcie nosze, a Theoluf i reszta niech złapie za rogi pościeli. Unieście ją razem z Carolinusem i połóżcie na noszach.

Sprawnie wykonali polecenia, podczas gdy Jim z żoną nadzorowali całą tę operację. Carolinus raz tylko jęknął lekko, gdy poruszono go, poza tym w ogóle nie reagując, Wciąż wydawał się być bez zmysłów lub, w najlepszym przypadku, zaledwie półprzytomny.

Wyszli przed dom. Jim wciąż trzymał sztylet przy gardle Morela. Przymknął za sobą drzwi chatki Carolinusa, wiedząc, że zatrzasną się automatycznie w magiczny sposób. Pozostała czwórka zbrojnych siedziała w siodłach, gotowa przejąć nosze od swych towarzyszy.

Włóczędzy odsunęli się od wejścia, pozostawiając nieco wolnej przestrzeni. Nie wycofali się jednak tak daleko, jak spodziewał się Jim. Ponieważ przejście pomiędzy obszarzanymi namiotami było zbyt wąskie dla dwóch konnych jadących obok siebie, trawali je bezlitośnie.

Jim czuł się z tego powodu nieco nieswojo, ale dobrze wiedział, że w tych czasach człowiek jego rangi nie mógł postąpić inaczej. Nie tylko jego zbrojni, ale i sami włóczędzy poczytaliby jego wahanie za oznakę słabości.

Uformował się mały oddział. Maga strzegł teraz podwójny kordon, licząc tych, którzy byli obarczeni noszami. Każdy z nich bowiem zdążył już przywiązać koniec drąga do swego siodła. Angie wskoczyła na konia. Jim miał przed sobą Morela, który siedział niemal na końskiej szyi.

–W porządku – orzekł Jim. – Ruszajcie wolno, żeby jak najmniej trzęsło Carolinusa. Angie, jedź obok, żebyś miała na niego oko...

Był to z jego strony tylko wybieg, ponieważ chciał, aby żonę, podobnie jak Maga, otoczyli zbrojni. Sam zajął miejsce z tyłu kawalkady, ze sztyletem wciąż przyłożonym do gardła Morela, Theoluf zaś prowadził oddział. W takim szyku powoli przepychali się przez tłum.

Początkowo panowało wokół milczenie, ale wkrótce wśród wagabundów dały się słyszeć szepty, które zaczęły przybierać na sile. Nagle za plecami Jima rozległy się okrzyki wściekłości. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że kilku z nich próbuje bezskutecznie otworzyć drzwi domku Maga. Oczywiście magiczne zabezpieczenia Carolinusa uniemożliwiały dostęp do niego. Uśmiechnął się i ponownie skoncentrował na obserwacji otaczającej ich gromady.

Widać było, że włóczędzy nie chcą wypuścić ze swoich rąk Carolinusa, nie wspominając już o ojcu Mordu.

Zaczynali się tłoczyć, zacieśniając przejście. Dostrzeg błysk noży. Pojawił się też najpierw jeden, a później coraz więcej wyciągniętych mieczy.

–Nie macie prawa go zabierać! – rozległ się nagle głos Elly. – Zabieracie go na śmierć... a my możemy go ocalić! Tylko my!

Sytuacja stawała się coraz gorsza. Najwidoczniej strach, który paraliżował działania wagabundów po usłyszeniu łacińskiej nazwy zarazy ziemniaczanej, ustępował teraz pod wpływem wściekłości. Smoczy Rycerz spojrzął przed siebie i zobaczył, że przejście wśród tłumu zostało już zamknięte, a równocześnie rósł napór z obu boków. Tumult wokół nich potężniał, aż nagle znaleźli się w środku wrzeszczącej zgrai, a w każdym ręku błyszcząca stal.

–Naprzód! – rozkazał.

Z przodu Theoluf powtórzył komendę i zbrojni wydobyli miecze.

Tłum uniemożliwił im jednak jakikolwiek ruch. Zostali zmuszeni do zatrzymania się. Giermek odwrócił się do swego pana, czekając na rozkazy.

–Toruj drogę mieczem! – krzyknął Jim.

Zanim jednak zdążyli się ruszyć, rozległ się dźwięk, który sprawił, że wszyscy zamarli.

Był to srebrzysty dźwięk trąbki. Nie zwyczajny, ochrypły głos rogu, ale czysty ton, pochodzący z rzadkiego instrumentu muzycznego, wykonanego z metalu i używanego przez królewskich heroldów lub wysokich urzędników.

Dobiegał ze skraju lasu, nieco w prawo od miejsca, do którego zmierzał Smoczy Rycerz ze swą drużyną. Spojrzawszy w tym kierunku, Jim ujrzał trzy postacie na koniach. Jedna z nich, drobniejsza od pozostałych, trzymała drzewce z powiewającym proporcem i właśnie odejmowała trąbkę od ust widocznych dzięki uniesionej przyłbicy. Cała zakuta była w zbroję w czternastowiecznym stylu, stanowiącą połączenie łańcuchów i blach.

Obok centralnej postaci stał niski, barczysty rycerz w takim samym pancerzu, z proporcem na końcu lancy, osadzonym w gnieździe przy siodle. Trzecia postać wysoka, ze spuszczoną przyłbicą, mająca na sobie płytową zbroję, jakie widywało się wówczas niezwykle rzadko, uniosła właśnie przyłbicę i ponad zgrają doleciał do Jima znany dobrze głos: – W imieniu Króla!

Rozdział 5 Obnażone miecze i noże włóczędów momentalnie zniknęły. Jim puścił ojca Morela, który zsunął się

z konia i pobiegł, aby dołączyć do grupki szturmującej drzwi domku. Jim spiął konia i skierował się prosto ku trzem rycerzom na wierzchowcach, a reszta podążyła za nim.

Wagabundowie tłoczyli się po bokach, lecz obawiali się wejść im w drogę. Ucichł nawet głos Elly.

Gdy Jim podjechał bliżej do wybawców, rozpoznał niskiego, barczystego rycerza, który właśnie uniósł przyłbicę swego hełmu, odsłaniając bujne blond wąsy i potężny nos.

Był to ten sam Sir Giles, u którego w zamku Mer przy szkockiej granicy Jim, Sir Brian i Dafydd ap Hywel – walijski łuczniczek – spędzili dopiero co cały miesiąc. Jim wytrzeszczył oczy na widok jego uśmiechniętego oblicza.

Rycerz musiał niemal deptać po piętach jemu, Brianowi i Dafyddowi podczas długiej drogi powrotnej, jeśli znajdował się tu teraz. Skąd jednak wziął swych towarzyszy?

Chociaż...

Opancerzona postać z trąbką to zapewne giermek. Jim rozpoznał już także wysokiego mężczyznę w płytowej zbroi.

Widać było, iż dowodził on całą trójką. Nie tylko nią, ale zapewne całym oddziałem, skrytym gdzieś w drzewach.

Dźwięk trąbki i wezwanie imienia królewskiego wystarczyły, aby natychmiast zmienić zachowanie się włóczęgów.

Ta hałastrza wiedziała, że dobrym normandzkim zwyczajem należało dla przykładu powiesić ich wszystkich na najbliższych drzewach.

Jim podjechał do środkowej postaci.

–Miło cię znów spotkać, Sir Johnie! – rzekł. – Cieszę się, że widzę Gilesa, ale twój widok sprawia mi podwójną radość. Czy mam rozumieć, że pojedziesz z nami do Malencontri, dla tych nędznych rozrywek, na jakie stać mój zamek?

–Tam się właśnie kierowałem, Sir Jamesie – odpowiedział Sir John Chandos.

Pomimo ogromnej sławy, człowiek ten, siedzący na wysokim i potężnym dereszku – koniu bojowym, odrzucił wszystkie tytuły i mienił się zwykłym rycerzem, podobnie jak Bhan czy Giles. Twarz jego świadczyła jednak o sile i zdolnościach przywódczych, które nie wymagały potwierdzenia nic nie znaczącymi tytułami i zaszczytami.

Uśmiechnął się teraz, spoglądając na Angie.

–Czyżby to była Lady Angela, twoja piękna żona? – zapytał. – Nie tylko o tobie, ale także o niej mówi się na dworze.

Jim dostrzegł na twarzy Angie przelotny rumieniec.

–Mam nadzieję, że mówi się o mnie dobrze, Sir Johnie – rzekła.

–Bądź pewna – odparł rycerz. Obejrzał się na Jima i zniżył głos. – Te zbóje za twoimi plecami nie wiedzą, że jest nas tylko trzech. Powinniśmy wynosić się stąd jak najszybciej.

–Oczywiście, Sir Johnie! – przyznał gorąco Jim. – Czy uczynisz nam zaszczyt i staniesz na czele naszego oddziału?

–Po prostu pojedziemy razem. Za twoim pozwoleniem, Sir Jamesie, może Lady Angela zgodziłaby się mi towarzyszyć? – Sir John zaciął konia i zrówał się z Angie. – Uczynisz mi ten zaszczyt i dołączysz do Sir Jamesa, Sir Gilesie?

–Z przyjemnością! – rzekł zapytany. – Cieszę się, że cię znowu widzę, Jamesie!

–Ja także – odpowiedział Jim.

Obaj, wraz z giermkim Chandosa jadącym obok Theolufa i zbrojnymi, zawrócili konie i skierowali je w las, przedzierając się na przełaj do traktu prowadzącego z zamku Malencontri do Dźwięczącej Wody. Kiedy znaleźli się w cieniu drzew, zbrojni schowali do pochew miecze. Chwilę później zniknęli w gęstym lesie.

–Jak to się stało, że zjawiliście się akurat wtedy, gdy potrzebowaliśmy pomocy? – zapytał Jim przyjaciela.

–Odpowiedź nie jest taka prosta, Jamesie – odrzekł Giles. – Sir John i ja dotarliśmy do skraju twej ziemi. Tam spotkaliśmy oracza, który powiedział nam, że właśnie udałeś się do miejsca zwanego Dźwięcząca Woda. Pokazał nam drogę i trafiliśmy bez trudy.

–Nie spodziewałem się, że ujrzę cię znowu tak prędko, Gilesie – stwierdził Jim.

–Nie mam dla ciebie pomyslnych wieści – rzekł Sir John nie odwracając głowy. Widocznie słyszał ich rozmowę mimo pogawędki z Angie. – Pogadamy o tym później, gdy znajdziemy się bezpieczni w twoim zamku.

–Oczywiście, jeśli tak sobie życzysz, Sir Johnie – zgodził się Giles.

Zwrócił pogodną twarz w stronę przyjaciela.

–Z pewnością nie spodziewałeś się ujrzeć mnie tak szybko – powiedział. – Uzgodniłem z Brianem, że przyjadę na Boże Narodzenie, nie wcześniej. Ty też będziesz brał udział w święcie, prawda?

–Nie wiem jeszcze – odrzekł Jim.

Wykręcał się, jak tylko mógł, od tych bożonarodzeniowych festiwali, które Brian i Giles wprost uwielbiali. Pełno tu było dziecinnych zabaw, niebezpiecznych turniejów i prób wprowadzenia cudzej żony do swego łóżka, nad wszystkim zaś dominowała zaś niewyobrazalna wprost ilość jedzenia i picia. Żadna z tych rzeczy nie była dla Jima szczególnie atrakcyjna.

Z drugiej strony przyzwoitość nakazywała, aby on i Angie wreszcie wzięli w tym udział. Wciąż starał się wymyślić dobry pretekst, który także w tym roku pozwoliłby im uniknąć tych zabaw.

Dlatego też tylko jednym uchem słuchał, o czym mówili jadący przed nim. Sir John z dworską galanterią nieprzerwanie prawił komplementy Angie, wyraźnie ją uwodząc.

Ona zaś radziła sobie całkiem nieźle, wychwalając rycerskość rozmówcy. Jim podziwiał Sir Johna na polu walki, ale sprawiało mu przykrość, że tak zaleca się do Angie.

W tych czasach było to jednak powszechne zjawisko akceptowane przez wszystkich.

Nic nie mógł na to poradzić, lecz dopóki byli w drodze do zamku, nie stanowiło to żadnego niebezpieczeństwa.

Miał nadzieję, że Sir John jest dżentelmenem i poprzestanie wyłącznie na flircie, nie próbując posunąć się dalej. Nie był jednak tego pewien i miał złe przeczucia.

Tymczasem Giles wciąż mówił do niego: – Co dolega Magowi, nie wiesz? Choć miałem zaszczyt spotkać go tylko we Francji i w naszym zamku, doprawdy czułbym się zmartwiony, gdyby okazało się, że jest poważnie chory.

–Uważam, że podawano mu zbyt dużo lekarstw – odparł Jim nieco bardziej szorstko niż wypadało, ale jego uwaga wciąż była skupiona na Sir Johnie i Angie.

Obiecał sobie uważniej słuchać Gilesa i zmienić ton.

–Były tam dwie kobiety, które nazywają siebie "pielęgniarkami" – ciągnął. – Pewnie zajmują się głównie położnictwem i opieką nad chorymi w sąsiedztwie. Nie wydaje mi się, aby działały w porozumieniu z tym motłochem, który widziałeś przed domem. Po prostu faszerywały lekarstwami Carolinusa, ponieważ tak właśnie zwykły były postępować. Ale w tym przypadku efektem takiego leczenia mogła być tylko jego śmierć – jest już starym człowiekiem i powinny wziąć to pod uwagę. Magiczne zabezpieczenia domu i wszystkiego wokół Dźwięczącej Wody zniknęłyby wraz z jego zgonem. Pielęgniarki i włóczędzy liczyli na nieźle łupy.

–Jakie łupy? – zdziwił się Giles.

–Nie wiem – odrzekł Jim. – Zapewne są tam jakieś cenne przedmioty, może kosztowności, a nawet pieniądze.

Ale prawdziwą wartość miałyby przyrządy Carolinusa, takie jak choćby lustro do wróżb, które można by odsprzedać młodszym magom. Znaleźliby w chatce tyle, że wzbogaciliby się znacznie. Jeśli jednak zdołamy bezpiecznie dowieźć Carolinusa do zamku, zapewnić mu ciepło, wygodę i dobre jedzenie, zapewne wyjdzie z tego bez szwanku.

–Cieszę się, że to słyszę – stwierdził Giles. – Ma opinię jednego z największych magów nie tylko naszych czasów, ale w całej historii.

–I ja tak myślę – przyznał szczerze Jim. – Znam go już na tyle długo, że wyrobiłem sobie podobną opinię.

Wciąż jechali stępa, aby uchronić Carolinusa przed wstrząsami na noszach przymocowanych do siodeł. Mimo tak wolnej jazdy, wkrótce już znaleźli się w zamku Malencontri. Gdy zatrzymali wierzchowce na dziedzińcu, natychmiast podbiegli do nich stajenni.

–Czy nie mógłbyś, Sir Jamesie – rzekł Sir John, kiedy wszyscy zsiadli z koni – posłać po Sir Briana Neville'a Smythe'a oraz łuczniczkę i wilka, którzy towarzyszyli ci we Francji rok temu? Pragnąłbym, aby także dołączyli do nas.

–Theoluf! – zawołał Jim na swego giermka. – Poślij natychmiast do zamku de Chaney i dopilnuj, aby Sir Brian, gdziekolwiek by był, został poinformowany, że szlachetny rycerz Sir John Chandos gości u nas i chce go zobaczyć.

–Tak, panie – odrzekł Theoluf i zwrócił się do jednego ze zbrojnych, stanowiących eskortę.

–...I poślij gołębia pocztowego do Dafydd. Sir John chce, aby i on tu przybył. A teraz przełoń z dziedzińca tych wszystkich obiboków – dodał Jim. – Zaraz zbiegnie się tu cała służba zamkowa.

Była to słuszna uwaga, gdyż ludzie pod byle pretekstem przerywali pracę i biegli na dziedziniec, przyglądając się Sir Johnowi Chandosowi. Oczywiście nie rozpoznawali go – żył przecież w innym świecie niż oni, ale byli zafascynowani płytową zbroją, o której tyle słyszeli, ale której nikt wcześniej nie widział. Taki pancerz był zastrzeżony dla króla i wielkiej arystokracji. Rzeczywiście stanowił więc rzadkość.

Zamkowy kowal podszedł tak blisko do fascynującej go zbroi, że znalazł się niemal między nowo przybyłymi.

Kiedy Jim zganił go spojrzeniem, wycofał się, mamrocząc słowa przeprosin. Nie wrócił jednak do swej kuźni, gdzie jeden z oraczy czekał niecierpliwie na zakończenie podkuwania konia.

–Jeśli chodzi o wilka, Sir Johnie – zaczął Jim, zwracając się do rycerza – uczynię, co będzie w mojej mocy, ale nie wiem, gdzie się teraz znajduje. Nie wiem też, czy przybędzie na moje wezwanie. To bardzo niezależne stworzenie.

–Rozumiem. – Sir John uśmiechnął się. – Takie są już wilki. Zrób jednak, co się da. Tymczasem bądź łaskaw wskazać jakieś ustronne miejsce, gdzie wraz z Sir Gilesem moglibyśmy spokojnie porozmawiać o sprawie, która jest przedmiotem naszej wizyty. Powiem teraz tylko krótko, w czym rzecz, aby zaspokoić twoją ciekawość do czasu, aż Sir Brian i, miejmy nadzieję, wilk zjawią się tutaj. Później Sir Giles omówi resztę, podczas gdy może...

Obejrzał się i spojrzał na Angie.

–...Lady Angela byłaby tak dobra i oprowadziła mnie po zamku. – Uśmiechnął się do niej zalotnie. – My, wojownicy, zawsze jesteśmy zainteresowani fortyfikacjami.

–Niestety, teraz nie mogę, Sir Johnie – rzekła szorstko Angie. – Musimy wraz z mężem zająć się najpierw

Carolinusem, upewnić się, czy został właściwie ułożony w czystym pokoju i czy ma zapewnioną odpowiednią opiekę. Później, być może, znajdziemy czas, by zwiedzić zamek.

–Ależ oczywiście, obowiązek przede wszystkim – stwierdził Sir John. – Muszę przyznać, że zapomniałem o Magu. Należy nim się zająć, nie szczędząc starań i czasu.

Moje sprawy mogą poczekać.

–Dziękuję, Sir Johnie – powiedział Jim. – Pójdę więc razem z Angie. Dołączę do was, jak tylko Carolinus zostanie należycie ulokowany.

W tym czasie Theoluf zdołał już przepędzić z dziedzińca większość gapiów, z wyjątkiem tych, którzy mieli możliwą do przyjęcia wymówkę, uzasadniającą ich obecność. Gos- podarze poprowadzili gości do Wielkiej Sieni. W jej końcu, na niewielkim podium, stał wysoki stół, ustawiony prosto- padle do niskiego, który ciągnął się przez całą długość pomieszczenia.

Ku zdziwieniu Jima, jedno miejsce przy wysokim stole było zajęte, chociaż pod nieobecność jego i Angie nikt nie śmiał tu siadać. Kiedy podeszli bliżej, rozpoznał otyłą, odzianą w półpancerz postać, siedzącą przy stole w towa- rzystwie niewątpliwie pełnego dzbana, z kubkiem w dłoni.

Człowiek ten poderwał się na równe nogi, kiedy Jim podeszedł do podium wraz z resztą towarzystwa.

–Dwie krowy! Dwie piękne, młode, mleczne krowy! – zakrzyknął.

Był to Sir Hubert Whitby, jeden z sąsiadów Jima. Sir Hubert nigdy nie przepuścił okazji do krzyku. Miał po prostu taki zwyczaj.

–Twoje smoki to zrobiły – grzmiał na całe gardło. – Zostały tylko rogi, kości i krwawe ścierwo. Mówię ci, że to te twoje smoki! Musisz je powstrzymać... i zapłacić za te dwie krowy!

–To nie są moje smoki – wyjaśnił Jim najspokojniej- szym tonem, na jaki mógł się w tej chwili zdobyć.

Zorientował się już wcześniej, że nic nie uspokaja Sir Huberta tak skutecznie, jak mówienie do niego w szczegól- nie łagodny sposób. Przybysz nie należał do najmniejszych i, stojąc na podeście, był równy wzrostem z Jimem, który ciągnął niemal pieszczotliwym tonem: – Poza tym nie usłuchałyby moich poleceń. Są tak samo niezależne jak my, ludzie. Dlaczego przypuszczasz...

Miał zamiar zapytać Sir Huberta, dlaczego to akurat on ma odpowiadać za szkody wyrządzone przez smoki. Usłyszał jednak słabe westchnienie Carolinusa, dochodzące z noszy.

Spojrzawszy w dół zobaczył, że starzec ma otwarte oczy.

Gdy oczy Jima spoczęły na Magu, poruszył on lekko głową, jak gdyby czemuś zaprzeczał.

–W porządku – stwierdził Jim pojednawczym to- nem. – Zobaczę, co da się zrobić. Tymczasem pozwól, że przedstawię ci naszemu dostojnemu gościowi.

Odwrócił się do mężczyzny w płytowej zbroi, stojącego tuż za jego plecami.

–Sir Johnie, oto szlachetny Sir Hubert Whitby, mój bliski sąsiad. – Następnie zwrócił się do Sir Huberta: – Panie, mam zaszczyt przedstawić ci majszlachetniejszego i najslawniejszego Sir Johna Chandosa, który przybył, aby złożyć nam wizytę w Malencontri.

f Sir Hubertowi opadła szczęka. Z wyrazem osłupienia na twarzy wyglądał wprost prześmiesznie. Miał wydatne, zaczer- wienione policzki, jasnoszare gęste brwi, a z nosa wystawały mu białe włosy. Twarz pokrywał mu co najmniej jednodnio- wy siwy zarost. Jego włosy wciąż pozostawały bujne, ale i one były już siwe. Z takim wyglądem mógłby z powodzeniem grać rolę dobrego Świętego Mikołaja, gdyby tylko zachowywał się spokojnie, a nie wściekał z byle powodu. Jego ulubionym zajęciem było wyszukiwanie czegoś, na co mógłby się złościć, a następnie znalezienie słuchacza i wrzeszczenie o tym.

–Sir... Sir John? – wyjąkał. – Sir John Chandos?

Ja... proszę mi wybaczyć, panie, to ze zdenerwowania...

Było to wszystko, na co mógł się zdobyć człowiek nieprzywykły do uprzejmości.

–Może porozmawialibyśmy jeszcze... – ciągnął, z nie- mą prośbą spoglądając na Jima. Ale Jim miał go już dość. I nie spotkałby się ze zrozumieniem ze strony pozostałych gości, gdyby zaprosił Sir Huberta na obiad, na który najwidoczniej ostrzył on sobie zęby.

–Wybacz nam, Hubercie, ale musimy zająć się Caro- linusem – rzekł Jim. – A później mam prywatną rozmowę z Sir Johnem i Sir Gilesem. Skontaktuję się z tobą w sprawie tych krów w ciągu kilku dni.

–Ale... ale... -jąkał się Sir Hubert.

Nie wypadało mu wybuchnąć gniewem, wytykając Jimo- wi brak sąsiedzkiej gościnności w obecności Sir Johna Chandosa. Tym bardziej, że Smoczy Rycerz wraz z Angie i ludźmi dźwigającymi nosze odchodził już w kierunku wejścia na wieżę i znajdujących się tam pokoi, z których jeden został przeznaczony dla Carolinusa.

Kiedy kawalkada mijała wysoki stół, Jim wziął z niego imbryk. Zrobił to ostrożnie, chwytając za drewnianą rączkę, pamiętając, że reszta jest zawsze gorąca od niemal wrzącej w nim wody.

–Po co ci on teraz? – zapytała Angie.

Wyszli z Wielkiej Sieni do pomieszczenia, gdzie przyno- szone były z kuchni potrawy przed podaniem ich na stół, i zaczęły wchodzić po spiralnych schodach prowadzących na wyższe pietra, gdzie znajdowały się komnaty

mieszkalne.

–Sądzę, że będzie mu lepiej razem z Carolinusem.

–Och, na miłość boską! – oburzyła się Angie. – Trak- tujesz przedmiot jak żywą istotę. Czy sądzisz, że imbryk, choćby nawet magiczny, może cokolwiek czuć?

–Tak właśnie myślę – odrzekł Jim. – Może dlatego, że sam mam do czynienia z magią, czuję, że będzie szczęśliwszy obok Carolinusa. W gotowości na wypadek, gdyby potrzebna była gorąca woda na herbatę.

Angie westchnęła i zamilkła.

Wreszcie delikatnie ułożyli Carolinusa na łóżku w kom- nacie, którą Angie zawsze trzymała umeblowaną i przygo- towaną dla niespodziewanego gościa. Kiedy Mag już leżał wygodnie, Lady Angela bez wahania zdjęła z niego nocną koszulę. Miał paskudne odleżyny, co wcale ich nie zdziwiło, gdyż widzieli, jak się nim opiekowano.

–May Heather – powiedziała Angie do najmłodszej z kucharek, zabranej po drodze do pomocy. – Sprowadź mi Margot, Edwinę i Mary. Powiedz im, żeby wygotowały jakieś ubrania na bandażę i przyniosły świeżą słoninę.

Niech w pogotowiu będą przez cały czas dwa czyste wiadra wrzątku. Jeśli zabraknie wody, złoję wam skórę!

Zwróciła się do zbrojnych.

–Niech jeden z was tu zostanie – rozkazała. – Reszta może odejść.

Polecenie zostało natychmiast wykonane.

Popatrzyła na Jima.

–Ty także możesz iść. Wracaj na dół, do swoich gości.

I trzymaj ich z dala od tego pokoju. Carolinus przede wszystkim potrzebuje odpoczynku. Mam tu mnóstwo roboty, a ty i tak nie możesz mi pomóc. Carolinus musi najpierw zostać umyty, a potem trzeba zająć się odleżynami.

Schodząc po schodach, Jim pomyślał, że może jednak nie należy nadawać ludzkich cech imbrykowi. Może Angie miała rację. Z drugiej strony, jego związek z magią powodował, że pewne rzeczy widział w innym świetle.

Zapyta o to Carolinusa, jak tylko poczuje się on lepiej.

Odrzucił myśl, że Carolinus nigdy już nie odpowie mu na żadne pytanie. Życie w tym zmienionym, magicznym świecie bez Carolinusa było nie do pomyślenia.

Nie ma co martwić się z góry. Ważna jest teraz inna sprawa. Gdy znajdowali się w Wielkiej Sieni, Ca- rolinus otworzył oczy i dał mu znak. Wyraźnie rozkazał nie wdawać się w dyskusję z Sir Hubertem o krowach i smokach.

Dlaczego Carolinus chciał, aby Jim zaprzestał tej roz- mowy? Działo się coś ważnego. Mag widział, słyszał i wiedział wiele rzeczy o tym, co dzieje się na świecie, pomimo iż rzadko opuszczał swój domek. Jeśli był zamie- szany w tę sprawę, to zapewne i Jim miał tu do odegrania jakąś rolę.

Znowu poczuł nerwowy skurcz w żołądku, jak wówczas, gdy pomyślał, iż Carolinus mógłby nie wyzdrowieć. Jim wrócił do wysokiego stołu w sieni. Znalazł tam Gilesa i Sir Johna Chandosa, gawędzących nad kubkami wina. Siedzieli obok siebie, Chandos u szczytu stołu, a Sir Giles przy jego dłuższym boku.

–O, Sir James! – rzekł Chandos, przerywając mowę do Gilesa, gdy Jim usiadł obok przyjaciela. – To dobrze, że wróciłeś tak szybko. Obawiałem się, iż nasz przyjaciel Mag zajmie cię na dłużej. Teraz wskaż miejsce, w którym będziemy mogli omówić ważne sprawy.

Jim dokonał w myśli przeglądu zamkowych pomieszczeń.

Czternastowieczna klasa rządząca, do której należał, nie posiadała w nadmiarze pokoi, umożliwiających dyskretne rozmowy.

Służący byli przyzwyczajeni wchodzić bez uprzedzenia do każdego pomieszczenia, z wyjątkiem sypialni swych państwa. Niektóre drzwi zaopatrzono jednak w rygle.

Część z tych komnat była zamieszkana, zaś pozostałe wypełniono pod sufit różnymi rupieciami, poczynając od broni, a kończąc na uszkodzonych meblach. Nikt tu też od lat nie sprzątał. Jeden z takich pokoi był teraz na rozkaz Angie opróżniany, sprzątaný i meblowany, by mógł po- służyć za sypialnię dla Sir Johna i Gilesa.

Gdy Carolinus zajął pokój gościnny, pozostało tylko jedno miejsce, które mogło się nadawać do tych celów.

–Przejdźmy do komnaty, którą Lady Angela i ja zachowaliśmy dla siebie.

Rozdział 6 Musisz mi wybaczyć nie zapowiedziane przybycie i zakłócanie twego spokoju, ale są ku temu istotne powody – powiedział nieco później Sir John.

–Ależ nic nie szkodzi – zapewnił Jim. – Z przyjem- nością służę ci wszystkim, co posiadam.

Była to prawda. Wysoko cenił sobie Chandosa. Gdy siedział tak z Sir Johnem i Gilesem w tym słonecznym pokoju, który stanowił prywatny azyl jego i Angie (służba wchodziła tu bardzo rzadko, by posprzątać i przynieść coś do jedzenia), nie mógł pozbyć się dręczącego uczucia, że naruszone zostały pewne zasady.

Tylko w tym pomieszczeniu pozwolili sobie na wprowa- dzenie pewnych elementów dwudziestowiecznego komfortu.

Krzesła, na których usiedli z Sir Johnem, miały nie tylko oparcia na plecy i pod łokcie, ale także obicia, co upodob- niało je do mebli dwudziestowiecznych. Także stołek zajęty przez Sir Gilesa, choć wyglądał jak inne w zamku, był obciągnięty skórą i wyposażony w oparcie.

Ta niewielka komnata należała wyłącznie do Angie i Jima. Przebywając tu, w jakimś sensie uciekali od tego

czternastowiecznego świata, który – choć polubili go i przyzwyczaili się już do myśli, iż spędzą w nim resztę życia – nie był tym, w którym wyrosli i uznawali za własny. Teraz, z konieczności, wprowadził tu obcych, burząc w ten sposób atmosferę intymności.

–Pragnę wyjaśnić – ciągnął dalej Sir John – że to, co mam ci do powiedzenia, dotyczy spraw wymagających najściślejszej tajemnicy.

Gdyby słowa te padły z ust kogoś innego, Sir Giles zbagatelizowałby je. Tym razem jednak przytaknął z takim zapalem, że aż zakolysały się końce jego ciężkich, jedwabnis- tych wąsów.

–Muszę wyznać – kontynuował rycerz – że wydajesz się ściągać kłopoty na to królestwo, tak jak wieża ściąga błyskawice, Sir Jamesie. Lepiej jednak od razu przystąpię do rzeczy.

–Jak sobie życzysz, Sir Johnie – powiedział Jim.

–Dzięki ci, panie – odparł Chandos. – No cóż, zacznijmy od tego, że znanym mnie jedynie sposobem dowiedziałem się o twojej wizycie u Sir Gilesa w pobliżu szkockiej granicy. Zaciekawilo mnie, że spotkaliście się, ale jeszcze bardziej, dlaczego sam się tam wybrałeś. Pomyś- lałem, że niechybnie musiałeś być zamieszany w sprawę planowanej inwazji szkockiej na Anglię, zbiegającej się w czasie z zagrożeniem ze strony Francuzów. Tak też było w rzeczywistości, o czym powiedziano mi, gdy przybyłem do zamku de Mer, tuż po twoim wyjeździe.

Jim przytaknął.

–Wyjaśniłem sprawy Sir Gilesowi – mówił dalej Sir John – a on natychmiast wyruszył wraz ze mną. Mieliśmy nadzieję, że cię dogonimy. Ponieważ jednak nie znaleźliśmy dokładnej trasy, którą zamierzałeś wracać do domu, poje- chaliśmy na chybił trafił i dogoniliśmy cię wreszcie obok domku Maga.

–Jakaż to była radość, gdy zobaczyłem cię, Sir Joh- nie – przyznał Jim.

–Dziękuję ci, panie, ale nasza pomoc polegała tylko na zastosowaniu wybiegu, i to niezwykle marnego. Niemniej okoliczności wymagały tego i dzięki tej sztuczce udało się wyrwać cię z opresji i teraz możemy być tu razem.

–Ale dlaczego poszukiwaliście mnie tak gwałtownie? – zdziwił się Jim. – Spodziewałbym się raczej, że pošlesz po mnie z Londynu, z pałacu królewskiego...

Sir John machnął ręką.

–Nie można rozmawiać na dworze bez obawy, że się jest podsłuchiwanym. Jeśli o to chodzi, nasze spotkanie nie mogłoby nastąpić ani w Londynie, ani w żadnym innym miejscu, w którym jestem znany.

Jim pokiwał głową. Sam znał ten problem. Jego własny zamek także nie był bezpiecznym miejscem do zachowywa- nia tajemnic, z wyjątkiem kilku pomieszczeń, takich jak to i część prywatnych pokoi, jak na przykład zajmowany przez Carolinusa.

–Na zamku de Mer i u ciebie w Malencontri – ciągnął Chandos – mogę czuć się pewniejszy, że nasze słowa nie dotrą do niepowołanych uszu i nie przyniosą nam szkody.

Nawet gdyby zostały przekazane przez służącego jako niewinna plotka. Na początku chciałbym pochwalić cię za definitywne rozwiązanie problemu Pustych Ludzi, przez co udaremniłeś Szkotom plany inwazji. Dotarły do mnie wieści, iż korona szkocka zrezygnowała całkowicie z tego pomysłu.

–Cieszę się – stwierdził Jim.

–Ja także – przyznał Sir John. – Niemniej jednak, choć był to wspaniały wyczyn, nie rozwiązał on wszystkich naszych kłopotów. Król Jean wciąż jest zdecydowany, bez względu na wszystko, wyekspediować swą armię przez Kanał, powtarzając wyczyn króla Wilhelma, który niegdyś dokonał inwazji, pokonując Saksonów, ówczesnych wład- ców tej ziemi. Przykro mi to mówić, ale monarcha francuski nie rezygnuje ze swych zamiarów.

–Sądzisz, że ta napaść jest wciąż możliwa? – zapytał Jim, przypominając sobie o problemach, z jakimi borykali się Niemcy za czasów Hitlera, przygotowując desant przez Kanał Angielski.

–Jeśli armia francuska zdoła się przeprawić, będziemy w poważnym niebezpieczeństwie – stwierdził Chandos. – To prawda, że Kanał nie jest łatwy do pokonania, szczególnie dla okrętów wyposażonych żołnierzami, końmi i innym sprzętem potrzebnym na wojnie. Krążą jednak plotki, że król może liczyć na wsparcie jakiegoś bardzo dziwnego sprzymierzeńca.

–Sprzymierzeńca? – powtórzył Jim.

Giles miał niezwykle poważną minę.

–Tak – stwierdził Sir John. – Nie wiemy, o kogo chodzi. Szkoci nie zawrą sojuszu z Francuzami, podobnie jak Norwegowie i Szwedzi. Nasze informacje napomykają o kimś innym, kto zapewni tej inwazji niemal stuprocentowe szansę powodzenia.

–Jak pewne jest to wszystko, o czym mówicie? – za- pytał Jim.

Sir John popatrzył nań ponuro.

–W tej chwili budowane są już łodzie, a ludzie groma- dzą się na wybrzeżach Normandii i Bretanii, przede wszystkim w Breście i Calais, aby ruszyć do przeprawy.

–A więc król trwa przy zamiarze ataku? – zapytał Jim z niedowierzaniem. – Bez względu na to jak liczna będzie jego armia, stanie przeciwko niej cała Anglia!

–Cała Anglia? – Sir John uśmiechnął się smutno. – To prawda, że gdy Francuzi najadą nasz rodzinny kraj, każdy

Anglik będzie walczył, poczynając od króla, aż po najniższego poddanego. Ale walczyć będą dopiero zaatakowani we własnych domach. Ludzie szlacheckiej krwi a także inni, wprawni w wojennym rzemiośle, pewnie zgłoszą się po rozestaniu wici. To druga sprawa, z którą król Jean może mieć sporo kłopotów...

–Pokonaliśmy go już pod Crecy i Poitiers – przerwał mu Jim.

–Prawda – zgodził się Chandos. – Ludzie z innych klas mają obowiązek stawienia się pod rozkazy tylko na okres czterdziestu dni. Potem wolno im wrócić do domów. Tymczasem nikt nie wie dokładnie, kiedy nastąpi inwazja. Jeżeli wojownicy zostaną powołani pod broń, musimy zapewnić im odpowiednią opiekę i wyżywienie.

Pociągnie to za sobą ogromne wydatki. Poznanie daty rozpoczęcia najazdu jest zupełnie niemożliwe, ponieważ nie zna jej nawet sam monarcha francuski, zmuszony czekać na pomyślny wiatr. Rozumiesz teraz w czym rzecz?

–Chyba tak – przyznał Jim z powagą, lecz w głosie jego wyczuwało się wątpliwość.

–Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że wojsko zostanie zebrane, poczeka czterdzieści dni, podczas których inwazja nie nastąpi, i pocznie rozjeżdżać się do domów.

Jakaż siła zdoła powstrzymać ich przed tym? Jakie argumenty przekonają ich, oczywiście z wyjątkiem natychmiastowej zapłaty za dodatkowe dni wyczekiwania?

–Racja – rzekł Giles, gdy zaległa chwila ciszy. – Na stanie późne lato i przyjdzie czas zbiorów. Ludzie dojdą do wniosku, że ważniejsze dla nich jest zebranie plonów i inne domowe obowiązki.

–Tak, ale w przypadku żołnierzy króla Jeana sytuacja wygląda zupełnie inaczej – powiedział Chandos.

–Inaczej? – zdziwił się Jim. – Dlaczego?

–Ponieważ kiesa naszego króla nie jest teraz zbyt pełna. Szczerze mówiąc, częściej jest pusta niż pełna, a nasz władca i jego dwór głównie posługują się na obietnicami, a nie prawdziwymi monetami. Natomiast król Jean posiada ogromne zasoby. Francja handluje z południem i wschodem, a wysokie podatki wpływają wprost do jego skarbcza.

–To prawda – wtrącił się Giles. – Hmm, proszę mi wybaczyć, Sir Johnie.

–Nic nie szkodzi. Chciałbym, abyście obydwoj mówili wszystko, co o tym myślicie. Wróćmy jednak do tematu.

Jest wielu francuskich szlachciców gotowych wyłożyć znaczne sumy na sfinansowanie takiej ekspedycji.

Pamiętajcie, że czynią to nie z miłości do swego władcy, ale dla przygody i ziem, które mają nadzieję zdobyć w Anglii. Zacie naszym rycerzy. Francuscy postępują tak samo.

–Rzeczywiście – zgodził się Jim.

Zdążył ich poznać, żyjąc tu dwa lata. Szlachetnie urodzeni żyli, aby walczyć. Bezczywność była jednym z ważnych problemów podczas długich zim. Nie można było bez końca jeść, pić i zabawiać się z kobietami. Dlatego też rycerze najchętniej przebywali poza domem, czyniąc to, czego uczono ich od dzieciństwa – walcząc z wrogami.

–Niezbędne jest więc, abym dowiedział się, jak szybko może nastąpić atak oraz jakiej to pomocy spodziewa się król Jean, przygotowując inwazję tak konsekwentnie, nie licząc się z kosztami – ciągnął Chandos. – Wiem dobrze, na co was stać, Sir Jamesie i Sir Gilesie. Daliście tego dowody we Francji, podczas ratowania naszego szlacheckiego księcia. Od tego czasu mój podziw dla was jeszcze wzrósł. Pragnąłbym, abyście udali się potajemnie do Francji, pod zmienionymi imionami, i jak najszybciej dowiedzieli się, kto jest tym tajemniczym sprzymierzeńcem.

W izbie zapanowała cisza. Jim pomyślał sarkastycznie, jak Angie rada będzie z jego ponownego wyjazdu, i to natychmiast po powrocie z ostatniej wyprawy.

–No cóż, Sir Johnie – zaczął. – Będę musiał pomówić o tym z żoną. Czy wraz z Sir Gilesem moglibyście przejść do Wielkiej Sieni i napić się wina, podczas gdy ja zajmę się innymi obowiązkami? Później wszyscy spotkamy się tam na wieczerzy.

–Oczywiście. Do twych usług, panie – powiedział Chandos beznamiętnym tonem i wstał.

Wszyscy zdjęli już wcześniej zbroje i odłożyli broń.

Sprzęt należący do Chandosa tworzył w jednym z kątów pokaźny stos. Jak większość rycerzy, rzucał na ziemię zdejmowane z siebie części pancerza pewien, że prędzej czy później ktoś ze służby zajmie się nimi i przeniesie we właściwe miejsce – w tym przypadku do komnaty przygotowanej dla niego i Gilesa.

–Rozumiem, że nie jest to sprawa, w której możesz udzielić mi natychmiastowej odpowiedzi. Dołączysz zatem do mnie, Sir Gilesie?

–Z ochotą, Sir Johnie – odparł zapytany.

Wszyscy trzej wyszli z izby i skierowali się do Wielkiej Sieni. Tam Jim opuścił gości. Rozkazał przenieść ich zbroje do pomieszczenia, przeznaczonego im do spania. Później wyszedł na zewnątrz.

Zmierzchało już, a w lesie było prawie zupełnie ciemno.

Przywołał więc jednego ze swych zbrojnych.

–Amyth – rzekł do niego – przynieś dwie pochodnie.

Będę czekał przy głównej bramie.

–Tak, panie – odpowiedział tamten.

Był to trzydziestoletni mężczyzna o bladej cerze i prostych, czarnych włosach. Po chwili dołączył do Jima w wyznaczonym miejscu. Nie tylko miał ze sobą pochodnie, ale także był uzbrojony, a na głowę włożył stalowy hełm.

Poprzez nagie przedpole zamku skierowali się w stronę lasu. Prowadził Jim. Widział, jak czerwona tarcza słoneczna kryje się już niemal całkowicie za wierzchołkami drzew.

Zapadała się za horyzont, a gałęzie gasiły jego ostatnie promienie.

Patrząc na Amytha, mającego jedną pochodnię przy- twierdzoną do pasa, a drugą, również nie zapaloną w rękę, stwierdził, że twarz zbrojnego jest jeszcze blejsza niż zwykle. Kiedyś zdziwiłoby go to, ale teraz wiedział, że dla tych ludzi ciemność była pełna niebezpieczeństw, zarówno rzeczywistych jak i urojonych.

Zawsze można było natknąć się na niebezpieczne zwie- rzę – dzika lub niedźwiedzia. Ale prawdziwy strach wzbudzały istoty nadprzyrodzone – nocne trolle, duchy i monstra wszelkich możliwych rodzajów, czyhające nocą na podróżnego.

Amyth sam nie zaryzykowałby wejścia do lasu, nawet z pochodnią. Prowadzony przez swego pana, bał się nieco mniej, lecz i tak strach paraliżował mu ruchy.

Nigdy nie można przewidzieć, co kryje się w ciemno- ściach.

Pod drzewami panował już gęsty mrok. Zatrzymali się i Amyth przy użyciu hubki, krzemienia i stali zapalił pierwszą pochodnię. Gdy ruszyli naprzód, uniósł ją ponad głowę. Jej światło natychmiast uczyniło ciemność wokół nich jeszcze głębszą. Wydawało się, iż wędrują w żółtej, migoczącej kuli. Pnie drzew, skały i krzaki wyłaniały się niespodziewanie i po chwili ponownie ginęły z pola widzenia.

Jim w duchu musiał przyznać, że wyglądało to naprawdę niesamowicie. Nawet dla kogoś takiego jak on. Uświadomił sobie, że w tym świecie mogą się natknąć na istoty nie będące zwierzętami. Nie były to, ściśle mówiąc, stwory nadprzyrodzone. Należały do grupy istot, które Carolinus nazywał Naturalnymi.

Większość z nich nie stanowiła niebezpieczeństwa dla uzbrojonego człowieka, takiego jak wojak u jego boku, który wysoko podnosił pochodnię i ze strachem rozglądał się wkoło. Wiele z nich, jak driady, było przychylnie nastawionych do ludzi, a więc niegroźnych dla nich. Istniały też jednak stwory zwane nocnymi trollami. Dorosły ich przedstawiciel mógł okazać się poważnym zagrożeniem, ponieważ ważył tyle co postawny mężczyzna, i był wyposażony przez naturę w niebezpieczne zęby i pazury. Spoty- kało się je jednak niezwykle rzadko.

Naturalni byli czymś pośrednim pomiędzy ludźmi a fauną tego świata. Tutejsi zabobonni mieszkańcy wierzyli, że mają one moce magiczne. Tak naprawdę, posiadały tylko umiejętności w niewielkim stopniu przewyższające ludzkie, którymi mogły w ograniczony sposób kierować. Zdolności te znajdowały się już w zaniku.

Naturalni, co podkreślał Carolinus, nie byli zdolni do czynienia prawdziwej magii. Spośród wszystkich żywych istot jedynie nadawali się do tego ludzie – i to tylko nieliczni spośród nich, o czym Jim zdążył się już przekonać.

Większość ludzi w tym świecie, tak samo jak wilk Aragh, nie widziała niczego dobrego w umiejętności czynienia magii i wołała nie mieć z nią nic wspólnego.

Jedyną różnicę stanowił fakt, iż Aragh nie obawiał się ciemności, tak jak zbrojny idący razem z nim.

Jim poczuł wiaterek, który szeleścił wśród drzew. Musiał wiać także wtedy, gdy pokonywali otwartą przestrzeń między zamkiem a pierwszymi drzewami, ale aż do tej pory nie zwracał na niego uwagi.

Cichy jęk wiatru zdawał się dochodzić z kilku stron jednocześnie. Choć był to tylko wiatr, Jim, nie będąc przecież przesądnym, poczuł się nieswojo.

Dotarli już niemal do celu, który znajdował się niecałe pięć minut drogi od skraju lasu.

Był to pniak uschniętego młodego wiązu, złamany metr ponad ziemią. Przez całą jego długość biegło pęknięcie.

Zatrzymali się przed nim i Jim sięgnął do jednej z wewnę- rnych kieszeni kubraka, które Angie doszyła mu włas- noręcznie wbrew średniowiecznej modzie, zapewniając w ten sposób możliwość skutecznego ukrywania noszonych przed- miotów. Ówczesni ludzie mieli zwyczaj noszenia posiada- nych rzeczy w torbach i sakwach, zwykle przytwierdzanych do pasa lub przerzucanych przez ramię.

Z kieszeni tej wyjął skrawek ufarbowanej na czerwono materii. Zawiązał go wokół szczytu pniaka, a końce wcisnął w szczelinę, by nie łopotały na wietrze.

–Teraz – zwrócił się do zbrojnego – cofnijmy się kilka kroków. Zamierzam posłużyć się magią...

Dostrzegł paniczny lęk na twarzy swego człowieka.

Wystarczająco straszne było już samo przebywanie w lesie, w ciemności, ale towarzyszenie czyniącemu magię, choćby nawet własnemu panu, przekraczało granice wytrzymałości Amytha.

–Zapał drugą pochodnię, a mnie zostaw tę, którą trzymasz – ulitował się nad nim Smoczy Rycerz. – Później możesz odejść nieco dalej.

–Dziękuję ci, panie – wyjąkał Amyth z ulgą, szczęka- jąc zębami.

Wykonał polecenie i czym prędzej odszedł na dobre trzydzieści metrów. Z takiej odległości widać było tylko niewyraźne światło jego pochodni. Smoczy Rycerz odwrócił od niego wzrok i zajął się na powrót pniakiem.

Trzymając w ręku pochodnię, wypaloną już w trzech czwartych, cofnął się o cztery kroki. Pomimo klasy C, przyznanej mu przez Wydział Kontroli, co zawdzięczał Carolinusowi, który w ostrej dyskusji rzucił na szalę cały swój autorytet, Jim wiedział, jak mało jest w nim z prawdzi- wego maga. Powoli jednak jego umiejętności i wiedza rosły.

Ostatniej zimy poświęcił magii więcej czasu i był zdziwio- ny, jak trudna jest to nauka. Doszedł do wniosku, że

przypomina to studiowanie matematyki. Gdy przechodziło się od arytmetyki do algebry i dalej do matematyki wyższej, natrafiało się na coraz bardziej skomplikowane problemy.

W przypadku magii ogromnie trudne były czary dłuższe niż jednowierszowe. On sam posługiwał się w większości przypadków tylko kilkuwyrazowymi sekwencjami, i tak prawdopodobnie działać się będzie jeszcze przez długi czas.

W tym jednak szczególnym przypadku taki czar nie wystarczyłby.

Na szczęście istniała duża swoboda w sposobie czynienia magii. Przede wszystkim należało użyć jakiegoś monotonnego motywu. Deklamując go i zataczając krąg wokół pniaka, miał zamiar stworzyć ochronny pierścień, przez który tylko Aragh – wilk, dla którego zostawiał wiadomość, on sam i Angie mogli się przedostać.

Jim potrzebował tego samego zabezpieczenia, jakiego Carolinus użył do ochrony swego domu przed włóczęgami.

Przypomniał sobie strofy wiersza Alfreda Noyesa pod tytułem Autostrada.

Zaczai krążyć wokół pniaka, powtarzając jego pierwsze słowa. Musiał mówić głośno, choć prawdopodobnie potęgowało to jeszcze strach Amytha. Był to jednak jedyny sposób na stworzenie odpowiedniego zabezpieczenia. Tak przynajmniej rozumiał z książki zatytułowanej Encyklopedia necromantick, którą Carolinus dał mu do przeczytania, przyjmując go na swego ucznia. Może ktoś o umiejętnościach Carolinusa był w stanie dokonać tego za pomocą myśli, ale Jim tego nie potrafił.

Deklamował: Wiatr to potok ciemności pośród drzew porywistych, Księżyc zaś, widmowy galeon na morzach falistych, Droga to wstążka światła księżycowego ponad łąnem wrzosowiska purpurowego, a podróżny jechał... jechał... jechał...

Do tych słów dodał swoje: Więc niech wszystkich z dala trzyma to zabezpieczenie, jeśli w pobliżu nie ma Aragha, Angie lub mnie.

Nie była to dobra poezja, tym bardziej że sam musiał wymyślić dwie ostatnie strofy. Jego wysiłki zostały w tym momencie przerwane, ale nastąpiło to zbyt późno, aby zniweczyć sam czar.

Za plecami usłyszał bowiem nagłe krzyk.

Rozejrzał się i uniósł pochodnie, ale w rzucanym przez nią świetle nie zauważył niczego podejrzanego. Przeklinając zbrojnego za tchórzostwo, skierował się w tamtą stronę.

Zwrócił uwagę, że pochodnia Amytha znajduje się niżej niż przedtem. Kiedy podszedł bliżej, zrozumiał dlaczego.

Leżała na ziemi, dogasając. Obok tkwił obnażony miecz Amytha. Po jego właścicielu nie było jednak ani śladu.

Rozdział 7 A przy okazji – rzekł Jim do Yvesa Mortaina, dowódcy zbrojnych, gdy wrócił już do zamku. – Wysłałem Amytha ze specjalną wiadomością. Nie będzie go przez kilka tygodni. Zachowaj to dla siebie, dobrze?

–Tak, panie – odpowiedział Yves.

Odpowiedź tego człowieka z blizną na twarzy wyrażała pełne posłuszeństwo, ale jednocześnie, zaintrygowany spojrzawszy bacznie na Jima. Smoczy Rycerz zapłonął gniewem.

Gdyby jakiś inny średniowieczny pan zakomunikował coś swemu dowódcy zbrojnych, ten przyjąłby to po prostu do wiadomości. Reakcja Yvesa stanowiła kolejny dowód, że Jim nie bardzo potrafił zachowywać się jak prawdziwy rycerz i baron.

Wciąż zapominał, iż nie jest to wiek dwudziesty i traktował swych podwładnych tak, jakby nie istniały między nimi żadne różnice społeczne. A oni zaczęli czekać na uzasadnienie otrzymywanych poleceń.

Oddalił się majestatycznie.

Pomyślał, że dobrze zrobił, przemycając miecz Amytha do swej komnaty, zanim któryś z jego towarzyszy rozpoznał broń. Nie miał czasu zastanawiać się, co mogło porwać Amytha. Z pewnością musiało to być coś dużego.

Dotarł do pomieszczenia, gdzie przechowywano potrawy po przyniesieniu z kuchni, która z konieczności znajdowała się poza zamkiem. Gdyby bowiem wybuchł tam pożar, o co przecież nietrudno, ogień nie przeniosłby się tak łatwo na resztę zabudowań. Zastał tu czterdziestoletnią, otyłą, groźnie wyglądającą kobietę o imieniu Gwynneth Plyseth, która na jego widok skłoniła się.

–Gwynneth – powiedział – dołączę do Sir Gilesa 1 naszego drugiego gościa Sir Johna przy wysokim stole.

Jak tylko Lady Angela zasiądzie wraz z nami, możesz rozpocząć podawanie wieczerzy. Zawiadom o tym kuchnię i przekazaj Lady Angeli, że jej oczekujemy.

–Tak, panie – rzekła Gwynneth i ponownie się ukloniła.

Jim przeszedł do Wielkiej Sieni.

–Tak przy okazji – powiedział do Sir Johna, gdy już usiadł przy wysokim stole – nie miałem jeszcze czasu, aby porozmawiać z żoną. Gdybyś mógł nie wspominać o tej wyprawie do Francji...

Chandos uśmiechnął się.

–Oczywiście, Sir Jamesie. Takie sprawy wymagają czasu. I ja mam takie doświadczenia z własną połowicą.

Nie spieszy mi się. Z przyjemnością spędzę tu kilka dni, korzystając z towarzystwa twego oraz Sir Gilesa, nie mówiąc już o samej Lady Angeli.

–Hm... tak – rzekł Jim.

Wciąż zaniepokojony zalotami Sir Johna do Angie, nie był pewien, czy rycerz nie zamierza pozwolić sobie na kroki bardziej zdecydowane niż te, które można jeszcze bagatelizować.

–Napij się wina, Jamesie – zaproponował Giles, podsuwając mu pełen kubek.

–A, byłbym zapomniał – rzekł Jim późnym wieczorem, gdy wraz z Angie leżeli już w łóżku, odprężeni i szczęśliwi. – Sir John nalega, abym wraz z Gilesem wybrał się w krótką podróż do Francji. Mamy zbadać, co czynione jest w sprawie inwazji, do której najwyraźniej przygotowuje się król francuski.

Poczuł, że Angie zeszywniała.

–Podróż do Francji? – powtórzyła wolno lodowatym tonem. – Kiedy?

–No cóż – zaczął Jim tak bez troski, jak tylko umiał. – Właściwie mówił o natychmiastowym wyjeździe... ale na krótko, sama rozumiesz...

Urwał, ponieważ Angie usiadła na łóżku, zrzucając przykrycie zarówno z siebie jak i z niego, po czym zaczęła obiema pięściami okładać go po klatce piersiowej.

–Auu! – krzyknął Jim, chwytając ją za ręce. – Od czasu, gdy tu jesteśmy, przybyło ci więcej siły, niż myślałem.

–Szkoda, że nie mam jej dwa razy więcej! – wysapała Angie z furją. – Nigdzie nie pojedziesz!

–Ale tylko na krótko...

–Nie! Nie! Nie puszcę cię nawet na dzień! Nawet na godzinę! Na minutę! Nigdzie się stąd nie ruszysz! – krzyczała wściekle. – Nie pojedziesz!

–Pozwól mi wyjaśnić – prosił Jim, wciąż trzymając ją za ręce. – Istnieje niebezpieczeństwo napaści. Francuscy wojownicy mogą znaleźć się na naszej ziemi i zaatakować nasz zamek...

–Nie obchodzi mnie to! Nic a nic! – stwierdziła Angie. – Dopiero wróciłeś z jednej wyprawy! A kto musiał radzić sobie ze wszystkim, kiedy cię nie było? Ja. Musiałam być panem i panią zamku! Musiałam zająć się wszystkimi sprawami, które pozostawiłeś. Rozkazałam nawet wychłostać jednego ze zbrojnych. Yves Mortain przyszedł do mnie i powiedział, że tak trzeba zrobić, więc go posłuchałam. Bo nie było ciebie, żebyś się tym zajął. To nie był mój obowiązek, tylko twój, jako pana tej ziemi! A gdyby kogoś trzeba było powiesić? Jak sądzisz, jak czułabym się w takiej sytuacji, pozostawiona samej sobie?

–Co zrobił ten zbrojny? – zapytał Jim.

–Nie pamiętam. Jakie to ma teraz znaczenie? – piekliła się Angie. – Chodzi o to, że ciebie tu nie było, a to przecież czternasty wiek. Musiałam zajmować się zamkiem i ziemią. Musiałam położyć kres waśniom między sługami.

Musiałam rządzić poddanymi. Musiałam zmusić ich wszystkich do pracy, podczas gdy oni starali się od niej wymigać.

Musiałam zająć się wszystkim! A ty sobie wyjechałeś. Bez wątpienia zabawiałeś się dobrze, nie zaprzatając sobie głowy zamkiem ani własną żoną. Przez ostatnie dwa lata niewiele mieliśmy okazji do zamienienia ze sobą choćby kilku słów, z wyjątkiem tych paru miesięcy po świętach Bożego Narodzenia! A to było tak dawno. Dlaczego nie możesz zostać i zająć się swymi obowiązkami? Nie wspomnam już o sobie. Ja także potrzebuję trochę opieki.

Może wreszcie dotrze to do ciebie! Gdy wyjeżdżasz, otacza cię tam mnóstwo innych kobiet. Pewnie nawet wcale o mnie nie myślisz!

–Ależ skąd! – zaprzeczył rozdrażniony Jim. – Myślę o tobie. W nocy, rankami, w dzień, o każdej porze! Bardzo często myślę o tobie. Rzecz tylko w tym, że nie ma warunków, aby skontaktować się z tobą i powiedzieć o tym. Wysłałem przecież przez Carolinusa wiadomość, że mój powrót się opóźni.

–Naprawdę? – zapytała zdziwiona. – Carolinus nie przekazał mi żadnej wiadomości.

–Może już wtedy był chory. A jak się teraz czuje?

Próba zmiany tematu okazała się jednak niefortunnym pomysłem. Angie uwolniła ręce i położyła się, odwrócona do niego plecami. Nie odezwała się i Jim wiedział, iż nic nie wskóra powtarzając pytanie. Na pewien czas wzniesiony został wielki mur milczenia. Jim miał jedynie nadzieję, że następnego dnia żona zdecyduje się do niego odezwać.

Westchnął. Czuł ogarniające go wzburzenie. Z pewnością Angie miała rację. Rzeczywiście musiała dźwigać na swych barkach podwójny ciężar, za każdym razem, kiedy wyjeżdżał. Byłaby najbardziej zadowolona, gdyby przebywał w domu przez dwanaście miesięcy w roku. Ale w tym świecie rycerz nie mógł tak postępować, szczególnie taki jak on – pod wieloma względami wyjątkowy. Wiedział, że na przykład Chandos cały czas podróżował, zajmując się sprawami politycznymi królestwa.

W końcu wstał, ubrał się i zszedł na dół. Tak jak przypuszczał, Sir John i Giles wciąż gawędzili przy dzbanach wina. Jim opuścił ich przedtem pod pretekstem, iż od dawna nie widział się z żoną. Po kilku niewybrednych żarcikach, nie różniących się wiele od tych, których mógł się spodziewać po swych dwudziestowiecznych kolegach, pożegnali go i pozwolili odejść.

Teraz, gdy wrócił, byli na tyle dyskretni, iż nie zadawali żadnych pytań. Giles podsunął mu kubek pełen wina.

Jim ze złością wypił go do dna.

Pił tak, aż stracił poczucie rzeczywistości. Jak przez mgłę pamiętał, że dwóch służących sapiąc niosło go po schodach na górę. Nie przejmował się wcale faktem, iż któryś mógł potknąć się i wszyscy trzej spadliby kilka pięter w dół z nie zabezpieczonych kamiennych schodów, wijących się we- wnętrzu wieży, i niechybnie zginęliby.

Donieśli go jednak jakoś do izby, rozebrali, położyli do łóżka i przykryli. Przez cały ten czas Angie leżała w drugim końcu łoża w całkowitym milczeniu, jakby w ogóle jej tu nie było.

To ostatnia rzecz, którą zapamiętał. Obudziły go łupiący ból głowy, uczucie nudności oraz światło wpadające przez wąskie okna, co wskazywało, że było znacznie później niż zwykle, gdy wstawał. Oboje przyswoili sobie średniowieczny zwyczaj budzenia się wraz ze wschodem słońca, a czasem nawet wcześniej. W ustach czuł suchość i paliło go prag- nienie. Zauważył, że łóżko obok jest puste. Angie zapewne wstała już kilka godzin temu.

pragnienie było nie do wytrzymania. Zwłóknął się z łoża, i szukając wody, doczłapał do stołu, na którym stały dzbany z napojami. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że surowa woda może mu zaszkodzić. Ostrożnie odwracając głowę, by nie czuć i nie widzieć wina, znalazł dzban ze słabym piwem i nalał go sobie do kubka.

Było obrzydliwe. Przez chwilę nie był pewien, czy nie zwróci tego, co połknął, ale udało mu się opanować odruch wymiotny. Napił się zatem jeszcze. Pił powoli, aż niemal opróżnił cały dzban.

Opadł na krzesło obok stołu i spróbował zebrać myśli.

Wyprawa do Francji wobec zdecydowanego sprzeciwu Angie okazała się niemożliwa.

Z drugiej strony, był lennikiem króla i bardzo praw- dopodobne, że Sir John miał ze sobą dokument z królewską pieczęcią, oddający Jima oraz Gilesa pod jego rozkazy.

Chandos wolałby zapewne nie wydawać mu polecenia wyjazdu do Francji, jeżeli tylko dałoby się tego uniknąć.

Znacznie lepiej było namówić go do wyprawy bez używa- nia przymusu. Z pewnością Giles zgodził się już na tę eskapadę.

Jim zdał sobie sprawę, że znajduje się między młotem a kowadłem. Obie zainteresowane strony zajmowały w tej sprawie diametralnie różne stanowiska. Najgorzej stałoby się, gdyby otrzymał wyraźny rozkaz, podczas gdy Angie wciąż upierałaby się przy swoim.

Istniała nadzieja, że podda się, gdy zobaczy, iż nie ma innego wyjścia. Ale znając ją i tego nie mógł być pewny.

Nie czułby się dobrze we Francji, gdyby znalazł się tam na rozkaz i wbrew woli żony.

Dopił resztkę piwa. Wciąż męczyło go pragnienie. Na dole czekały jednak sprawy, którymi powinien zająć się już kilka godzin temu. Ubrał się więc i wyszedł z izby.

Wielka Sień, tak jak przypuszczał, była pusta. Sądząc po promieniach słońca, wpadających przez szczeliny okien, musiała być już co najmniej dziewiąta.

Ponieważ sama myśl o śniadaniu była dla niego wręcz obrzydliwa, nie zasiadł za wysokim stołem wołając służbę, przeszedł przez Wielką Sień i już miał przekroczyć próg, gdy został zatrzymany przez kowala.

–Panie... proszę, panie... – Kowal zmierzwił ręką resztkę siwiejących włosów i skłonił się nieznacznie.

Jim stanął, nagle przypominając sobie o bolącej głowie i nudnościach. Ranga obligowała jednak do czegoś. Innymi słowy, zawsze należało cierpliwie wysłuchać służbę, jeśli było to tylko możliwe.

–Słucham cię – powiedział.

–Panie, gdybyś był tak dobry... -Kowal obdarzył go przymilnym, szerokim uśmiechem. – Wydaje mi się, że mógłbym się na coś przydać – chciałbym sprawdzić i naprawić drobne uszkodzenia zbroi szlacheckiego Sir Johna. Nie śmiem jednak prosić go o to sam...

–Wspomnę mu o tym – rzekł krótko Jim i wyszedł na dziedziniec.

Gdy tylko znalazł się na dworze, światło słoneczne uderzyło go w oczy jak ostrza mieczy.

Zamrugał powiekami i zatrzymał się na kilka sekund, by wzrok przyzwyczaił się do jasności. Rozejrzał się po dziedzińcu i dostrzegł Sir Johna i Gilesa, oglądających jednego z koni wyprowadzonych ze stajni. Był to Gruchot Jima, uchodzący za konia bojowego.

Obok obu rycerzy stał kuchcik; trzymając w pogotowiu dzban niewątpliwie napełniony winem, skoro obaj mieli w rękach kubki, zaś kilka innych wisiało u pasa sługi.

Jim skierował się w stronę tej grupki, mimo że ból głowy potęgował się przy każdym kroku po twardym jak beton klepisku podwórca.

–A, Sir James – przywitał go Sir John, gdy podszedł wystarczająco blisko. – Stajenny właśnie wyprowadził tę twoją wspaniałą bestię, więc zatrzymaliśmy go, żeby ją obejrzeć.

Gdy Chandos to mówił, Jim dojrzał chłopca stajennego, zasłoniętego uprzednio przez rycerzy i rumaka, trzymają- cego koniec postronka obwiązanego wokół szyi Gruchota.

Pomimo otępienia spowodowanego nadużyciem alkoholu, zdawał sobie świetnie sprawę, że tacy rycerze jak Sir John i Sir Giles wiedzieli dobrze, iż Gruchot nie był "wspaniałą bestią".

–Co ty sobie wyobrażasz, chłopcze! – krzyknął Chan- dos na służącego z dzbanem. – Stoisz tu jak kołek i nie podajesz swemu panu kubka!

Sługa podskoczył pospiesznie, odczepił od pasa jedno z naczyń, napełnił je i podał Jimowi ze słowami

przeprasza.

Jim był zbyt otępiaty, aby go powstrzymać. W milczeniu przyjął kubek wypełniony po brzegi winem, na którego widok znowu zrobiło mu się niedobrze. Dostrzegł, że obaj towarzysze przyglądają mu się przenikliwie.

Nagle pomyślał, iż jest to jeden z testów, jakie uwielbiali przeprowadzać ludzie z klasy, do której i on należał.

Wiedzieli, w jakim stanie trafił do łóżka poprzedniej nocy. Musieli zdawać sobie sprawę, jak czuje się teraz i jak zareagował na myśl o kolejnym kubku wina. Nie był to przejaw wrogości, ale postępowano z nim według generalnego wzoru, obowiązującego na turniejach i przy innych niebezpiecznych, rycerskich zabawach – każdy chciał upewnić się, że otaczający go ludzie wciąż są tak samo ilś twardzi i silni, jak od nich oczekiwano. Cokolwiek miało by się stać, musiał wypić ten kubek wina.

Mógł oszukiwać, wylewając wino i udając, że je połyka, ale wstydziłby się takiego postępowania.

Odważył się nawet nie zamknąć oczu. Przyłożył kubek do ust i zaczął pić. Żołądek omal mu się nie przeniecił, ale po chwili, jak było to w przypadku piwa, wlewanie płynu w odwodniony organizm zaczęło poprawiać jego samopoczucie. Opróżnił naczynie do dna i wręczył je kuchcikowi, który natychmiast napełnił je ponownie.

Jim wiedział już, że zaliczył ten test. Wypił jeszcze kilka łyków stwierdzając, że teraz wino przechodzi mu przez gardło bez problemu, i uśmiechnął się do rycerzy, którzy odpowiedzieli mu w ten sam sposób.

–A jeśli chodzi o to zwierzę... – rzekł Sir John spoglądając na konia. – Czy jest szkolone?

Smoczy Rycerz nie wiedział co odpowiedzieć. Gruchota nikt nawet nie próbował szkolić. Ale zmysły Jima były teraz wyostrzone mieszanką niemal pół kwarty wina i piwa.

Cofnął się kilka kroków i powiedział do stajennego, trzymającego wierzchowca: – Womar! Puść go.

Chłopak rzucił postronek i Jim zagwizdał.

Gruchot rozejrzał się wkoło nieco zdziwiony. Zauważył swego pana i podszedł do niego leniwie. Pochylił łeb i szturchnął go w pierś, oczekując nagrody, którą zazwyczaj otrzymywał po przyjeździe na gwizd. W tej chwili Jim nie miał jednak nic takiego, co mógłby mu dać. Cukier nie był jeszcze znany. Wiosenne marchewki nie urosły jeszcze, a zeszłoroczne już dawno zjedzono.

Jim pogłaskał i poklepał konia, przemawiając do niego, starając się w ten sposób zrekompensować brak nagrody.

Następnie odsunął się i wydał kolejny rozkaz.

–W górę, Gruchot! – krzyknął. – W górę, mały!

Koń zademonstrował sztuczkę, która polegała na tym, że wspiął się na tylne nogi i zamachał w powietrzu przednimi popytami. Nieźle naśladował konia bojowego, wspomagającego w walce swego pana. Po chwili wierzchowiec opadł na cztery nogi.

–Bardzo dobrze, Gruchot. Dobry konik – pochwalił go Jim, głaszcząc po szyi i oddał postronek Womarowi.

–Doprawdy... – zaczął Sir John z aprobatą, gdy nagle w świeżym, porannym powietrzu rozległo się wycie wilka. Gruchot szarpnął się tak silnie, że omal nie wyrwał linki z rąk Womarowi.

–To już drugi raz tego ranka, panie – powiedział z drżeniem w głosie poblady stajenny. – To zły znak, gdy wilk wyje w środku dnia. Jego porą jest noc. Jakieś zło się zbliża!

–Nie martwiłbym się tym, Womarze – rzekł Jim. – Znam tego wilka i wiem, dlaczego wyje. Osiedlaj szybko konie dla tych dwóch dżentelmenów i dla mnie, ale nie Gruchota...

–Gruchota? – powtórzył Sir John.

Jim po raz pierwszy usłyszał w głosie tego wytrawnego polityka nutkę zdziwienia.

–Tak właśnie go nazywam. Ruszaj, Womar, i zrób to, co kazałem.

Stajenny odszedł pośpiesznie, ciągnąc za sobą Gruchota, który wyglądał na uszczęśliwionego tym, że może wrócić do stajni.

Piętnaście minut później jechali przez las w kierunku polanki, na której stał pniak z czerwoną opaską u góry.

Jim zsiadł z konia, a obaj towarzysze poszli w jego ślady.

Na twarzy Sir Gilesa malowało się zdziwienie.

–Dlaczego tu stajemy, Sir Jamesie? – zapytał Sir John. – Wygląda na to, że w okolicy nie ma żadnego wilka.

–A jednak jest – rozległ się ochryply głos za ich plecami. – Odwróćcie się, a zobaczycie.

Aragh stał nie dalej niż dwanaście kroków od nich. Był to wilk o ciemnej sierści, niemal tak duży jak kucyk. Swym bezszelestnym pojawieniem się znikąd uczynił nie lada wrażenie.

–Skąd... – zaczął Sir John i urwał, najwidoczniej nie chcąc zdradzić swego zdziwienia.

Jim poczuł się winny. Znając zamiłowanie Aragha do obserwowania innych, zanim oni zdołają go zauważyć, rozmyślnie nadjechał z wiatrem, aby dać wilkowi czas na okrążenie ich i zajęcie od tyłu.

–Araghu – rzekł Jim – znasz Sir Gilesa. Ten drugi dżentelmen to Sir John Chandos.

–Doprawdy? – zadrwił Aragh. – A cóż to mnie obchodzi?

Rozdział 8 Szlachetny wilk – rzekł Sir John już swym zwykłym tonem, pełnym dworskiej ogłady – oczywiście nie spotkałeś mnie do tej pory, ale to właśnie ja rok temu poprosiłem Sir Gilesa i Sir Jamesa o udanie się do Francji, celem ratowania naszego następcy tronu. Przyłączyłeś się do tej wyprawy i odegrałeś w niej niepoślednią

rolę.

–Zachowaj te gładkie słowa dla siebie, szlachetny rycerzu – warknął Aragh. – Nigdy w życiu nie dokonałem niczego zaszczytnego i nie dokonam. Jeśli cokolwiek robię, to tylko z dwóch powodów: bo jest to konieczne, lub mam chęć to zrobić. Wszystko inne jest nonsensem.

–Czy mogę zatem zapytać, szlachetny wilku, co skłoniło cię do zeszłorocznej wyprawy do Francji?

–Bo chciałem tego! – Aragh kłapnął paszczą przy ostatnim słowie.

–Czy mogę więc zapytać – ciągnął Chanos – czy nie zechciałbyś ponownie towarzyszyć tym dwóm dżentelmenom w następnej podróży do tego kraju...

–Nie – uciał wilk.

–Rozumiem – rzekł spokojnie Sir John. – Gdybyś jednak wysłuchał tego, co mam do powiedzenia, może zmieniłbyś zdanie.

–Wątpię.

–Widzisz – rycerz nie poddawał się – król Francji zamierza najechać Anglię. Mamy podstawy sądzić, że uda mu się przeprowadzić armię przez Kanał i wylądować na naszym wybrzeżu. Jeżeli mu się to powiedzie, dotrze i tu, niszcząc wszystko na swej drodze. Miej to na uwadze, ponieważ chodzi także i o twoje terytorium, choć nie znam jego granic.

–To ten las, następny i jeszcze dalej – wyjaśnił wilk – a także obszar na zachód od bagien, wraz z wybrzeżem. Sięga do Twierdzy Loathly, o której słyszałeś.

Wszystko, co tam było, pozostało na swoim miejscu. Ale gdy nikt nie narusza mojego spokoju, i ja tak czynię.

Piaszczomrokom wydaje się, że to one rządzą tym terytorium, ale gdy idę, usuwają mi się z drogi. Jest więc moje.

–Ale mógłbyś opuścić je na pewien czas – podsunął Chandos.

–Mógłbym, ale nie opuszczę. Wszystko to jest moje, bo nikt nie może mi tego odebrać. Od wschodu, północy, a nawet od południa moi pobratymcy obserwują mnie i czekają, aż stanę się stary i ociężały, a przede wszystkim wolniejszy niż teraz. Nadejdzie czas, gdy jeden po drugim zaczną stawać ze mną do walki. W końcu któryś z nich zabije mnie i całe to terytorium stanie się jego własnością.

Takie jest prawo natury. Jeśli jednak pozostawię je, po powrocie może okazać się, że jakiś wilk już je zajął, może nawet cała sfora. Byłby to dla mnie poważny kłopot, a nie widzę powodu, dla którego miałbym stwarzać sobie problemy za twoją przyczyną, szlachetny rycerzu.

–A co z armią francuską? – Sir John spróbował z innej strony. – Możesz walczyć z każdym wilkiem lub człowiekiem, lecz z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie zdołasz pokonać całej armii. Francuzi zabijają cię.

Aragh otworzył paszczę w bezgłośnym śmiechu i zamknął ją z głośnym kłapięciem.

–Musieliby najpierw mnie znaleźć, szlachetny rycerzu – powiedział. – A powiadam ci, że tysiąc takich jak ty mogłoby przeczesywać te lasy, a i tak nie zauważyłoby mnie nawet z daleka. Nie uda się to nawet kilku tysiącom, jestem wilkiem, szlachetny rycerzu, a wilki nie są łatwe do wytopienia, jeżeli tego nie chcą. Ja jednak będę mógł ich ścigać, jednego po drugim, a ci których dopadnę – zginą.

–Jestem dzikiem czy niedźwiedziem, żeby można było mnie poszczuć, zapędzić gdzieś i zmusić do nierównej walki.

–Jestem pewien – ciągnął rycerz wciąż tym samym cichym głosem – że Sir Gilesowi oraz Sir Jamesowi ogromnie będzie brakowało twojej pomocy. Na pewno zasmucisz nas wszystkich odmową przyłączenia się do nas.

–Cóż to dla mnie za różnica, czy jesteście smutni, czy weseli? – warknął Aragh. – Nie jestem jednym z twych oswojonych kundli, żeby skomleć i lizać twą dłoń, gdy jesteś nieszczęśliwy.

Zwrócił się w stronę Jima.

–Czy po to mnie wezwałeś? Mogłeś się spodziewać, jaką dam odpowiedź.

–Miałem jeszcze inny powód. Chciałem ci także powiedzieć, że Carolinus jest teraz bezpieczny w moim zamku i, mamy nadzieję, wkrótce wydobrzeje.

–To interesujące, choć niezbyt ważne – stwierdził wilk. – Wszystkie istoty umierają. Ale muszę przyznać, że tak jak wszyscy, którzy chodzą na czterech łapach, lubię Maga. Dobrze mu życzę, a przy tobie i Angeli i ma większe szansę.

–Dziękuję – rzekł Jim nie zdradzając, jak bardzo jest poruszony tym co usłyszał.

Aragh pogardzał okazywaniem uczuć.

–Zostaw więc swój znak na pniaku – zaproponował wilk. – Będę miał na niego oko, bo pozostanę w tej okolicy. Jeśli zobaczę, że zniknął, będę wiedział, że Mag czuje się już dobrze. Jeśli byłbym potrzebny Carolinusowi, umieść w ten sam sposób drugi kawałek materiału.

–Zrobię tak.

–Żegnaj więc – rzucił Aragh i już go nie było.

–Zadziwiająco – stwierdził Sir John patrząc w miejsce, gdzie jeszcze przed momentem stał wilk. – To zwierzę znika jak mag.

–Taki ma zwyczaj – zauważył Jim. – Chyba wszystkim wilki umieją to robić.

Chandos westchnął.

–Cóż, panowie, wygląda na to, że możemy wracać do zamku.

Popatrzył na Jima.

–A może Aragh wróci?

–Nie. Bez ważnego powodu na pewno nie – rozwiął jego nadzieje Smoczy Rycerz.

Dosiedli koni i w ponurych nastrojach ruszyli z powrotem do zamku. Ledwie zdążyli zeskoczyć z nich na dziedzińcu, gdy do Jima podbiegł służący.

–Panie! Panie! Lady Angela wzywa cię do komnaty, w której leży Mag Carolinus, i prosi o pośpiech!

–Ruszaj przodem – polecił mu Jim. – Zaraz tam będę.

–Czy mamy pójść z tobą, Jamesie? – zapytał Giles.

–Nie sądzę. Jeśli moja żona wzywałaby kogoś jeszcze, wymieniałaby go po imieniu. Bądźcie łaskawi oczekiwać na mnie przy wysokim stole w Wielkiej Sieni. Jeśli okaże się, że będę zajęty czas dłuższy, przyślę kogoś z wiadomością.

Jim odwrócił się i ruszył w stronę Wielkiej Sieni tak szybko, jak tylko pozwalała mu jego ranga. Jako pan zamku nie mógł biegać niczym zwykły sługa. Tylko wspinając się po schodach wieży, gdy nikt go nie widział, pozwolił sobie na bieg. Widocznie stan Carolinusa nagle bardzo się pogorszył. Chciał więc zdążyć przed jego śmiercią.

Kiedy wpadł jednak do pokoju Carolinusa, na chwiejnych nogach, bez tchu po wspinaczce po długich, kręconych kamiennych schodach prowadzących na wieżę, nie zastał tam niczego niepokojącego.

Wprost przeciwnie. Angie siedziała na krześle w pewnej odległości od łóżka z rękoma założonymi na piersiach.

W komnacie nie było służących. Drugie puste krzesło stało przy samym łożu, na którym leżał Carolinus, wsparty na poduszkach, popijając herbatę z filiżanki ze spodeczkiem.

Naczynia te, wykonane z pięknej porcelany, były czymś niezwykle w czternastowiecznej Anglii, podobnie zresztą, jak zwracałyby uwagę w jego dawnym świecie. Najwidoczniej Carolinus nie tylko czuł się lepiej, ale także był w stanie znów posługiwać się magią.

Nawet jego wąsy sterczały jak zwykle, a twarz przybrała zgryźliwy wyraz.

–No, jesteś – rzekł do Jima. – Najwyższy czas!

Usiądź tu, przy łóżku.

Jim zajął wolne krzesło.

–Cieszę się, widząc cię znowu w tak dobrej kondycji, Carolinusie – stwierdził. – Chyba nie powiedziałaś mi wszystkiego, gdy pouczałaś, że magia może pomóc w przypadku ran, ale nie choroby.

–A czyż moje odleżyny nie były ranami? A rozchorowałem się przez te dwie wiedźmy, które karmiły mnie środkami przeczyszczającymi i czymś jeszcze o podobnym działaniu.

–Czekałem, aż poczujesz się na tyle dobrze, abym mógł opowiedzieć ci o czymś raczej dziwnym, co wydarzyło mi się tuż przed powrotem do domu...

–Mniejsza o to! – przerwał mu Mag. Zachowywał się despotycznie jak zwykle, ale jednak coś się w nim zmieniło – Są ważniejsze sprawy, które chcę z tobą omówić.

Słuchasz mnie?

Smoczy Rycerz rzucił Angie błagalne spojrzenie, ale patrzyła na niego nie ruszając się z miejsca. Najwyraźniej jej nastrój nie uległ zmianie od poprzedniego wieczora. Jim odwrócił się do Carolinusa.

–Słucham – rzekł.

–Bardzo dobrze – stwierdził Mag i wypił łyk herbaty.

–Za zimna! – rzucił w kierunku imbryka, marszcząc brwi.

Imbryk wydał krótki, przepaszający gwizd.

–Przebaczam ci – stwierdził Carolinus – bo tym razem podgrzałem ją sam, upewniając się, czy dość jest mleka i cukru. Pamiętaj jednak o temperaturze. A teraz, Jim...

Smoczy Rycerz z uwagą przyglądał się staremu Magowi.

–Obawiam się, że wprowadziłem cię w błąd – zaczął Carolinus. – Wówczas, gdy po raz pierwszy z tobą rozmawiałem, nie miałaś zbyt wielkiego pojęcia o magii, choć muszę stwierdzić, że nawet teraz niewiele o niej wiesz.

Powiedziałem ci, że nie istnieją czarnoksiężnicy, że są tylko magowie, którzy zeszli na złą drogę. Spotkałeś później takiego maga klasy AAA z Francji – Mallvine'a – i pamiętasz jego koniec.

Oczywiście, że pamiętała. Aż się wzdrygnął na wspomnienie tego. Przypomniał sobie bezwolnego Malwinne'a, wlezonego jak szmaciana lalka na sznurku ku mrocznym postaciom Króla i Królowej Śmierci.

–Teraz nie mam wyboru – stwierdził Mag. – Musisz zostać oświecony. Jimie, czarnoksiężnicy istnieją.

–Och!

–Och! – prychnął Carolinus. – Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? Tłumaczę ci fakt, od którego mogą zależeć losy świata, a ty mówisz tylko "och"?

–Brak... brak mi słów – wyjaśnił Jim.

–No dobrze – ciągnął Carolinus. – W każdym razie czarnoksiężnicy istnieją. W pewnym stopniu przypominają magów, ale nie są nimi. Wydział Kontroli nie sprawuje nad nimi pieczy. Działają w pojedynkę, a zaczynają schodzić na złą drogę, sprzedając się Ciemnym Mocom w zamian za naukę magii. Uczą się tylko pewnego jej rodzaju. To magia, która może zostać użyta tylko w złych celach.

Jim poczuł zimny pot spływający po plecach. Słowa Carolinusa wywarły na nim ogromne wrażenie. Z pewnością sam Mag bardzo przejmował się czarnoksiężnikami. Ale dlaczego mówi o tym jemu, zwyktemu magowi klasy C?

–Ten rodzaj magii, którego uczą się czarnoksiężnicy, nazywany jest kontrmagią, aby odróżnić ją od tej, którą my się posługujemy – wyjaśnił starzec. – Nasza magia jest stworzona do dobrych celów. Nie może zostać wykorzystana do czynienia zła lub osiągnięcia zysku. Wiesz, że nie wolno ci sprzedawać swych magicznych usług, jeśli nie masz co najmniej klasy A?

–Nie – zdziwił się Jim. – Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

–Dziwne – stwierdził Carolinus, marszcząc brwi. – Doskonale pamiętam, że to robiłem. W każdym razie teraz ci to mówię. Oficjalnie, aż do uzyskania klasy A, wciąż pozostajesz uczniem. Wykwalifikowany mag klasy A lub wyższej może swymi usługami zarabiać na życie. Jego magia musi jednak służyć dobrej sprawie, nie tak jak w przypadku Malwinne'a.

Jim skrzywił się na wspomnienie pewnej sceny, której był niegdyś świadkiem. Gdy po raz pierwszy ujrzał Carolinusa, znajdował się w ciele smoka, a jego smoczy stryjeczny dziad, Smgrol, musiał długo targować się o wysokość honorarium dla Carolinusa, obniżając je w końcu z czterech funtów złota na cztery funty tego kruszcu, funt srebra i duży szmaragd, na szczęście ze skazą.

–A co ty robisz z tym złotem i kosztownościami, które dostajesz jako zapłatę? – zapytał Jim w przypływie naglej ciekawości, ponieważ Carolinus żył skromnie w swej chatce i chyba nie miał dużych wydatków.

–Nie twoja sprawa! – warknął Mag. – Jest wiele rzeczy dotyczących stosowania magii, których nie rozumiesz. Gdy będziesz miał klasę A, przyjdź, to znowu porozmawiamy o tym.

–W porządku – zgodził się Jim.

–Aha! Na czym to ja skończyłem? A, tak, na czarno-księżnikach. Tak jak mówiłem, czarnoksiężnicy istnieją.

Kiedy król Francji utracił Malwinne'a – swego nadwornego maga i ministra, zaczął gwałtownie poszukiwać jego następcy. I znalazł. Ale nie maga, lecz właśnie czarnoksiężnika o imieniu Ecotti. Ecotti, głęboko zniechęcony i wzburzony strachem w rodzinnych Włoszech, był zachwycony przeprowadzką na francuski dwór królewski i przejęciem spraw Malwinne'a. Oczywiście posługuje się on kontrmagią.

Sztuką niszczenia. Z ochotą zaangażował się więc w plany króla dotyczące inwazji na Anglię...

–Och, wiesz o tym? – zdziwił się Jim.

–Oczywiście! Ale przestań mi przerywać. Chodzi o to, że Ecotti zdał sobie sprawę z tego, co nie przyszło do głowy królowi Jeanowi – że podczas każdej napaści na Anglię jej obrońcy mogą liczyć na moją pomoc. Jak wiesz, prócz mnie jest jeszcze dwóch takich na świecie. Sam Ecotti nigdy nie miałby szans mi dorównać.

Carolinus ponuro zmarszczył brwi.

–Tak więc ktoś inny stoi za tym, co mi się przydarzyło, a ty też jesteś w to zamieszany, Jimie.

Rozdział 9 o masz na myśli? – zapytał Jim.

Carolinus zignorował pytanie.

–Ktokolwiek to jest, jest niezwykle sprytny, nie mam co do tego wątpliwości – stwierdził ponuro. – Żeby mnie zaatakować! I to nie przy użyciu kontrmagii, chyba że w znikomym tylko stopniu. Najwyżej przez wprowadzenie nieprzyjemnej, ale zupełnie niegroźnej choroby do imbryka, który widzisz przede mną.

Imbryk wydał cichy gwizd, wyrażający smutek.

–Nie winie cię – rzucił w jego stronę Mag. – Jesteś tylko nieożywionym przedmiotem, choć od czasu do czasu wydajesz się o tym zapominać. Nie możesz się bronić, a nawet być świadomym tego, co się z tobą robi.

Chrząknął i mówił dalej, już do Jima: – W każdym razie, jak wiesz, ktoś sprawił, że się rozchorowałem. Bez udziału magii wieść o mojej chorobie została natychmiast przekazana tej zgrai włóczęgów i dwóm oprawczyniom, które sam widziałeś. Efekt tego także miałeś okazję poznać. Owe kobiety były na dobrej drodze, aby doprowadzić mnie do stanu, który w moim wieku okazałby się zabójczy. Gdyby to się udało, zginąłbym, a wam i całej Anglii pozostawiłbym niezły bałagan.

Popatrzył na Jima tak, jakby to on ponosił za wszystko winę.

–Na szczęście przechrzyłem tego szczura – stwierdził. – Przeprowadziłem stosowne badania i znalazłem ślad magii w moim imbryku. Tak więc metodami, których na razie jeszcze nie znasz, byłem w stanie nie tylko oczyścić imbryk, ale i wytropić zło.

Urwał, aby napić się łyk herbaty.

–Nie było to łatwe. Przekonaasz się sam, że użycie magii w pełnej skali – naszego rodzaju magii – wymaga siły, a mnie akurat wtedy jej brakowało. Mogłem sobie pozwolić jedynie na oczyszczenie imbryka i wysłanie go do ciebie. Nie wiedziałem, że będziesz tracić czas na zbieranie kwiatków, i dlatego imbryk, dotarłszy do twego zamku, nie

zastał cię. Będąc tylko nieożywionym przedmiotem, o czym wciąż mu przypominam...

Rzucił imbrykowi surowe spojrzenie, które ten zniósł tym razem w milczeniu.

–...nie miał innej możliwości, jak tylko poczekać z przekazaniem wiadomości do czasu, aż dotrzesz na miejsce.

Na szczęście otrzymałeś ją, przybyłeś po mnie i wydostałeś z opresji. To był wyjątkowy przypadek, niezwykle rzadko potrzebuję pomocy ludzi takich jak wy. Naprawdę bardzo was lubię, ale nie zmienia to faktu, że znajdujecie się w sytuacji karła pomagającego gigantowi.

–Jeśli mowa o gigantach – wtrącił Jim, korzystając z chwili przerwy – to jest rzecz o której chciałbym z tobą pomówić. Kiedy zbierałem kwiaty dla Angie, zdarzyło się coś bardzo dziwnego...

–Jeśli nie masz nic przeciwko temu – przerwał ostro Mag – wróć do meritum sprawy. Chodzi o to, że miałem umrzeć, aby francuska inwazja nie napotkała silnego magicznego oporu. Wierście mi, tym razem powiodłoby się im nawet bez pomocy Szkotów, których król Francji i tak zamierza podbić po opanowaniu Anglii.

–Ach! – wykrzyknął Jim.

–Kaźde dziecko dojdzie do takich wniosków. Ale wróćmy do ważniejszych spraw. Problem w tym, że przeżyłem, ale wciąż mam związane ręce.

Carolinus popatrzył na Jima z wyrazem zaciętości na twarzy.

–Trudność polega na tym, że prawdziwa magia, której my używamy, z założenia nie jest przeznaczona do walki.

Mogę posłużyć się nią do obrony, na przykład do zabezpieczenia mojej chatki i obejścia. Nie mogę jednak wykorzystać jej do ataku bez oczywistego, jasnego powodu. Jeśli więc nie jestem w stanie zaatakować pierwszy, niechybnie sam zostanę zaatakowany.

–Nie rozumiem – powiedział Jim.

–A ja tak – wtrąciła się Angie. – Chodzi o to, że nie wolno mu uderzyć na wroga bez niepodważalnego dowodu, że sam ma zostać zaatakowany. Ale Carolinusie, przecież usiłowano cię zabić! Czy to nie wystarczy, aby umożliwić ci jakąś kontrakcję?

–Nie, ponieważ przeżyłem. Chyba że będą dowody, że ten ktoś jeszcze raz spróbuje mnie zabić.

–Czyż nie zginiesz, jeśli Francuzi dokonają napaści? – zdziwiła się Angie.

–Bez względu na to, jak wielka będzie ich armia, bez magicznej pomocy nie wydadzą mnie z powodu magicznych zabezpieczeń. Wy nie będziecie mieli tyle szczęścia.

–A więc co robić? – zapytał Jim.

–Muszę dowiedzieć się, kto stoi za Ecottim i spiskuje przeciw mnie. Kontrmagia mogła zainfekować mój imbryk, ale nie bez pomocy prawdziwej magii, która zapobiegła natychmiastowemu wykryciu tego czynu. To wskazuje na działanie z ukrycia prawdziwego maga, pomagającego Ecottiemu. Jednakże Wydział Kontroli zapewnia, że żaden z magów nie jest w to zamieszany.

–Rozumiem – powiedział Jim.

–Mam taką nadzieję – rzekł Carolinus. – Ktokolwiek stoi za tym, inspiruje także inwazję. To wszystko znajduje się jednak poza zasięgiem twego poziomu magii, Jimie.

Ecotti sam nic nie znaczy. Znalazł jakiegoś partnera lub partnerów, którzy mu pomagają. Przy forsowaniu Kanału wiele statków zatoniło, a jeszcze więcej zostanie zniesionych z kursu, co spowoduje, że francuskie siły wyładują rozproszone i zdezorientowane. Działo się tak w przeszłości i tak samo będzie w przyszłości, jest to więc czynnik odstraszający najeźdźców.

Rzucił spojrzenie Jimowi.

–Wiesz przecież o próbach czynionych w czasach późniejszych niż nasze, w świecie, z którego pochodzisz.

–To prawda – przyznał Smoczy Rycerz. – Naziści zamierzali dokonać desantu przez Kanał podczas drugiej wojny światowej, ale nie doszedł on do skutku.

–Król Jean nie byłby tak pewien sukcesu, gdyby nie liczył na pomoc. A wsparcie może pochodzić tylko z samego morza – powiedział Carolinus. – Odkryłem, że Jean zawarł, poprzez Ecottiego, straszne przymierze z plemieniem węży morskich. Jeden z nich, mianując się przywódcą, zdołał zebrać resztę, aby działały wspólnie. Zazwyczaj, gdy dorosną, mają ze sobą niewiele wspólnego. Czy wiesz coś na temat węży morskich, Jimie?

–Tylko tyle, ile powiedział mi smok Smgrol tuż przed walką przy Twierdzy Loathly, że przodek Gorbasha stanął do walki z wężem morskim i zwyciężył. Widocznie stanowiło to zupełnie wyjątkowy sukces.

Carolinus prychnął.

–Rzeczywiście! – przyznał. – Jako smok jesteś duży, Jimie, ale wąż morski jest co najmniej dwukrotnie cięższy i tyleż dłuższy. Jest zdecydowanie silniejszy od ciebie. Węże zawsze były przekonane, że żaden smok nie może się z nimi równać. Prawdę mówiąc, walkę, o której wspominasz, pamiętam bardzo dobrze. Od tamtej pory stanowi ona plamę na honorze wszystkich węży. Możliwe, że właśnie dlatego tak szybko zgodziły się wspomóc inwazję. Ziemia nie ma dla nich znaczenia, ale chcą zniszczyć żyjące na niej smoki. Chcą zemsty, ale należy też wspomnieć o tym, że, podobnie jak smoki, gromadzą skarby. Mają nadzieję na zdobycie smoczycich kosztowności. Dlatego też, kiedy znajdą się w Anglii, będą starały się zabić wszystkie smoki.

Wypił do dna filiżankę i spojrzał na imbryk.

–Napełnij! – polecił.

Imbryk natychmiast przyleciał i nalał do filiżanki coś, co przypominało zwykłą wodę. Gdy jednak znalazło się w naczyniu, przybrało barwę mocnej herbaty. Carolinus przeniósł wzrok na filiżankę.

–Mleko i cukier – rzekł.

Płyn od razu zmienił odcień.

–Tym razem właściwa temperatura – zauważył Carolinus.

–Ecotti? – zdziwił się Jim, marszcząc brwi. – To śmieszne imię.

–Wcale nie śmieszne! – oburzył się Carolinus. – To popularne imię wśród górali włoskich, skąd właśnie pochodzi. Tamtejsi ludzie są dumni z powodu czarnoksiężników i czarownic, którzy rodzą się na ich ziemiach już od wieków. Ecotti nie może równać się ze mną, o czym już mówiłem, ale jako czarnoksiężnik jest potężny, bardzo potężny. Uplasowałbym go wśród najlepszych czarnoksiężników – znacznie powyżej twojego poziomu, Jimie. Pamiętaj o tym. Co więcej, chcę, abyś wiedział, że jeśli chodzi o węże morskie, to inwazja już się zaczęła. Niewykluczone, że znajdują się teraz gdzieś w Anglii.

–W Anglii! – powtórzył Smoczy Rycerz poruszony. – A więc mielibyśmy odpowiedź na to, co stało się z biednym Amythem. I z krowami Huberta!

–Amyth? Hubert? Co się z nimi stało? – zapytała Angie gwałtownie.

–To wąż mógł pożreć krowy Sir Huberta i zaatakować Amytha. Pewnie połknął go od razu całego. To ta sprawa, którą chciałem z tobą omówić, Carolinusie...

–Powiadasz, że wąż morski pożarł Amytha? – przerwał Mag. – Tutaj?

–Tak mi się wydaje. Pomyśl sam – rzekł Jim. – Ka- załem mu nieść pochodnie ostatniej nocy, kiedy umieszczałem znak dla Aragha. W lesie było ciemno, choć oko wykol. Ale on obawiał się przebywania zbyt blisko magii, więc odszedł na pewną odległość. Ja w tym czasie umieściłem zabezpieczenie wokół pniaka i kawałka materiału, aby nikt, ani zwierzę, ani człowiek, nie mógł podejść i zerwać go. Mogliśmy to zrobić tylko ja, Angie i Aragh.

Byłem odwrócony plecami do Amytha. Usłyszałem tylko krzyk...

Urwał na moment.

–Kiedy podszedłem zobaczyć, co się stało – ciągnął dalej – znalazłem tylko jego miecz. Nic więcej. Ukryłem więc broń.

–Jim! – rzekła wstrząśnięta Angie. – Och, biedny Amyth.

–Wiesz, że nie był szczególnie sympatycznym człowiekiem – powiedział do niej Jim. – Nie tak jak inni nasi zbrojni.

–Czyż ma to teraz jakieś znaczenie, jeśli zginął w tak straszny sposób?

–Postąpiłeś bardzo nierozsądnie, Jimie – stwierdził Carolinus. – Zajrzałeś w paszczę węża morskiego. A jeśli on wciąż by tam był?

–Przecież nie wiedziałem, że węże morskie znajdują się w pobliżu – odrzekł Jim ze złością. – Największymi stworzeniami w okolicy są smoki. Nie wyobrażam sobie smoka podkradającego się i zjadającego Amytha. Po pierwsze, nie jest w stanie połknąć, a nawet unieść dorosłego mężczyzny lub kobiety i odlecieć. Poza tym smoki nie lubią latać w nocy. Ja jestem wyjątkiem. Nie miałem pojęcia, co to wszystko znaczy, i właśnie chciałem cię o to zapytać.

Pozostaje wciąż sprawa tego giganta...

–Przestaniesz wreszcie bredzić o gigantach! – warknął Carolinus. – Rozmawiamy tutaj o poważnych sprawach.

–Nie przestanę! – ryknął nagle Jim.

Mag, co zauważył z zadowoleniem, zamilkł przerażony.

Podobnie zresztą jak Angie. Jim nigdy do tej pory nie krzychał na Carolinusa. Szczerze mówiąc, rzadko krzychał na kogokolwiek. Wykorzystując panującą ciszę, mówił dalej: – Ten olbrzym kazał nazywać się Diabłem Morskim i z tego, co mówiłeś o węzach morskich, wynika, że może być związany z tą sprawą. Ale ty nie pozwoliłeś mi dojść do słowa. Wyłonił się z jeziora, obok którego zbierałem kwiaty. Co najmniej dwukrotnie większy od smoka, może nawet trzykrotnie. Zbudowany jak klin zwrócony ostrym końcem w dół. Miał ogromną głowę, niewiarygodne barki, a jego ciało zwężało się do stóp, które były zaledwie trzy lub cztery razy większe od moich.

–Diabeł Morski. Hmm – powiedział Carolinus w zamyśleniu. – Czy podał swoje imię.

–Rrrnlf – przypomniał sobie Jim, starając się wymówić z wibracją pierwszą głoskę jego imienia. Nie bardzo mu się to udało. Spróbował ponownie, starając się naśladować Szkotów, i uzyskał coś bardziej zbliżonego do tego, co usłyszał od giganta. – Nie wyglądał na złą istotę. Chciał tylko dowiedzieć się, gdzie znajduje się morze, a ja wskazałem mu kierunek. Polował na kogoś, kto ukradł mu jakąś Damę. Nie jestem pewien, o co mu chodziło.

–Ja również – powiedział Mag. – Diabły Morskie są oczywiście Naturalnymi. To najpotężniejsze stworzenia w oceanie i najinteligentniejsze, z jednym wyjątkiem.

Mówisz, że nie był wrogo nastawiony?

–Jestem tego pewien – potwierdził Jim. – Powiedział, że czuje się moim dłużnikiem za wskazanie mu morza i że teraz już znajdzie drogę przez wody podziemne tej wyspy.

Mam wezwać go, gdybym tylko kiedykolwiek potrzebował jego pomocy. Nie wiedziałem, że wody podziemne są

połączone.

–Te, które znamy, nie są – wyjaśnił Carolinus. – Ale Diabły Morskie dzięki swej sile i nadludzkim zdolnościom, jako Naturalni, mogą przemieszczać się poprzez ziemię, podobnie jak przez wodę, bez żadnych problemów. On zaś miał zapewne na myśli głębokie zbiorniki wody uwięzione w skałach, tysiące metrów pod powierzchnią gruntu.

Jim i Angie patrzyli zdumieni na Maga, który mówił o tym tak, jakby nie było w tym nic dziwnego.

–Tak, zrobiły sobie coś na kształt podziemnych, wypełnionych wodą tuneli między Morzem Śródziemnym a Czerwonym, które umożliwiają im dostęp do Oceanu Indyjskiego. Zastanawiam się tylko, o jakiej Damie mówił 1 kto był na tyle odważny, aby mu ją ukraść. Nawet węże morskie schodzą z drogi Diabłu Morskiemu. Co prawda walenie są większe od niego, ale one nigdy nie szukają kłopotów. Wydaje mi się, że one, wieloryby-zabójcy i Diabły Morskie współżyją ze sobą zgodnie. Oczywiście Diabeł jest zbyt duży na jeden kęs dla wieloryba-zabójcy, którego dorosły samiec mierzy tylko dziewięć metrów długości i chociaż jest mięsożerny, ma mnóstwo delfinów, lwów morskich i innych stworzeń, na które może polować.

Z niechęcią powrócił do spraw bieżących.

–Jestem jednak zaintrygowany jego obecnością właśnie teraz – przyznał, po czym odstawił od siebie filiżankę i spodeczek, pozostawiając je zawieszony w powietrzu. – Zastanawiam się, czy istnieje jakiś związek między nim a węzami morskimi pomagającymi królowi Francji. Rzecz jednak w tym, że Diabły Morskie nie mają tu nic do roboty. W przeciwieństwie do węży, mogą one pozostawać na powietrzu, jak długo zechcą, ale z pewnością nie pragną walczyć przeciwko smokom lub ludziom.

Powstrzymał się od dalszych rozważań na ten temat.

–Wróćmy jednak do tego, o czym ci mówiłem. Geniusz stojący za Ecottim musi zostać ujawniony, a ja nie mogę tego zrobić. Jimie, to twoje zadanie. Niezbędny do tego będzie twój umysł człowieka z przyszłości.

Rozdział 10 Nie! – ryknęła Angie.

Nie do wiary, że kobieta mogła wydobyć z siebie taki głos.

Jim aż podskoczył i odwrócił się gwałtownie. Obawiał się jadowitego wzroku żony, skierowanego na siebie, ale z ulgą stwierdził, że patrzy ona na Carolinusa. Carolinus wyglądał na kompletnie zaskoczonego. Całkiem możliwe, że także podskoczył ze strachu.

–Słucham? – spytał wreszcie Carolinus głosem drżącym od strachu.

–Mówię, że on nie będzie odkrywał, kim jest ta osoba, o której opowiadałeś! – Nie wrzeszczała już, ale z całą pewnością była wściekła. – Zawsze tylko Jim! Jim!

Grozi inwazja Szkotów na Anglię? Wyślij Jima, żeby to naprawił!

–Ja nie... – zaczął Carolinus.

–I tak wiem, że na pewno maczałeś w tym palce.

Jestem tego pewna! – wysapała Angie. – Następca tronu Anglii zaginaj? Wyślij Jima! Wyślij Jima i jego przyjaciół do Francji, aby go uwolnili! Byłam osadzona w Twierdzy Loathly za sprawą Ciemnych Mocy? Niech Jim zorganizuje drużynę i odbije mnie!

–Ale – zaczął Carolinus, który odzyskał już pewność siebie – właśnie wyjaśniłem, dlaczego to nie mogę być ja. I tylko Jim może mnie zastąpić.

–Nie obchodzi mnie... – zaczęła Angie, ale tym razem to Mag jej przerwał.

–Wolałabyś, żeby żołnierze francuscy spalili ten zamek na twoich oczach? – zapytał. – Wyróżnili wszystkich mężczyzn, a kobiety zamęczyli w sposób nie dający się opisać?

Zaległa cisza. Jim ponownie spojrzął na żonę. Uspokoila się, ale ogień w niej jeszcze nie wygasł. Znajdowali się w czternastym wieku już wystarczająco długo, aby zdawać sobie sprawę, co miał na myśli Carolinus, mówiąc o męcze- niu kobiet w sposób niemożliwy do opisanie, podobnie zresztą jak i mężczyzn. Nie ograniczano się do nadziewania na pal.

Patrzyła przez chwilę na Jima, który nagle zorientował się, że cała złość zniknęła z jej spojrzenia. Wielki mur milczenia runął i znowu znajdowali się po tej samej stronie.

–Musi być jakiś sposób, żeby zostawić Jima w spokoju – rzekła Angie. – Przecież znasz całą magię i wiedzę tajemną. Wyrosłeś w tym świecie. Żyjesz tu od nie wiem ilu już lat. To ty powinieneś znaleźć od- powiedź.

Mag przecząco pokręcił głową, ale w tej chwili Jim wpadł na pewien pomysł.

–Mówiąc szczerze, Carolinusie, i tak nie byłbym w stanie uczynić teraz niczego dla ciebie. Są tutaj Sir John Chandos i Sir Giles. To oni, choć prawdopodobnie nie widziałeś tego, pomogli nam uciec przed zgrają włóczęgów.

Chandos chce, abym wraz z Gilesem popłynął do Francji i ustalił, skąd bierze się pewność jej króla, że wyprawę na Anglię zakończy sukcesem. Najwyraźniej buduje statki i zbiera ludzi, jakby była to już pewna sprawa, choć wszyscy wiedzą, iż sama przeprawa przez Kanał stanowi poważne niebezpieczeństwo.

–Wiedziałem o tym – powiedział Carolinus nagle tak łagodnie, że Jim zaczął mieć się na boczności. – To część tej samej sprawy.

–Nie rozumiem – stwierdził Smoczy Rycerz.

–Ja również – poparła go Angie.

–To całkiem proste. Sir John potrzebuje tej samej informacji co ja. Ale on chce dotrzeć do szkatułki, podczas gdy mnie wystarczy tylko klucz. Najpierw musisz zająć się zdobyciem klucza, Jimie. Powtarzam, że sam tego zrobić nie mogę. Jestem już za stary. Brak sił i inne przyczyny nie pozwalają mi dokonać tego, na co stać ciebie. Nie tylko pochodzisz z innego miejsca, z innej epoki, ale także jesteś wciąż, o czym już ci powiedziałem, moim uczniem.

Zrobienie pewnych rzeczy może zostać ci wybaczone.

Mnie nie.

–Wciąż cię nie rozumiem – powiedział Jim. – Co konkretnie chcesz, żebym zrobił?

–Chcę wiedzieć, kto skontaktował Ecottiego z węzami morskimi i skłonił je do pomocy w przeprowie. Sam czarnoksiężnik nigdy by tego nie uczynił. Zauważcie, że trzy takie węże mogą wyciągnąć z opresji każdy statek króla Jeana, a istot tych jest w oceanach więcej niż wszystkich smoków na świecie.

–Jak te węże morskie dostaną się tu? – zapytała Angie.

–Węże wychodzą z morza – odburknął Carolinus.

Najwyraźniej odzyskał już zwykłą pewność siebie.

Jim wymienił spojrzenie z żoną. Porozumieli się bez słów.

–W porządku – stwierdził Jim. – Jak mam odszukać tego kogoś?

–Udasz się na dno morza – poinformował go Mag.

Angie i Jim wytrzeszczyli oczy.

–Na dno morza? – powtórzyła Angie.

–Tak – rzekł Carolinus. – Istnieje tylko jedna istota, której zawsze słuchały wszystkie morskie stworzenia, włącz- nie z węzami morskimi. To najstarszy kraken – ty nazwałbyś go kałamarnicą. Najstarszy i największy w całym oceanie. Nie mam pojęcia, jak brzmi jego imię, ale twój znajomy, Diabeł Morski, i węże morskie nazywają go Granfer.

–Granfer... – powtórzył Jim w zamyśleniu.

Imię było mu znane. Czy to nie Rrrnlf wspominał coś o Granferze?

–Znajdziesz go na dnie morza, dość daleko od wybrzeży, w niezbyt głębokiej wodzie, ponieważ jest tak duży, że musi bez przerwy jeść, aby utrzymać się przy życiu. Używając dziesięciu macek, z których niektóre mają sześćdziesiąt lub dziewięćdziesiąt metrów długości, jest w stanie pochwytać wszystko, co się do niego zbliży.

Stworzenie to ma tak ogromne rozmiary, że wieloryb- -zabójca stanowiłby dla Granfera zaledwie skromny posiłek.

Carolinus urwał i na moment zamyślił się.

–Nawet schwywanie największego walenia nie stanowi dlań żadnej trudności. Sądzę jednak, że jego dieta składa się głównie z mnóstwa ryb. Ty stanowiłbyś dla Granfera zaledwie zakąskę.

–On nigdzie się nie ruszy – rzekła szybko Angie.

–A właśnie że tak! – warknął Carolinus. – Jest magiem, a nawet Granfer wie, że nie wolno mu skrzyw- dzić żadnego spośród nas. Poza tym będzie ciekaw pytań Jima. Nie zwracaj a to uwagi, jeśli powie coś bez związku.

Wszystkie stare stworzenia tak robią... z wyjątkiem mnie...

Przerwał nagle, gdyż przez nie oszklone, wąskie okna komnaty wychodzące na dziedziniec dobiegły ich dziwne hałasy. Były to okrzyki mężczyzn i szczęk metalu o metal – odgłosy mieczy uderzających w inne miecze, tarcze i broje.

Jim skoczył w kierunku drzwi.

–Zaczekaj! – zawołała Angie.

–Nieważne, co się tam dzieje – rzucił szybko Caro- linus. – Wspomniałeś, że jest tu Sir John. Pomówię z nim. Pomóż mi dojść do wysokiego stołu.

–Nie bądź niemądry! – rzekła Angie, zwracając się do niego. – Nie jesteś w stanie iść dokądkolwiek.

–Nie? – oburzył się Mag i zniknął wraz z łóżkiem.

Jim i Angie popatrzyli po sobie i wybiegli na korytarz.

Popędzili w dół schodami, przez Wielką Sień obok pustego wysokiego stołu, przy którym na swym łóżku siedział poirytowany Carolinus, aż znaleźli się u wyjścia na dzie- dziniec.

Zobaczyli walczących wojowników. Jednym z nich był Chandos, drugim Sir Giles. Znajdował się tam także Sir Brian Neville-Smythe – najbliższy przyjaciel Jima i jego towarzysz, którego Chandos chciał zobaczyć w zwią- zku z zaplanowaną przez siebie ekspedycją Smoczego Rycerza.

Sir Brian i Giles wraz z kilkoma zamkowymi zbrojnymi nacierali, starając się przedrzeć przez Sir Johna i innych zbrojnych, którzy dzielnie bronili drzwi prowadzących do Wielkiej Sieni.

Z bezpiecznej odległości przyglądała się temu reszta wojowników i mnóstwo służących. Wraz z nimi, przewyż- szając innych o głowę, stał Dafydd ap Hywel – czwarty z towarzyszy, który był wraz z Jimem pod Twierdzą Loathly i na wyprawie do Francji. Jim pomyślał, że bardzo musiał się spieszyć, aby tak szybko przybyć z obozu banitów.

Dafydd stał na uboczu, opierając się niedbale na swym długim łuku. Jego szczupłe ciało z potężnym ramionami pozostawało w leniwym bezruchu, choć bacznym spo- rzeniem śledził przebieg walki. Nie okazywał jednak chęci

dołączenia do którejkolwiek ze stron. Nie miał zamiaru angażować się w bójkę, w przeciwieństwie do Briana i Gilesa, którzy gotowi byli za wszelką cenę utorować sobie drogę do zamku.

Jim i Angie zostali wreszcie zauważeni przez widzów.

Dały się słyszeć okrzyki: "Pan!", "Pani!". Służący zaczęli znikać tak błyskawicznie, jak zwykł czynić to Aragh.

Ich głosy dotarły także do walczących, którzy kolejno przerywali bój, spoglądając zawstydzeni na gospodarzy.

Giles i Brian unikali ich wzroku. Spojrzenie Jima sposę- niało jeszcze bardziej, gdy dostrzegł kilku leżących na ziemi zbrojnych – nieprzytomnych lub martwych.

Wyszedł na dziedziniec, a gniew rósł w nim z każdą chwilą.

–Co tu się dzieje?

John Chandos uniósł przyłbicę i uśmiechał się.

–Moje najpokorniejsze przeprosiny, Sir Jamesie! – powiedział. – Jeśli jest w tym czyjaś wina, to tylko moja.

Wpadł mi do głowy ten pomysł, gdy ujrzałem tu Sir Briana, którego znam z wielu turniejów i mam o nim tak wysokie mniemanie. To była po prostu zabawa, ćwiczenie, w którym ja i kilku mających na to ochotę twoich zbrojnych miało utrzymać drzwi do sieni przy użyciu tępej broni, podczas gdy Sir Giles, Sir Brian i taka sama liczba atakujących miała spróbować nas pokonać.

–Rozumiem – rzekł ponuro Jim.

–Tak – ciągnął Chandos. – Gdyby któryś z ataku- jących zdołał dotknąć kraty, uznano by ich za zwycięzców.

Przyznaję, że zasłużyliśmy na twą naganę. Dlatego też najuniższej błagam o przebaczenie ciebie i twoją damę, którą także widzę u wejścia do sieni. To była głupota z naszej strony, aby wszczynać zamieszanie w zamku.

W każdym razie, to mnie obarcz całą odpowiedzialnością...

Urwał, ponieważ na dziedzińcu, tuż za Jimem, pojawił się Carolinus, wciąż wspierający się na poduszkach swojego łoża.

Kiedy Jim odwrócił się ku niemu, Mag zawołał: – Johnie Chandosie, pozwól na słówko!

Rozdział 11 Tim przeniósł wzrok z Maga na zbrojnych, leżących %l nieruchomo na klepisku dziedzińca, po czym zwrócił się do Carolinusa: – Są ranni, którzy potrzebują pomocy.

–A, tamci... – rzekł Mag. – Kilka rozbitych głów!

Machnął ręką.

Zbrojni poruszyli się, unieśli głowy, usiedli, rozglądając się wkoło, aż wreszcie wolno wstali.

–Używaliśmy tępej broni, Jamesie – wyjaśnił Brian. – Chyba nie myślałeś, że chcieliśmy zrobić komuś krzywdę?

Jim popatrzył na niego z naganą, ale nagle złość uszła z niego jak powietrze z przebitego balonu. W taki właśnie sposób zachowywali się ci ludzie. Walka była dla nich zabawą, a zabawa walką. Ponieważ nie można tego zmienić, trzeba do tego przywyknąć.

–Na szczęście żaden nie jest martwy – rzekł pogodnie Carolinus za jego plecami. – Nie mógłbym pomóc zabitym.

Chodźcie! Do wysokiego stołu!

Jim popatrzył na niego kwaśno.

–Nie uważasz, że jeśli jesteś w stanie skakać tak razem z łóżkiem, to mógłbyś również przebrać się w normalny strój?

Carolinus ze zdziwieniem popatrzył na koszulę nocną, na której włożenie nalegał. W czternastym wieku większość ludzi spała nago lub w dziennym ubraniu. Ale Carolinus był w tym względzie wyjątkiem. Co więcej, zwykle nakładał także szlafinycę.

–Masz rację, mój chłopcze – przyznał i ponownie zniknął wraz z łóżkiem.

W czasie tej rozmowy, korzystając z okazji, widzowie umykali przed wzrokiem swego pana i nawet uczestniczący w walce zbrojni wycofywali się chyłkiem, aby nie rzucać mu się w oczy.

–Możecie odejść – rzucił do nich szorstko Jim ponad głowami rycerzy. – A następnym razem nie róbcie nic takiego bez mojego pozwolenia.

Rozległo się chóralne "Tak, panie!" i zbrojni rozpierzchli się jak uczniaki. Jim odwrócił się i poprowadził gości do sieni. Kiedy zajmowali miejsca przy wysokim stole, Caro- linus już tam na nich czekał. Siedział na ławie w swej zwykłej krwistoczerwonej szacie. Łóżka nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Nie wiadomo, czy stary Mag tak zaplanował, ale gdy Jim usiadł, stwierdził, iż znajduje się obok Carolinusa, a Sir John zajmuje miejsce na końcu stołu. Naprzeciw Jima znaleźli się Sir Giles i Sir Brian. Dafydd ap Hywel usiadł nieco dalej, na tej samej ławie co mistrz kopii.

Jim zaczynał już żałować swego zachowania na dziedziń- cu. Był z natury człowiekiem dobrodusznym. Rzadko tracił nad sobą panowanie i ilekroć to się zdarzyło, zawsze miał później wyrzuty sumienia, nawet jeśli był przekonany o zasadności swego postępowania.

–Doskonale sobie tam radziłeś, Brianie. Cieszę się, że ty tu jesteś, Dafyddzie. Dobrze znowu was widzieć, choć rozstaliśmy się dopiero wczoraj!

Wyciągnął do nich ręce ponad stołem.

–To szczerą prawdą! – przyznał Sir John. – Przysięgam przed Bogiem, że tylko ja jeden pozostałem między nim a wejściem i już bałem się, że mnie pokona i dotknie kraty choć stopą.

Jim był zaskoczony. Przywołanie imienia Bożego nadało słowom Chandosa ogromnej powagi. Zazwyczaj powoływano się na świętych lub męczenników. Sir John cieszył się reputacją jednego z najlepszych mieczy królestwa. Jeśli Briana stać było na równorzędną walkę, nie mówiąc już o zwycięstwie, było to jednoznaczne z zaliczeniem przyjaciela Jima do grona najtęższych angielskich rycerzy. Po tych słowach resztki rozdrażnienia zniknęły bez śladu.

–Na... – W ostatniej chwili ugryzł się w język.

Zamierzał także powiedzieć "na Boga", ale zdał sobie sprawę, iż dla tych ludzi będzie to miało inne znaczenie niż dla niego. – ...hm... Curriculum... Brianie, jestem zaskoczony takim stwierdzeniem!

Mistrz kopii spojrzał nań zażenowany.

–Jamesie, nie bierz zbyt poważnie tego, co powiedział Sir John. Musiał wciąż opierać jedną stopę na progu. Nie mógł więc zwrócić się do mnie lewym bokiem osłoniętym tarczą, ponieważ miałyby wówczas ograniczoną możliwość działania. To stawiało go w dość niekorzystnej sytuacji...

–Ależ przestań! – przerwał mu Chandos ze śmiechem. – Zaraz udowodnisz swą przegraną, a przecież prawie zwyciężyłeś, Sir Brianie. To, co powiedziałem, to szczerą prawdą.

Napełnił kubek winem z dzbanka, który tymczasem znalazł się na stole.

–Zajmijmy się jednak tym, czym należy, panowie, skoro jesteśmy wszyscy razem – zmienił temat. – Magu...

–Najwyższa pora! – przerwał zrzędlawie Carolinus.

Popatrzył prosto na Chandosa. – Ta sprawa jest bardziej złożona, niż myślisz, Johnnie.

–Och, byłbym zapomniał – wtrącił szybko Jim – Sir Johnnie, poznaj proszę Carolinusa – jednego z trzech największych magów na świecie.

–Dziękuję, Sir Jamesie – odpowiedział Chandos, nie odrywając oczu od Maga – ale znam go dobrze. Dlaczego mi to mówisz, Carolinusie?

–Czy wyobrażasz sobie sytuację, że wiesz więcej niż ja? – zapytał bez ogródek starzec.

Zapadła cisza. Chandos wolno pokręcił głową.

–Jesteś zainteresowany francuską inwazją – ciągnął Mag. – Powinieneś wiedzieć, że Anglicy samych Francuzów nie musieliby się obawiać. Ale tym razem mają oni sprzymierzeńców, i to nie ludzi. Są to węże z głębin morskich. Stworzenia dwukrotnie większe od każdego smoka, a do tego jest ich całe mnóstwo. Są więc w stanie zapewnić królowi Jeanowi bezpieczną przeprawę przez Kanał.

Sir John wpatrywał się w niego przez dłuższy czas.

–Masz rację, nie jestem w stanie wyobrazić sobie sytuacji, w której nie wiedziałbyś więcej ode mnie, Magu.

Właśnie to udowodniłeś. Ale jakież te węże miałyby interes, aby pomagać królowi Jeanowi lub pustoszyć naszą piękną wyspę?

–Węży nie obchodzimy wcale my ani nasza wyspa – wyjaśnił Carolinus zgryźliwie. – One chcą tylko wytępić na niej wszystkie smoki i zawładnąć ich skarbami. To długa historia, zbyt długa, aby ją w tej chwili przypominać, ale węże morskie mają od dłuższego czasu wielką ochotę zrobić coś z brytyjskimi smokami. Te dwa gatunki są naturalnymi wrogami. Oczywiście rzadko mają okazję do spotkań, skoro jedne żyją na lądzie i niezbyt często zbliżają się do brzegu morza, a drugie mieszkają w jego głębinach i nie przepadają za lądem. Wciąż jednak rywalizują w gromadzeniu złota oraz kosztowności i nienawidzą się wzajemnie.

–Rozumiem... – zaczął Chandos, ale przerwał gwałtownie. – Och, witam, pani. Widzieć cię to zawsze zaszczyt i wielką przyjemność. Mamy tu jednak pewnego rodzaju naradę wojenną i...

–I kobiety nie są mile widziane? – dokończyła zgryźliwie Angie, siadając na końcu ławy obok męża. – Och, rozumiem doskonale, Sir Johnnie. Co więcej, choć początkowo byłam zdecydowana także wziąć udział w tej planowanej przez was wyprawie, doszłam jednak do wniosku, że powinnam zostać tutaj, w Malencontri. Jeśli Jim pojedzie, ktoś musi tu dopilnować wszystkiego. Nie podoba mi się to. Mówię otwarcie, że mi się to nie podoba. Ale zgadzam się na jego wyjazd. Chcę jednak wiedzieć, co go czeka. Tak więc traktujcie mnie jako jednego z członków narady, panowie.

Jim popatrzył na nią z wdzięcznością. Angie przeszyła go zjadliwym spojrzeniem, ale po chwili wyraz jej twarzy złagodniał.

–Jak sobie życzysz, pani – rzekł Chandos i zwrócił się na powrót do Carolinusa: – Tak jak ci mówiłem, Magu, teraz rozumiem, dlaczego węże morskie chciałyby dostać nasze smoki. Ale dlaczego w przymierzu z królem Jeanem?

Trzeba poznać tego przyczynę...

–Masz rację – wtrącił Carolinus. – I dlatego...

–Musi zostać poznana – przerwał stanowczo Chandos – jak najszybciej, w trakcie wyprawy tych dzentelmenów do Francji, tam gdzie trwają przygotowania do ataku. Z naszych informacji wynika bowiem, że uczestniczy w nich sam król ze swym dworem.

–Johnnie, jesteś głupcem! – stwierdził starzec.

Sir John był uważany za pierwszego dworzanina Europy.

Jego wytworność, powściągliwość i uprzejmość w stosunku do ludzi tej samej sfery, ale także i innych godnych szacunku, była niemal przysłowiowa. Zarazem jednak był rycerzem i właśnie w taki sposób zareagował na słowa Carolinusa.

–Sir! – wysapał, a ton głosu i gromy rzucane przez jego szare oczy świadczyły, jak bardzo był wzburzony.

–Musisz mnie posłuchać, Johnnie – rzekł Mag, jakby tego nie zauważając. – Odpowiedzi nie należy szukać na dworze francuskim, ale gdzie indziej. Wiesz, że pierwszym ministrem król uczynił Włocha – Ecottiego?

–Tak – przyznał Chandos. Zapanował już nad wyrazem twarzy, ale w jego głosie wciąż dźwięczał gniew. – Tak, to Włoch, hm, mag. Oczywiście, że wiem, o kogo ci chodzi!

–Czarnoksiężnik, Johnnie, czarnoksiężnik! – poprawił go Carolinus. – Wyjątkowo nikczemny pomiot. Nie są magami. Ci ludzie zapredali się Ciemnym Mocom, aby poznać pewnego rodzaju czarną magię. Magię, która jest niebezpieczna, ale ma ograniczony zakres. Sam Ecotti nie zdołałby skłonić węży morskich do pomocy królowi Jeano- wi. Nawet mając w ręku taki atut jak możliwość zemsty na wszystkich smokach.

–Jeśli nie Ecotti, to kto? – zapytał rycerz, który całkowicie odzyskał już nad sobą panowanie i znowu zachowywał się jak dystyngowany dżentelmen.

–Najkrótsza odpowiedź na to brzmi: nie wiem – odparł starzec. – Najpierw jednak dowiedzmy się, którzy z obecnych tu dżentelmenów są gotowi podjąć się ustalenia tego. Oczywiście nie będę o to pytać Jamesa, ponieważ on jest niezbędny.

Jim poczuł nagle rozpalający się w nim płomień gniewu.

Carolinus traktował jego udział jako rzecz już przesądzoną.

Natychmiast jednak przypomniał sobie o swych smoczych powiązaniach, które nie pozostawiały mu wielkiego wyboru.

–Przyjmuję, że Giles już się zgodził – ciągnął Mag.

–Z całą pewnością – potwierdził Sir Giles, podkreślając koniec potężnych blond wąsów.

Carolinus przeniósł wzrok na mistrza kopii.

–A ty, Brianie?

.– Będę u boku Jima, jak zawsze – powiedział po prostu.

Starzec popatrzył dalej w głąb stołu.

–Dafyddzie?

–Och, nie pragnę niczego bardziej, niż przeżyć wraz z wami tę małą przygodę – rzekł łuczniczek miękko – ale moja żona nosi drugie dziecko. Przed wyjazdem powiedziała mi: "Możesz jechać do Malencontri, ale nie dalej. I wróć do mnie w ciągu dwóch dni". – Westchnął cicho. – Wygląda więc na to, że muszę zostać w domu.

Może wyjdzie mi to na dobre. – Jego twarz rozjaśniła się. – Czuję, że na Święta Bożego Narodzenia będę miał dziewczynkę do pary z chłopcem, którego już mi dała moja żona – to ci dopiero pełen życia szkrab. Będę szczery, panowie, choć bardzo chciałbym wyruszyć z wami, ale nie jestem na tyle odważny, aby w tej chwili sprzeciwić się żonie.

–Trzech! – stwierdził Carolinus. – Bez Dafyddda i oczywiście bez Aragha. To powinno wystarczyć...

–I ja także wyruszyłabym z nimi! – wtrąciła gwałtownie Angie. – Gdyby tylko znalazł się ktoś, komu mogłabym przekazać pieczęć nad tym miejscem.

–Zamierzasz zatem wysłać ich gdzieś w głąb morza? – zapytał Chandos. – Czy mógłbym dowiedzieć się dokąd, czemu i w poszukiwaniu czego?

–Tak, muszą znaleźć krakena o imieniu Granfer – najstarsze ze stworzeń żyjących we wszystkich morzach – i spróbować, czy nie naprowadzi ich on na ślad sprawcy – odparł Carolinus.

–Co? – zdziwił się Sir John.

–Krakena. Wiesz, co to takiego?

–Tak... tak, słyszałem o krakenach – przyznał Chandos. – Ale dlaczego akurat ten miałby wiedzieć o czymś istotnym dla nas?

–Może. Uwierz mi na słowo.

–Rzeczywiście, cenię je sobie niezmiernie. Nie mogę jednak ryzykować interesów króla i nadziei na przetrwanie naszej angielskiej rasy, opierając się tylko na czymś tak niepewnym jak wiara w słowa maga. Sir James i jego przyjaciele muszą udać się do Francji. Król dał mi prawo, aby im to nakazać.

–Tak? – rzekł Carolinus.

Chandos dopiero po chwili zorientował się, że przy stole pozostał tylko on sam, Mag, Dafydd i Angie. Jim, Brian oraz Giles zniknęli.

–Wyślij ich do Francji, proszę bardzo, Johnnie – rozległ się lodowaty głos Carolinusa. – W interesie króla i z jego rozkazu. Najpierw będziesz ich musiał znaleźć, a tymczasem oni już wyruszyli w drogę, aby spełnić wyznaczoną przeze mnie misję w głębinach morskich.

Rozdział 12 Gdzie jesteście? – zapytał Giles.

On, Jim i Brian stali na brzegu małej zatoczki morskiej. Nad nimi na jakieś dziewięć metrów wznosił się skalny klif, na którego szczycie widać było ciemną ziemię i zmierzwioną trawę. Otaczał on półkołem trzystumetrową kamienną plażę.

Potężne, biało-grzywe, lodowate fale Atlantyku uderzały o wystające z wody kamienie. Jim nie był pewien, ale to chyba wikingowie nazwali te fale "dzikimi, białymi końmi".

– Chyba znajdujemy się jakieś osiem kilometrów na północ od Twierdzy Loathly – odpowiedział Brian. – Jamesie, brakuje nam stosownego wyposażenia, żeby zacząć coś zrobić. Mam miecz, ale poza tym jestem jak nagi.

Potrzebuję zbroi i konia. Warto byłoby także zaopatrzyć się w jakiś prowiant.

Była to szczerza prawda. Sam Jim zdawał sobie w pełni sprawę z niedogodności wynikających z tak nagłego wysłania ich przez Carolinusa. Cóż, jednak to sam starzec przypomniał wszystkim, że Jim jest także magiem.

– Masz zupełną rację, Brianie. Potrzebujesz coś szczegół- nego, Gilesie? – rzekł Jim, zwracając się do przyjaciela. – To znaczy oprócz tego, o czym wspomniał już Brian?

– Tylko mojego konia, broni i rzeczy osobistych – od- powiedział Giles, mając na myśli mogące się przydać przedmioty zawinięte w derkę, które większość rycerzy wozila ze sobą, przytroczone do siodła.

– Ja też będę ich potrzebował, Jamesie – wtrącił Brian.

– Za godzinę wracam z powrotem ze wszystkim, co chcecie – oznajmił Jim.

Miał do załatwienia ważniejszą sprawę niż życzenia swych towarzyszy. Skoncentrował się i w wyobraźni napisał na wewnętrznej stronie czoła: PRZENIEŚ SIĘ DO ANGIE Poczul w sobie niezwykłą, twórczą siłę, która, jak twierdził Carolinus, było magiczną formą tworzenia. Róż- niła się jednak od wrażeń, jakich Jim doświadczał dotych- czas w podobnych sytuacjach. Nagle zobaczył, że znajduje się tuż za plecami Angie, która właśnie wchodziła do ich komnaty.

– Angie... – zaczął.

Lady Angela wydała stłumiony okrzyk, podskoczyła i odwróciła się. Zaskoczona, cofnęła się o kilka kroków.

Patrzyła nań, jakby był duchem.

– Angie, wszystko w porządku. To ja – rzekł Jim, wchodząc za nią do komnaty. – Musiałem użyć magii, aby wrócić i zobaczyć się z tobą. Nie mogłem tak po prostu wyjechać bez słowa. Wszystko w porządku, to ja, z krwi i kości.

Aby to udowodnić, objął ją ramieniem.

Gdy dotknął jej, natychmiast się rozluźniła.

– Och, Jim – szepnęła i niespodziewanie zalała się łzami.

– Chciałem przynajmniej pożegnać się z tobą.

– Och, tak! – zaszlochała przytulając się do jego piersi. – To byłoby... To byłoby zbyt okrutne, gdybyś tak po prostu odszedł. Nienawidzę ich wszystkich! Chandosa, Carolinusa i całej reszty.

– Ale przebaczysz im, prawda? Przynajmniej Caro- linusowi.

Angie odsunęła się od niego i wytarła łzy z kącików oczu.

– Chyba tak – powiedziała drżącym głosem. – Może Carolinusowi. Ale to było zbyt okrutne! A ja przez ostatnie dwa dni traktowałam cię po prostu strasznie. Zawsze traktuję cię okropnie!

– Nie, ależ skąd – zaprotestował Jim uspokajająco. – Tylko...

Urwał, świadomy tego, że zaraz się zapłaczę.

– Tylko przez większość czasu, prawda? – zapytała Angie zmienionym tonem.

– Nie, nie! – zaprzeczył pośpiesznie. – Zamierzałem właśnie powiedzieć... hm... zapomnij po prostu o tym.

– Więc nie przeszkadza ci, że złościsz się na siebie? – zapytała.

– Oczywiście, że przeszkadza... – zaczął Jim, ale żona znów rzuciła się mu w ramiona.

– Co ja robię? – zdziwiła się. – Nie zwracaj na uwagi na to, co mówię...

Uniosła głowę i namiętnie pocałowała Jima w usta.

Minęło nieco czasu, zanim wrócili do rozmowy na temat rzeczy, które Jim miał zabrać dla siebie, Briana i Gilesa.

– Nie potrzebują koni – stwierdził. – Na nic się nie przydadzą pod wodą.

– A co zrobisz, żeby bezpiecznie się tam poruszać?

– Oczywiście będę musiał posłużyć się magią. Wiesz, jak uporczywie ćwiczyłem przez całą zimę. Carolinus miał rację: w gruncie rzeczy trzeba uczyć się samemu. Mówiłem ci, że kazał mi połknąć zmniejszoną kopię Encyklopedii necroman- tick, prawda?

– Tak, mówiłeś – przyznała wdrygając się. – Jak duża była, zanim ją połknąłeś?

– Nie miałem okazji jej zmierzyć ani zważyć, ale była to największa i najcięższa księga, jaką kiedykolwiek wi- działem.

Angie wdrygnęła się ponownie.

– Ale zmniejszył ją niemal do punkciku – dodał. – Byłem zaskoczony, jak łatwo ją połknąć. W jakiś dziwny sposób dzięki temu i ćwiczeniom zaczynam mieć większe pojęcie o magii. Na początku używałem czegoś, co można określić magią przedszkolaka. Teraz zaczynam łączyć w jedną całość kilka prostych czarów. W ten sposób stworzę

pojazd do odbycia tej wyprawy. Umieszczę nas wszystkich w bańce świeżego powietrza. Robiłem to już wcześniej.

–Tak? – Angie nagle usiadła na łóżku i uważnie popatrzyła na niego. – Kiedy? Gdzie?

Jak jej to powiedzieć? Było to przecież wtedy, gdy trzymała go w niewoli piękna Meluzyna. Użył podobnego czaru, by od niej uciec.

–Musiałem przejść na drugą stronę jeziora po jego dnie – wyjaśnił beztrzesko. – Tym razem, jeśli będzie to miało trwać dłużej, znajdę jakiś sposób na przesłanie ci wiadomości.

–Dobrze! – zgodziła się Angie i zeskoczyła z łóżka. – No więc co masz wziąć dla Gilesa i Briana? Pomogę ci wszystko zebrać.

Jakieś dwie godziny później Jim pojawił się ponownie na kamienistej plaży, prowadząc konia obładowanego osobis- tymi rzeczami, bronią i żywnością dla każdego z rycerzy.

Na szczęście Brian przybył do zamku na koniu bojowym, prowadząc drugiego, jucznego, z góry spodziewając się jakichś przygód. Jak większości rycerzy, do życia nie potrzeba mu było wiele. Niemniej miny obu przyjaciół zrzedły, gdy ujrzeli, co przyniósł im Jim.

–Gdzie jest kopia? Gdzie mój koń Blanchard? – do- pytywał się Brian.

–A moja kopia i wierzchowiec? – zareagował podob- nie Giles. – A twój koń, Jamesie?

–Nie będziemy ich potrzebować tam, gdzie się udaje- my – uspokoił ich Smoczy Rycerz. – Pamiętajcie, że konie nie mogą poruszać się pod wodą. A jeśli nawet by mogły, nie rozpędziłyby się na tyle, żeby przydały się wasze kopie. Zrezygnujemy więc z nich.

–Bez kopii nie będę się dobrze czuł – zrzędził Brian.

Zaczął sprawdzać, co znajdowało się na grzbiecie jucz- nego wierzchowca, i zdejmować części swej zbroi, przygo- towując je do nałożenia.

Jim, zamiast zająć się swoim pancerzem i bronią, space- rował po pkzy, obmyślając magiczne formuły, aby mogli bezpiecznie dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Wymagało to nie jednego, ale kilku czarów. Choć to, co zaplanował, pozornie spełniało wszystkie wymagania, miał niejasne przeczucie, że czegoś tu brakuje. Wrócił do towarzyszy i zaczął wkładać zbroję oraz sposobić broń.

–Dlaczego czekałeś aż do tej chwili, Jamesie? – zapytał z ciekawością w głosie Brian. – Wyglądało, że nad czymś się zastanawiałeś, chodząc tam i z powrotem.

–Rozwiązywałem magiczny problem – odparł Jim.

O dziwo, Brian był usatysfakcjonowany taką odpowie- dzią. Nie było sensu tłumaczyć im do jakich wniosków doszedł, skoro dla nich byłoby to i tak niezrozumiałe.

Zajął się więc wdziwaniem pancerza, w czym pomagali mu obaj towarzysze. Samodzielnie nie sposób było go założyć i upewnić się czy poszczególne części czternasto- wiecznej zbroi są właściwie powiązane i poszczepiane.

Gdy wreszcie był gotów, uniósł przyłbicę, która opadła podczas zakładania nagolenników, i spojrzał na przyjaciół.

Całe te przygotowania, jak przypuszczał, były zbędne.

Ale nie potrafiłby przekonać o tym swych towarzyszy. Nie wyobrażali sobie, żeby w takiej sytuacji można było wystąpić bez odpowiedniego uzbrojenia.

Należało wykonać jeszcze tylko jedno, a mianowicie w magiczny sposób odesłać niepotrzebnego już konia z powrotem do stajni zamku Malencontri.

Zrobił i to.

–A teraz zamierzam wezwać naszego przewodnika, który, mam nadzieję, zawiedzie nas tam, dokąd się udajemy.

–Wybacz, że pytam, panie, ale gdzie to jest? – odezwał się Brian.

Użycie takiej formy podkreślało oficjalność, a co za tym idzie powagę jego słów.

–Nie mam pojęcia – odpowiedział Jim – ale nasz przewodnik będzie wiedział. Zapewne zna tego krakena i zabierze nas do niego. Pozostało mi teraz zaważać go.

Na imię ma Rrrnlf.

Ponownie spróbował gardłowo wymówić pierwsze "R" i udało mu się widać, bo Giles spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale i aprobatą.

–Rrrnlf – powtórzył Giles, wymawiając to jeszcze lepiej niż Jim.

"Od razu znać jego northumbriańskie pochodzenie" – pomyślał Smoczy Rycerz.

Odwrócił się i podszedł do miejsca, w którym fale rozbijały się na kamieniach. Stał przez moment, obserwując je. Jedna z fal zmusiła go nawet, aby cofnął się o kilka kroków, gdyż inaczej miałby nogi mokre aż do kolan.

Ciekawe, czy to prawda, że dziewiąta fala sięga w łąd najdalej. Gdzieś o tym czytał. Chyba u Rudyarda Kiplinga.

Zwinął dłonie w rękawicach wokół ust i krzyknął naj- głośniejszym głosem: – Rrrnlf!

Powtórzył to imię kilka razy, ale odpowiedział mu tylko szum fal. Wcale go to jednak nie zdziwiło. Rrrnlf mógł znajdować się daleko i nie wiadomo, jakie miał poczucie czasu.

Wrócił do Gilesa i Briana.

–Wezwałem naszego przewodnika. Nazywają go Diab- łem Morskim. Nie mam jednak pojęcia, czy przybędzie tu

za piętnaście minut, czy za piętnaście dni. Jeśli okaże się to kwestią dni, rozbijemy obóz.

Kiwnęli głowami. Życie na świeżym powietrzu przez kilka dni nie było dla nich niczym niezwykłym. Zdarzało się to niemal podczas każdej podróży.

–Tymczasem – ciągnął Jim – zajmę się magią, która pozwoli nam bezpiecznie zejść z nim pod wodę i spotkać się z krakenem. Jeśli nie macie nic przeciwko tego, oddalę się nieco.

–Ależ oczywiście, Jamesie – zgodził się pospiesznie Brian.

Giles także energicznie przytaknął. Czuli respekt przed magią i woleli być w bezpiecznej odległości od niej.

Jim odszedł na jakieś pięćdziesiąt metrów. Zaczął układać różne magiczne formuły, które należało wypowiedzieć, aby stworzyć pojazd umożliwiający im bezpieczne podróżowanie pod wodą.

Giles, który miał w sobie krew silkie, potrafiłby przemienić się w fokę i zanurkować na znaczną głębokość, ale Jim podejrzewał, że Granfer będzie znajdować się znacznie głębiej.

Jim przypomniał sobie ostatni wiersz zaklęcia, które obmyślał, spacerując po plaży.

PRZEZROCYSTA BAŃKA ZE WSZYSTKIMI KONIECZNYMI UDOGODNIENIAMI O PRZEKROJU CZTERECH METRÓW Natychmiast pojawiło się przed nim coś, co z całą pewnością było bańką. Z trudem tylko, dzięki zniekształceniu przedmiotów znajdujących się za nią, mógł rozróżnić jej kształt. A więc mają już pojazd podwodny.

Kontynuował czary, aby upewnić się, czy powietrze w niej zawsze będzie świeże i czy wytrzyma ciśnienie wody na każdej głębokości. Nagły ryk od strony morza zmusił go do spojrzenia w tamtym kierunku.

–Witaj! – usłyszał.

Gdy podniósł wzrok, ujrzał głowę Rrrnlfa wyłaniającą się spośród fal, zaledwie piętnaście metrów od brzegu.

Diabeł Morski brnął w jego kierunku, coraz bardziej wyłaniając się z wody.

–Dno błotniste, ale przynajmniej nie strome – zahuczał. – Nie lubię jednak czuć pod stopami błota!

Wyszedł całkiem z wody i zatrzymał się o kilka metrów od Jima.

–W czym mogę ci pomóc, mały Magu? – zadudnił głębokim basem.

Jim wpatrywał się jednak zafascynowany w dziwnego fasonu buty, przywiązane rzemieniami do masywnych łydek.

–Ale twoje stopy nie są ubrudzone błotem! – zdziwił się.

–Bo szedłem ponad błotem, nie lubię taplać się w nim – wyjaśnił Rrrnlf. – Nie cierpię błota. Tak samo jak mułu.

–Ale...

Jim popatrzył na jego potężną, dziewięciometrową postać.

–Ale w jaki sposób zdołałeś iść ponad błotem, nie dotykając go wcale?

–To żadna sztuka, mały człowieku – zahuczał olbrzym. – Ruszyłem nieco głową i już nie musiałem dotykać niczego pod stopami. To tylko kwestia prawidłowego myślenia.

–Aha, rozumiem – stwierdził Jim.

Ta sztuczka musiała być częścią umiejętności Diabłów Morskich jako Naturalnych. Zapewne w ten sposób chodzą też ponad rafami koralowymi, by nie niszczyć sobie butów i samych stóp.

Nagle przypomniał sobie o Brianie i Gilesie.

–Jeśli spojrzysz w tamtą stronę – rzekł do Diabła Morskiego – ujrzysz Sir Briana Neville-Smythe'a z zamku Smythe oraz Sir Gilesa de Mer z Northumbrii – dwóch szlachetnych dżentelmenów i moich towarzyszy.

Rrrnlf odwrócił się, popatrzył w dół na dwóch mężczyzn i zadudnił wesoło: – Miło mi was poznać, mali rycerze. Który z was Brian, a który Giles?

–Ja jestem Sir Brian! – przedstawił się mistrz kopii pewnym głosem.

Widocznie rozmiary Diabła Morskiego nie onieśmiały go. Giles zachowywał się równie śmiało, tak jakby gotów był stanąć do walki z olbrzymem.

–A jam jest Sir Giles.

–Bardzo dobrze – rzekł Diabeł Morski. – Po co wezwałeś mnie, mały'Magu?

–Chciałbym, abyś zabrał nas do Granfera. Musimy z nim porozmawiać. – Pomożesz go znaleźć?

–Oczywiście. Wiem o wszystkim w oceanach. W przeciwnym razie cóż by to był ze mnie za Diabeł Morski? Ruszajmy?

–Najpierw muszę zrobić jeszcze kilka rzeczy – powstrzymał go Jim.

Nie spodziewał się tak rychłego przybycia olbrzyma i magiczne czynności związane z pojazdem tworzonym dla Gilesa, Briana i jego samego nie były jeszcze zakończone.

–A, widzę, że używasz tej swojej magii – powiedział Rrrnlf. – Proszę, nie przeszkadzaj sobie. Nie spiesz się. Ja mam czas. Wieki, a nawet milenia, jeśli to konieczne.

–Nie potrwa to aż tak długo – stwierdził Jim nieco szorstkim tonem.

Wiedział, że Rrrnlf nie ma złych intencji, ale Diabły Morskie najwidoczniej nie potrafiły powstrzymać się od traktowania innych z wyższością. Poczuł się po części tak jak Giles i Brian po łaskawym powitaniu.

Rozdział 13 Zanurzali się w półprzejrzysty niebieski mrok. A może była to półprzeźroczysta niebieska jasność? Znajdowali się już bardzo daleko od powierzchni oceanu i ilość światła wciąż się zmniejszała. Wreszcie zastąpiła je ta dziwna niebieskawa iluminacja, bardzo słaba, lecz pozwalająca na obserwację otoczenia.

Poruszali się, jak oceniał Jim, z ogromną prędkością.

Czuł ucisk w żołądku, jak w szybko zjeżdżającej windzie.

Od czasu do czasu przed oczami migał im jakiś przed- stawiciel morskiej fauny.

Poruszali się tak szybko, aby nadążyć za Rrrnlfem, który ich prowadził.

Tajemnicą było, w jaki sposób ten Diabeł Morski przemieszczał się tak szybko, ponieważ jego ciało nie wykonywało żadnych innych ruchów. Posuwać się tak, jak ktoś inny lewitowałby w powietrzu. Jim był pewien, że podróżują z szybkością samolotu pasażerskiego z jego starego świata.

Tak szybkie przemieszczanie się Rrrnlfa i ich bańki zdawało się wprost nieprawdopodobne. A ściany ich pojazdu musiały być chyba twardsze od betonu. Widać jednak podziały czary Jima. Podczas tworzenia bańki, uczynił ją "niezniszczalną" bez względu na ciśnienie.

Jim siedział na stołku na równej podłodze, o stworzenie której zadbał zawczasu. Giles i Brian siedzieli naprzeciw niego, a Rrrnlf znajdował się z ich prawej strony, tuż za ścianą pojazdu.

Obaj średniowieczni rycerze czuli się tak samo nieswojo jak Jim. Znaleźli się w sytuacji niezaprzeczalnie nienaturalnej, wręcz przerażającej.

Smoczy Rycerz starał się panować nad własnymi emocjami i nie okazywać obawy. Uważał, że za wszelką cenę musi podtrzymać towarzyszy na duchu. Choć zazwyczaj nie bali się niczego, ta niepojęta magiczna sytuacja mogła pozbawić ich odwagi.

Jim zmusił się do szerokiego uśmiechu.

–Proszę, proszę – rzekł do nich – ale podróżujemy!

Żaden nie odpowiedział. Oczywiście było, że znajdowali się w drodze, i rzecz nie wymagała komentarza. Jim spróbował ponownie.

–To dziwne, prawda? – stwierdził, uśmiechając się z determinacją. – Ale bywaliśmy już w o wiele dziwniejszych sytuacjach. Pamiętacie, jak magia Malwinne'a spowodowała, że wtargnęliśmy do Królestwa Śmierci, kiedy staraliśmy się uciec z jego zamku?

–Pamiętam – przyznał Brian – ale wtedy magia tylko nas tam zaprowadziła. Teraz znajdujemy się w jej środku, a ona wciąż trwa. To światło nie zostało stworzone przez Boga.

–Prawdę powiedziawszy, myślę, że jest zupełnie naturalne. A nawet wiem że tak jest – rzekł Jim, sięgając pamięcią w przeszłość. – Pamiętam, że kiedyś czytałem o człowieku, który zanurzył się na ogromną głębokość w stalowej kuli z oknem. Widział takie samo niebieskie światło, gdy dotarł bardzo, bardzo nisko. Nie ma więc w tym nic nieboskiego. Tak już jest w oceanie.

–Zgodziłbym się z tobą, Jamesie – wtrącił Giles – ale muszę przypomnieć, że mam

zdolność zamieniania się w fokę. Może to wszystko, o czym mówisz, to prawda, ale przebywanie na takiej głębokości nie jest rozsądne.

–Ale właśnie tutaj musimy szukać krakena – od- powiedział Jim.

–W płytszej wodzie – zagrział głęboki bas z zewnątrz.

Rrrnlf miał zwyczaj wtrącania się do rozmowy za każdym razem, gdy przyszła mu na to ochota. A skoro jego głos był w stanie zagłuszyć wszystkich, nie było sposobu powstrzymania go.

–Dlaczego nazywasz Granfera... jak mówiłeś... krake- nem, mały Magu?

–Tak ludzie na łodzi określają stwory podobne do Granfera – wyjaśnił Jim.

Jak widać Diabeł Morski był w stanie mówić do nich z zewnątrz i dobrze ich słyszeć, więc Jim nie musiał podnosić głosu, choć grzmiący bas olbrzyma kuśił go wprost do wykrzykiwania odpowiedzi.

–Gdzie przebywa Granfer? – zapytał Jim. – Czy nie jesteśmy już blisko niego?

–Niezbyt daleko – odparł Rrrnlf. – Zbliżamy się.

Znajduje się przy brzegu, gdzie jest pełno dorszy, za którymi wprost przepada.

Nagle zaczęli zwalniać, zmierzając równocześnie w kierunku powierzchni. Byli już w stanie rozróżniać ryby i inne morskie stworzenia, które mijali. Ale nawet teraz widzieli je tylko przez ułamek sekundy, co sprawiało wrażenie, jakby oglądali je w kalejdoskopie.

–Czy zbliżamy się do brzegu, tam gdzie jest Gran- fer? – zapytał Jim przez ściankę bańki.

–Owszem – odrzekł Rrrnlf spoglądając na niego. – To wybrzeże ogromnego ładu daleko na zachód od waszej małej wyspy i kręci się przy nim mnóstwo wszelkiego rodzaju ryb.

Zaciekawiło to Jima. Czyżby znaleźli się u wybrzeży Ameryki Północnej? Być może miejsce, do którego zdążali z taką szybkością, leży u brzegów Nowej Fundlandii. Było to prawdziwe rybie eldorado.

Jeśli to prawda, to podróżowali z prędkością ponad- dźwiękową. Czyniło to tę ich wyprawę jeszcze bardziej niesamowitą.

Dziwna, przenikliwa niebieska poświata pozostała już za nimi, a światło dzienne stawało się coraz mocniejsze i Gilesowi zaczął poprawiać się nastrój.

Jim odczuwał przeciążenie spowodowane hamowaniem, choć wcześniej nie zdawał sobie sprawy z ogromnej szybkości, umożliwiającej błyskawiczne pokonanie oceanu.

Poruszali się teraz w wodzie, w której nie brakowało ryb. Największe spośród nich były całkiem pokaźnych rozmiarów – ważyły co najmniej dwieście kilo. Nie- znajomość ichtiologii nie pozwalała jednak Jimowi określić ich gatunków.

Spojrzał w dół i zakręciło mu się w głowie. Zobaczył dno morskie, w kierunku którego zdawali się zbliżać, choć z ruchu bańki wnioskował, że wciąż zmierzali w stronę powierzchni. Najwidoczniej dno wznosiło się pod jeszcze większym kątem.

Nie był to zbyt interesujący widok. Na dnie nie było śladu roślinności ani żadnych stworzeń morskich. Na stromych zboczach poniżej czasami dało się dojrzeć niewy- sokie skały, ale w zasadzie dno było błotniste i zamulone.

Poruszali się już tak wolno, że od czasu do czasu wyprzedzały ich ryby. Giles wyraźnie nabral wigo- ru.

–Jamesie! – rzekł. – Znajdujemy się nie głębiej niż dwieście metrów pod powierzchnią. Z

łatwością mógłbym już tu pływać.

–Dobrze wiedzieć, Gilesie – odpowiedział Jim. – Miejmy jednak nadzieję, że nie będziesz musiał.

Nagle usłyszeli głośny śmiech Rrrnlfa.

–To znaczy, że do tej pory nie wiedzieliście, jak głęboko jesteśmy? – zdziwił się. – Mały Magu, miałem o tobie wyższe mniemanie!

–Tak się składa – rzekł Jim lodowato – że znam sposoby, by się o tym dowiedzieć. Znam wiele różnych sposobów. Nie chcę cię obrazić, ale warto, abyś o tym pamiętała!

Olbrzym natychmiast spoważniał.

–Już dobrze, żaden Diabeł Morski nie wątpi w ogromną moc, jaką posiadają mali magowie. Rozbawiliście mnie po prostu na moment.

–W porządku – rzekł Jim.

Miał plany na przyszłość, w których Rrrnlf mógł okazać się bardzo pomocny. Za nic na świecie nie chciał mieć w nim wroga.

–Tej mocy używamy, aby pomagać innym. Zawsze wspieramy swoich przyjaciół – dodał.

–To prawda – przyznał olbrzym poważnie. – Na przestrzeni tysięcy lat tacy jak ty nieraz pomagali moim pobratymcom. Naprawdę jestem twoim przyjacielem, mały Magu. Czyż nie świadczy o tym fakt, że cię tu przywiodłem?

Możesz na mnie liczyć.

–Dziękuję, Rrrnlfie – powiedział Jim. – Będę zawsze o tym pamiętał.

Nagle otoczyła ich ławica ryb.

Smoczemu Rycerzowi przyszło na myśl, iż mogą to być dorsze, ale nie był pewien, bo zawsze wydawało mu się, że dorsze żyją przy samym dnie.

Bańka zmierzała powoli w kierunku mulistej równiny leżącej pod nimi. Jim wyteńczył wzrok, chcąc zobaczyć, co znajduje się na dnie, ale nie był w stanie rozróżnić żadnych szczegółów. Przez chwilę poczuł się zbity z tropu, ale szybko na wewnętrznej stronie czoła napisał zaklęcie: WZROK JAK U RYBY Natychmiast, spoglądając poprzez dno bańki, ujrzał, że kierowali się w stronę ogromnych głazów, pokrytych mułem.

Gdy zbliżyli się, rozpoznał kształt ogromnej kałamarnicy. Była naprawdę kolosalnych rozmiarów. Jej najdłuższe z dziesięciu ramion musiało mieć około stu metrów długości, a korpus był tak duży jak łódź podwodna z jego dawnego świata.

–Czy to Granfer? – zapytał Rrrnlfa, starając się nie okazać strachu drzeniem głosu.

–To on. Siedzi tu jak zwykle i czeka, aż pożywienie samo do niego podpływie.

Oczywiście może się przemieszczać, jeśli zechce. Zdziwiłbyś się, gdybyś zobaczył, jak sprawnie to robi. Ale ponieważ ma już kilkaset, a może kilka tysięcy lat, nie lubi się wysilać.

Nagle, choć wydawało się, że wciąż jeszcze są w bezpiecznej odległości od Granfera, koniec ogromnej macki okręcił się wokół bańki.

Usłyszeli piskliwy dźwięk wydawany przez przyssawki i zaciskające się ramię, usiłujące zmiażdżyć ich pojazd.

Skoro jednak Jim zastrzegł w czarach, że bańka ma wytrzymać każde ciśnienie, zniosła i ten nacisk. Po chwili macka opadła i zniknęła w mule.

–Widzę, że przyprowadziłeś maga, Rrrnlfie – odezwał się czysty, zadziwiająco wysoki

głos.

Diabeł Morski zaśmiał się donośnie.

–Jak to odgadłeś, Granferze?

–Nie śmieć się z takich słabych, starych istot jak ja – zapiszczał głos. – Wiesz, że muszę wciąż jeść, żeby utrzymać się przy życiu.

Nadal opadali w kierunku ogromnego korpusu kałamarnicy. Kiedy podpłynęli jeszcze bliżej, Jim spróbował zobaczyć, co ten potwór trzyma w dwóch mackach przed jedynym, ogromnym okiem.

Było to coś ciemnego i niedużego. Po chwili Jim zdał sobie sprawę, że przedmiot tylko wydaje się niewielki w porównaniu z ogromem ciała kałamarnicy. Przedmiotem tym była książka, i to w dodatku otwarta. Wyglądała jak znaczek pocztowy w zestawieniu ze stworem, ale oczy nie myliły Jima.

Granfer czytał.

Rozdział 14 Książka, która w rzeczywistości musiała być kolosalnych rozmiarów, nagle zniknęła.

Jim zamrugał powiekami. Nie zarejestrował najmniejszego ruchu macki, która ją trzymała. Zaczął powątpiewać, czy faktycznie monstrum trzymało jakąkolwiek księgę.

Miał jednak jeszcze przed oczami ten widok. Jedyne logiczne wytłumaczenie mogło być takie, że kiedy mrugnął oczyma, Granfer ukrył książkę za sobą.

Co jednak to morskie stworzenie robiło z tak niezwykle ciężkim, opasłym tomiskiem, które bez wątplenia musiało zostać stworzone przez ludzi i mogło pochodzić tylko z zatopionego statku?

Niektóre średniowieczne książki, pisane i oprawiane ręcznie, osiągały takie rozmiary. Stanowiły jednak w tych czasach rzadkość. Praca związana z odręcznym napisaniem lub choćby przepisaniem jednej książki zajmowała znaczną część ludzkiego życia.

Opadli jeszcze niżej, zatrzymując się naprzeciw wielkiego oka Granfera. Smoczy Rycerz nie byłby nawet w stanie wyobrazić sobie tak ogromnego oka. Jak stwierdził, miało rozmiar niewielkiego basenu.

Ich bańka zawisła w wodzie na wypowiedziane w myśli zakłęcie Jima, gdy ujrzał, że Rrrnlf zatrzymał się.

–To niedobrze, że próbowałaś zjeść małego Maga i jego przyjaciół – zahuczał Diabeł Morski.

–Masz rację. Powinni mi wybaczyć – zabrzmiał falset Granfera.

Jim nie potrafił określić, skąd się wydobywał. Może to miejsce było niewidoczne i znajdowało się na dole, skąd wyrastały macki i gdzie musiał znajdować się otwór gębowy?

–Po prostu jestem przez cały czas potwornie głodny – dodał.

Jednocześnie Smoczy Rycerz dostrzegł, że wlecze stworzenie przypominające czterometrową mantę, które szybko zniknęło pod masywem ciała Granfera, tam, gdzie znajdował się otwór gębowy głowonoga.

Jim napisał szybko na wewnętrznej stronie czoła zakłęcie sprawiające, iż Granfer poczułby mdłości już na samą myśl o połknięciu człowieka. Jeśli był on w stanie pożreć coś o rozmiarach wieloryba-zabójcy, o czym wspomniał Carolinus, to równie dobrze, przy odrobinie wysiłku, mógł także połknąć ich pojazd.

–Doprawdy, to dla mnie ogromna niespodzianka spotkać żywych mieszkańców lądu. Czasami widuję ich na powierzchni morza, ale rzadko tam bywam. Przypuszczam, że przybyłeś tu, mały magu, bo z jakiegoś powodu chciałeś się ze mną zobaczyć.

Jim miał zamiar wyjaśnić Granferowi, iż właściwie nie jest magiem. Stwierdził jednak, że nie zaszkodzi, jeśli zostanie oceniony wyżej, niż na to zasługiwał.

–Przybyłem tu głównie z ciekawości – rzekł. – Słyszałem, że jesteś najstarszym i najmądrzejszym stwo-rem mórz, a bardzo chciałem porozmawiać z kimś ta- kim.

–Ach, no cóż... – zaczął głowonóg.

Równocześnie połknął ogromną rybę.

–To tylko kwestia sumy wspomnień i pamiętanych zdarzeń. Ale cóż ja mógłbym wiedzieć takiego, co inte- resowałoby ciebie, mały magu?

Jim zawahał się. Zamierzał dążyć stopniowo do celu, ale trudno było prowadzić rozmowę kilkaset metrów pod powierzchnią wody, na dodatek z największą na świecie kałamarnicą. Zbyt wiele dzieliło ich, aby mogli prowadzić pogawędki.

–Tak się składa, że istnieją dowody świadczące o obec- ności węży morskich na wyspie, na której żyję ja i moi towarzysze.

–Jeden z nich to silkie, prawda? – zapytał Granfer.

–To ja! – odparł Giles.

Wcale nie wstydził się swej krwi silkie, choć nie rozgłaszał tego wszystkim.

–Tak właśnie przypuszczałem – stwierdził kraken, połykając jednocześnie kolejną dużą rybę.

Aby je zdobyć, sięgał mackami poza zasięg rybiego wzroku Jima.

–Rozróżniam tę krew. Jestem w stanie wyczuć ją w każdym mieszkańcu lądu – ciągnął Granfer.

–Mówiliśmy o węzach morskich – przypomniał Jim.

–Ach tak, o węzach. Jeden z nich zawsze do mnie wpada na pogawędki. Nie obawiają się mnie tak bardzo, głównie dzięki swym rozmiarom. I, szczerze mówiąc, nie sądzę, by mi smakowały. Mógłbym jeść tylko dorsze. Nie ma nic lepszego od nich.

–Więc może wiesz, dlaczego pojawiło się nagle tyle węży morskich wokół naszej wyspy?

–To ta wyspa o wymyślnych kształtach – wtrącił Rrrnlf. – Obok ogromnego lądu, który ciągnie się gdzieś w nieskończoność.

–Tak, tak, domyśliłem się, o jakiej wyspie mówił mały mag – rzekł Granfer.

Westchnął. Był to niezwykle, jękliwy odgłos, który zdziwił Jima.

–Owe węże to stworzenia prowadzące samotniczy tryb życia. Niemal tak jak Diabły Morskie, prawda Rrrnlfie? – zapytał kraken.

–Znacznie większe od nas samotniki. Jeśli zbierają się razem, przeczy to ich naturze, ale widać jest po temu jakiś ważny powód.

–O co im chodzi? – zapytał Jim.

–Jest pewien powód – przyznał Granfer. – Staralem się nawet je uspokoić. Nie odniosło to jednak skutku.

Zaledwie kilka dni temu smok z tego samego lądu co ty, mały magu – imieniem Gleingul – zdołał w pojedynkę zabić węża morskiego u wybrzeży miejsca zwanego Szarymi

Piaskami...

–To było sto lat albo jeszcze więcej temu, Granferze – wtrącił Rrrnlf.

–Tak dawno? W każdym razie rozsierzdziło je to.

Zawsze im powtarzam, gdy rozmawiamy, iż za bardzo biorą sobie wszystko do serca.

Ale tym razem nie słuchają mnie i gotowe są oczyścić ten ląd ze wszystkich smoków.

Oczywiście mają także na uwadze ich skarby.

–To dziwne – zahuczał Rrrnlf – że zarówno smoki jak i węże gromadzą skarby.

–Tak więc nie ma sposobu na ich powstrzymanie.

Zamierzają działać wspólnie, licząc na wsparcie pewnego mieszkańca lądu, małego magu.

Żyje on na lądzie, który, jak mówi Rrrnlf, ciągnie się niemal w nieskończoność.

–Chyba wiem, o kogo ci chodzi – rzekł Jim.

–Przebywa teraz u zachodnich jego wybrzeży i chce zdobyć twoją wyspę. Ustalił już z węzami morskimi, żeby równocześnie zaatakować wyspę. Wraz ze swymi stronnikami zniszczy tobie podobnych, zaś węże zajmą się smokami.

–Rozumiem – odrzekł Jim.

Granfer łgał jak z nut. Carolinus wyraźnie powiedział, że Ecotti nie może być Geniuszem.

–To pociąga jednak za sobą mnóstwo pytań – dodał.

–Chyba na jedno mogę odpowiedzieć od razu – powiedział Granfer. – Ten ktoś jest także magiem.

–Wiem, o kogo ci chodzi, ale on nie jest magiem. To tylko czarnoksiężnik. A to istotna różnica.

–Różnica? – powtórzył kraken. – No cóż, rzadko dowiaduję się o czymś, czego jeszcze nie wiem. Nie wiedziałem, że są różne rodzaje magów.

–Bo nie ma. Są magowie i czarnoksiężnicy.

–Ale wszyscy oni posługują się magią, prawda? Co zatem ich różni?

–Żeby dokładnie to wyjaśnić, potrzebny jest mag z większą wiedzą niż moja – rzekł Jim.

–Wiem jednak, o kim mówisz. Nazywa się Ecotti.

–Och – Granfer westchnął ponownie. – Mały magu, to zadziwiające, jak trafnie odgadłeś jego imię.

–W jaki sposób Ecotti kontaktuje się z węzami morskimi?

–Wiesz – zaczął Granfer – mówiłem, żeby tego nie robiły. Powiedziałem, że to im się nie uda. "Ta wyspa musi mieć co najmniej jednego potężnego maga" – powtarzałem. – "A wtedy co stanie się z tobą?" – pytałem. Ale on mnie nie posłuchał.

–Kogo masz na myśli mówiąc "on"? – zapytał Smoczy Rycerz.

–Nie wiem, czy życzyłby sobie, abym powiedział wam, kim jest. A właściwie czy ma to dla was jakieś znaczenie?

–Jeśli wiedziałbym, o kim mówisz, Rrrnlf pomógłby mi w znalezieniu go...

–Mogę znaleźć każdego i wszystko w każdym z oceanów – rzekł ponuro olbrzym. – A mając wystarczająco dużo czasu, także w każdym miejscu na lądzie. Nic nie powstrzyma Diabła Morskiego.

–Zrobiłbyś to, Rrrnlfie? – zapytał Granfer najśłodszym tonem, na jaki mógł zdobyć się stwór jego rozmiarów.

–Jestem dłużnikiem tego maga. Poza tym on może pomóc mi znaleźć złodzieja mojej

Damy. Wiem, że ukradł ją właśnie wąż. I znajdę go, nie bacząc, kim jest. A kiedy go dopadnę...

–Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, chłop- cze – przyznał Granfer pojednawczo. – Ani przez chwilę w to nie wątpię...

–Chwileczkę, Granferze – wtrącił Jim. – Wciąż nie odpowiedziałeś mi, jak Ecotti porozumiał się z węzami morskimi w sprawie pomocy Francuzom, bo tak nazywają się ludzie z dużego lądu, o których mówiłeś.

–Och, tak dużo pytań. Przez te wszystkie wieki tak dużo na nie odpowiedziałem, że nieraz wydaje mi się...

Macki głowonoga poruszały się błyskawicznie, tworząc sieć, która pochwyciła ich bańkę i wtłoczyła w muł. Jim i jego towarzysze znaleźli się w zupełnej ciemności.

–Pomyślę nad tym pytaniem – dotarł do nich stłu- miony głos krakena.

Jim poleciał bańce, aby przemieściła się. Drgnęła lekko, ale ponieważ znajdowała się pod Granferem, nie mogła się uwolnić.

Wszystko szło nie tak jak trzeba. Bańka wytrzymywała każde ciśnienie, lecz znajdując się pod kałamarnicą, w mule, nie była w stanie się poruszać.

Granfer nie należał do Naturalnych i dlatego nie posiadał takich wrodzonych zdolności jak Diabły Morskie, pozwalających przemieszczać się w wodzie z ogromną szybkością.

Nie miał też, oczywiście, tego rodzaju możliwości, jakie czarnoksiężnik Ecotti otrzymał od Ciemnych Mocy. Chyba że, co było zbyt nieprawdopodobne, Granfer także im się zaprzedał.

Było to nie do pomyślenia, ponieważ czynili tak wyłącznie ludzie, a nie zwierzęta, z wyjątkiem smoka Bryagha, który uprowadził Angie do Twierdzy Loathly. A ta ogromna kałamarnica ponad nimi była zwierzęciem.

Nic jednak nie zmieniało faktu, że zostali uwięzieni.

Poprzez muł nie byli w stanie usłyszeć głosów Granfera i Rrrnlfa, którzy mogli gratulować sobie teraz pochwycenia trzech towarzyszy lub też klócić się. Diabeł Morski sprowadził ich tu bowiem w dobrej wierze, pewny ich bezpieczeństwa.

Bańka pozostawała nieruchoma. "Cóż" – pomyślał Jim – "zajmijmy się wszystkim we właściwej kolejności." Na wewnętrznej stronie czoła napisał krótkie polecenie konieczne do oświetlenia bańki.

Nagle wokół nich zrobiło się jasno. Chociaż było to bardzo delikatne oświetlenie, w miarę jak ich oczy przyzwyczajały się do niego, widzieli coraz lepiej. Jim przede wszystkim spojrzał na Briana i Gilesa, ciekaw, jak to wszystko znoszą.

Wyglądali całkiem dobrze, co stanowiło dla niego miłą niespodziankę. Byli podekscytowani, wręcz rozentuzjaz- mowani, co wydawało się zadziwiające w porównaniu z przestrachem okazywanym podczas podróży w strefie niebieskiej iluminacji.

Jim pojął jednak w czym rzecz. Wtedy nie mieli żadnego wpływu na sytuację. Co gorsza, nie wiedzieli, jak długo jeszcze będą znajdować się w takim położeniu. Wszelkie ich umiejętności były całkowicie bezużyteczne.

Teraz jednak, choć ich zdolności wciąż były nieprzydatne, coś jednak się działo. Nie ulegało wątpliwości, że Granfer postanowił ich nastraszyć. Wszelkie działania Jima mogły nie przynieść pożądanego rezultatu, ale istniała pewna szansa. W ostateczności mieli przed

sobą godną śmierć, co polepszyło ich nastroje.

|- Z jakiegoś powodu nie mogę posłużyć się bezpośrednio magią – poinformował Jim rycerzy. – Nic jednak nie przeszkadza użyć jej pośrednio.

Przez chwilę pomyślał o rozgrzaniu bańki do czerwoności, aby Granfer, nie wytrzymując wysokiej temperatury, puścił ich. Brakowało mu jednak praktyki i nie znał odpowiedniego zaklęcia.

Nagle przyszedł mu do głowy całkiem inny pomysł.

–Trzymajcie się. Zamierzam umieścić parę łap do kopania w dolnej części bańki.

Swój pomysł zawarł w dwóch zaklęciach, które napisał na czole.

DWIE ŁAPY DO KOPANIA NA DOLE BAŃKI ŁAPY NA TYLE DUŻE, ABY ZROBIĆ TUNEL DLA BAŃKI Pod ich stopami nagle zajaśniało. Spoglądając w dół, Jim dostrzegł coś, co przypominało dwa kawały metalu zagłębiające się w muł.

Jim napisał kolejne polecenie: KOP PROSTO W DÓŁ SZEŚĆ METRÓW Łapy zaczęły drążyć. Bańka spływała łagodnie w dół, jak piórko w powietrzu, nie kołysząc się jednak tak jak ono. Nagle zatrzymali się. Niemal nie słyszeli już głosów nad sobą.

Jim napisał szybko na wewnętrznej stronie czoła: PRZENIEŚ ŁAPY DO POZIOMU KOP TUNEL ROZMIARU BAŃKI – PIĘTNAŚCIE METRÓW PRZEMIEŚĆ BAŃKĘ NA KONIEC TUNELU PRZENIEŚ ŁAPY NA GÓRĘ BAŃKI KOP W GÓ...

Urwał, nagle przypominając sobie o czymś. Była to forma zaklęcia, którego Malvinne – były minister-mag króla Francji – użył w stosunku do nich, gdy schwytał ich w swym zamku.

Jim wskazał ręką kierunek, w którym musiał znajdować się Granfer. Jednocześnie napisał na czole zaklęcie: BEZRUCH Od pewnej chwili nie słyszeli żadnych głosów. Nagle dotarł do nich słaby, piskliwy dźwięk.

Jim uśmiechnął się.

KOP W GÓRĘ DO OTWARTEJ WODY Bańka ruszyła w górę.

Jim uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie. Po raz pierwszy zetknął się z czarem bezruchu, kiedy użył go Malvinne, który nie był czarnoksiężnikiem, ale, jak ujął to Carolinus, "magiem, który zszedł na złą drogę". Miał klasę AAA i był magiem cenionym przez Wydział Kontroli, zanim zaprzedał się Ciemnym Mocom.

Dlatego dysponował tylko zwyczajną, nieagresywną magią. Ale polecenie bezruchu nie musiało być użyte wyłącznie dla ułatwienia ataku. Mogło zostać wykorzystane na przykład do zatrzymania kogoś, komu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. W każdym razie poskutkowało teraz w przypadku Granfera.

W tym momencie pojazd opuścił tunel i znaleźli się w wodzie.

Ponieważ iluminacja wewnątrz bańki powodowała, iż wszystko poza nią było zupełnie czarne, Jim polecił: WYŁĄCZ ŚWIATŁA Minęła chwila, zanim ich oczy dostosowały się do naturalnego światła.

Naprzeciw siebie ujrzeli Diabła Morskiego z ustami otwartymi ze zdziwienia. Granfer wyglądał jak uprzednio, z tą tylko różnicą, że żaden mięsień jego ciała nawet nie drgnął. Byli pozbawieni możliwości ruchu.

–A teraz – rzekł Jim do Granfera – powiedz mi, jak Ecotti zdołał skontaktować się z węzami morskimi?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uświadomił sobie, że czar bezruchu uniemożliwia

również mówienie. Uczynił niewielką, konieczną poprawkę, przywracającą głowonogowi głos, ale nic poza tym.

–Jak mogłeś to zrobić takiej starej, biednej istocie jak ja? – rozległ się głos Granfera. – Staremu stworzeniu, które pragnie tylko mieć spokój, jeść i nie zwracać niczyjej uwagi! Umrę z głodu!

–Odpowiedz wreszcie na moje pytanie – polecił surowo Jim.

Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że nie słyszy własnego głosu. Widocznie bezruch nie mógł być łączony ze zmuszeniem do mówienia, ponieważ stawał się wówczas agresywną magią. Jim spróbował uzyskać to samo w sposób bardziej łagodny i tym razem jego głos zabrzmiał normalnie.

–Mów, Granferze – zachęcił go. – Jeśli zadowolili mnie twoja odpowiedź, oswobodzę cię. Zamilkł. Kraken także nie odzywał się przez dłuższy czas.

–Prawdę mówiąc – powiedział wreszcie ponuro – tłu- maczyłem mu...

–Mu? To znaczy komu? – zagrzmiał Rrrnlf.

–Essesilemu – skapitulował Granfer.

–Temu wężowi! Wiedziałem! Kiedy rozmawiał z tobą, czy miał ze sobą moją Dame?

r – Niestety nie. Przybył do mnie po prostu tak, jak cała reszta, i opowiedział w jaki sposób węże morskie chcą pozbyć się wszystkich smoków z waszej wyspy. Powiedziałem, że nie mają racji i że powinny się zastanowić. Ale on upierał się przy swoim. W końcu poradziłem więc, żeby skontaktował się z tym Francuzem, który jest magiem.

–Jest czarnoksiężnikiem – poprawił go Jim lodowatym tonem.

–Och, tak. Wybacz staremu. Ten czarnoksiężnik nazy- wa się Eketry, czy Etoki.

Mówiłeś już o nim wcześniej.

–Co poradziłeś Essesilemu w kwestii namówienia innych węży do pomocy Ecottiemu.

–Och, co teraz ze mną będzie! – zawołał Granfer głosem tak żalnym, że Jim przez chwilę nawet mu współczuł. – Ja, który przez tyle wieków nigdy nie zawiodłem niczyjego zaufania, mam teraz to zrobić. A jeśli nie, na zawsze zostanę w tej pozycji. Nie będę mógł łapać ryb i ich jeść. Umrę śmiercią głodową. Och, cóż mam robić?

–No...

–Powiedziałem, żeby obiecał Ecottiemu twoją Dame, Rrrnlfie. Umieścili na niej kosztowności, które według istot żyjących na lądzie warte są fortunę. Nigdy nie zamierzał naprawdę mu jej dawać, Rrrnlfie. Tylko obiecał ją – tłumaczył się Granfer.

–A więc to dlatego mi ją ukradł!

–Nie, nie tylko z tego powodu! – W głosie głowonoga znowu zabrzmiał strach. – Od dawna zazdrościł ci posiadania Damy. Chciał ci ją wykraść, ale nie wiedział, jak to bezpiecznie zrobić. Poprosił, żebym udzielił mu kilku rad.

–A ty to zrobiłeś? – zapytał groźnym tonem Diabeł Morski.

–Pod pewnym warunkiem. Dla dobra wszystkich – bronił się jak mógł Granfer. – Starłem się wyperswadować mu to nonsensowne zebranie wszystkich węży morskich. prawdopodobnie tylko jego mogłyby posłuchać. Oszukał mnie. Wysłuchał moich rad na temat Damy, po czym oświadczył, że już zdecydował o udziale wężów w inwazji!

–Dlaczego? – zapytał Jim.

–Oznajmił, że pokaże im Dame i opowie, jak dużo złota i kosztowności mogą zdobyć na

smokach z waszej wyspy.

–Rozumiem – stwierdził Jim. – Więc...

Ubiegł go jednak Diabeł Morski.

–Więc to tak! – warknął. – Teraz przypominam sobie. Zawołał mnie z ukrycia jakiś wąż morski. Zdziwiłem się tak bardzo, że zostawiłem ją na chwilę. A kiedy wróciłem, już jej nie było.

–Essessili zwerbował pewnie drugiego węża do pomocy – wyjaśnił Granfer.

–Znajdę go. Znajdę je obydwaj! – poprzysiągł Rrrnlf. – Nie będzie takiego miejsca w morzach i na lądach, gdzie mogłyby się przede mną schronić! Odzyskam ją własnością!

Ku zdziwieniu Jima, w oczach Diabła Morskiego zalśniły łzy.

–Tak ją kochałem! – rozczulił się Rrrnlf. – I pomyśleć, że on trzyma ją w tych brudnych, węzowych splotach!

–W porządku – rzekł Jim i zwolnił Granfera z czaru bezruchu. – Tego właśnie chciałem się dowiedzieć. Teraz jesteś wolny.

Macki Granfera poruszyły się. Wyciągnął je, aż zniknęły im z oczu w zmaconej wodzie.

–Ach – westchnął Granfer z ulgą.

–Cóż, Rrrnlfie, wracajmy. Dziękuję za informacje, Granferze, mimo że musiałem je z ciebie wydobyć w ten sposób.

–Może wszystko ułoży się dobrze – stwierdził Granfer, ciągnąc dwustukilową rybę i tykając ją tak, jak człowiek zrobiłby z orzechem laskowym.

–Wracajmy, Rrrnlfie – rzekł Jim.

Diabeł Morski ruszył natychmiast, a oni podążyli za nim. I teraz nie czuli przyspieszenia, ale jasne było, że schodzą gwałtownie w dół. Żołądki podeszły im do gardeł, jak w szybko opadającej windzie.

Rozdział 15 Och! – krzyknęła Angie.

–To tylko ja – uśmiechnął się Jim.

Chciał wziąć ją w ramiona, ale odsunęła się.

–Co ty tu robisz? – zapytała zdumiona.

–Cóż, wróciłem. To znaczy...

Nagle zdał sobie sprawę, jak Angie musi być zaskoczona.

Przecież wyobrażała sobie, że jest on teraz gdzieś na drugim końcu świata.

–Tego nie da się tak łatwo wyjaśnić w kilku słowach – ciągnął.

Spróbował jednak. Bańka okazała się wspaniałym pojazdem, uznał więc, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby doniosła ich aż do zamku. Może Rrrnlf zrobiłby to szybciej, ale opuścił ich na brzegu morza, pragnąc jak najszybciej znaleźć Essessilego.

Pomysł użycia bańki do lewitacji był dość prosty.

Trudniej było go wprowadzić w życie.

Jim wymyślił w końcu odpowiednie zaklęcia, umożliwiające poruszanie się w powietrzu na dużej wysokości, gdzie przezroczyłość i niewielkie rozmiary pojazdu czyniły ich niemal niewidocznymi. Po krótkim locie udało mu się osadzić bańkę na najwyższym tarasie wieży zamkowej, gdzie wartę pełnił tylko jeden zbrojny.

Dzięki magii wartownik w ogóle niczego nie zauważył.

Zeszli po schodach do pomieszczeń zamkowych i Jim skierował się w lewo, do

krótkiego korytarza wiodącego do małżeńskiej sypialni, zaś swych towarzyszy odesłał piętro niżej, aby ukryli się w pokoju Gilesa.

Na szczęście zastał Angie w sypialni. Rozchmurzyła się, kiedy tylko opowiedział jej wszystko, co się zdarzyło.

–Więc teraz już będziesz ze mną – powiedziała. – Dzięki Bogu!

–Niestety nie – odrzekł z zakłopotaniem. – Pamiętasz, że John Chandos żądał, byśmy pojechali do Francji.

Wciąż jest to aktualne. Chciałem jednak powiedzieć Carolinusowi, czego dowiedzieliśmy się od Granfera. Może to ułatwi nam poszukiwania.

Angie ponownie zmarkotniała. Jej dłonie zacisnęły się w pięści.

–Wiedziałam! Nie musiałeś wpadać tu bez ostrzeżenia, podczas gdy ja myślałam, że jesteś gdzieś daleko!

–No cóż – zaczął najłagodniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. – Gdybym wiedział, że tu jesteś, zawołałbym z korytarza: "Angie, wróciłem!" Ale skoro nie wiedziałem, po prostu wszedłem, spodziewając się, że komnata jest pusta. A więc przestraszyłem cię?

–Nie przestraszyłeś mnie! – rzekła ze złością. – Tylko zaskoczyłeś!

–Zgoda. Zaskoczyłem cię. W każdym razie wróciłem.

Podobnie jak Brian i Giles. Odesłałem ich do pokoju Gilesa, żeby się ukryli. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli tylko ty i Carolinus dowiedziecie się o naszej obecności. Może jeszcze Sir John, jeśli tu jeszcze jest.

–Wyjechał zaraz po was. Nie sądzę, aby towarzystwo Carolinusa zbytnio mu odpowiadało.

Zawahała się.

–Wiesz, Jim... Jeśli chodzi o Carolinusa, to myślę, że choroba jakoś go zmieniła. Czuje się już lepiej, ale nigdy nie zachowywał się aż tak niesympatycznie jak ostatnio w stosunku do Sir Johna.

–Nie sądzę, aby tym zbytnio zmartwił Chandosa.

Carolinus to Carolinus. Może już chodzić, czy ciągle jeszcze leży? Kiedy go ostatnio widziałem, normalnie siedział przy stole.

–Wciąż wyleguje się w łóżku, chociaż mógłby chodzić – wyjaśniła z irytacją Angie. – Nic mu nie jest. Jeśli chcecie się z nim widzieć, powinniście pójść do niego. Ale po co masz jeszcze jechać do Francji?

–Mówiłem ci już. Jestem posłusznym lennikiem króla...

–Och, wiem o tym! – przerwała Angie. – Wciąż wydaje mi się, że Sir John potrzebuje tylko pewnych informacji i nie obchodzi go, co stanie się z tobą.

–Nie zapominaj o Brianie i Gilesie. Z nimi jestem znacznie bezpieczniejszy.

–Oczywiście i ich mam na myśli. Brian jest przecież moim przyjacielem, a Giles, jak mówisz, jest twoim od-danym druhem. Ale poza tym...

Nagle urwała.

–Och, zapomniałam ci powiedzieć. Przybył tu także Dafydd. Czy chcesz, żeby był przy rozmowie z Carolinusem?

–Co on tu robi? Myślałem, że wyjedzie, jak tylko my znikniemy.

–Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale nie było was cztery dni...

–Naprawdę? – zdziwił się Jim.

Czas, który spędzili pod wodą, przekraczając ocean i rozmawiając z Granferem, mierzyli godzinami, a nie dniami.

Widocznie magia, używana zarówno przez Carolinusa jak i Rrrnlfa, wiązała się z zakłóceniem poczucia czasu.

Diabeł Morski, będąc Naturalnym i mogąc poruszać się pod wodą szybciej niż samolot odrzutowy, być może potrafił także płać figle z czasem.

Może w rzeczywistości przepłynięcie oceanu zajęło im cały dzień. A może to dlatego Rrrnlf tak szybko od- powiedział na jego wezwanie. Powinien zapytać Diabła, gdzie był, gdy usłyszał zawołanie.

–Dafydd wyjechał tuż po was. Ale kiedy po powrocie do domu cały czas chodził osowiały, Danielle postanowiła puścić go z wami. Tak miała tego dość, że go wręcz wypędziła. Przyjechał więc tu w nadziei, że Carolinus wyśle go do was bez względu na to, gdzie się znajdujecie. A skoro wróciliście, bez trudu może do was dołączyć.

–To cudownie!

Dafydd nie tylko zwiększał ich siłę o jedną czwartą, a biorąc pod uwagę jego łuk – pomnażał ją wielokrotnie.

Jego spokój i opanowanie stanowiły przeciwwagę dla porywczosci Briana i Gilesa, którzy, jak większość rycerzy, kierowali się impulsem i mówili to, co czuli w danej chwili.

Dafydd przynajmniej zawsze wysłuchał do końca tego, co mu się mówiło.

–Dlaczego więc Carolinus nie wysłał go za nami? – A tak w ogóle, to kiedy Dafydd wrócił?

–Wczoraj – wyjaśniła Angie. – Carolinus powiedział mu, że powinien poczekać tutaj na wasz powrót. Czeka więc cierpliwie. Znasz go. Kiedy ma wolny czas, siada i robi strzały. Oczywiście od czasu do czasu dla uroz- maicenia zajmuje się łukiem. Musiałam huknąć na nasze służące, żeby zostawiły go w spokoju. Wiesz jaki jest.

Przyciąga kobiety jak światło ćmy.

–I ciebie też? – zapytał Jim, nagle odczuwając za- zdrość.

–Oczywiście, że tak – przyznała, uśmiechając się nieco ironicznie. – Ale kocham ciebie.

–Całe szczęście – mruknął.

Nachylił się ku niej, a ona tym razem nie opierała się.

–Lepiej być zrobiła – zaczął Jim, gdy ich usta oderwały się od siebie – gdybyś wysłała służącego, by odszukał Dafyddem i sprowadził go tutaj. Carolinus jest w swoim pokoju?

–Tak.

–To dobrze. Tam się zbierzemy. Każdy sługa przezor- nie zapuka do drzwi, zanim odważy się wejść do pokoju Maga. Nie mów nic Dafyddowi o tym spotkaniu, póki nie będziecie tylko we dwoje. Pójdę teraz po Gilesa i Briana i zapewne zastaniesz nas już u Carolinusa, kiedy zjawisz się tam z Dafyddem. W ten sposób nikt niepowołany nie dowie się, że tu jesteście.

–W porządku – zgodziła się Angie, ale z tonu jej głosu można było wnioskować, że wciąż jest przeciwna wyjazdowi męża do Francji. – Przyjdę do pokoju Caro- linusa razem z Dafyddem.

–Dobrze. Chodźmy więc.

Rozstali się na schodach. Jim zszedł do pokoju Gilesa.

Przyjaciele siedzieli przy stole i grali w kości o drobne monety. Tak niska stawka wynikała z tego, że Giles dostosował się do możliwości finansowych Briana. Stary zamek Smythe wymagał natychmiastowych napraw, ale Brian nie miał żadnych dochodów, z wyjątkiem pieniędzy wygrywanych na turniejach.

Na widok Jima obaj wstali, a Giles schował kości do sakiewki u pasa.

–Teraz spotkamy się z Carolinusem – poinformował ich Jim.

Powtórzył też to, czego dowiedział się od Angie. Ich twarze rozjaśniły się. Lubili Dafydd, choć czasem czuli się skrępowani jego niskim statusem społecznym. Nie mogli opanować swych uczuć pomimo faktu, iż Mali Ludzie na granicy szkockiej pamiętali o jego koneksjach ze starożytnym rodem królewskim. W takim duchu zostali wychowani.

Łucznik nie pasował do rycerzy.

Jim wyjaśnił sytuację.

–A więc teraz powinniśmy pójść do Carolinusa – za- kończył.

Kiedy weszli do pokoju Maga, Carolinus siedział na brzegu łóżka w czerwonej szacie oraz szpiczastej czapce i z jakiegoś powodu budował na stole zamek z gliny, przypominający kształtem rodzinny dom Gilesa – zamek de Mer. Sam stół był podobny do tego, na którym Giles i Brian grali w kości. – - A, jesteście! – rzekł Carolinus, przyklejając kolejny kawałek gliny. – Siadajcie i opowiadajcie, co się zdarzyło.

W swej zwykłej szacie wyglądał tak jak zawsze.

–Myślałem, że wiesz już o wszystkim. Oczywiście dzięki magii – zauważył złośliwie Smoczy Rycerz.

–Jimie – sapnął Carolinus. – będąc magiem klasy C, co ty właściwie wiesz na temat magii...

W jego głosie zabrzmiała nie skrywana irytacja.

Carolinus zdał sobie sprawę z własnego tonu i dalej mówił już normalnie.

–Wystarczy, że chcę, abys opowiedział mi, co się wydarzyło.

Jim przedstawił przebieg wyprawy. Kiedy skończył, zapadła cisza.

–Jak zauważyłeś, niewiele się dowiedziałem – pod- sumował Jim.

–Wprost przeciwnie, mój chłopcze. – Mag zadowolony podkreślił węża. – Dowiedzieliśmy się dużo. Wiemy, że musimy odszukać dwie istoty. Jedną jest Essessili, wąż morski...

–Rrrnlf wyruszył już na jego poszukiwanie – wyjaśnił Jim. – Rozstając się z nami na plaży powiedział, że sprowadzi go tu nie rozrywając na strzępy, dopóki nie zadamy mu kilku pytań. Właściwie nie wiem, jak mógłby uczynić to z wężem morskim. Przecież taki potwór waży kilkakrotnie więcej niż on.

–Ale zapominasz, że on jest Naturalnym! – powiedział Carolinus zwykłym sobie, opryskliwym tonem. – I nie przerywaj mi. Jak już mówiłem, potrzebujemy dwóch istot: węża morskiego – Essessilego i Ecottiego. Rrrnlf znajdzie węża. Ty musisz znaleźć Ecottiego i wypytać go.

–O co? – zapytał Jim, ale zanim Mag odpowiedział, drzwi otworzyły się i do komnaty weszła Angie z Dafyddem.

–Może przeszkadzam, Carolinusie? – zapytała Maga.

–Ależ skąd, moja droga. Warto, żebyś posłuchała naszej rozmowy.

–Dafydd! – krzyknął Brian, zrywając się ze stołka, a Giles poszedł w jego ślady. Zaczęli się ściskać i po- klepywać po plecach. Wszystko to Dafydd znosił z uśmie- chem, choć w jego oczach kryła się pewna rezerwa. Nigdy nie był zbyt wylewny, a takie powitanie, szczególnie po tak krótkim rozstaniu, wyraźnie peszyło go.

Po chwili rycerze zasiedli ponownie na swych miejscach, a Brian zmusił Dafydd, aby zająć miejsce obok nich. Nie było więcej stołków, więc łucznik usiadł po turecku na podłodze. Uwaga wszystkich znów skierowała się na Maga.

–Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Carolinusie – rzekł Jim.

–Myślałem, że już to zrobiłem. Jeśli jednak musisz wszystko mieć wyłożone w szczegółach, powtórzę to, co już ci kiedyś mówiłem: do tworzenia magii potrzebna jest siła fizyczna. Muszę skoncentrować wszystkie siły, na jakie mnie stać. Chcę przetransportować was, wasze rzeczy i konie do Francji, posługując się magią.

W pokoju przez moment panowała cisza.

–Tak się składa, że wciąż mam tę bańkę... – rzekł Jim.

–Wiem o tym! – warknął Carolinus. – Ale tak się składa, że już ją zniszczyłem. Mogła nie być widoczna dla ludzkich oczu, ale również inni mogą nas teraz obserwować.

I posłuchaj: uważaj na każdy czar, który nie zadziała w spodziewany sposób. Będzie to oznaczało, że miesza się w to Geniusz. W tym przypadku najważniejszy jest czas, a waszą bańkę należałoby jeszcze ukryć, kiedy znaleźlibyście się na miejscu. Nie, nie, ja sam zajmę się dostarczeniem was wszystkich do Brestu – chyba to tam wylądowaliście podczas ostatniego pobytu we Francji, prawda?

–Tak – odparł Jim.

–A ty, Dafyddzie, wyruszysz z nimi, prawda?

–Tak – powiedział łucznik. – Danielle stwierdziła, że nie ma zamiaru oglądać mnie takiego markotnego i mogę jechać, bylebym wrócił cały i zdrowy.

–A więc trzeba was tylko przenieść – powiedział Carolinus. – Czy macie już wszystko przygotowane?

Brian, Giles i Dafydd przytaknęli zgodnie.

–Ja muszę zabrać swój bagaż... – zaczął Jim.

–Jest już w sieni – rzekła Angie.

–Tak? W porządku. Ale czy nie działamy zbyt szybko, Carolinusie? Nie jest całkiem jasne, czego i w jaki sposób mamy się tam dowiedzieć. Zdradź, co wywnioskowałeś z mojej opowieści o spotkaniu z Granferem?

–Jedną rzecz z pewnością – zaczął Mag. – Granfer nie powiedział ci wszystkiego. Chyba sam nic więcej nie wie. Geniuszem nie może być Ecotti. On po prostu nie ma takich możliwości, co już ci wyjaśniałem. Ani ten wąż morski, Essessili, nie byłby w stanie namówić tylu po- bratymców, aby do niego dołączyli.

–A więc? – zapytał Jim.

–A więc pojedziesz do Francji, aby dowiedzieć się, kto jest tym brakującym ogniwem. Kto jest Geniuszem, który umożliwił wykorzystanie węży do inwazji. Może to być wyłącznie ktoś nie tylko bardzo mądry, ale także mający duże doświadczenie w dziedzinie magii – znacznie większe oiz Ecotti.

–Wybacz, ale powiedziałaś, że żaden mag nie jest zamieszany w tę sprawę. Jeśli Ecotti to tylko czarnoksiężnik, to któż to może być? – zapytał Jim.

–Gdybym wiedział, nie wysyłałbym cię do Francji.

–Ale od czego mamy zacząć, gdy już znajdziemy się na miejscu? Co będzie, jeżeli zapytają nas, co tu robimy?

–Opowiadaj wszystkim, że zostaliście z Anglii wygnani przez króla. Fakt, iż jeden z was jest Northumbrianinem, uczyni...

Popatrzył na Gilesa.

–...uczyni waszą wymówkę wiarygodniejszą. Później, przy pierwszej sposobności, ukradkiem pojmajcie Ecottiego i przesłuchajcie go.

–Nie jest to łatwe zadanie, Magu – rzekł łagodnie Brian. – Jeśli to tylko kwestia zabicia go...

–Nie, nie i jeszcze raz nie! – krzyknął Carolinus z irytacją. – W żadnym wypadku nie wolno wam zabić Ecottiego. Jeśli to zrobicie, nigdy nie dowiemy się, kto naprawdę za tym stoi. Musicie go tylko pojąć i zmusić do mówienia.

–Jak powiedział Brian – wtrącił Jim – nie jest to tak łatwe do wykonania, jak się wydaje.

–Wiem o tym! – stwierdził Carolinus. – Dlatego właśnie wysyłam was czterech. Wierście mi, nie znam nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Zadanie wymaga waszych indywidualnych umiejętności i ścisłej współpracy.

Musi zostać zrealizowane! Odpowiedź zna albo Ecotti, albo ten wąż morski – zapomniałem jak się nazywa...

–Essessili – odezwał się Giles, który aż do tej pory zachowywał pełne szacunku milczenie.

Imię to wymówił w ten sam sposób co Rrrnlf i Granfer.

–Tak, tak właśnie się nazywa – przyznał Mag. – On albo Ecotti mogą nam zdradzić, kim jest Geniusz. Któryś z nich musi pozostawać z nim w bezpośrednim kontakcie.

Macie jeszcze jakieś pytania? Jeśli nie, ruszajcie.

Jim popatrzył na Briana, Gilesa, Dafyddę oraz na Angie.

Wszyscy bez słowa pokręcili głowami.

–Chyba nikt z nas nie ma pytań – stwierdził Jim z odcieniem goryczy w głosie.

Nagle znaleźli się na ulicy Brestu, jakby przed chwilą zsiadli z koni, których wodze trzymali jeszcze w dłoniach.

Stali przed karczmą Green Door – tą samą, w której zatrzymali się podczas poprzedniej wizyty w tym francuskim portowym mieście.

Rozdział 16 Szlachetni panowie!

Jim podskoczyłby tak jak Angie, gdyby nie waga zbroi.

Odwrócił się i ujrzał karczmarza, którego poznali już uprzednio. Nazywał się Renę Peran. Był młodym męż- czyną, może nieco zbyt otyłym, z ciemną szczeciną na brodzie, najwidoczniej nie goloną zbyt często. W jego ciemnych oczach czaiła się podejrzliwość. Już przy pierw- szym spotkaniu widać było, że nie darzy ich zaufaniem.

Może nie lubił cudzoziemców? Jim nie bardzo rozumiał, dlaczego znaleźli się w miejscu, w którym byli znani.

Carolinus nie miał szczególnego powodu, aby przenieść ich akurat tutaj. Może zadziałały

siły, przed którymi Mag go przestrzegał? Może to wpływ Geniusza na skuteczność czarów?

W każdym razie, nawet jeśli Peran nie lubił cudzoziemców, to w tej chwili czynił wszystko, aby to ukryć.

– Witam uniżenie szlacheśnych panów! – rzekł przy- milnym tonem, rozciągając poszczególne słowa. – Pamię- tam was dobrze sprzed roku. Ale po waszym wyjeździe nic o was nie słyszeliśmy. Jesteście Anglikami, niepraw- daż? Tak, pamiętam. Co się z wami działo, szlacheśni panowie?

– Zupełnie dobrze nam się powodziło – odpowiedział Brian za całą trójkę. – Byliśmy na wschodzie, walczyliśmy z poganami. Niestety, dla wielu rycerzy mających mniej szczęścia, zakończyło się to tragicznie. My jednak żyjemy i wróciliśmy do ciebie.

Jim nigdy nie podejrzewał Briana o taką bystrość i umiejętność łgania jak z nut. Kiedy powiedział o "wscho- dzie", chodziło mu zapewne o ziemie gdzieś daleko poza współczesną Polską z czasów Jima. W czternastym wieku żyli tam poganie i rzeczywiście rycerze z całej Europy ciągnęli tam, by walczyć z nimi.

Jim nagle zaswędziała głowa. Sięgnął, aby się podrapać, i natrafił na twardą powierzchnię hełmu. Wciąż byli odziani w pełne zbroje. Nie mogło to zostać uznane przez miejs- cowych za przejaw wrogości, ponieważ większość rycerzy podróżowała właśnie tak odziana, szczególnie przemierzając dzikie tereny, na których mogli natknąć się na różne zasadzki. Poza tym, było to najbezpieczniejszym sposobem transportowania pancerza.

– Ależ wchodźcie, szlacheśni panowie – zapraszał karczmarz, ruszając przodem, wzięwszy od nich wodze. – Wchodźcie, a natychmiast zostanie wam podany dzban naszego, najlepszego na świecie wina. A ja oddam wasze rumaki w ręce stajennych.

Gospodarz wszedł na podwórzec i skierował się w stronę stajni przylegającej do karczmy, a potem, już bez koni, poprowadził ich przez wybrukowany dziedziniec do gos- pody. Swędzenie powróciło, ale Jim nie mógł na to nic poradzić. Doszedł do wniosku, że zbyt długo mieli na sobie zbroje.

Brian i Giles, zgodnie z obyczajami rycerskimi, nigdy nie skarżyli się na ciężar i niewygodę swych pancerzy. Nawet nie przyszłoby to im do głowy. Zapewne mogliby w nich także spać.

Wnętrze karczmy wyglądało tak, jak Jim je zapamiętał.

Śmierdziało tu, ale było chłodno, co ucieszyło go, podob- nie jak coraz mniej dokuczające swędzenie.

W Breście panowało lato. Przed rokiem gościli tu na wiosnę. Wtedy temperatura była znośna. Teraz jednak, w słońcu, było zdecydowanie za ciepło, szczególnie w tej przeklętej metalowej puszcze. Jim marzył o tym, by udać się do pokoju i ściągnąć z siebie zbroję. Jednakże po tak wylewnym powitaniu przez karczmarza należało zachować się uprzejmie. Mieli obowiązek przyjąć poczęstunek. Taka sytuacja wymagała od obu stron odpowiedniego postępo- wania.

Służący najwyraźniej już na nich czekał, ponieważ na stole we wspólnej izbie, do której zostali wprowadzeni, stał dzban z zielonkawymi szklankami z grubego szkła. Sługa nalał im zaraz wina i Jim pospiesznie opróżnił swą szklanicę.

W pomieszczeniu panował cudowny, jakby piwniczny chłód, a on był spragniony bardziej niż przypuszczał.

Szklanice ponownie zostały napełnione, ponieważ Brian i Giles też wychylili swe jednym haustem. Po chwili czynność tę powtórzono raz jeszcze.

Brian wyciągnął przed siebie nogi, a łokcie oparł na stole.

–Znowu dobrze ulokowaliśmy się w tej Francji – stwierdził.

–Tak – przyznał Jim. Rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma żadnego sługi. – Przy karczmarzu wykazałeś niezwykłą bystrość umysłu, Brianie.

–A cóż innego mogłoby robić trzech rycerzy z Anglii, którzy przejazdem znaleźli się we Francji? Tylko walczyć na wschodzie z poganami – rzekł i do połowy opróżnił szklankę.

Słyszając wzmiankę o trzech rycerzach, Jim przypomniał sobie o Dafyddzie. Rozejrzał się po karczmie i dojrzał łuczника z dzbanem i kubkiem przy jednym z długich stołów dla pospólstwa. Walijczyk zawsze pamiętał o swym statusie społecznym. W tym towarzystwie jedynie Smoczy Rycerz nie zwracał uwagi na podziały. Zarówno Brian jak i Giles uznali za oczywiste, iż łucznik usiadł z dala od nich.

W tej chwili dla Jima ważniejsze było co innego.

–Chciałbym pójść do swojego pokoju i zdjąć wreszcie tę zbroję – powiedział. – A wy nie zamierzacie się ich pozbyć? Mamy je na sobie już od wielu godzin, a może dni.

–Z pewnością tylko godzin – zaproponował Brian.

–Angie mówiła, że nie było nas przez kilka dni.

Mistrz kopii pokręcił głową. Pomyślał widać, że to wina magii. Jim był tego tak pewien, jakby te słowa odczytywał z jego czoła.

–Lepiej przygotujmy sobie teraz jakiś plan – ciągnął. – Najlepiej omówić go w jakimś ustronnym miejscu.

–Masz zupełną rację, Jamesie – przyznał Brian, zaglądając do dzbanu. – W każdym razie nie ma tu już wina. Po drodze każemy przynieść je sobie na górę.

Wstali. Brian oddalił się, aby zamówić wino i znaleźć sługę, który wskaże im pokój. Jim skinął na Dafydda, by poszedł wraz z nimi.

Znajdowali się sami w ogólnej sali, ponieważ było już po lunchu. Przybył sługa i zaprowadził ich do wyznaczonego pomieszczenia. Był to spory pokój, do którego zdążono już wnieść bagaże. Jim stwierdził, iż kwatery jest lepsza niż poprzednio.

–Nasz łucznik będzie spał obok progu – poinformował służącego, który przywiódł ich tutaj. W tej chwili wszedł drugi z dzbanem i kubkami. – Aha, jeszcze jeden dla niego.

Sługa wyglądał na nieco zaskoczonego, ale rycerze sami stanowili swe prawa, a inni musieli być im posłuszni.

Wyszedł bez słowa. Dafydd pozostał przy drzwiach, z dala od innych, dopóki służący nie wrócił z dodatkowym kubkiem i nie odszedł na dobre. Jim zamknął za nim drzwi.

–Siadajmy do stołu – zaproponował. – Dafyddzie dołącz do nas.

W pokoju były tylko trzy stołki, ale przysuwając niewielki, kwadratowy, toporny stół do jak zwykle jedynego łóżka, zrobili miejsce dla czwartego. Zajął je łucznik, aby pozostali nie musieli się zastanawiać, kto gdzie ma usiąść. Brian siadł z prawej strony Jima, Giles z lewej, a Dafydd znalazł się naprzeciw Smoczego Rycerza.

–Wyglądasz na czymś zaniepokojonego, Jamesie – stwierdził Brian.

Napełnił kubki, odstawił dzban i przenikliwie patrzył na przyjaciela.

–Mam jakieś niejasne podejrzenia w stosunku do naszego karczmarza. To

zastanawiające, że rozpoznał nas tak szybko, choć byliśmy tu rok temu i w dodatku bardzo krótko.

–Nie ma powodu do niepokoju – uspokoił go mistrz kopii. – Wszyscy karczmarze umieją zapamiętywać twarze gości, aby móc powitać ich jak starych znajomych, jeśli jeszcze kiedykolwiek wrócą. Czasem tylko udają, że ich pamiętają, ale ten chyba rzeczywiście nas rozpoznał. Przecież jesteśmy Anglikami we francuskim mieście.

–Ale mówimy tym samym językiem. – Jim nie mógł powstrzymać się przed wygłoszeniem takiej uwagi.

Był to jeden z dziwów tego świata. Nie tylko wszystkie istoty ludzkie, ale także zwierzęta, łącznie ze smokami, wilkami i nawet takimi stworami jak Granfer, mówiły tym samym językiem. Było to niepojęte dla kogoś ze świata, w którym nawet pięćset lat temu istniał prawdziwy mętlik rozmaitych języków.

–Tak, ale nasze konie, zbroje, broń i wszystko inne świadczy wyraźnie o tym, że jesteśmy Anglikami – rzekł Giles.

–Oczywiście – przyznał sucho Jim. – Dziękuję, że mi przypomniałeś. Więc uważacie, że nie ma się czym przejmować?

–Otóż to – powiedział Giles, a Brian dodał: – Jak już mówiłem, to umiejętność każdego karczmarza.

Myślałem jednak, że masz zamiar porozmawiać o naszym zadaniu.

–Właśnie o tym chciałem mówić, i wyłącznie w tym gronie – powiedział Smoczy Rycerz. – Najpierw muszę jednak pozbyć się tej cholernej zbroi.

–Wszyscy poczujemy się swobodniej bez pancerzy – przyznał mistrz kopii wstając.

Dafydd obserwował z rozbawieniem, jak pozbywali się blach, rzucając je w nieładzie na podłogę.

–Po co wam tyle tego żelastwa?

–Nie zawsze można stać dwieście metrów od wroga! – oburzył się Brian. – Ale jeśli trzeba podejść do niego...

Giles, pomóż mi z tym bocznym paskiem napierśnika.

Zawiązałeś ten przekłety węzeł jeszcze na brzegu morza tak, że nie rozsupłałbym go przez miesiąc.

–Po prostu zrobiłem podwójny węzeł – wyjaśnił Giles, śpiesząc przyjacielowi z pomocą.

Wreszcie pozbyli się zbroi i ponownie zasiedli do stołu, wracając do przerwanej rozmowy.

–Naszym zadaniem jest znalezienie Ecottiego – stwierdził Jim. – Najpierw musimy ustalić miejsce jego pobytu, później wymyślić sposób pojmania go mimo osłony magii i wreszcie przesłuchać go. Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to nierealne.

–Słabość serca to cecha kobiety – powiedział Brian, napełniając ponownie swój kubek. – Poznanie miejsca jego pobytu nie powinno stanowić problemu. Pozwólcie mi tylko pokręcić się po mieście i zobaczyć, czy są tu jacyś Anglicy. Istnieje spora szansa, że taki Anglik, a może nawet Francuz, z którym potykałem się na jakimś turnieju, dostarczy nam ważnych informacji w tej sprawie. Zjeździłem przecież całą Anglię walcząc swą kopią.

–Ja także mogę rozejrzeć się za rodakiem z Northumbrii – wtrącił Giles. – Jeśli znajde kogoś takiego, w tym obcym kraju będzie dla mnie jak brat, więc chętnie podzieli się każdą

wiadomością.

–Ale czy ktoś taki będzie miał informacje prosto z francuskiego dworu, bo tam niewątpliwie znajduje się Ecotti? – powątpiewał Brian. – Podczas gdy mój znajomy, z którym ścierałem się na kopie, może sam mieszkać na dworze.

–Cóż, w każdym razie istnieją spore szanse, że co najmniej jeden z nas znajdzie w tym mieście jakąś dobrze poinformowaną osobę.

Dafydd przeciągnął się i wstał.

–Jeśli chodzi o mnie, to chyba zajmę się tym, co często robię. Przesiedzę cały dzień w gospodzie i zobaczymy czego się tam dowiem. Czasem lepiej poczekać na zdobycz, niż uganiać się za nią.

Wyszedł. Giles i Brian zajęli się wdziwaniem pończoch i opończy, pod którymi umieścili jednak kolczugi. Opa- sali się rycerskimi pasami z mieczami i sztyletami po drugiej stronie, dla przeciwwagi. Dopili wino i także wyszli.

Jim poczuł, że jest potwornie zmęczony. Jakby nie spał ze cztery doby. Może naprawdę tak było, może podziałało tak wino, a może był to skutek zarówno jednego jak i drugiego. W każdym razie doszedł do wniosku, że musi się przespać.

Wydostał ze swych juków materac wykonany przez Angie i rozłożył go na podłodze. Był to jedyny sposób na uniknięcie robactwa. To niewielkie łóżko obok, które miało pomieścić trzech mężczyzn, zapewne pełne było wszelkiego rodzaju pasożytów.

Zdjął ubranie, ułożył je z jednej strony i wyciągnął się na materacu. Użył jednego z juków jako poduszki i okrył się ubraniami oraz podróżną opończą. Momentalnie zasnął.

Usłyszał głęboki, dudniący głos. Nawet przez sen rozpo- znał, że nie jest to zwykły ludzki głos, lecz głos mówiącego doń smoka. Ale jakiego smoka...?

Otworzył oczy.

Ponad nim stały trzy smoki, z których jeden wyraźnie przewyższał rozmiarami pozostałe. Miał także ciemniejszą skórę i, jak pomyślał Jim, dziwnie sadystyczne spojrzenie.

To on właśnie mówił: – No i co, smoku? – zapytał. – Jesteś w naszej Francji, a pochodzisz z Anglii. Gdzie twój paszport?

–Ale ja nie jestem... – Jim urwał na dźwięk swego głosu, który nie brzmiał normalnie, ale grzmiał tak jakby wydobywał się ze smoczego gardła.

Nagle sobie uświadomił, że znajduje się w smoczym wcieleniu. Okrywające go uprzednio ubrania były poroz- rzucane wkoło. Znowu bez jego udziału zdarzyło się coś magicznego.

Zerwał się na równe nogi, czując się absurdalnie nie- zręcznie w roli smoka.

–Nie rozumiecie mnie – zaczął. – Ja...

–Nie jesteśmy tu, by rozumieć – zahuczał największy smok, który niemal dorównywał rozmiarami Jimowi. – Wiemy, czym i kim jesteś. Jesteś jerym-smokiem, który zajmuje się magią. Kiedyś już tu byłeś, ale wtedy miałeś paszport. Lepiej by było, gdybyś teraz także go posiadał!

–Staram się właśnie wyjaśnić... – zaczął Jim.

Przerwał mu nowy głos, znajomy, też o smoczym brzmie- niu, tyle że w nieco wyższej tonacji.

–Czy wasza ambasadorska mość chce swój paszport teraz, czy może później? – zapytał głos, dochodzący spoza trzech smoków.

Rozdział 17 Trójka smoków odwróciła się jak na komendę, od- słaniając Secoha – smoka błotnego. W wyniku za- klęcia, przed wieloma pokoleniami rzuconego przez Ciemne Moce z Twierdzy Loathly, smoki błotne uległy skar- łowaceni. Teraz nie liczyła się jednak jego wielkość, ale fakt, iż trzymał duży, wypchany, skórzany worek. Jego pysk przybrał szelmowski wyraz.

–Wasza Miłość poleciła mi przechować swój paszport, póki nie zostanę z nim wezwany – kłamał dalej. – Oba- wiałem się jednak tak wielkiej odpowiedzialności i przez całą noc nie spałem. Przynoszę go więc...

Jim w lot chwycił, w czym rzecz.

–Ależ oczywiście! – wykrzyknął, przepychając się między dwoma francuskimi smokami.

Wziął od Secoha worek, którego waga mile go za- skoczyła. Ten paszport był większy i cięższy od przywiezio- nego poprzednio. Wręczył go największemu ze smoków, który rozwiązał rzemień i wysypał kilka klejnotów na swą wielką, zrogowaciałą łapę, aby się im przyjrzeć. Pierwszy z nich stanowiła perła nadzwyczajnych rozmiarów -jedyny skarb i dziedzictwo Secoha. Pozostałe – diamenty, rubiny i szmaragdy – były równie duże i przepiękne.

Największy smok z powrotem wsypał je do worka, zawiązał go i podejrzliwie spojrzał na Secoha.

–Kim jesteś? Skąd przybywasz? A może to ty jesteś jerym-smokiem, który zajmuje się magią?

–Och nie – zaprzeczył błotny smok. – Wszedłem tu teraz przez przypadek. Jestem tylko asystentem Jego Ambadorskiej Mości, który przybył, aby uratować wam życie.

"Uratować im życie?" – zdziwił się Jim.

–To prawda! – zaryczał i cała trójka odwróciła się w jego stronę. – Jestem tym smokiem, za którego mnie uważacie, a także magiem. Patrzcie!

Na wewnętrznej stronie czoła napisał odpowiednie za- klęcie i natychmiast z powrotem przybrał ludzkie kształty.

Ponieważ był zupełnie nagi, chwycił z podłogi opończę i okrył się nią. Uczynił tak nie tylko, aby dodać sobie powagi, ale i dlatego, że w pokoju było zimno. Za oknem panowała noc, i to wyjątkowo ciemna. Tylko świeczka, przyniesiona prawdopodobnie przez któregoś z francuskich smoków, oświetlała pokój.

–Mój asystent mówi prawdę – ciągnął.

Jego ludzki głos był zdecydowanie bardziej piskliwy niż głos smoczy, ale mimo to widział, że przeobrażenie się w człowieka zrobiło na smokach duże wrażenie. Podobnie jak większość ludzi, także smoki wydawały się odczuwać lęk, mając do czynienia z magiem. Myślały zapewne, że jeśli potrafi posługiwać się magią, to może uczynić wszystko.

–Jak się tu dostałyście? – zapytał Jim ostro, korszys- tając ze swej przewagi. – Jak trafiłyście do karczmy w sercu miasta należącego do Jerzych?

Skonsternowane francuskie smoki niezdecydowanie prze- stępowały z nogi na nogę.

–No cóż, widzisz Magu... – po chwili odezwał się wyraźnie zakłopotany największy z nich. – Mamy układ z karczmarzem. Sprowadza ubrania z dziwnego, miękkiego materiału, a także inne przedmioty, które wy... hm, które jerzy wysoko sobie cenią, a które pochodzą z krain leżących daleko na wschodzie. Wozy z nimi muszą pokonać ogromne odległości. My

zagwarantowałyśmy im bezpieczny przejazd, w zamian za beczki wina, które przysyła nam od czasu do czasu. Ponieważ niekiedy chcemy z nim porozmawiać, więc na dachu swego drewnianego pudełka zrobił drzwi, którymi możemy dostać się do środka. To tędy właśnie dostałyśmy się teraz.

–A nie wysłał wam przypadkiem wiadomości, że was potrzebuje? – zapytał Jim. – Nie powiedział, abyście przybyły dziś?

–Zrobił tak – przyznał po chwili wahania największy z francuskich smoków. – Przekazał nam, że być może jest tu angielski smok, który przybył bez paszportu.

–Wie aż tak dużo o smokach? – dopytywał się Jim. – Nawet o tym, że smok z Anglii potrzebuje paszportu, aby odwiedzić Francję?

–Tak, Magu – rzekł rozmówca i pospiesznie dodał: – Ale nie wie dokładnie, co jest tym paszportem. Byliśmy zbyt sprytni, aby go o tym poinformować.

Jim doszedł do wniosku, że jeśli dotychczas nie rozniosła się wieść, iż smoki tworzą "paszporty" z klejnotów należących do ich skarbów, to rasa ludzka wiedziała o nich znacznie mniej, niż przypuszczał.

–Rozumiem – stwierdził. – Cóż, teraz, kiedy wiecie, że przybyłem tu jako ambasador wszystkich angielskich smoków z ostrzeżeniem dla całej smoczej społeczności Francji, muszę natychmiast rozmawiać z waszymi przywódcami.

–Magu, wiesz, że nie mamy żadnych przywódców – rzekł największy smok. – Ale możesz powiedzieć to nam.

Reprezentujemy różne części Francji. Ja nazywam się Lethane i przybyłem tu w imieniu pobratymców z północnej i północno-zachodniej Francji, aż do morza. Iren, ten po mojej lewej stronie, jest przedstawicielem południowego wybrzeża i południa Francji. A Reall to rzecznik całej reszty.

–A więc dobrze, uczynię to! – oznajmił Jim tonem, który nie wróżył nic dobrego. – Niewiele wiecie o węzach morskich, ponieważ Francja ze względu na swe położenie nie interesowała ich tak jak nasz kraj.

–Węże morskie mają na tyle rozumu, że nie wchodzą nam, smokom, w drogę – stwierdził Lethane.

–Nie bądź tego taki pewny. Wiesz równie dobrze jak ja o śmiertelnej nienawiści węży morskich do wszystkich smoków. Posiadacie też skarby, które są obiektem ich pożądania. Lepiej będzie, jeśli uświadomicie sobie, że całe ich plemię, ze wszystkich mórz świata, planuje was wytępić i zrabować skarby.

Francuskie smoki milczały przez chwilę. Wreszcie ponownie odezwał się Lethane, a jego głos brzmiał twardo: – Jesteśmy francuskimi smokami! Rzeczywiście, niewielkie mamy doświadczenie z tymi węzami. Ale przecież żaden z nich nigdy nie wypełził daleko od brzegu. Tak, wiemy, że nas nienawidzą. My także ich nienawidzimy. Mówisz nam o zagrożeniu, Magu, ale skąd mamy wiedzieć, że to prawda?

Upór smoków, o czym Jim dobrze wiedział, był trudny do pokonania – wszelkie argumentacje trafiały do nich z dużymi oporami. Lethane wydawał się zaś bardziej twardogłowy niż cała reszta jego braci.

–Czy wręczyłbym wam taki paszport, jeżeli niebezpieczeństwo nie byłoby poważne? – zapytał.

–Cóż – zaczął Lethane niechętnie – może i masz rację. Wężę mogą gromadzić się, aby zagrozić twojej wyspie, ale nie wyobrażam sobie, by ośmieliły się zaatakować Francję!

–Wiesz, że stać je na wszystko. Liczebnie górują nad wszystkimi smokami na świecie, co najmniej w stosunku dwadzieścia do jednego.

Były to liczby wyssane z palca, ale przecież francuski smok także nie znał prawdziwych danych.

–Jeśli ruszą na Anglię, podczas gdy wasi jerzy będą zajęci naszymi, znajdą, dopadną i zabiją tam każdego smoka. Upojone zwycięstwem i bogactwem, na pewno zechcą stać się jeszcze bogatsze. Natychmiast zwrócą się ku Francji, żeby ją także splądrować.

–Może jednak nie? – odezwał się po raz pierwszy Reall.

–A wy poprzestałybyście na tym, gdybyście zaatakowały wężę i wytępiły je na jakimś obszarze? – zapytał Jim.

Trzy pary oczu zabłysły czerwienią. Oczywiście smoki także ruszyłyby dalej.

–Poza tym, jak długo będą zwyciężać, tak długo będą i atakować. Poczynając od Anglii, zechcą opanować cały świat. W końcu, ponieważ jest ich tak wiele w porównaniu z nami, ponieważ są większe i silniejsze, nie zostanie przy życiu ani jeden smok.

–Ale Magu... – zaczął Lethane i urwał, ponieważ najwidoczniej zabrakło mu słów.

–Pomyślcie o tym – powiedział Jim.

Myślały. Z pewnością to robiły. Stały patrząc na siebie, przymykając powieki, wywracając oczami i znów obserwując się nawzajem. Także debatowanie było wśród smoków niezwykle popularne. Niebezpieczeństwo jednak polegało na tym, iż mogły dumać tak długo, aż było już zbyt późno na podjęcie działania.

–W tym wypadku nie mamy wiele czasu – poinformował je Jim. – Wasz jerzy, król Jean, zamierza wkrótce wyruszyć na Anglię, zaś wężę morskie uderzą równocześnie.

Powinnyście natychmiast wysłać wiadomość swym rodakom i polecić im przygotowania. Możecie też przekazać, że!

mam plan, który pozwoli na zawrócenie węży morskich bez rozlewu choćby jednej kropli smoczej krwi. Ale, aby go zrealizować, francuskie smoki będą musiały przylecieć do Anglii i dołączyć do tamtejszych, jednocząc się przeciw wężom.

–Och, nie możemy tego zrobić! – wykrzyknął Reall i popatrzył na Lethane'a.

Ale on i Iren milczeli.

Wahali się przez dłuższy czas, aż wreszcie największy ponownie zabrał głos: – Magu, nie sądzę, abyśmy mogły przekazać wszystkim tę wiadomość, zebrać się i przylecieć do Anglii w ciągu kilku tygodni. Nie jesteśmy takimi smokami, jak angielskie, sam o tym wiesz. Nie żyjemy w większych skupiskach.

Jesteśmy rozproszone po całym kraju, choć oczywiście możemy się zebrać na wezwanie. Musimy jednak choćby z grubsza zapoznać je z twoim planem.

–Nie! – zaproponował Jim. – Przedstawię im mój plan tylko wówczas, gdy zdecydują się przybyć do Anglii. Będą jednak musiały zwrócić równowartość mego paszportu, powiększonego nie o jeden, ale co najmniej o pięć najlepszych klejnotów ze skarbu każdego z waszych smoków.

–P-pięć? – wyjąkał Lethane. Dwa pozostałe smoki zdrętwiały jak słupy soli, z oczami utkwionymi w Jimie.

–Słyszałyście przecież.

–Ale... ale to niemożliwe! – jęknął największy ze smoków. – Nie mógłbym... żaden z nas nie mógłby rozstać się z pięcioma najlepszymi klejnotami i jeszcze ryzykować własne życie.

–Więc zostańcie tu. Pozostawcie angielskie smoki, aby same się broniły. A kiedy już wszystkie zginą, wtedy wy ze swymi pięcioma najlepszymi klejnotami staniecie same przed miażdżącą potęgą hordy węży wypływających z morza!

– Nastąpiła kolejna chwila milczenia, podczas której trzy smoki zerknęły tylko na siebie.

–Jak mamy im to wytłumaczyć? Skąd mamy wiedzieć... – największemu smokowi znów zabrakło słów.

–W łapie trzymasz mą własną gwarancję – przekonywał go Jim. – Popatrz na te klejnoty. Ilu z was ma choć jeden kamień, który może dorównać tym? Wszystkie, które znajdują się w tym worku, są tej samej wielkości, a więc i podobnej wartości. Czy oddałbym ci coś takiego, jeśli sytuacja nie byłaby tak poważna?

Smok jeszcze raz rozwiązał worek z paszportem i wysypał na łapę tyle kosztowności, ile mógł w niej zmieścić.

Cała trójka ponownie zaczęła przyglądać się diamentom, rubinom i szmaragdowi, a ich widok zaparł im dech w piersiach. Najwyraźniej nigdy jeszcze nie widziały czegoś podobnego.

Następnie francuski smok wysypał kamienie z powrotem, zawiązał worek i popatrzył na Jima.

–Magu – zaczął – nic nie mogę ci przyrzec. Postaramy się stanąć po waszej stronie, gdy nadejdą węże morskie. Jeżeli się nie zjawimy, oznaczać to będzie, że nie udało się nam przekonać reszty.

–To właśnie chciałem usłyszeć – rzekł Jim. – Angielskie smoki dobrze wiedzą, na co stać naszych francuskich kuzynów, gdy zdecydują się na działanie.

Trzy smoki jak na komendę wyprostowały się i rozłożyły skrzydła.

–Nie musisz nam o tym przypominać – powiedział największy. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Żegnaj, Magu.

Odwróciły się i wyszły, z trudem przeciskając się przez wąskie drzwi. Kiedy zniknęły, Jim zamknął drzwi i zwrócił się do Secoha: – A teraz powiedz mi, jak to się stało, że zjawiłeś się akurat we właściwym momencie, a na dodatek z tym paszportem?

–Wszystko to sprawił Carolinus... Ale powinienem zacząć od samego początku, panie.

–Mów – zgodził się z rezygnacją Jim.

Secoh był teraz w swoim żywiole i chętnie posługiwał się określeniem Jerzych – "panie", podkreślając go- dność Jima.

Był skarłowaciałym błotnym smokiem, ale miał wszystkie cechy całego gatunku, włączając w to także upodobanie do zaczynania opowieści od początku i rozwlekłego kontynuowania jej aż do punktu kulminacyjnego, nawet jeśli wydłużało to w nieskończoność relację, która mogła zostać przekazana w kilku zaledwie słowach.

Jim pomyślał, że w tym przypadku nieładnie byłoby poganiać go. Ponadto na dworze wciąż było ciemno, choć mrok zaczynał już jaśnieć – zbliżał się świt.

–Opowiedz mi więc tę historię od samego początku.

Jim zrzucił płaszcz i zaczął się ubierać. Dalsze spanie nie miało już sensu.

–Usłyszałem, że Carolinus był chory i przebywa w two- im zamku. Podobno czuł się już lepiej, więc pomyślałem, że go odwiedzę – zaczął Secoh z zapalem. – Cenię sobie bardzo Maga, a jako jego i twój towarzysz pomyślałem...

–Masz zupełną rację, Secohu – rzekł Jim wciągając pończochy. – Mów dalej.

–Więc udałem się do niego. Gdy przybyłem, czuł się już znacznie lepiej, a ciebie, Gilesa, Briana i Dafyddda już nie było. Po pogratulowaniu Carolinusowi powrotu do zdrowia zapytałem o was, a on powiedział mi, że wyruszyli- cie do Francji. "Bez paszportu?" – zapytałem. "Paszportu?"

Jakiego paszportu?" – zdziwił się.

–Wyjaśniłem mu, że po części będąc smokiem, nie możesz jechać do Francji bez paszportu od angielskiego zgromadzenia smoków. Paszportem tym mają być najlepsze klejnoty ze skarbu każdego smoka, a żaden z nich nie lubi rozstawać się choćby z najmniejszą częścią swego skarbu.

Pamiętałem, jak niezwykle trudno było coś od nich dostać poprzednim razem.

–"To żaden problem" – stwierdził Mag. Znasz ten jego lekceważący sposób mówienia?

–Rzeczywiście – potwierdził Jim.

–"To żaden problem" – powiedział. – "Poleć tylko do nich i powiedz, że kazałem dać ci te klejnoty." – "Ależ Magu – zaproponowałem – one nie oddadzą swej własności tak szybko i łatwo. Nawet jeśli sam się do nich udasz i będziesz nalegał, może to zająć kilka dni.

Mieliśmy wiele szczęścia poprzednim razem, kiedy Sir James i ja wywalczyliśmy od nich paszport." – "Och, na pewno go dadzą. Tylko..." Urwał nagle, a później powiedział: "Tylko, po co mnożyć kłopoty? Sam zrobię ci paszport. Z ilu klejnotów powinien się składać i jakiej mają być wielkości?" – Odpowiedziałem, że jest osiemdziesiąt siedem starych smoków, które zdążyły zbierać skarby. Potrzebujemy zatem osiemdziesięciu siedmiu klejnotów. Prawie tak dużych jak moja perła, którą dla bezpieczeństwa zawsze noszę przy sobie.

Jim był już ubrany i niecierpliwie stukał czubkiem buta w podłogę.

–Żeby nie przedłużać – rzekł pośpiesznie smok – po- wiem tylko, że Carolinus stworzył te kamienie. Ale kiedy to zrobił, powiedział, że potrzeba mu jednego prawdziwego klejnotu, aby reszta mogła istnieć. Rzeczywiście, były takie jakieś matowe, póki nie dołożył do nich mojej perły. Od tego momentu błyszczą tak, jak sam widziałeś. No i spro- wadziłem je do Francji, żeby były twym paszportem, który wręczyłeś... Lethane'owi, bo chyba tak się nazywa. Mag powiedział, że klejnoty "ulotnią się" – nie wiem dokładnie, co to znaczy. Chyba mają zniknąć po trzydziestu dniach, a więc do tego czasu powinny znowu znaleźć się w naszych rękach.

–Hm. A więc oszukuję francuskie smoki i wcale nie reprezentuję własnego zgromadzenia smoków Cliffside.

–Właściwie tak – przyznał Secoh. – Ale musiałbyś wrócić ze mną do Anglii po prawdziwy paszport. Jeżeli w ogóle nasze smoki dałyby ci go drugi raz.

–To prawda – przyznał w zadumie Jim.

–W każdym razie – ciągnął smok – wtedy Carolinus poinformował mnie, gdzie cię szukać, i już miał mnie wysłać, lecz nagle powiedział: "Nie, czekaj! Zostań ze mną.

Powiem ci, kiedy nadejdzie czas, abym cię do nich przemieś- cił".

–Widocznie wyczuł, że coś miało się wydarzyć i że ktoś mógł zakłócić jego czary.

–Tak właśnie musiało być. Jestem tego pewny – rzekł Secoh. – Tak więc czekałem z nim, aż nagle powiedział: "Ruszaj w drogę!" i znalazłem się przed twoimi drzwiami.

–Czy polecił ci powiedzieć francuskim smokom, że jestem ambasadorem?

–Tak – przyznał z ożywieniem. – Zupełnie zapomniałem o tej sprawie.

–Cóż, dziękuję ci. Na nic zdałaby się jego i moja magia, gdybyś nie wszedł we właściwej chwili i nie powie- dział tego, co powinienes.

–Och, piękne dzięki, panie! – ucieszył się smok.

–Pobudziliśmy więc do działania francuskie smoki, na które wcześniej zupełnie nie liczyłem. To może się opłacić.

Jedyny kłopot w tym, że Lethane zabrał twoją perłę.

Jim wiedział, że ta perła była jedynym klejnotem pozostałym ze skarbu Secoha.

Otrzymał ją w spadku i stanowiła najcenniejszą rzecz, jaką posiadał. Ojciec przykazał mu nigdy jej nie sprzedawać. Nie zrobił więc tego, choć na bagnach często cierpiał głód. Teraz zaś ten skarb znajdował się w posiadaniu francuskich smoków.

–Tak – rzekł ze smutkiem smok.

Jim dostrzegł wilgoć w jego oczach.

–Nie martw się, Secohu – pocieszył go. – Odzyskasz swoją perłę. Daję ci na to moje słowo, zarówno jako rycerz, jak i mag. Zwrócę ci twą własność, choćbym nawet musiał za to drogo zapłacić!

–Och, dziękuję, panie! – ucieszył się smok. – Dziękuję!

Miał zamiar wyciągnąć przednie łapy, aby ująć w pazury dłoń Jima i zwyczajem Jerzych ucałować ją, ale zrezygnował, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim mogło to grozić. Jim poczuł się winnym krzywdy Secoha.

–Nie będziemy więc już o tym mówić – rzekł łagodnie.

–Tak, panie – zgodził się Secoh, z wdzięcznością opuszczając przednie łapy do bardziej wygodnej pozycji.

Ale w przeciwieństwie do Secoha, który promieniował wprost zadowoleniem, Jim zaczynał odczuwać pierwsze symptomy niepokoju. Między listwami okiennic wyraźnie widać było pierwsze blade światło dnia.

–Gilesa i Briana nie było przez całą noc – powiedział bardziej do siebie niż do Secoha. W pewnym stopniu głośne wyrażenie swych intuicyjnych obaw dodawało mu otuchy. – Właściwie nie widziałem ich od wczorajszego popołudnia. Także Dafydd nie pojawił się od tego czasu.

Miał posiedzieć trochę w karczmie. Lepiej go poszukam.

–Pójdę z tobą! – zaofiarował się z zapalem Secoh.

Te słowa błyskawicznie sprowadziły Jima na ziemię. Co by to było, gdyby ktoś w zajeździe, nie mówiąc już o innych mieszkańcach Brestu, odkrył obecność smoka.

–Nie możesz... – zaczął. Zamyślił się na moment. – Stanowczo nie może cię nikt widzieć w takiej postaci jak teraz. Widok smoka spacerującego po ulicach zwróciłby na nas uwagę wszystkich i ściągnąłby dodatkowe kłopoty.

Muszę cię zamaskować.

– A co to znaczy "zamaskować"?

–Pokażę ci.

Na wewnętrznej stronie czoła napisał: ZMIANA SECOHA W LUDZKĄ POSTAĆ Nagle pojawił się przed nim, nagi, niewysoki, młody mężczyzna o dość zniszczonej cerze, którego twarz i całe ciało nosiły ślady przeżywanych przez lata niedostatków.

Jego włosy były barwy smoczej skóry. Nos miał długi i cienki, usta szerokie, a podbródek silnie zarysowany. Był wąski w barkach, zaś ręce i nogi miał tak szczupłe jak resztę ciała. Mierzył jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów.

Secoh popatrzył na dolną część nowej cielesnej powłoki.

–Och, nie! – wykrzyknął z udręką w głosie.

Rozdział 18 Jim momentalnie zdał sobie sprawę z tego, co zrobił.

Zupełnie zapomniał o pewnym aspekcie smoczego charakteru.

Smoki nie grzeszyły inteligencją. Przede wszystkim troszczyły się o zaspokojenie elementarnych potrzeb i swą własność, chociaż stale wychwalały swoje cnoty. Generalnie więc, choć potrafiły mówić jak ludzie, były przez nich traktowane podobnie jak wszystkie zwierzęta.

Ale istniała pewna ich cecha, na którą Jim natknął się przypadkowo dość niedawno, może dlatego, iż same smoki nigdy o tym nie mówiły. Najwidoczniej uznawały to za naturalne. Były ogromnie dumne z tego, że są smokami.

Aby bronić tej dumy, gotowe były rzucić się do walki, której w innym przypadku unikały jak ognia.

Analizując to zjawisko, Jim był w stanie łatwiej zrozumieć, jak Smgrol – stryjeczny dziadek Gorbasha, na wpół sparaliżowany i stary – oraz Secoh, marny przedstawiciel smoczego rodu, mogli podjąć walkę ze smokiem tak potężnym i zawziętym jak Bryagh – sługą Ciemnych Mocy. W tej bitwie ze stworami z Twierdzy Loathly brał udział także Jim.

–Przykro mi, Secohu – rzekł rycerz. – Jak sam widzisz, nie mamy jednak wyboru. Możesz chodzić po mieście i bezpiecznie zostać z nami w tej karczmie wyłącznie w ludzkiej postaci. Obiecuję, że z powrotem zamienię cię w smoka, jak tylko będzie można. Znasz mnie przecież, prawda? Wiesz, że dotrzymuję obietnic!

Twarz mężczyzny, którym był teraz Secoh, rozpodziła się nieco, ale wyraz udręki zupełnie z niej nie zniknął. Jim głowił się już jednak nad kolejnym problemem.

–Teraz muszę zdobyć dla ciebie jakieś ubranie.

W pierwszej chwili dylemat ten wydał mu się trudny do rozwiązania. Mógł w magiczny sposób odziać Secoha, ale nie wiedział, jak tu, we Francji, powinien być ubrany sługa, bo taką właśnie rolę miał odgrywać Secoh. A Jim nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Nagle uzmysłowił sobie, że to czternasty wiek, a on jest angielskim baronem goszczącym w karczmie, zaś zgodnie z porządkiem tego świata także bogatym człowiekiem z pozycją i autorytetem. Na dworze było już widno i służący musieli zacząć codzienną krzątanie. Minął Secoha, otworzył drzwi i stanął na szczycie schodów.

–Hej! – krzyknął. – Służba! Natychmiast do mnie!

Wrócił do swej kwatery, zamknął drzwi i zaczął pośpiesznie instruować swego nowego służącego: – A teraz słuchaj uważnie, Secohu. Właśnie zawołałem służącego. Kiedy przyjdzie, zamierzam go wysłać z tobą, żebyście kupili jakieś ubranie. Dam ci pieniądze. Nie przekazuj mu ich od razu. Po prostu wręczysz mu je, kiedy już będziesz miał dobrany strój, i

powiesz wyniośle: zajmij się zapłatą. Następnie odwróć się i wyjdź na zewnątrz jakbyś chciał odetchnąć świeżym powietrzem. W ten sposób nie domyśli się, że nie znasz wartości pieniędzy. Nie dowie się także, że nie znasz rzeczywistej wartości ubrań, podobnie zresztą jak i ja.

TT – Ty nie znasz? – zdziwił się Secoh.

Jim zignorował pytanie i ciągnął dalej: – Jeśli wręczysz mu pieniądze i oddalisz się, będzie się bał nie oddać ci reszty, zatrzymując ją dla siebie. Postara się ubić ze sprzedawcą jak najlepszy interes i ukradnie tylko część pieniędzy, ale znaczną większość odda tobie.

Zachowasz ją, aż tu wrócicie. Wtedy wręczysz mu jedną monetę i cała sprawa będzie załatwiona.

–T-tak – przyznał Secoh. – Rozumiem.

–Przykro mi, że będziesz musiał chodzić po mieście bez żadnego odzienia, dopóki sługa go nie kupi... – zaczął Jim, ale na widok zdziwienia malującego się na twarzy byłego smoka urwał.

–Czemu cię to martwi? – zapytał Secoh.

Jim w myśli zachnął się na własną głupotę. Jako smok Secoh oczywiście nie potrzebował ubrania i nie widział nic złego w paradowaniu bez niego w miejscu publicznym.

Obserwował oczywiście, jak jerzy osłaniają nimi ciała, ale nigdy do tej pory nie będąc nim, wciąż myślał jak smok, któremu w zupełności wystarczała własna skóra. Na szczęście w średniowiecznym świecie widok nagiego mężczyzny nie był tak szokujący, jak miało to miejsce w dwudziestym wieku.

–Nieważne. Zapomnij, że o tym wspominałem.

–Tak, panie – rzekł Secoh z pewnym wahaniem.

Po chwili zjawił się służący i Jim wydał mu odpowiednie polecenia. Wcześniej wręczył Secohowi złotą monetę, którą ten ścisnął w chudej dłoni.

–I pamiętaj – zwrócił się srogo do sługi – to mój osobisty służący, który właśnie do mnie dotarł. Chcę, żebyś traktował go z należyтым szacunkiem. Nie należy do pospólstwa jak ty!

–Tak, panie.

Będąc wystarczająco zalekziony faktem, iż Jim otrzymał najlepszą kwaterę w całej karczmie, nie pomyślał nawet o najmniejszej próbie drwiny. Może też, wiedząc, że Jim jest Anglikiem, obawiał się, czy nie wyciągnie on swego miecza i nie zabije go za zuchwałość.

Gdy wyszli, Jim otworzył okiennice i oglądał nastający dzień, póki nie wrócili. Secoh miał na sobie szare pończochy, koszulę i niebieski kubrak, a na głowie płaską czapkę. Nakrycie głowy przypominało noszone przez ludzi rycerskiego stanu, ale różniło się na tyle, że od razu wiadomo było, iż jego posiadacz jest tylko sługą.

Parobek z karczmy został nagrodzony kilkoma miedzia- kami z reszty, którą przyniósł Secoh, ściskając ją tak mocno w dłoni jak złotą monetę, otrzymaną przed wy- jściem, i zniknął.

–Wszystko poszło gładko? – zapytał z przejściem Jim. – Próbował z tobą rozmawiać? Co mu powie- działaś?

–O, próbował – przyznał Secoh, zadzierając nosa, gdyż zapewne tak właśnie zachowywał się wobec sługi, starającego się nawiązać rozmowę.

Smok w takiej sytuacji potrafił zachować się wyniośle jak człowiek.

–Powiedziałem mu tylko: "Nie zwracaj mi głowy swoim paplaniem".

–Dobrze! – ucieszył się Jim. – To zamknęło mu usta?

–Niezupełnie – stwierdził Secoh. Będąc odziany, nie potrafił ustać w miejscu. – Czy jerzy noszą to przez cały czas? To bardzo naturalne. Swędzi mnie całe ciało. Ale oni noszą to zawsze, prawda?

–Chyba że idą do łóżka – wyjaśnił Jim. – Mówisz jednak, że na tym nie skończył. Co jeszcze mówił?

–Opowiadał, że właściciel karczmy bez przerwy bije swych podwładnych. Chyba po prostu lubi to robić.

W każdym razie ten sługa ma zamiar uciec. Narzekał na coś, co nazwał "prawem miejskim", które nie pozwala na opuszczenie miasta bez zgody pana. Stwierdził jednak, że obaj moglibyśmy wykorzystać szansę, uciekając z tymi pieniędzmi, które miałem. Bylibyśmy bogaci i może znaleźć- libyśmy lepsze miejsce do życia i pracy. Odpowiedziałem, że służenie tobie podoba mi się. Wymamrotał wówczas coś takiego: "A więc dobrze, rób, jak chcesz, ale też możesz skończyć w piwnicy".

–W piwnicy? – powtórzył Jim.

Brian i Giles mogli zostać pojmani i zamknięci w pod- ziemiach karczmy. Ale z pewnością nie bez hałasu, który zaalarmowałby go nawet tu, w pokoju na górze.

–Czy on powiedział "też"? – zapytał.

–Tak właśnie powiedział, panie – odrzekł Secoh. – Czy to miało coś oznaczać? A jeśli tak, to co?

–Może nasi towarzysze są tam zamknięci – myślał głośno Jim.

–Och! A więc chodźmy natychmiast i uwolnijmy ich!

Zrobił krok w stronę drzwi, ale zauważył, że Jim nie idzie za nim. Odwrócił się z wyrazem zaciekawienia na twarzy.

–To nie takie łatwe – wyjaśnił mu Jim. – Nie możemy po prostu zejść tam i wyłamać drzwi piwnicy bez postawienia na nogi całej karczmy. Nie zdołalibyśmy pokonać tylu ludzi. Szczególnie jeżeli włączyliby się w to goście, choćby tylko dla samej przyjemności walki.

–Być może – zgodził się Secoh. – W takim razie lepiej daj mi jeden z tych długich, ostrych przed- miotów, które masz u pasa. Nie ten krótki, ale drugi, dłuższy...

–To się nazywa miecz – wyjaśnił Jim. – Ale na nic by ci się nie przydał, jeśli nie umiesz się nim posługiwać.

–Myślałem, że po prostu trzeba nim uderzać. To chyba nic trudnego.

–To nie takie zwykłe uderzanie. Uwierz mi na słowo – rzekł Jim poważnie.

Brian uczył go walki na miecze już od dwóch lat, a mimo to stając do pojedynku z kimś o umiejętnościach przyjaciela, przetrwałby nie dłużej niż kilka minut.

–Wiem! – wykrzyknął. – Noga od stołu może posłużyć za niezłą broń. Nią będziesz mógł po prostu uderzać ludzi.

–Tak? Dobrze. – Secoh przebiegł przez pokój i szarpał jedną z nóg. – Nie chce wyjść! – stwierdził zdumiony.

–Nie masz swej zwykłej smoczej siły – wyjaśnił Jim. – Poczekaj, pomogę ci.

Razem, ciągnąc za koniec nogi, zdołali odłamać ją od grubego blatu. Secoh ujął ją w

jedną rękę i zakręcił nad głową. Po chwili uczynił to samo, dzierżąc broń oburącz.

–Chyba tak właśnie jej użyję – stwierdził.

–Dobrze. Powiem ci więc, co zrobimy. Razem zejdziemy na dół. Zamówię wino, a ciebie będę trzymał przy sobie, pod pretekstem, że możesz być mi potrzebny.

Następnie, kiedy nikt nie będzie zwracał na nas uwagi, wstanę udając, że idę do ubikacji, poszukam zejścia do piwnicy. Jeśli będzie zamknięte, spróbuję wymyślić jakiś sposób na sforsowanie zamków i dostanie się do środka.

–Jestem gotów! – zawołał Secoh, unosząc swą broń.

–Masz jej nie używać do czasu, aż ci na to pozwolę – polecił surowo Jim. – Już sam widok niesionej przez ciebie nogi od stołu może zdziwić ludzi. Trzeba coś wymyślić...

Nagle przyszedł mu do głowy dobry pomysł.

–Mam! To nie tylko uzasadni noszenie nogi, ale także ułatwi ci pozostanie ze mną, kiedy będę udawał, że szukam ubikacji. Ja mogę mieć przy sobie miecz. Nikt nie zwróci na to uwagi. Mogę też przemycić drugi, ukrywając go pod opończą. Będę nieco utykając. Użyję tej nogi od stołu zamiast laski do podpierania się. Wezmę ją. Zwrócę ci, gdy nadejdzie pora.

–Tak? – zdziwił się Secoh, a w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. – Ale wtedy dasz mi ją?

–Natychmiast – zapewnił go Jim – i masz jej dobrze użyć.

–Na pewno tak zrobię.

–Dobrze. Powiem, że skręciłem nogę w kostce i dlatego muszę wspierać się na lasce. Że to zresztą ich wina, bo karczma jest tak zrujnowana. Nie wymyśliłbym lepszego planu, nawet jeśli głowiłbym się przez całą noc.

Chodźmy więc!

Wziął nogę od stołu, poszperał wśród swych rzeczy w poszukiwaniu drugiego miecza, który woził, podobnie jak Brian, Giles i niemal każdy rycerz, na wypadek, gdyby zwykle używany został uszkodzony lub zniszczony. Zmieścił się bez problemu pod pończochą, która, robiona grubym ścięciem, łatwo się rozciągała. Klinga tworzyła widoczne wybrzuszenie i nieprzyjemnie ziębiła nogę, ale można było uznać, że to tylko łupki.

–W porządku. Idziemy – polecił.

Wyszli z pokoju. Jim utykał, wspierając się na ramieniu Secoha. Błotny smok w zmienionej obecnie postaci podtrzymywał opartą oń rękę, jakby pomagając swemu panu zachować równowagę. Wolno zeszli po schodach. Na dole jeden ze sług rozdziawił usta na ich widok.

–Czy jesteś, panie, ranny? – zapytał, kiedy do niego podeszli.

–Tak, do diaska! – ryknął Jim. – Skręciłem kostkę 4 i stłukłem kolano na tych waszych cholernych, diabelnych... – kontynuował litanię wszystkich znanych sobie przekleństw i nieprzyzwoitych słów, które tylko przyszły mu do głowy. Służący patrzył na niego z podziwem. Na kontynencie Anglicy słynęli z używania przekleństw, ale Jim mógł w tej dziedzinie ustanowić nowy rekord. – ...schodach! – zakończył wreszcie.

–J-jest... jest mi bardzo przykro, panie... Czy mam wezwać właściciela? Może potrzebujesz cyrulika?

–Czy myślisz, że chcę, żeby mi ją oderżnęli? – oburzył się Jim. – Nie! Chcę wina!

Najmocniejszego, jakie macie.

I to najszybciej, jak tylko można! Jamesie...

Zwrócił się do Secoha, który ze zdziwienia zamrugał oczami.

–Zdobądź mi stół, Jamesie. Hej, ty tam!

Ostatnie słowa zaadresował do służącego, który już biegł po wino, lecz natychmiast zatrzymał się na wezwanie.

–Słucham, panie?

–I przynieś stółek dla mojego sługi! – rozkazał. – Musi siedzieć obok i podtrzymywać mnie. Będę też mógł wesprzeć na czymś stopę.

–Tak, panie – rzekł służący i zniknął.

Powrócił prawie natychmiast z taboretem, szklanką i pełnym po brzegi dzbanem. Secoh popatrzył tęsknie na szklankę, ale nie odezwał się słowem. Jim jednak ostrzegł to.

–Przynieś jeszcze jedno naczynie! – krzyknął Jim za sługą, który już odchodził. – Mam zamiar pić na dwie ręce!

Zdziwiony pacholek po raz drugi pognał ile sił w nogach.

–Przynajmniej uwierzy, iż noga boli mnie jak diabli – wyjaśnił Jim, po sam brzeg napełniając szklankę winem.

iii "i lii Uniósł ją do nosa i stwierdził, że rzeczywiście przyniesiono mu mocny trunk. Zawartość szklanki zionęła odorem mieszanki wina i brandy lub jakiegoś podobnego destylowanego trunku. Wypił łyk i aż się zakrztusił.

Miał rację. Wino z całą pewnością było zmieszane z czymś wysokoprocentowym. "To ciekawe" – skonstatował.

Destylację znano już w czternastym wieku, ale dość rzadko stosowano ją w praktyce.

Co więcej, wino to nie wyleżakowało tyle, ile trzeba.

Widocznie uznano, że po domieszce czystego spirytusu smak i tak się zmieni. Cokolwiek dodano do tego, uzyskano produkt będący odpowiednikiem czystej, nielegalnie destylowanej whisky z rodzinnego świata Jima.

Bądź co bądź zdołał opróżnić pół szklanki, zanim ponownie zjawił się sługa z drugim naczyniem. Udając, że wciąż pije, wskazał ręką na dzban i polecił: – Napełnij drugą, aby była już przygotowana.

Służący wykonał rozkaz i stał, oczekując dalszych rozporządzeń.

–Nie musisz tu sterczeć! – fuknął na niego Jim. – James dopilnuje, żeby obie były pełne. Jamesie...

Odwrócił głowę ku Secohowi, który aż drgnął zaskoczony. Wolno sięgnął po dzban i napełnił opróżnioną szklanicę.

Służący odszedł już i Secoh nachylił się do ucha Jima.

–Zapomniałem, że nazwałeś mnie Jamesem – wyszeptał tak cicho, jak tylko mógł to uczynić swym ludzkim głosem.

–Masz rację, Jamesie! – przyznał głośno Jim, po czym nagle dodał cichutko: – W porządku. Sam pij z drugiej szklanki. Po to kazałem ją przynieść. Możesz wypić większość z dzbana. Ja nie powinienem ryzykować upicia się, ale jeśli ty to zrobisz, wszyscy pomyślą, że pociągałeś sobie, kiedy nie patrzyłem, a nie masz tak mocnej głowy jak ja.

–Co to znaczy upić się? – zapytał Secoh, z ochotą biorąc drugą szklankę i wlewając jej

zawartość do gardła.

Aż przymknął oczy. – Bardzo dobre!

–Pamiętaj, że nie masz teraz swego smoczego ciała.

Nie możesz wypić tyle wina co zwykle. A to jest szczególnie mocne. Dodali do niego czystego alkoholu.

–Co to alkohol? – zdziwił się smok.

–Alkohol to... – Jim urwał. – Nie ma teraz na to czasu. Pamiętaj tylko, że nie możesz wypić tyle co zwykle.

Jeśli to zrobisz, upijesz się. A jeśli się upijesz, to od tej pory będziesz już wiedział, co to znaczy.

Przyglądał się, jak Secoh ponownie napełnił oba naczynia i natychmiast wypił zawartość jednego z nich, ukrywając je pod stołem i schylając się, aby nikt nie widział, jak wlewa sobie trunek do gardła.

Smoki, o czym wiedział, niestety, z własnego doświadczenia, mogły pochłonąć niewyobrażalne ilości wina i nigdy nie miały kaca. Ale Secoh ważył teraz nie więcej niż jakieś sześćdziesiąt pięć kilo. Nie było więc wątpliwości co do skutków takiego picia.

On sam, Smoczy Rycerz, musiał jednak pozostać trzeźwy.

Zdołali wspólnie wysuszyć dzban do dna i Jim zawołał o następny. Sam wypił może półtorej szklanki i już czuł tego efekty, ale wiedział, że nie ogranicza to jego zdolności do działania. Secoh wypił całą resztę, ale jak na razie nie dało się tego po nim poznać.

Kiedy sługa przyniósł kolejny dzban, Jim zapytał go, gdzie jest ubikacja. Sługa wyglądał na zdziwionego.

Większość mężczyzn i kobiet z wyższych klas korzystała z nocnika we własnej kwaterze, zamiast wychodka dla pospólstwa. Wskazał jednak na zaplecze karczmy i odszedł.

Smoczy Rycerz wstał z udawanym trudem. Na szczęście, jako że było jeszcze wcześnie, mieli całą izbę wyłączanie dla siebie. Krocząc niezdarne z nogą od stołu jako laską w jednym ręku, a drugą wspierając się ciężko na barku Secoha, skierował się we wskazaną stronę.

Na lewo znajdowały się drzwi, które, jak przypuszczał, prowadziły do kuchni. To w nich zniknął sługa.

Z prawej strony, koło schodów, którymi niedawno zeszli, był krótki korytarzyk, a w nim następnych dwoje drzwi.

Jim podszedł do najbliższych drzwi, zabezpieczonych żelazną sztabą z ogromnych rozmiarów kwadratowym zamkiem. Takie zamki były już znane w czternastym wieku, o czym wiedział ze swych studiów nad średnio-wieczem.

Z bliska rozpoznał, że jest to typowy zamek norymberski, o którym czytał kiedyś. Ciężka sztaba była przyśrubowana jednym końcem do masywnych drewnianych drzwi i znajdowała się na pewnego rodzaju zawiasie, aby można ją było wyjąć spomiędzy dwóch metalowych zaczepów stanowiących część zamka.

Całe urządzenie, czego Jim mógł się spodziewać, było pięknie zaprojektowane i artystycznie ozdobione. Wiedział, że powinien tu być także otwór na klucz, a manipulując w nim sztyletem można było odbezpieczyć rygle. Zamki w tamtych czasach nie miały zbyt

skomplikowanych me- chanizmów.

Należało tylko znaleźć dziurkę od klucza pośród warstwy stalowych liści i kwiatów. Powinna być skryta pod którymś z nich.

Gdy stał tak, wydało mu się, że słyszy jakieś odgłosy dochodzące ze środka. Zastukał ostrożnie. Zaległa chwila ciszy, po której ktoś z drugiej strony drzwi odpowiedział w ten sam sposób, a jednocześnie rozległ się stłumiony głos: – Brian? James? Giles? To ja, Dafydd ap Hywel! Jestem tu zamknięty!

Jim pospiesznie przyjrzał się zamkowi. Nie miał jednak czasu na dokładniejsze jego badanie. Któryś z parobków mógł zjawić się w każdej chwili. Przez moment wysilał swą pamięć, aż wreszcie stworzył zaklęcie: WSZYSTKIE ZAMKI OTWARTE Rozległ się cichy zgrzyt. Jim spróbował unieść sztabę, która nie stawiała teraz żadnego oporu. Otworzył drzwi, zza których wyłonił się Dafydd.

–Szybko – polecił Jim ściszym głosem. – Z po- wrotem do naszego pokoju.

Ale w tej właśnie chwili ludzie uzbrojeni w pałki, noże a nawet miecze wysypali się z wejścia do kuchni i z głębi korytarza.

Rozdział 19 † Jim sięgnął pod koszulę, wyjął ukryty tam miecz i wcisnął go w dłoń Dafydda. Nadbiegający z obu stron ludzie mieli przed sobą nie zaskoczonych, bezbronnych tchórzów, posiadających co najwyżej sztylety, ale dwóch rycerzy z mieczami w rękach i odważnego smoka wyposażonego w pałkę. Na ten widok napastnicy stracili cały rezon.

Zatrzymali się i to był ich błąd.

Atakujący nie wiedzieli o tym, a Jim zapomniał, że Secoh nie jest zwykłym człowiekiem. Pozostawał nadal smokiem, który tylko chwilowo przybrał ludzką postać.

Kiedyś cechowała go nadmierna wręcz ostrożność, tego samego typu co instynktowna nieufność dzikich zwierząt i małych dzieci. Właściwie postępował jak tchórz, ale tylko do czasu, gdy wziął udział w bitwie pod Twierdzą Loathly.

Od pamiętnego zwycięstwa nad pochodzącymi stamtąd stworami pozbył się wszelkiego strachu. Pozostała mu tylko druga z cech charakterystycznych dla jego gatunku – "smoczy instynkt", który wprawiał go w szal, gdy wdawał się w jakąś bijatykę.

Ta metamorfoza spowodowała, że uzyskał opinię najag- resywniejszego w okolicy. Nawet znacznie większe smoki obchodziły go z daleka, bowiem stał się nie tylko czuły na wszelkiego rodzaju zaczepki, ale był w każdej chwili gotów zaatakować przeciwnika bez względu na jego rozmiary.

Uwierzył widać, że nie ma nic do stracenia, a ci, którzy mieli, nie widzieli sensu w zadzieraniu z nim.

Tak więc teraz, gdy służba karczemna zawahała się, Secoh ruszył do przodu. Rzucił się na mężczyzn nad- chodzących z głębi korytarza, pośród których kilku miało miecze, i zaczął okładać ich swą pałką.

To proste stanąć z mieczem przed przeciwnikiem uzbro- jonym tylko w pałkę i odczuwającym respekt przed lepszą bronią. Zupełnie inaczej jest jednak, jeśli ma się przed sobą oszalałego, dzikiego wariata o oczach czerwonych z wściek- łości, który w rękę dzierży pałkę. Secoh nie zastanawiał się, z jakim skutkiem jego przeciwnicy mogą użyć mieczy. Jak wielu średniowiecznych rycerzy, nie myślał o tym, jaką krzywdę mogą mu zrobić. Ważne było, w jaki sposób ich zniszczyć.

W wyniku tego dobrze uzbrojona grupa sześciu ludzi zamiast atakować znalazła się w odwrocie, cofając się przed szarżującym szaleńcem.

Jim i Dafydd natychmiast wykorzystali sytuację. Zaatakowali tych z kuchni, którzy oprócz dwóch mieczy mieli zakrzywione noże i topory oraz kilka długich sztyletów.

Jim, o czym sam przekonał się już wiele razy, a Brian nie zaprzeczał, był bardzo przeciętnym szermierzem. Ale wiedział przynajmniej, jak posługiwać się bronią. Dafydd nie potrzebował ćwiczyć z mieczem tyle co Jim, bowiem opanował szermierkę, mając do tego wrodzony talent.

Dlatego kiedy uderzyli, wywarli na kuchcikach i służbie wrażenie ludzi znających się na rzeczy.

Napaściny nie oglądając się umknęli do kuchni, zatrzaskując drzwi.

–Z powrotem, do pokoju! – wysapał Jim.

Wraz z Dafyddem skierował się w stronę schodów, a Secoh podążył za nimi. Kiedy znaleźli się w kwaterze i zaryglowali drzwi, siedli ciężko dysząc: Jim na swym materacu, a łucznik na stercie bagażu. Secoh, który nawet się przy tym nie rozgrzał, popatrzył na nich z lekkim zdumieniem.

–Panie – zapytał z wahaniem – czy postąpiłem jak należało?

–Postąpiłeś... zupełnie dobrze... Secohu – wysapał Jim. – Teraz pozwól nam trochę odpocząć.

–Tak, panie – rzekł Secoh, wspierając się na nodze od stołu. Jej koniec był rozłupany i ukruszony, a także, co można było stwierdzić ze smutkiem, nieco zakrwawiony.

Secoh stał, czekając na polecenia. Dafydd odzyskał siły jako pierwszy. Jim stwierdził to z odcieniem tej samej zazdrości, którą poczuł, gdy zapytał Angie, czy łucznik jest dla niej pociągający. Był silniejszy od Jima, choć prowadził on tak aktywny tryb życia.

–Czy sądzisz, że przyjdą za nami? – zapytał smok w ludzkiej postaci z nadzieją w głosie. Zasiadli przy stole.

–Prędzej czy później tak – odparł Jim. – Co o tym sądzisz, Dafyddzie?

Łucznik nalał sobie pełną szklankę wina i opróżnił ją błyskawicznie, wyraźnie spragniony, bowiem nigdy nie postępował w ten sposób. Zwróciło to uwagę Jima.

–W piwnicy nie było nic do jedzenia i picia? – zapytał.

–Jedzenie było – odrzekł Walińczyk, dolewając jeszcze wina, ale jedyny napój znajdował się w beczulce, która nie była odszpuntowana. Nie miałem czym jej otworzyć. Wino w butelkach przechowywano gdzie indziej.

–Ale jak... – zaczął Jim.

–To była wyłącznie moja wina. Powinienem być ostrożniejszy i wyjść z pewnym młodzieńcem, żeby porozmawiać w bezpiecznym miejscu. Podejrzewam, że jeden ze służących został wyznaczony do obserwowania mnie. Poszedł za tym chłopcem i wypytał go, o czym rozmawialiśmy.

W ten sposób ludzie z karczmy dowiedzieli się o wszystkim.

Gdy nie było żadnych gości, czterech czy pięciu z nich skoczyło na mnie, zawlokło do piwnicy i zamknęło. To było wczoraj wczesnym wieczorem...

Urwał i pokręcił głową.

–Ale to nie koniec naszych niepowodzeń – ciągnął. – Jamesie, mam jeszcze

smutniejsze wieści. Brian i Giles są uwięzieni na królewskim dworze już od wczesnego popołudnia.

–Uwięzieni? – powtórzył Jim. – Jak się o tym dowiedziałeś?

–Przypominam ci, że czasami wiele się można dowiedzieć siedząc spokojnie i czekając. Siedziałem, piłem i zajmowałem się robieniem strzał. Po pewnym czasie między ludźmi, z którymi zamieniłem parę słów, pojawił się chłopak – czeladnik, niemal już dorosły, może w ostatnim roku nauki u mistrza.

–Kto to jest czeladnik? – zapytał Secoh wytrzeszczając oczy.

Żaden z nich nie wyjaśnił mu.

–Czeladnicy plotkują między sobą, więc wiedzą wszystko, co dzieje się w mieście. Postawiłem mu coś do picia i nawiązałem rozmowę. Powiedział mi, że dwaj Anglicy, którzy przybyli właśnie do miasta, zostali zdemaskowani i pojmani przez zbrojnych wysłanych z dworu króla francuskiego. Doprowadzono ich do zamku i tam uwięziono. Nie udało mi się dowiedzieć, czy zamknięci są w lochach, czy też w jakimś innym miejscu. Ale tak czy inaczej przebywają w więzieniu.

Skończył i patrzył na Jima.

–Uwolnimy ich, prawda, panie? – zapytał Secoh.

–Spróbujemy – rzekł ponuro Smoczy Rycerz. – W każdym razie nie możemy marnować czasu. Ci z dołu sprowadzą na nas prawdziwych zbrojnych i wówczas nie poradzimy sobie tak łatwo jak z karczemną służbą.

Wstali i zaczęli pospiesznie wybierać to, co mogło okazać się potrzebne. Chodziło głównie o dodatkową broń i lekkie zbroje Briana oraz Gilesa. Ciężka zbroja bojowa byłaby zbyt niewygodna.

–A teraz zamierzam uczynić nas niewidzialnymi – oznajmił.

Wcześniej nie zdecydowałby się tego uczynić. Od czasu kłótni Carolinusa z Wydziałem Kontroli w jego obronie miał prawo korzystać z pewnej ilości dodatkowej magii.

Nie znał jednak jej wielkości, więc ostatnio zaczął się nawet martwić, że jest już bliski wykorzystania całej tej nadwyżki.

Teraz jednak nie miał wyboru, musieli się dostać na dwór króla Franq'i.

Zdecydował się użyć tej samej magii, jaką obmyślił już wcześniej, w przeddzień bitwy między wojskami francuskimi i angielskimi, w której poległ Sir Giles. Umarłby wtedy rzeczywiście, gdyby nie był silkie i gdyby nie zwrócili jego ciała morzu, w którym powrócił do życia jako foka.

Tuż za oknem pokoju rosnęło drzewo. Jim sięgnął i odłamał trzy gałązki, aby umieścić je na nakryciach głów. Po chwili zastanowienia ułamał jeszcze dwie. Czar nie zawierał słów czyniących ich rzeczywiście niewidzialnymi w sensie fizycznym. Po prostu w magiczny sposób wprowadzał w swego rodzaju hipnotyczny trans wszystkich ludzi, którzy widzieli gałązkę, nie pozwalając na identyfikację tego, co odbierał ich wzrok.

Podobnie rzecz przedstawia się z zahipnotyzowanym, któremu wmówiono, że nie ma jakiejś osoby, która faktycznie znajduje się w pokoju. Widzi ją, ale jego mózg nie rejestruje tego faktu.

! – Weźmiesz dodatkową broń i zbroje, dobrze, Secohu?

Rycerze nie powinni nosić żadnych bagaży, a chcę, żeby Dafydd miał wolne ręce do

łuku i strzał.

Popatrzył na łucznika, który nie marnował czasu, zbrojąc się jak zwykle. Przez ramię przewieszony miał już łuk, a u biodra wisił kołczan pełen strzał.

–Wyjdźmy z pokoju. Secohu, masz broń, kolczugi i hełmy dla Briana i Gilesa?

Zapytany przytaknął, trzymając wszystkie potrzebne rzeczy zawinięte w płachtę.

Jim wyprowadził ich na korytarz i zamknął drzwi.

Zabezpieczył je tym samym czarem, którym posłużył się przy złamanym pniaku i czerwonej szmacie, mającej być znakiem dla Aragha. Po chwili namysłu uzupełnił go pewnym dodatkiem. W myślach napisał na wewnętrznej stronie czoła: WZMOCNIENIE ZABEZPIECZENIA PRZEZ WCIAŻ NARASTAJĄCY STRACH Wszystkich tych czynności dokonywał jedynie w swej głowie, więc towarzysze przypatrywali mu się nic nie rozumiejąc. Teraz mógł im już to wyjaśnić.

–Założyłem zabezpieczenie – to znaczy ochronę, na ten pokój, żeby nikt nie dostał się do niego – objaśnił. – Wprowadziłem też pewien dodatek. Zrobiłem tak, że każdy, kto będzie próbował wejść, niezmiernie się przerazi.

–Przerazi? – zapytał Dafydd z zainteresowaniem. – Mogę spróbować?

–Oczywiście. Spróbuj. Przekonasz się, że drzwi dadzą się otworzyć, ale nie na całą szerokość. Sądzę jednak, że stracisz ochotę do wejścia dalej.

Walijczyk ujął klamkę i pchnął drzwi, które częściowo się otworzyły. Spróbował zrobić krok do przodu, ale natychmiast cofnął się i zatrzasnął drzwi za sobą.

Kiedy odwrócił się w stronę Jima, jego twarz była blada, a na czole błyszczał pot.

–Niełatwo mnie przestraszyć, ale tego, co tam się znajduje, chyba nikt nie jest w stanie oglądać.

Secoh otworzył usta, jakby chciał zaproponować, że i on spróbuje, ale na widok marsowej miny Jima zrezygnował.

Zeszli po schodach. Izba na dole wyglądała tak jak zawsze.

Było tu zaledwie trzech klientów. Jeśli szykowano się do ataku na pokój zajmowany przez Jima i jego towarzyszy, czyniono to gdzieś indziej, za zamkniętymi drzwiami.

Biesiadnicy nie zwrócili na nich żadnej uwagi, a więc ich niewidzialność działała jak należy. Wyszli na ulicę.

–Zatrzymajcie się na chwilę – rzekł Jim, chwytając Daffyda za ramię. – Nie wiemy nawet, gdzie jest dwór.

–Ja wiem – odrzekł łucznik. – Wyciągnąłem od czeladnika, ile się dało, na temat dworu i miejsca, gdzie mogą być Giles i Brian. Mogę zaprowadzić was do zamku, gdzie przebywa dwór królewski, ale nie jestem pewien, czy uda mi się znaleźć wejście do lochów. Ale skoro jesteśmy niewidzialni, będziemy go mogli poszukać. Nie sądzisz, Jamesie?

–Tak. Z pewnością – odparł Jim.

Jak się okazało, zamek znajdował się dość daleko od karczmy. Musieli przewędrować na wschodnią stronę Brestu, oddalając się od portu. Odbывał się w nim wzmożony ruch, więc ulice roiły się od koni i ludzi: rycerzy, łuczników, zbrojnych i służących. Dla żadnego z nich nie byli widoczni i musieli lawirować w tłumie. W końcu dotarli jednak do zamku. W głównej bramie stali strażnicy.

Musieli więc poczekać, aż rozstąpili się przepuszczając kogoś i wejść tuż za nim. W

środku rozmawiali już tylko szeptem.

Jim żałował teraz, że nie uczynił także ich głosów niesłyszalnymi. Nie chciał jednak ryzykować czynienia magii na samym dworze. Jego czary mogły zostać ujawnione lub zakłócone przez zabezpieczenia Ecottiego, tak więc niebezpieczeństwo było zbyt duże.

Gdy weszli do budynku, poszukał jakiegoś kąta, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć. Przyciągnął do siebie Secoha oraz Dafydd i wspólnie ustalili szeptem, w którą stronę powinni się skierować.

Znajdowali się w przysadzistej, rozgałęzionej budowli o solidnej konstrukcji, jak każdy jednopiętrowy zamek z basztą i licznymi wieżyczkami. Widać było, że jego kolejni posiadacze dostawiali kolejne przybudówki zgodnie ze swoimi potrzebami.

–Czeladnik przypuszczał, że kwatery króla Jeana i jego najbliższego otoczenia znajdują się w samym końcu zachodniego skrzydła – szepnął Dafydd.

–W porządku, tam spróbujemy najpierw. Wejście do lochów powinno być też gdzieś w tym rejonie. Szukajcie schodów prowadzących w dół. Dafyddzie, wiesz więcej na temat tego miejsca niż my, może więc nas poprowadzisz?

–Dobrze.

Łucznik ruszył pierwszy, a jego umiejętności bezszelestnego poruszania się, typowe dla człowieka z lasu, powodowały, że był niezrównanym przewodnikiem. Omijał wszystkie przeszkody i miejsca, przez które ze względu na panujący tłok trudno byłoby się precyzyjnie przemieszczać.

Jim odnosił wrażenie, że odległości w budynku są niemal tak duże jak podczas ich wędrówki ulicami miasta. W końcu dotarli do pomieszczeń, urządzonych w sposób bardziej wyszukany. Dafydd poprowadził ich do niszy przy oknie.

Ostre promienie przezierają przez szyby, ponieważ wszystkie okna były tu oszklone.

–Tutaj korytarz rozdziela się na dwa inne. Nie mam pojęcia, którą trasę powinniśmy wybrać. Jamesie, co ty o tym sądzisz?

Jim zadumał się nad powstałą sytuacją.

–Prawy korytarz – zaczął wreszcie wolno – ma okna. Lewy nie. Założę się, że to właśnie lewy prowadzi do apartamentów króla Jeana, bowiem jego pokoje mają okna wychodzące na drugą stronę.

Pomyślał przez moment.

–Wyberzmy więc lewy korytarz, ale zamiast od razu iść dalej, poczekajmy na jakiegoś sługę i powędrujemy za nim. Wtedy, obserwując, które drzwi otwiera, może czegoś się dowiemy.

–Dobrze to obmyśliłeś, Jamesie – pochwalił Dafydd.

–Jest w tym pewne ryzyko, ale jeśli upewnimy się, że lewy korytarz prowadzi do prywatnych apartamentów króla, wtedy będziemy całkowicie pewni, że nie dotrzemy tam prawym.

–Czeladnik mówił mi – szepnął łucznik – że pokój Ecottiego znajduje się tuż obok tajnej komnaty królewskiej i jest połączony z nią przejściem, aby król mógł przywołać go do siebie o każdej porze dnia i nocy.

–Warto o tym pamiętać, jeśli to oczywiście prawda – stwierdził Jim. – Teraz więc zaczekajmy na sługę, idącego w tamtą stronę.

Minął dobry kwadrans, zanim zjawił się służący, lecz skręcił w prawy korytarz, z którego nie zamierzali korzystać.

Jednak niemal tuż za nim nadszedł następny, który skierował się na lewo.

Podobnie jak jego poprzednik, niósł tacę, na której znajdowało się kilka butelek wina i dwie kształtne szklanki, zupełnie niepodobne do tych w karczmie – grubych i niezgrabnych.

Podążyli za nim. Kiedy ich mijał, przesunął po nich wzrokiem. Ponieważ podłoga była tu wyścielona dywanami, więc także ich kroki były bezszelestne. Służący zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i balansując tacą w jednym ręku, drugą zapukał.

Widać w ten sposób miał obowiązek obwieszczać swoje przybycie, chociaż czternastowieczni słudzy najczęściej wchodzili do pomieszczeń swych państwa bez zaproszenia.

Nie zauważali, lub przynajmniej starali się sprawiać takie wrażenie, tego, co zastawali w środku, a znajdujący się tam nie zwracali uwagi na ich obecność.

Niewidzialni przyjaciele zatrzymali się tuż za plecami sługi i czekali. Sługa po chwili wzruszył ramionami, nacisnął klamkę i wszedł, zostawiając za sobą na wpół otwarte drzwi.

Już mieli zamiar pójść za nim, ale Jim wyciągnął rękę, aby ich powstrzymać.

Bez słowa wskazał drzwi. Na futrynach były wymalowane jakieś dziwne symbole, na pozór bez znaczenia. Jim odsunął się od wejścia i wyszeptał: – To chyba pokój Ecottiego.

Daffyd przytaknął. Secohowi świeciły się oczy i wyglądał na bardzo podekscytowanego. Jim z powrotem zbliżył się do drzwi, a reszta podążyła za nim.

Służący stawiał właśnie tacę na małym stoliku przy łóżku, na którym leżał na plecach śpiący mężczyzna. Przez szeroko otwarte usta wydobywało się głośnie chrapanie.

Miał szczupłą twarz, którą zazwyczaj określa się mianem lisiej. Spod szlafmocy wystawały rzadkie, kręcone, czarne włosy.

Sługa odstawił tacę i wyszedł z pokoju. Jim odsunął swych towarzyszy i zrobił krok naprzód, stając twarzą r twarz ze sługą, który właśnie odwracał się po zamknięciu drzwi. Stojąc naprzeciw niego i patrząc mu prosto w oczy, Dwiedział słowo, którego wcześniej używał w czarach.

Teraz jednak zadziało jako hipnoza, a nie magia.

–Bezruch!

Służący zastygł w pół kroku.

–Nie możesz mówić – rzekł Jim cichutko – i wciąż ie widzisz mnie ani nie słyszysz.

Zapomnisz o naszej u i rozmowie. Rozumiesz? Kiwnij głową jeśli tak, a później wróć do bezruchu.

Służący machinalnie skinął głową jak kukła.

–Masz więc odpowiadać na moje pytania przytakując albo zaprzeczając ruchem głowy.

Czy to pokój tego szar- latana Ecottiego?

Zapytany przytaknął.

–Czy są tam drugie drzwi, prowadzące do apartamentów króla?

Służący skinął ponownie.

–Gdzie jest wejście do lochów lub innego miejsca, w którym przetrzymywani są niedawno pojmani dwaj Anglicy – Neville-Smythe i de Mer? Możesz mówić szeptem.

–W komnacie za apartamentami króla.

–W której komnacie?

–Nie wiem.

–Dobrze. Teraz zapomnisz o tej rozmowie. Będziesz przekonany, że po prostu wszedłeś do komnaty, zrobiłeś, co do ciebie należało, i natychmiast oddaliłeś się prosto korytarzem, tak jak zwykle. Idź!

Służący przeszedł obok niego i ruszył dalej bez słowa.

Jim odwrócił się ku towarzyszom.

–Zaryzykowałem, bo tamten człowiek spał, a założę się, że to właśnie Ecotti. Znaki na drzwiach to symbole kabalistyczne – wyjaśnił.

–Co to znaczy kabalistyczne, panie? – zapytał zaciekawiony Secoh.

–Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Rzecz w tym, że jeśli Ecotti śpi, istnieje mniejsze prawdopodobieństwo zaalarmowania go magią czynioną w pobliżu. Słyszeliście słowa sługi: w środku są drzwi prowadzące do apartamentów króla. Waham się jednak, czy z nich skorzystać, bowiem Ecotti bez wątpienia założył zabezpieczenia na swoją komnatę. Obudzą go one, jeśli spróbujemy pokonać tę samą drogę co służący.

Popatrzył na Dafydda i Secoha, licząc, że podsuną mu jakiś pomysł. Ale oni spoglądali tylko na niego bezradnie.

–No cóż, bezsprzecznie naszym pierwszym obowiązkiem jest uratowanie przyjaciół. Poczekamy, aż przyjdzie następny służa. Potraktuję go w ten sam sposób i zmuszę, by pokazał nam drogę do lochów. Daffydzie, czy uważasz, że tak będzie rozsądnie?

–Bez wątpienia.

–Więc po prostu sprawię, aby zaprowadził nas tam.

Jeśli nie znajdziemy naszych przyjaciół, poszukamy gdzie indziej. Bezpieczniej będzie, jeśli użyję magii dopiero na dole, w pewnej odległości od czarnoksiężnika.

–Czy w ogóle konieczne będzie posłużenie się magią? – zapytał Daffyd.

–Może nie – odparł Jim. – Spróbuję najpierw sprawić, aby strażnik był przekonany, że więźniowie mają być zabrani do króla i Ecottiego. Gilesa i Briana także uczynię niewidzialnymi. Wtedy, wszyscy niewidoczni dla innych, udamy się do króla.

Zastanowił się przez moment.

–Nie, będę musiał posługiwać się wyłącznie hipnozą.

Jeśli użyjemy magii, Ecotti wyczuje ją i natychmiast będzie wiedział, co się dzieje.

–Dlaczego on może wyczuć magię, a ty nie? – zapytał h.

–Chyba dlatego, że jeszcze nie jestem zbyt dobrym giem. Nie nauczyłem się rozpoznawać obecności magii.

Ale on oczywiście...

Nagle urwał, zastanawiając się nad czymś.

–Czekaj – rzekł. – Carolinus powiedział, że magia czarnoksiężników nie może się równać z magią tworzoną przez magów. Ale zapewne myślał o magach na swoim poziomie lub tylko nieco poniżej niego.

Zamilkł, wciąż usilnie myśląc.

–Ale może... Można na to spojrzeć z innej strony...

Uśmiechnął się do smoka w ludzkiej postaci.

–Secohu, podsunąłeś mi świetny pomysł. Że też nie skojarzyłem tak oczywistych

faktów!

Rozdział 20 Przyglądali mu się zaintrygowani. Uśmiechnął się.

–Panie – rzekł Daffyd, a w jego ustach taki zwrot oznaczał, iż sprawę traktował rzeczywiście bardzo poważnie – co to za pomysł?

Jim roześmiał się od ucha do ucha.

–Wiecie, jestem idiotą – rzekł.

Tamci gorąco zaprotestowali.

–Och, tak – stwierdził. – Nigdy nie pomyślałem o odwróceniu tego problemu i spojrzeniu nań z innej strony. Nie jestem dobrym magiem, ale może nie o to chodzi. Może rzecz w tym, jakim czarnoksiężnikiem jest Ecotti? Jeśli byłby magiem, zapewne obudziłby się w chwili, kiedy tylko podeszliśmy do drzwi, zanim jeszcze służący otworzył je i mogliśmy stwierdzić, że śpi. Powinien natychmiast wstać i podjąć działania magiczne przeciw nam. Ale on nie jest magiem.

–Jednak powiedziałaś, że używa magii... – wtrącił się Secoh, zdziwiony pozorną niekonsekwencją wyводу.

–To nie czyni go magiem – wyjaśnił Jim. – Jak mówi Carolinus, jest tylko czarnoksiężnikiem. Możliwe, że tacy jak on nie mogą równać się magom w wyczuwaniu obecności magii. A może to tylko Ecotti tego nie potrafi.

Jeśli rzecz w tym...

–Więc moglibyśmy podejść do niego i wcale nas nie zauważy? – zapytał z ożywieniem Secoh.

Daffyd spojrział na niego z dezaprobatą i smok w ludzkiej postaci stropił się.

–Przepraszam – odezwał się cicho. – Wiem, że nie powinienem się odzywać, tylko słuchać.

–W porządku, Secohu – stwierdził Jim. – Jeśli moje rozumowanie jest słuszne, być może zrobimy właśnie tak, jak powiedziałaś. Rzecz jednak w tym, że nie wolno niepotrzebnie ryzykować. Niewykluczone, że kiedy nie śpi, jest w stanie wykrywać działanie magii co najmniej tak łatwo jak mag niskiej klasy, taki jak ja. Tuż obok siebie może ją rozpoznać. Ale możemy mieć jednak spore szansę, gdy we czwórkę, uzbrojeni, staniemy przed królem i Ecottim.

Secoh zatarł dłonie.

–Jeśli w jakiś sposób zdołam, za pomocą magii, obezwładnić Ecottiego, to będziemy mieć dwóch niezwykle cennych więźniów, którzy powiedzą nam mnóstwo ciekawych rzeczy, a ponieważ uwolnimy Briana oraz Gilesa, wrogowie nic z nich nie wyciągną.

–Możemy nawet wziąć zakładników, którzy ułatwią nam wydostanie się z miasta – wtrącił Daffyd.

–Można i tak, ale zważ, że nie chcemy zwracać na siebie uwagi. Lepiej, by król i Ecotti zapomnieli, że nas widzieli. Wtedy wymkniemy się cicho i niepostrzeżenie, zabierając do Anglii dla Sir Johna Chandosa wszystko, czego się dowiemy...

Urwał.

–Oto nadchodzi sługa – wyszeptał nagle, zniżając głos.

Poleciał, by towarzysze odsunęli się do niszy, a sam, wciąż niewidzialny, stanął na drodze zbliżającego się. Tak, jak się spodziewał, sługa, znajdując się pod wpływem hipnozy, a nie

tylko magii, podświadomie zdawał sobie sprawę z obecności Jima, nawet jeśli nie potwierdzały tego jego zmysły, i starał się go wyminąć.

Smoczy Rycerz zasłonił dłonią gałązkę i nagle stał się widoczny.

–Stój – polecił napotykając spojrzenie sługi i po- spiesznie pisząc na wewnętrznej stronie czoła: JESTEŚ ZAHIPNOTYZOWANY Mężczyzna zatrzymał się.

–Teraz słuchaj mnie – rzekł Jim. – Nie widzisz mnie ani nie słyszysz, ale będziesz mi służył. Król przekazał mi nowe polecenie dla ciebie, które jest ważniejsze od wszyst- kich innych. Masz mi pokazać drogę do lochów. Wiesz, gdzie one są? Skiń głową, jeśli tak.

Sługa pokiwał głową.

–A więc dobrze – stwierdził Jim, ponownie stając się niewidzialnym. – Prowadź. Będziemy szli tuż za tobą.

Obejrzał się, czy Daffyd i Secoh są przy nim, i ruszył za służącym korytarzem, w tę stronę, z której przyszli. Niemal deptali po piętach zhipnotyzowanemu mężczyźnie.

Prowadził ich przez szereg krętych korytarzy, aż wreszcie po dosyć długiej wędrówce zatrzymali się na moment przed masywnymi drzwiami. Za nimi znajdowały się schody prowadzące w dół. Stęchły zapach świadczył, iż szli we właściwym kierunku.

Jim szepnął przewodnikowi do ucha: – Zanim zostaniesz zauważony przez kogoś z dołu, zatrzymaj się, żebym to ja mógł najpierw na niego spojrzeć.

Rozumiesz?

Sługa kiwnął głową.

Stopnie schodów wykonane były z surowych, nie heb- lowanych desek z prześwietlającymi szparami.

–Idź po cichu – szepnął Jim. – Na palcach.

Służący wykonał polecenie.

Jim, Daffyd i Secoh ostrożnie podążali za nim. Gdyby nie przytłumione światło dochodzące z korytarza na dole i przeświecające między stopniami, na schodach panowałaby kompletna ciemność.

Przewodnik zatrzymał się na trzecim stopniu od dołu.

Jim minął go, przeciskając się lewą stroną. Dopiero gdy dotknął ściany, zobaczył, że to zwykła ziemia. Te lochy, jak wiele innych w średniowieczu, były po prostu dziurami w ziemi. Tylko korytarze wzmacniano kamieniami, aby nie uległy zawaleniu.

Przesuwając dłonią po ścianie, zszedł niemal przyklejony do niej i ostrożnie wyjrzał zza rogu. Nagle przypomniał sobie o gałązce, która czyniła go niewidzialnym, i śmiało wychylił się.

Światło, które pozwoliło im bezpiecznie zejść, pochodziło z grubej świecy przyklejonej do stożka zakrzepniętego na stole wosku. Z przyjemnością wciągnął w nozdrza wy- dzielany przez nią zapach, zabijający odór stęchlizny panujący w lochu.

Przy stole siedział potężny mężczyzna w średnim wieku z kilkudniową siwą brodą. Przed nim stało kilka butelek wina i metalowy kubek, prawdopodobnie z cyny. Jim wyłonił się zza rogu, wyciągnął przed siebie rękę i wskazując palcem odwróconego do niego plecami strażnika, wy- powiedział tylko jedno słowo: – Bezruch.

Mężczyzna zamarł, z ręką wyciągniętą po kubek. Jim zdjął gałązkę z hełmu i kiwnął w stronę Daffyda i Secoha, aby zrobili to samo.

–W porządku – powiedział Smoczy Rycerz do sługi, posługując się już normalnym głosem. – Zejdź ze schodów i czekaj tam, póki nie wydam ci innych rozkazów.

przewodnik zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Daffyd i Secoh minęli go i podeszli do wciąż nieruchomego strażnika. Jim przemówił do niego: – Posłuchaj mnie. Za chwilę powiem słowo "stop".

Kiedy to zrobię, przestajesz być pod wpływem czaru bezruchu. Nie będziesz jednak w stanie mówić i pozostaniesz tak, dopóki nie wydam ci innych poleceń. Jeśli mnie rozumiesz, potwierdź ruchem głowy.

Strażnik kiwnął głową.

–Dobrze! – stwierdził Jim.

–A teraz – zwrócił się do pozostałych – rozejrzyjmy się...

–James! – rozległ się nagle głos Briana. – Jamesie, czy to ty? Jesteśmy z Gilesem w ostatnim lochu.

Pobiegli w kierunku, skąd dochodził głos, i zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza.

–Odezwij się jeszcze, Brianie! To tutaj jesteście?

–Tak! – odpowiedzieli chórem obaj więźniowie.

–Wydostaniemy was za chwilę – zawołał Jim i zajął się drzwiami.

Zamykała je prosta, zardzewiała sztaba szerokości około pięciu centymetrów, wsuwana w tak samo zniszczony uchwyt. Jim szarpnął za skobel i po chwili sztaba przesunęła się. Otworzył drzwi i już miał zamiar wejść do środka, jednak w porę spostrzegł, że celi była jeszcze bardziej zagłębiona w ziemi, a jej podłoga znajdowała się co najmniej o sto dwadzieścia centymetrów poniżej poziomu korytarza. Brian i Giles stali przy ścianach, a ich głowy znajdowały się na poziomie jego kostek. Jeśli stęchlizna dawała się we znaki w korytarzu, to w celi aż dusiła.

–Jak was stąd wydostaniemy? – zapytał Jim, dusząc się w nieświeżym powietrzu.

–Strażnik wyciągał nas pojedynczo. Oczywiście, pomagaliśmy mu, bo któż chciałby tu tkwić – odpowiedział z ciemności głos Briana.

Jim popatrzył z podziwem na unieruchomionego wartownika. Mimo że nie był on już młody, musiał mieć stalowe mięśnie, aby samemu wyciągnąć dorosłego mężczyznę z takiej celi.

–Daffydzie, pomóż mi. Ja złapię za jedną rękę, a ty za drugą i razem pociągniemy.

Wraz z łucznikiem, obdarzonym wielką siłą pomimo stosunkowo szczupłej budowy ciała, wyciągnęli Briana i Gilesa. Kiedy stanęli o własnych siłach w korytarzu, rozległ się brzęk. Obaj mieli na kostkach okowy połączone krótkim łańcuchem. W miejscach, w których metal dotykał ciała, widoczna była zaschnięta krew.

Jim przy świetle przyjrzał się przyjacielom. Ich twarze były nieco zszarzałe i cuchnęły, ale z wyjątkiem krwi na nogach wyglądali mniej więcej normalnie. Jimem wstrząsnął dreszcz. Pół godziny w tym lochu, a oszalałby.

Popatrzył na kostki ich nóg i poczuł przyływ wściekłości, widząc kajdany i krew. Podeszedł do strażnika.

–Hej, ty! – rzucił, stając przed nim. – Zdejmij kajdany tym dwóm więźniom! Czekaj! Czy są tu jeszcze jacyś inni więźniowie?

Kiedy nie otrzymywał odpowiedzi, uświadomił sobie, że wartownik znajduje się pod wpływem hipnozy i trzeba mu rozkazywać.

–Kiwnij lub zaprzecz głową. Czy są jacyś ludzie w innych celach?

Zapytany zaprzeczył.

–W porządku! Ruszaj się więc! – polecił Jim. – Wstań, odwróć się i zdejmij kajdany.

Strażnik usłuchał. Okowy opadły, gdy otworzył je. Jim miał wielką ochotę wepchnąć go do tej samej celi, w której przebywali Brian i Giles, ale zaniechał tego. Nie od rzeczy byłoby dać mu doświadczyć tego, co sam robił innym, ale uznał to za nieludzkie. Gdyby został wtrącony do lochu, nie pomogłoby to nikomu, kto będzie tu przetrzymywany, poza tym jest przecież tylko sługą, prawdopodobnie wyznaczonym do takiej pracy ze względu na swą siłę.

Przerwał rozmyślenia w chwili, gdy Brian i Giles do końca oswobodzili nogi, a Daffyd i Secoh najwyraźniej zamierzali zrealizować to, nad czym się zastanawiał.

–Nie! Czekajcie! – zawołał Jim. – On nie może znaleźć się w celi, choć na to zasłużył.

Ma siedzieć na swoim miejscu i zapomnieć, że kiedykolwiek tu byliśmy.

Powinno mu się zdawać, że zostaliście zabrani na czyjś rozkaz.

Jego słowa uchroniły strażnika od zepchnięcia głową w dół, w brud i odchody, które zaścierały podłogę celi.

–Wracaj do stołu i siadaj przy nim – polecił Jim siłaczowi.

Ten posłuchał natychmiast.

Minęło nieco czasu, zanim Smoczy Rycerz wyjaśnił obu przyjaciółom, co się zdarzyło, bowiem oswobodzeni rzucili się do stołu i każdy z nich chwycił po butli wina.

Niestety, wybrana przez Gilesa okazała się pusta. Widząc to Brian z wyraźnym żalem odjął od ust swoją butelkę i oddał druhowi to, co w niej pozostało.

–Na Świętego Dunstana, jestem tak spragniony, że wypiłbym całą beczkę wina! – wykrzyknął mistrz kopii.

Dopiero teraz Jim zdał sobie sprawę, że obaj mówią tak schrypniętymi głosami, bo mają wysuszone gardła.

–Odstawcie te butelki na miejsce – poprosił Smoczy Rycerz. – Pozostawmy tu wszystko tak, jak było, żeby strażnik był przekonany, iż zostaliście zabrani na czyjś rozkaz.

Podszedł do służącego, wciąż czekającego u stóp schodów.

–Posłuchaj teraz – zwrócił się do niego. – Skiń głową, jeśli mnie rozumiesz.

Służący uczynił to.

–Masz podejść do strażnika i powiedzieć mu, że zabierasz więźniów z rozkazu samego króla.

Sługa natychmiast ruszył we wskazanym kierunku i przekazał słowa Jima zahipnotyzowanemu strażnikowi.

–Poszedłeś do celi i wydobyłeś z niej więźniów – zwrócił się Smoczy Rycerz do strażnika. – Zdjąłeś im kajdany, ponieważ powiedziano ci, że mają zostać zabrani do króla, a on nie powinien wiedzieć, jak źle ich traktowano.

Stwierdził, że należy zrobić coś ze smrodem, jaki rozchodził się od Briana i Gilesa. Cuchnęli niemal tak intensywnie jak cela, w której ich zamknięto.

–Będziesz dalej siedział przy stole – ciągnął. – Nie poruszysz się, ani nie pójdziesz po

wino. Nie będziesz nic pamiętać, z wyjątkiem sługi, który zabrał więźniów. Zapomnisz o mnie i o wszystkim, co jest ze mną związane. Gdy odejdziemy, nie zrobisz nic, aż przyjdzie ktoś, kto ma zastąpić cię na posterunku. Rozumiesz?

Strażnik skinął głową.

Jim odwrócił się od niego.

–Brianie i Gilesie, przez chwilę stójcie spokojnie. Muszę zrobić coś z tym odorem zalatującym od was.

Przez moment dumał, jak zapisać potrzebne zaklęcie, aż wreszcie wyobraził sobie jego treść na wewnętrznej stronie czoła: NIECH Z BRIANA I GILESA ZNIKNIĘ ODÓR LOCHÓW – W porządku.

–Oni już nie śmierdzą! – zauważył ze zdziwieniem Secoh.

Nikt z pozostałych nie kontynuował jednak tego tematu.

Jim wręczył obu rycerzom dwie zapasowe gałązki, które miał ze sobą.

–Trzymajcie. Umieśćcie je tak, by wszyscy mogli je widzieć. Staniecie się niewidzialni, tak jak podczas ataku na króla francuskiego rok temu.

Giles i Brian, zajęci wdziwaniem na siebie kolczug, hełmów i pancerzy oraz przytracaniem broni, stali się niewidzialni.

–Dobrze – ocenił Jim, sam ponownie odkrywając swą gałązkę. – Dafyddzie, Secohu, zróbcie to samo co ja.

–A teraz – zwrócił się do sługi – prowadź nas do królewskich komnat. Jeśli istnieje tajemne przejście do apartamentów monarchy, wiedz nas właśnie tamtędy.

Nie tylko królowie, ale i wszyscy bogaci ludzie, których stać było na wielkie domostwa, lubowali się w konstruowaniu tajnych skrytek i przejść. Smoczy Rycerz był niemal pewien, że król Jean nie stanowił pod tym względem wyjątku.

–Teraz prosto do prywatnych komnat króla – przemówił do sługi, gdy znaleźli się na górze.

Powrócili tą samą drogą, którą dotarli do podziemi. Jim czuł się dumny z sukcesów w użyciu hipnozy. Nawet jeśli nieco wspierała ją magia, czarnoksiężnik nie powinien niczego wyczuć. Z drugiej jednak strony wszystko szło zbyt łatwo. Zajmował się przecież hipnozą jako amator, ucząc się jej z drugiej ręki od niesympatycznego faceta nazwiskiem Grottwold, dla którego w dwudziestym wieku pracowała Angie. Zacisnął kciuki, by nie zemściło się to na nim.

Żałował, że nie wie, jaki jest w niej udział kontrolowanej przez niego magii.

Nie był jednak w stanie znaleźć sposobu na określenie tego. Nagle przypomniał sobie coś, co zademonstrował mu kiedyś Grottwold.

–Stój – rozkazał służącemu.

Ten wykonał polecenie. Smoczy Rycerz obszedł go i stanął naprzeciw.

–Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć pergamin, pióro i inkaust? – zapytał. – Król musi mieć przecież przy sobie sekretarza, żeby pisał mu listy.

Sługa nie poruszył się, ani nie odpowiedział.

–Skiń głową, jeśli rozumiesz – polecił Jim niecierpliwie, powtarzając te słowa już chyba po raz setny.

Służący pokiwał głową.

–W porządku, chodźmy po nie.

Zawrócili. Doszli do drzwi, które sługa otworzył i wszedł do komnaty. Jim zdał sobie w tym momencie sprawę, że popełnił błąd, ponieważ w środku mogli siedzieć zajęci pisaniem skrybowie. Z uczuciem ulgi stwierdził jednak, że nikogo nie ma. Znajdowało się tu wysokie biurko do pisania na stojąco. Pulpit miało spadzisty i tylko na jego szczycie była pozioma część. Zobaczył na niej kałamarz, gęsie pióro i starannie złożone kartki pergaminu.

–Zostań tu, dopóki nie będę cię potrzebować – rzekł Jim do sługi i podszedł do biurka.

–Zamierzam coś wypróbować – wyjaśnił towarzys- szom, którzy zaciekawieni zaglądali mu przez ramię. – Chcę narysować coś, co wprawia niektórych w stan hipnozy.

Możemy to wypróbować na Ecottim.

Uniósł wzrok i dostrzegł, że Brian i Giles pospiesznie odwrócili głowy od kartki, podczas gdy Dafydd i Secoh nadal patrzyli z oczyma lśnącymi zainteresowaniem.

Jim zajął się rysunkiem. W górnej części karty zaczął kreślić zwężającą się spiralę. Starał się nie odrywać pióra, aż wreszcie narysował spiralę w jednym końcu dwukrotnie szerszą niż w drugim. Większa część arkusza wciąż pozo- stawała jednak czysta.

Następnie zaczął kreślić drugą spiralę, nałożoną częś- ciowo na dolną część pierwszej, zachowując tę samą proporcję. Ostrożnie zanurzył pióro w atramencie i nary- sował trzecią, częściowo nachodzącą na drugą. Jeszcze kilkakrotnie powtarzał tę operację, aż wreszcie dotarł do dołu strony, gdzie spirala zwężyła się niemal do kropki. Na zakończenie dodał jeszcze kilka prostych kresek i łuków.

Wreszcie odłożył pióro na miejsce i spojrzał na przyjaciół.

Obaj rycerze uparcie trzymali głowy odwrócone w bok, podczas gdy Secoh i Dafydd nie odrywali wzroku od rysunku. Dopiero po pewnym czasie Smoczy Rycerz za- uważył, że ich oczy pozostają w idealnym bezruchu.

–Dafyddzie! – przemówił łagodnie do łuczniaka. – Se- cohu! Obudźcie się!

Poruszyli się.

–Mówiłeś coś, panie? – zapytał smok w ludzkiej postaci. – Byłem tak zajęty patrzeniem, jak rysujesz, że wcale cię nie słyszałem.

–Powiedziałem, żebyście się obudzili.

Uśmiechnął się do nich. Walijczyk po chwili również odpowiedział mu uśmiechem, natomiast Secoh wyglądał na kompletnie zbitego z tropu.

–Muszę przyznać, że nauczyłem się czegoś – powie- dział w zadumie Dafydd. – Nigdy już nie będę lekceważył twoich ostrzeżeń, Jamesie.

–To kwestia przypadku – odparł Jim. – Na nie- których ludzi to działa, na innych nie. Mnie jednak zależy tylko na Ecottim, by spojrzał na ten rysunek i skoncent- rował na nim swoją uwagę. Potrzebuję bowiem czasu, by użyć przeciwko niemu mojej magii, zanim on mnie zaata- kuje swoją.

Wziął pergamin i zbliżył się ponownie do sługi, który bez ruchu stał przy drzwiach.

–W porządku – przemówił do niego. – Prowadź nas najpierw do komnaty Ecottiego.

! Droga zajęła im zaledwie chwilę. Przed wejściem prze- wodnik zatrzymał się, a Jim wyszeptał mu do ucha dalsze rozkazy: – Weź to – rzekł, wręczając mu pergamin z nakreś- lonymi na nim spiralami. – Jeśli czarnoksiężnik wciąż śpi, masz moje pozwolenie, by go obudzić. Wręcz mu ten pergamin i powiedz, że z rozkazu króla ma się natychmiast

zapoznać z tym, co znajduje się na nim.

Sługa skinął głową, odwrócił się i wszedł do komnaty.

Z przyzwyczajenia usiłował zamknąć za sobą drzwi, ale Smoczy Rycerz wcisnął w szparę koniec buta, by mogli widzieć, co dzieje się w środku.

Ecotti wciąż spał. Był szczelnie przykryty i nadal głośno chrapał.

–Panie... Panie – powiedział sługa, najpierw cicho, do ucha śpiącego, lecz gdy to nie poskutkowało, zdecydował się lekko trącić go w ramię.

Chrapanie urwało się, po chwili rozległo się ponownie, aż wreszcie ucichło na dobre. Czarnoksiężnik otworzył oczy.

–Co? – zapytał sennie.

–Z rozkazu króla masz natychmiast się z tym zapoznać, panie – rzekł służący, wręczając mu jednocześnie pergamin. – Wybacz, że cię obudziłem.

–Co... – Ecotti przesunął się, by oprzeć plecy o drewniany zagłówek. Spod przykrycia wysunął rękę i ujął w nią pergamin. – Mam się temu przyjrzeć?

Sługa, znajdujący się wciąż pod wpływem hipnozy, nie odpowiedział na pytanie. Włoch zdawał się nie zauważać tego i wpatrywał się w rysunek Jima. Jego oczy rozjaśniły się, rozszerzyły i straciły senny wyraz.

–Co to ma być? – wykrzyknął wreszcie już trzeźwym tonem.

Wolną ręką odsunął przykrycie i opuścił nogi, co stanowiło dość nieprzyjemny widok – cienkie patyki porośnięte ciemnymi włosami, ze zwisającymi na końcach kościstymi stopami.

Całe wystające spod przykrycia nogi były gołe i choć Ecotti, tak jak Carolinus, zakładał szlafrynę, widocznie jednak wzorem większości ludzi w czternastym wieku miał zwyczaj spać nago.

Czarnoksiężnik spojrzał na sługę ostro i wykrzyknął: – Ruszaj! Wynoś się stąd! Sam załatwię to z królem!

Służący posłuchał rozkazu i wyszedł z komnaty.

"Kłapa – uznał Jim. – Widocznie Ecotti należy do tych, na których taki rysunek nie działa." – Pójdzie zapewne prosto do króla – stwierdził. – Lepiej sami jak najszybciej udajmy się do niego, ale inną drogą.

–Ty! – zwrócił się ponownie do służącego. – Jak najszybciej i najciszej prowadź nas tajnym przejściem do komnaty króla.

Dworzanin odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

Poprowadził ich korytarzem do alkowy, gdzie stało kilka krzesel. Nigdzie nie było śladu drzwi. Zbliżył się jednak do jednego z kasetonów i odsunął go na bok. Zrobił miejsce i przepuścił wszystkich, po czym ruszył za nimi. Wejście zamknęło się i pozostali w kompletnej ciemności.

Jim usłyszał kroki służącego i wyczuł ruch powietrza, gdy ten go mijał.

–Trzymajcie się jak najbliżej mnie – zwrócił się do pozostałej trójki.

Poczuł, że czyjaś ręka chwyciła go za pas i tak sczepleni podążyli ciemnym korytarzem za sługą.

Jim nie wiedział, czy dworzanin tak dobrze zna tę trasę, czy też porusza się, macając znajdujące się w zasięgu ręki ściany. W każdym razie po kilkunastu krokach zatrzymał się i

ponownie odsunął kaseton. Ostrożnie weszli do bogato i gustownie umeblowanego, pustego pomieszczenia.

Najwyraźniej był to salon. Przewodnik wyraźnie bał się iść dalej. Z komnaty tej prowadziło dwoje drzwi.

–Którędy mamy pójść, żeby znaleźć króla? – zapytał Jim.

Służący nie reagował.

–Wskaż, jeśli nie możesz tego powiedzieć.

Dworzanin pokazał drzwi znajdujące się z lewej strony.

Jim ruszył w ich kierunku, czując, że towarzysze podążają za nim. Podkradł się pod drzwi i przyłożył do nich ucho.

Niewyraźnie usłyszał dwa męskie głosy.

Sięgnął do klamki i spróbował poruszyć ją delikatnie.

Ustąpiła dość lekko i bez hałasu. Uchylił drzwi na kilka zaledwie milimetrów i zajrzał do środka. Ujrzał meble świadczące o tym, że bez wątplenia była to sypialnia.

Poszerzył nieco szparę i zobaczył nie tylko Ecottiego, ale także samego króla Jeana. Jim widział go już wcześniej, przed niedoszlą do skutku bitwą Francuzów z Anglikami.

Wówczas to smoki, za jego namową, napędziły ludziom takiego strachu, że całkiem odebrały im chęć do walki.

Był to dość niski, tęgi, siwy, wyglądający sympatycznie mężczyzna. Stał teraz z potarganymi włosami, w zielonej szacie narzuconej na ramiona, i słuchał Ecottiego ubranego w pończochy i krótką opończę, mówiącego coś i wymachującego przy tym rękoma. W jednej z nich dzierżył pergamin z rysunkiem Smoczego Rycerza.

Jim pospiesznie wycofał się, a towarzysze, którzy także zerkali przez szparę, otoczyli go natychmiast.

–Jest ich tylko dwóch, a nas czterech, Jamesie – szepnął mu do ucha Brian. – Król Francji jest dżentelmenem i ceni sobie oręż, choć wątpię, by posiadał nadzwyczajne umiejętności posługiwania się nim. Ten drugi z pewnością nie zna się na broni. Jest czarnoksiężnikiem i ma wprawę w operowaniu magią, ty także się na niej znasz, więc poradzisz sobie. Musimy wejść, prawda?

–Chyba tak – przyznał Jim. – Ale nie jest to takie proste. Gdy wejdziemy, wszystko rozstrzygnie się nie dzięki sile i sztuce szermierki, lecz za sprawą magii. A rzecz w tym, że magia Ecottiego nie przypomina mojej, o czym wspominał Carolinus. Jego jest stworzona do walki. Ja mogę nas jedynie bronić. Jestem w stanie tylko odpierać jego ataki.

–Mógłbym przebić go strzałą przez tę szparę w drzwiach – zauważył cicho Dafydd.

Smoczy Rycerz od razu uznał ten pomysł za niestosowny.

Był to przykład czternastowiecznego sposobu myślenia: przeciwnika wolno zabić w każdej sytuacji, nawet bezbronnie i z zaskoczenia. Jego dwudziestowieczny humanitaryzm nie mógł się jednak z tym pogodzić.

–Nie możemy zabić Ecottiego, dopóki nie wydobyjemy z niego interesujących nas informacji. Pamiętajcie, co powiedział Carolinus?

–To prawda – przyznał mistrz kopii. – Jest ktoś, posiadający ogromną moc, którego musimy odszukać za wszelką cenę. A bardzo prawdopodobne, że Ecotti wie, kto to i gdzie można go znaleźć.

–Masz rację, Sir Brianie – poparł go Dafydd, po czym zwrócił się do Jima: – A więc co zdecydujesz, panie?

Wszyscy z wyczekiwaniem patrzyli na swego przywódcę.

–Pozwólcie mi chwilę pomyśleć – rzekł Jim.

Wciąż rozmyślał nad znalezieniem sposobu odwrócenia uwagi czarnoksiężnika, aby nie zdążył on posłużyć się swą magią, a jednocześnie nad wykorzystaniem własnej mocy.

Fortel z rysunkiem nie udał się. Uznał, że rzucenie czaru z tego miejsca może być zbyt ryzykowne. Z pewnością przy tak niewielkiej odległości jego magia zostałaaby wykryta przez Ecottiego, nawet jeśli drzwi między pomieszczeniami byłyby zamknięte. Nieskuteczna próba hipnozy pozwalała przypuszczać, że użycie innych jej sposobów także zakończy się fiaskiem.

W zamyśleniu zmarszczył brwi.

–...de l'audace – zamruczał pod nosem – encore de l'audace, toujours de l'audace...

Zupełnie nie wiedział, dlaczego akurat teraz przyszły mu do głowy słowa Georges'a Jacquesa Dantona – jednego z przywódców osiemnastowiecznej Rewolucji Francuskiej.

Może dlatego, że znajdowali się właśnie we Francji, chociaż była ona tak odmienna.

–Wybacz, proszę – odezwał się Secoh – ale czy czynisz kolejny czar, panie?

Oczywiście, słowa te były zupełnie niezrozumiałe dla jego przyjaciół. Przecież w tym świecie wszyscy, włącznie z niektórymi zwierzętami, mówili jednym językiem, i nie był to znany Jimowi francuski.

Nie posługiwali się także angielskim. Przynajmniej nie takim, jaki od dzieciństwa znali oni i Angie.

Tak czy inaczej nie było sensu tłumaczenia towarzyszom słów, które znaczyły "musimy być odważni i trwać w swej odwadze".

Niech myślą, że to jakaś magiczna formuła. Utwierdzą się w przekonaniu, że wie, co robi. Nagle postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

–Sądzę, że powinniśmy po prostu wejść do komnaty, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi króla i Ecottiego.

Rozdział 21 Najpierw schowajcie swe gałązki, tak jak ja – rzekł Jim.

Postuchali go.

–Pamiętaj, że kiedy zatrzymam się przed królem i Ecottim, ty gwałtownie skoczysz w kąt pokoju – rzekł do łucznika. – Chcę, byś na moment odwrócił ode mnie uwagę czarnoksiężnika. Reszta niech trzyma się blisko mnie.

Dafydd skinął głową.

–A więc dobrze – orzekł Smoczy Rycerz. – Wcho- dzimy.

Przestąpili próg sypialni.

–Cieszę się niezmiernie, że ponownie widzę Waszą Wysokość! – przemówił Jim z uśmiechem, gdy tylko znaleźli się w środku. – Zapewne mnie nie pamiętasz...

Król oraz czarnoksiężnik odwrócili się w jego stronę.

–...lecz miałem ten ogromny zaszczyt poznania już Waszej Wysokości. Nazywam się Sir James Eckert, Smoczy Rycerz, który wezwał smoki, by nie dopuścić do drugiej bitwy pod Poitiers, jak zapewne raczysz pamiętać. Ci oto dwaj towarzyszącymi rycerze...

Przedstawił Briana oraz Giles'a, podchodząc jednocześnie do króla na odległość

wyciągniętej ręki. Nie pokłonił mu I ' \ się, choć noszący rycerskie pasy towarzysze uczynili to odruchowo.

Gdy tylko stanęli, Dafydd wyskoczył zza Jima i rzucił się do ucieczki. Ecotti spojrzął za nim i już otwierał usta, lecz zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Jim postąpił krok do przodu i uderzył go z całej siły w brzuch.

Czarnoksiężnik zwinął się na podłodze, nie mogąc złapać tchu.

–Co to ma znaczyć! – huknął król.

W jednej chwili jakby urósł o dobrych parę centymetrów i nie był to już dobrotliwie wyglądający, niezbyt silnie zbudowany mężczyzną, lecz prawdziwy władca. Jim jednak nie zastanawiał się nad tym. Był zbyt zajęty pisaniem zaklęcia: DAFYDD Z POWROTEM TAM, GDZIE BYŁ PRZYWOŁANIE WIERSZA AUTOSTRADA DO OBRONY BRIANA, DAFYDDA, GILESA, SECOHA I MNIE PRZED WSZYSTKIMI SIŁAMI Walijczyk błyskawicznie znalazł się znów przy nich. Stali obok siebie, wszyscy chronieni zabezpieczeniem. Jim nie doszedł jeszcze do tego, by wyczuwać magię czynioną nawet w najbliższej odległości, jeśli nie widział jej. Był jednak w stanie czuć własne czary. Wiedział więc teraz, że zabezpieczenie działa, jak niemożliwy do sforsowania szklany klosz.

–Przykro mi, Wasza Wysokość – zaczął, lecz król przerwał mu.

–Czy uważasz, że zwykle przeprosiny mogą być zadość-uczynieniem za takie zachowanie? – oburzył się francuski władca. – Moi ludzie zajmą się tobą... wami wszystkimi!

Pochylił się, aby pomóc Ecottiemu podnieść się z podłogi.

Czarnoksiężnik był blady, masował brzuch i wciąż nie był w stanie normalnie oddychać.

–Nic ci nie jest, Julio? – zapytał król.

–Zaraz dojdę do siebie, panie – wysapał Ecotti, posyłając jednocześnie wściekłe spojrzenie Jimowi i jego towarzyszom – ale oni na pewno nie!

W tej samej chwili przybyszów otoczyły płomienie. Nie czyniły krzywdy królowi ani czarnoksiężnikowi, lecz Smoczy Rycerz był pewien, że gdyby nie zabezpieczenie, natychmiast spłonąłby wraz z towarzyszami.

Na szczęście w tej rozgrywce inicjatywa nie należała do Ecottiego. Jim zdołał skorzystać ze swej magii, zanim został zaatakowany. Z radością stwierdził, że Carolinus miał rację mówiąc, że prawdziwa magia ma większą siłę niż czarnoksiężstwo pochodzące od Ciernych Mocy.

To prawda, że zwykła magia służyła tylko jedynie obronie, podczas gdy Włoch mógł atakować. Jego moc nie mogła się jednak dorównać czarom magów. Dzięki temu Jim i jego przyjaciele, bezpieczni za niewidzialną osłoną, obserwowali płomienie, które ich nie potrafiły osiągnąć.

–Bezruch! |- rzucił Jim, wskazując palcem na czarno-księżnika.

Ecotti zamarł bez ruchu i Jim widział wyraźnie, jak walczy o zniweczenie czaru i odzyskanie możliwości poruszania się.

Smoczy Rycerz pomyślał, że nie będzie to łatwe, ponieważ może dokonać tego wyłącznie przy użyciu bojowej magii, niezbyt przydatnej w takiej sytuacji.

Fakt, iż zabezpieczenie wytrzymało napór płomieni, oznaczał, że Ecotti nie potrafi zniweczyć czarów Jima.

Jasne było także, iż czarnoksiężnik nie zabezpieczył samego siebie. Być może po prostu nie potrafił tego zrobić.

Okazało się jednak, że nie jest tak zupełnie bezradny wobec magii Jima. Zdołał bowiem odzyskać możliwość ruchów. Najpierw poruszył się nieco ociężale, lecz już po chwili był w pełni sprawny.

W tym momencie Jim zdał sobie sprawę, że utrzymywanie otaczającego ich zabezpieczenia nadwątlą jego własne siły.

Nie był w stanie określić, czy chodzi tu o siły fizyczne, czy psychiczne. Czuł to jednak i uświadomił sobie, że nie może tak bez końca bronić się przed atakami Ecottiego. Ale oznaczało to, iż także czarnoksiężnik nie mógł ich atakować bez ograniczeń. Rywalizacja taka przerodziłaby się w spraw- dzian ich wytrzymałości.

Poprzez płomień Jim dostrzegł, że król uśmiecha się z aprobatą, obserwując działanie swego doradcy. Najwyraź- niej spodziewał się, że z intruzów zostanie tylko popiół.

Trzeba było coś zrobić, aby przerwać tę bezsensowną konfrontację.

"...Toujours de l'audace..." – pomyślał Jim.

Należało starać się nadal wyprowadzać Ecottiego z rów- nowagi i znaleźć odpowiednią do tego broń. Nagle przyszła mu do głowy przednia myśl.

Na wewnętrznej stronie czoła napisał: TEMPERATURA PŁOMIENI – 2°C Napisał jeszcze jedną formułę, chroniącą ręce, po czym wysunął dłonie poza zabezpieczenie, wprost w otaczające je języki ognia. Poczul jedynie jakby chłodny podmuch.

Cofnął ręce i uśmiechnął się. Widział, że jego sukces wstrząsnął zarówno królem, jak i Ecottim, choć natychmiast ukrył on swe uczucia.

Czarnoksiężnik wlepił w Jima spojrzenie. Przez chwilę Smoczy Rycerz smakował słodycz wygranej. Przypomniał sobie jednak, że jego zadaniem nie była utarczka z Włó- chem, lecz pozyskanie informacji, kto stał za inwazją węży morskich na Anglię.

Pospiesznie napisał krótki czar, czyniący ich zabez- pieczenie dźwiękoszczelnym.

Uczyniwszy to, przemówił do towarzyszy, starając się jak najmniej poruszać ustami: – Za chwilę dam sygnał, na który wszyscy padniemy, udawając martwych. Nie zamykajcie jednak oczu, lecz zmruźcie je na tyle, by widzieć, co dzieje się w waszym bezpośrednim sąsiedztwie. Kapujecie?

Przyzwyczajeni już do zwrotów Jima, pochodzących z dwudziestego wieku, trzej przyjaciele skinęli głowami.

Tylko Secoh zmarszczył czoło, nie mogąc w pierwszej chwili zrozumieć, o co chodzi.

–Chcę, żeby każdy z was wypowiedział po kolei przydzielone słowa: najpierw Dafydd, później Brian, Giles, a wreszcie Secoh – ciągnął Jim. – Dafyddzie, twoje słowo to, jesteście". Powiesz je, kiedy dotknę cię, gdy będziemy już leżeć. Ty, Brianie, odczekaj chwilę i wypo- wiedz swoje: "obaj". Później twoja kolej, Gilesie. Ty powiesz: "pod". Na końcu zaś Secoh powie: "wpływem".

I macie leżeć bez ruchu. Ja zajmę się resztą. Gotowi?

Wszyscy czterej mruknęli na potwierdzenie.

–Každy pamięta swoje słowo?

Ponownie przytaknęli.

–A więc na ziemię – poleciał Smoczy Rycerz.

Legli bez ruchu.

Spod na wpół przymkniętych powiek Jim obserwował, jak Ecotti i król przypatrują im się poprzez płomienie.

Wreszcie czarnoksiężnik skinął ręką i języki ognia zniknęły.

Obaj podeszli bliżej, by przyjrzeć się leżącym.

–Jakże sprytnie to zrobiłeś, Julio – przemówił król Jean. – Oni wciąż jeszcze żyją. Tylko są nieprzytomni.

To świetnie. Będziemy więc mogli wypytać ich o wszystko, co chcemy. Zapłacą także za beczelne wtargnięcie do mojej komnaty, jakby była to jakaś podrzędna karczma.

Król zawahał się na moment.

–Dlaczego tak bacznie przyglądasz się temu najmniej szemu? – zapytał.

–Nie jestem pewien – odparł Ecotti, stojąc nad Secohem. – Pod pewnym względem różni się od innych.

Mógłbym to sprawdzić...

Jim trącił Walijczyka.

–Jesteście.

Głos Dafydd wyrażnie rozbrzmiał w pomieszczeniu.

Obaj odwrócili się zaskoczeni i podeszli do łucznika.

–Obaj – odezwał się Brian.

Król i Ecotti ze zdziwieniem patrzyli na leżących.

–Który to był tym razem? – zapytał monarcha.

–Sądzę, że to ten... – powiedział Włoch, kopiąc Briana w żebra.

Mistrz kopii, od dziecka przygotowywany do twardego życia rycerza, nie dał po sobie poznać, że sprawiono mu ból.

–Jesteś pewien... – zaczął król, lecz urwał, gdyż rozległ się głos Gilesa, który leżał odwrócony tyłem i nie widać było jego twarzy.

–Pod.

–Wpływem – powiedział Secoh, nieco za szybko, lecz nie miało to już teraz znaczenia.

Król i Ecotti byli zupełnie dezorientowani. Jim na wewnętrznej stronie czoła wypisał ostatnie słowo, które zachował dla siebie.

–...Hipnozy. Nie możecie się ruszać.

Włoch i Francuz zamarli, pochyleni nad Gilesem.

Smoczy Rycerz poderwał się na nogi.

–Możecie już wstać – zezwolił przyjaciółom.

–Co się stało? – zapytał Secoh, gdy tylko się podnieśli. – Co uczyniłeś?

–No cóż, wszyscy pomogliście mi użyć magii – wyjaśnił.

Dafydd, Brian i Giles utkwili w nim pełne obawy spojrzenia. Secoh uczynił to także, lecz na jego obliczu gościł szeroki, radosny uśmiech.

–Ja? – wykrzyknął, obracając się na pięcie. – Ja rzuciłem czar? Wziąłem udział w czynieniu magii?

–Z całą pewnością – zapewnił go Jim. – Podobnie jak wy wszyscy.

Obaj rycerze przeżegnali się. Magia używana przez Carolinusa i Jima była nazywana białą i nie uważano jej za niechrześcijańską, lecz woleli nie ryzykować. Przez całe życie

wbijano im w głowy, że szatan zastawia pułapki na nieostrożnych. Nie oznaczało to oczywiście, że uważają swojego przyjaciela za Diabła lub kogoś z nim sprzymierzonego, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Obaj więc uznali, że nie zaszkodzi ubezpieczyć się, wzywając imię Boże.

–Czy mógłbyś powtórzyć to, co powiedziałaś? – poprosił Dafydd.

–Chodziło o hipnozę – wyjaśnił Smoczy Rycerz. – Musiałem uchwycić moment, kiedy nie byli przygotowani...

–Chwileczkę!

Był to bas z Wydziału Kontroli, przemawiający jak zwykle władcym tonem, z wysokości metra nad powierzchnią ziemi.

–Właśnie otrzymaliśmy skargę Son Won Phona, maga klasy B. Korzystasz bowiem ze wschodniej magii bez uprzedniego studiowania jej u uprawnionego do tego mistrza.

–Ale... myślałem, że hipnoza nie należy magii – starał się wytłumaczyć Jim. – Tam, skąd pochodzę...

Przerwał mu głos Carolinusa, dochodzący także znikąd i niezwykle poirytowany: – Sądziłem, że już to wyjaśniliśmy! Tam, skąd pochodzi mój uczeń, praktyka ta jest szeroko rozpowszechniona i ogólnie znana. Nie można nic zarzucić jego edukacji, jeśli umiejętności nabył właśnie tam.

–Przyznajemy rację – zdecydował głos z Wydziału Kontroli, który niewątpliwie dotarł także do Son Won Phona.

–Poza tym, jeśli konieczna jest jakakolwiek licencja, niech nikt nie zapomina, że jestem magiem klasy AAA+.

Jeśli ja nie mam kwalifikacji do nauczania wschodniej magii, to nie wiem, kto je posiada! Czy chcesz coś jeszcze powiedzieć na ten temat, Son Won Phonie?

Rozległ się czyjś niewyraźny głos i natychmiast umilkł.

–Sądzę, że powinno to... – dobiegł do ich głos z Wydziału Kontroli, który także stał się niesłyszalny.

Do uszu zgromadzonych nie docierały także dalsze słowa Carolinusa.

Jim przez chwilę był tym zaskoczony, a później zaczęła w nim wzbierać złość. Zapewne dalej toczyli tę dysputę, lecz uczynili ją niesłyszalną nawet dla niego. Czuł na sobie wyczekujące spojrzenia przyjaciół. Gniew wezbrał w nim nadal: przecież to o niego chodziło.

–Mam prawo słyszeć! – rzucił.

Jeszcze przez moment panowała cisza, aż wreszcie rozległ się głos Carolinusa.

–To nie ma znaczenia, Jimie – rzekł. – Sądzę, że wszystko zostało już wyjaśnione. Możesz postępować według własnego uznania. I to w każdej dziedzinie. Czyż nie mam racji? Wydział Kontroli?

–Masz rację, Magu Carolinusie – huknął jak zwykle niespodzianie bas.

Później zapadła długa cisza. Towarzysze Jima z ulgą odetchnęli, gdy wreszcie zniknęła otaczająca ich aura magii – Co mamy teraz robić? – zapytał Brian, przyglądając się jednocześnie pozostającym pod działaniem hipnozy.

–Dowiemy się od nich ile tylko zdołamy – odrzekł Smoczy Rycerz. – A później wydestaniemy się stąd i wrócimy do Anglii z potrzebnymi informacjami. Najpierw jednak ulżę im nieco.

–Królu Jeanie, Julio Ecotti! – zwrócił się do stojących w bezruchu. – Możecie się wyprostować. Przejdźcie i usiądźcie na najbliższych krzesłach. Ecotti, postaw swoje obok króla, żebym mógł rozmawiać jednocześnie z wami obydwoma.

Zahipnotyzowani zbyt dosłownie posłuchali Jima i czar-noksiężnik skierował się do tego samego krzesła co król, który ubiegł go jednak. Ecotti rozejrzał się, dostrzegł inne krzesło, stojące nie opodal, przeniósł je, postawił obok zajętego przez monarchę i usiadł na nim.

Wypełniwszy polecenie, obaj utkwili niewidzące spojrzenia w Smoczym Rycerzu.

–Zamierzam zadać wam szereg pytań – rozpoczął Jim. – Jeśli znacie na nie odpowiedzi lub wiecie cokolwiek z tym związanego, mówcie. Królu, kiedy ma dojść do inwazji na Anglię?

–Za pięć dni, jeśli pogoda na to pozwoli – odparł monarcha beznamiętnym tonem.

Jim kontynuował przesłuchanie. Od obu otrzymywał konkretne odpowiedzi. Gdy zapominał o istotnych sprawach, przyjaciele służyli mu pomocą. Na przykład Brian wpadł na pomysł dokładnego ustalenia liczby i rodzaju sił wysyłanych na podbój Anglii. Giles zaś zażądał opisu statków desantowych. Wspólnie dowiedzieli się bardzo wiele. Jednak jedna rzecz wciąż pozostawała zagadką.

Nie ustalili bowiem, kto skontaktował Essessilego z Ecottim. Okazało się, że pewnego ranka czarnoksiężnik znalazł przy łóżku wiadomość, aby udał się w odosobnione miejsce nad morzem, gdzie nikt nie mógłby go widzieć ani słyszeć.

Wykonał polecenie i wówczas z wody wyłonił się Essessili, który poinformował go, że węże morskie szukają zemsty na angielskich smokach. Chętnie będą więc służyć pomocą francuskiemu królowi. Co więcej, są gotowe pomóc mu w przrzuceniu wojsk na wyspę, co

uchroni je przed niebezpieczeństwami podróży morskich.

Słowa węża nie wyjaśniały jednak, kto skłonił do takiego działania żyjących zazwyczaj samotnie jego pobratymców.

Nieprawdopodobne, aby wszystko to zainspirował sam Essessili. Carolinus był pewien, że stała za tym tajemnicza postać, posiadająca ogromną moc magiczną.

Jim na próżno usiłował na różne sposoby formułować to najważniejsze pytanie, licząc jeszcze, że dowie się czegoś ważnego. Wreszcie przerwał mu Giles.

–Jeśli mamy pokonać Kanał, należy znaleźć na to sposób, zanim zrobi się ciemno – zauważył, podejrzliwie spoglądając na zahipnotyzowanych, wyraźnie niepewny, czy można mówić przy nich swobodnie. – W ciemnościach trudno będzie znaleźć to, czego możemy potrzebować.

–Masz rację – przyznał Smoczy Rycerz. – Możesz mówić swobodnie. Sprawię, że zapomną o wszystkim, co się tu zdarzyło. Uważasz, że musimy znaleźć odpowiedni statek, a po zapadnięciu zmroku będzie to trudne, jeśli nie niemożliwe? Prawda?

–Tak, Jamesie.

–Masz zupełną rację, Gilesie. Na tym zakończę więc przesłuchanie. I tak, jak mówiłem, dopilnuję, by zapomnieli o wszystkim, co jest z nami związane.

Odwrócił się w stronę obu siedzących.

–Będziecie tkwić tak bez ruchu, dopóki nie doliczycie do pięciuset. Następnie obudzicie się, lecz nie będziecie pamiętać niczego od chwili poprzedzającej nasze wejście. Rozumiecie?

Obaj kiwnęli głowami.

Jim odwrócił się i wraz z towarzyszami opuścił sypialnię.

Po drodze ponownie uczynił ich niewidzialnymi i zabrał czekającego służącego.

Gdy znaleźli się w korytarzu, Smoczy Rycerz kazał słudze, by odprowadził ich do drzwi frontowych, którymi weszli na zamek. Zatrzymali się przed nimi i Jim polecił dworzaniowi, by zapomniał o wszystkim, co zdarzyło się od momentu spotkania z nim. Miał pójść w stronę komnat królewskich i przed przebudzeniem także doliczyć do pięciuset.

Odprawiwszy go, niewidzialni, przemknęli obok strażników i wydostali się na ulice Brestu.

–Zbyt długo potrwałoby dotarcie stąd do portu pieszego – rzekł Jim. – Przeniosę więc nas tam korzystając z magii.

–Konie! – wykrzyknął Brian, zanim Smoczy Rycerz sformułował w myślach odpowiedni czar. – Za żadne skarby nie porzucę mojego Blancharda!

–Proszę bardzo. Nasze konie dzięki odpowiedniemu czarowi także znajdą się w porcie.

Na czole napisał właściwe słowa i natychmiast znaleźli się w porcie. Obok nich rozległo się znajome rżenie koni i stukot kopyt na deskach nabrzeża. Wierzchowce zachowywały się niespokojnie, przeniesione nagle z półmroku stajni w pełne światło chylącego się już ku wieczorowi dnia.

Juki, pozostawione w karczmie, także znalazły się u ich stóp.

Rozdział 22 Jim popatrzył na słońce. Przez dwa lata pobytu w tym świecie nauczył się odczytywać czas z położenia tarczy słonecznej niemal tak dobrze jak tu urodzeni.

–Zbliży się już do horyzontu – zauważył. – Wygląda na to, że mamy najwyżej dwie

godziny na znalezienie odpowiedniego statku i opuszczenie portu. Nie nadaję się do robienia interesów i sądzę, że Brian poradzi sobie w takiej sytuacji znacznie lepiej ode mnie.

Spojrzał na mistrza kopii, który nie wyglądał na zadowolonego, ponieważ słowa te mogły być kojarzone z jego ubóstwem i trudnościami w utrzymaniu zamku Smythe.

Zgodził się jednak wykonać powierzone zadanie.

–Dafyddzie, ty także znasz się na tym świetnie. Idź więc i może uda ci się znaleźć odpowiednią dla nas jednostkę. Ja, wraz z Brianem, także ruszę na poszukiwania.

Secohu, ty zostaniesz tu, pilnując naszego dobytku i koni.

Popatrzył na błotnego smoka w ludzkiej postaci i dostrzegł, że jest on uzbrojony jedynie w nóż, który służący z karczmy zakupił mu jako część stroju. Poza tym był zupełnie bezbronny.

–Możesz wziąć mój miecz i sztylet. Dzięki temu ewentualni napastnicy nie będą już tak skorzy do zadzierania z tobą.

Zaczął odpinać ciężki pas, na którym wisiała broń, lecz Brian i Giles zaprotestowali głośno: – Co robisz, Jamesie! – zaniepokoił się Brian. – Ktoś z pospólstwa ma nosić rycerski pas? Ktoś, kto nie jest dżentelmenem, ma go udawać?

To mówiąc, sięgnął do swoich tarcz.

–Masz! – rzekł, wyjmując stamtąd miecz i sztylet. – Mamy dodatkową broń. Trzymaj, Secohu, możesz z niej skorzystać. Ale rycerski miecz i pas... Nigdy!

–To prawda, sir – wyjąkał smok. – Nawet nie przeszło mi to przez myśl. Może i to...

–Bierz, co daje ci Brian! – polecił stanowczo Jim. – On i Giles mają rację. Zupełnie o tym zapomniałem.

–Dobrze, panie – rzekł cicho Secoh, przyjmując broń z rąk Briana.

Smoczy Rycerz przyglądał się smokowi ze współczuciem.

O mało co nie pogwałcił jednej z najważniejszych średnio-wiecznych zasad. Secoh, odznaczający się ogromną smoczą dumą, zapewne lepiej zrozumiał obu rycerzy niż Jim – demokratą z przekonania.

–Przepraszam was, moi drodzy – rzekł Smoczy Rycerz do Briana i Gilesa.

–Nie jest to błaha sprawa, Jamesie – skarcił go Giles, wyraźnie poruszony. – Jeśli pospólstwo zaczęłoby nosić oznaki rycerskie, na które nie tak łatwo sobie zasłużyć, gdzie byśmy się znaleźli? Zwyczajny parobek mógłby zostać wzięty za uprawnionego do noszenia zbroi!

–Tak, masz rację – przyznał Jim.

Odgrywał rolę rycerza wystarczająco długo, by wiedzieć już, jak wiele należy się nauczyć, żeby być jednym z nich.

Spojrzał na Secoha, który w swej ludzkiej postaci, pomimo dzierżonej w dłoniach broni, nie wyglądał zbyt groźnie.

Myślał przez moment, aż wreszcie na wewnętrznej stronie czoła napisał pewien czar, po czym odciągnął smoka na bok i rzekł do niego szeptem: – Secohu, jeśli miecz nie ustrzeże cię, rzuć go i klaśnij w dłonie.

Zademonstrował to.

–Gdy tak zrobisz, natychmiast powrócisz do swojego smoczego ciała. Wtedy będziesz mógł walczyć jak prawdziwy smok!

Oczy Secoha rozjaśniły się.

–Każdego wroga rozerwę na strzępy! – syknął przez zęby.

–Pamiętaj jednak, że możesz z tego skorzystać tylko w ostateczności.

Wrócił do reszty towarzyszy, którzy hołdując średnio- wiecznym dobrym obyczajom, nie mieli mu za złe, że oddalił się i rozmawiał na osobności z Secohem. Nie zapominali ani na moment, że ranga barona, jaką Jim nierozważnie sam sobie nadał zaraz po zjawieniu się w czternastowiecznym świecie, uprawnia go do sprawo- wania nad nimi władzy, a więc zabrania kwestionować to, co czyni.

–A więc, Dafyddzie, proponuję, żebyś udał się na lewo, a ja i Brian poszukamy z prawej strony.

Zawahał się, wciąż spoglądając na Secoha. Jego powrót do smoczej postaci nie przyniósłby nic dobrego, więc należało tego uniknąć za wszelką cenę.

–*! Gilesie, czy mogę cię prosić, abys został z Seco- hem? – zapytał. – Być może byłby w stanie sam obronić nasz dobytek, lecz przede wszystkim należy nie dopuścić do ewentualnego ataku. Widok was obu, a szczególnie twój, rycerza, powinien odstraszyć nawet sporą grupę rzezimieszków.

–Jak sobie życzysz, Jamesie – powiedział Northum- brianin, podkreślając wąsa. – Jeżeli są rozsądni, będą się trzymać z dala od nas. Bez trudu poradziłbym sobie z takimi łotrzykami.

–Dziękuję ci, Gilesie – rzekł Jim, po czym zwrócił się do pozostałych: – Tak jak mówiłem, Dafyddzie, ty ruszaj w lewo, a my udamy się na prawo. Niełatwo będzie dobić targu w obliczu mającej nastąpić inwazji. Nawet jeśli żeglarze nie znają jej daty, wiedzą, że nastąpi już wkrótce.

Wierzę jednak w twoje umiejętności, a my, wraz z Brianem, także uczynimy wszystko, co w naszej mocy. Dla waszej informacji, mam...

Sięgnął za pazuchę i wyjął stamtąd skórzany woreczek obwiązany mocnym rzemieniem przytwierdzonym także do pasa. Otworzył go i wysypał na dłoń garść monet.

–Sądzę, że jest tu jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt srebrnych szylingów. Musimy próbować przepłynąć Kanał za połowę tej kwoty, ponieważ na drugim brzegu czekają mnie jeszcze spore wydatki.

Wiedział dobrze, podobnie jak przyjaciele, że żaden z nich nie ma pieniędzy, którymi mógłby go wesprzeć, lecz tak długo, jak o tym nie rozmawiali, nikt nie czuł się z tego powodu zawstydzony.

Ruszyli więc w przeciwnie strony, pozostawiając Gilesa i Secoha na posterunku.

Ku swemu zdziwieniu stwierdzili, że choć do zapadnięcia nocy pozostały jeszcze niemal dwie godziny, wszystkie zakotwiczone jednostki wyglądały na opuszczone. Zdecy- dowali się nawet wejść na pokład kilku z nich. Żadna nie była większa od dwudziestowiecznych sportowych moto- rów, którymi wy pływano kilka mil od brzegu na połów tarponów i żaglic. Nigdzie nie znaleźli jednak żywej duszy.

Żagle były sklarowane, a na pokładach i w kabinach panował względny porządek, choć dla dwudziestowiecznego oka i tak był to jeden wielki bałagan.

Wszystkie statki miały ciężkie, pękate kadłuby. Jim wiedział jednak ze swojej poprzedniej wyprawy do Brestu, że wbrew pozorom dobrze radziły sobie z dużą falą i

prądami na Kanale Angielskim, choć podróż trwała bardzo długo, a do nawigacji potrzeba było co najmniej dwóch żeglarzy.

Podczas dwóch podróży, jakie przeżył Smoczy Rycerz, na pokładzie znajdowało się od sześciu do ośmiu żeglarzy.

Kapitan zajmował się przede wszystkim komenderowaniem pozostałymi, lecz gdy trzeba było, sam także brał się do pracy.

Jim i Brian zajrzeli już chyba do dwunastej z kolei łodzi, gdy zwrócili uwagę na grupkę ludzi wyglądających na marynarzy, zbliżających się od strony nieco oddalonych karczem i tawern portowych. Miny żeglarzy nie wróżyły niczego dobrego.

Jim zastanawiał się wcześniej, jak ci Francuzi mogli zostawić swoje statki bez żadnej opieki. Widocznie jednak przez cały czas byli obserwowani.

Zdecydowali się czekać na nadchodzących nieporuszeni, z dłońmi na pasach, nie opodal rękojeści mieczy. Jako rycerze nie mogli postąpić inaczej, a liczba zbliżających się nie odgrywała tu żadnej roli.

–No i co, szlachetni rycerze! – przemówił niski, barczysty mężczyzna, idący na czele grupy.

Miał ciemne włosy, a smagłą twarz pokrywały krosty. Do muskularnej budowy ciała wyraźnie nie pasował wydatny brzuch. On także oparł dłoń na pasie, obok długiego noża.

–Czego szukacie na statkach podczas naszej nieobecności, szlachetni rycerze? – zapytał.

–A co wam do tego? – warknął Brian.

Nie ujął rękojeści miecza, lecz postąpił tak raczej z pogardy dla rozmówców niż ze strachu, że może ich sprowokować do ataku. Mistrz kopii zachowywał się dumnie jak zawsze i czynił to w sposób zupełnie naturalny. Bez wątpienia gotów był rzucić się na nich, jeśli nie okazaliby mu szacunku i posłuszeństwa.

Jimowi przyszła do głowy nagła myśl.

–Tak, to prawda! – rzekł, podnosząc głos. – Znajdujemy się na sekretnych usługach króla. Jeśli uznamy, że należy spalić te wasze łajby, nic wam do tego, ponieważ za nami stoi majestat królewski.

Wprawdzie marynarze usłyszawszy to nie padli na kolana, lecz słowa Jima wywarły na nich pewne wrażenie.

Na chwilę zapanowała cisza. Wreszcie ich przywódca odezwał się pojednawczym tonem: – Te łodzie to całe nasze życie, szlachetni rycerze! Jeśli mielibyście je spalić, równie dobrze możecie nas żywcem rzucić w płomienie. Bez nich my i nasze rodziny umrzemy z głodu.

–Więc na drugi raz uważaj, co mówisz! – warknął Brian, wciąż w bojowym nastroju.

–Rzecz nie w tym, że was nie rozumiem – przemówił Jim, widząc okazję do załagodzenia zaistniałej sytuacji – ale przede wszystkim musimy myśleć o Francji!

. W grupie rozległy się pomruki dezaprobaty. Smoczy Rycerz dosłyszał ściszone głosy: – Hm! Francja! A czy Francja zrobiła coś kiedykolwiek dla nas?

Krostowaty marynarz skrzyżował ramiona, oddalając dłoń od noża.

–Czy szukaliście kogoś? – zapytał.

–Jak najbardziej! – odparł Brian, zanim Jim zdążył otworzyć usta. – Uczciwego

angielskiego kapitana i statku, który zabierze nas na drugi brzeg Kanału.

–Angielskiego?! – rozległy się pełne wściekłości głosy.

–Tutaj nie znajdziecie ani jednego żeglarza tej narodo- wości – wyjaśnił oziębłe krostowaty. – Wszyscy jesteście Francuzami, szlachetni rycerze!

Nagle wpił chytre spojrzenie w obu przyjaciół.

–A może wy sami jesteście Anglikami?

–Pochodzimy z Anglii i Szkocji! – odpowiedział Jim, tym razem ubiegając przyjaciela. – Jesteśmy dżentelmena- mi, którzy darzą szacunkiem króla Jeana i właśnie przed chwilą zakończyli rozmowę z nim. Powierzone nam zadania zmuszają nas do powrotu za Kanał. Sprawy te jednak nie powinny was interesować.

Jim wiedział, że przywódca marynarzy nie poczuje się urażony takim stwierdzeniem. Normalne było, że każdy rycerz zadzierał nosa i traktował pospólstwo z wyższością, uznając, że nie może zniżyć się do udzielania wyjaśnień.

Marynarz zdawał się zupełnie usatysfakcjonowany od- powiedzią.

–Niemniej jednak, jak mówiłem już wcześniej, pośród nas nie ma żadnego Anglika, panowie. A nie znajdziecie Francuza, który przewiózłby was w najbliższym czasie przez Kanał. Mówi się, że król lada dzień zamierza ruszyć do ataku. Jeśli więc macie dostać się do Anglii, to powin- niście się pospieszyć. My zaś zamierzamy powrócić do karczmy.

–Zastanawiałem się, dlaczego wasze statki stoją tak nie strzeżone. Co będzie, jeśli ktoś porwie któryś z nich? – zapytał Smoczy Rycerz.

Krostowaty żeglarz popatrzył na niego zaskoczony. Takie pytanie w ustach rycerza było co najmniej niezwykle. Po chwili Francuz roześmiał się jednak.

–To jest Brest, szlachetni rycerze, i żeby dotrzeć na otwarte wody, trzeba najpierw wyjść z portu. Człowiek, który nie zna drogi, osiądzie na mieliźnie lub rozbije się o skały. My zaś dobrze znamy wszystkich Francuzów i kilku Anglików, którzy potrafiliby tego dokonać. Nikt nie ma więc szans wypłynięcia z portu bez naszej wiedzy.

Życzymy wam miłego wieczora, szlachetni rycerze – dodał, po czym odwrócił się na pięcie i podążył za towarzyszami, którzy ruszyli już w stronę karczmy i tawern.

–Hm – mruknął Jim. – Brianie, zupełnie o czymś zapomniałem. Pamiętasz, jak utkwiliśmy na skale, wpływa- jąc do Brestu z kapitanem podobno znającym te wody?

–Oj, dobrze to pamiętam. Ale przecież z nami jest Giles, więc jeśli wpadniemy w jakieś kłopoty, może prze- mienić się w fokę i wyciągnąć nas z nich tak jak wtedy.

–Zapominasz, że wówczas ledwie zaczęliśmy o skałę.

Jeśli wbilibyśmy się w nią, musiałby nas ściągać drugi statek, jeśli w ogóle byłoby to możliwe. Przecież w kadłubie powstałaby dziura i zatonęlibyśmy natychmiast po zdjęciu ze skały.

–Tak, masz rację – zgodził się Brian.

–No cóż, myślę, że mimo to, co powiedział ów człowiek, nie zaszkodzi zajrzeć do innych zakotwiczonych statków i upewnić się, czy na żadnym z nich nie ma angielskiego kapitana. Jeśli nie, to najlepiej będzie jak najszybciej powrócić do Gilesa oraz Secoha i szukać innego rozwiązania.

–Jamesie, wybac mi, że zabieram głos w całkiem obcych mi sprawach, ale czy nie możesz przenieść nas do Anglii, posługując się magią?

–Po pierwsze, nie wiem, czy zdołałbym przerzucić nas wszystkich na tak dużą odległość, po drugie zaś, nie potarfię ocenić, ile energii magicznej pozostało mi jeszcze.

–Nie rozumiem, Jamesie – zawahał się mistrz kopii, marszcząc czoło. – Przecież Carolinus przeniósł nas...

–Musisz zrozumieć, że jego magiczne zdolności wielo- krotnie przewyższają moje – przerwał mu Smoczy Rycerz.

–Wciąż nie rozumiem. Przecież magia to magia, czyż nie?

–Posłuchaj. Pozwolono mi korzystać z tego, do czego właściwie nie mam prawa. Obawiam się, że już wyczerpałem limit, jeśli nawet go nie przekroczyłem, przenosząc nas tutaj. Zamierzałem zrezygnować z posługiwania się magią do czasu, aż powrócimy do domu. Wtedy zapytam Carolinusa, jak dużo energii zostało mi jeszcze.

Brian skinął głową. Takie tłumaczenie dotarło wreszcie do niego.

Kontynuowali poszukiwania, lecz nie znaleźli żadnej łodzi prowadzonej przez rodaka. Kilka jednostek stało w pewnej odległości od brzegu, lecz nie było sposobu na dotarcie do nich, a poza tym i na ich pokładach nie było widać śladu życia. Wreszcie zawrócili zrezygnowani i dołą- czyli do czekających towarzyszy.

–Mieście jakieś kłopoty? – zapytał ich Jim.

–Żadnych! – odparł Giles. – Ależ się wynudziłem!

Czy wiesz, Jamesie, że ten smok nie ma zielonego pojęcia, jak trzymać miecz i sztylet, nie wspominając już o po- sługiwaniu się nimi? Nie mówię tego oczywiście dlatego, że liczyłem na jego pomoc, gdybyśmy musieli się bronić.

–Nie możesz go za to winić, Gilesie – wystąpił w obronie Secoha Smoczy Rycerz. – Przecież on nigdy w życiu nie tknął żadnej broni.

–Może to i dobrze – roześmiał się płowowłosy rycerz. – Znaleźliście statek?

–Żadnego – Brian znów ubiegł Jima. – Dafydd jeszcze nie wrócił?

–Nie, a słońce chowa się już za horyzontem.

–Powinien wkrótce wrócić. A jeśli go nie będzie...

–Już wraca! – wykrzyknął Secoh. – Jest z nim ktoś jeszcze. Nie widzieliśmy ich wcześniej, bo byli zasłonięci przez te duże przedmioty, ustawione jeden na drugim.

–To pewnie paki z jakimiś towarami – powiedział Jim, mrużąc oczy od słońca. – Zaraz tu będzie. Chciałbym, Gilesie, żebyś zrozumiał Secoha. Przypuśćmy, że zostaniesz nagle przemieniony w smoka...

–Jamesie! – wykrzyknął poruszony Northumbrianin.

–Och, nie zrobiłbym tego – uspokoił go Smoczy Rycerz. – Nigdy nie przemieniłbym swoich przyjaciół, chyba że dla ratowania ich życia. To dlatego Secoh jest teraz człowiekiem, lecz wrócę mu jego zwykłą postać, gdy tylko będzie to możliwe. Nie podoba mu się bycie człowie- kiem, tak jak tobie nie odpowiadałoby przybranie postaci smoka. Ale zastanów się nad tym. Gdybyś został przemie- niony w smoka, czy wiedziałbyś, jak posługiwać się zębami i pazurami? Przemyśl to.

–A skąd miałbym wiedzieć? Ale i tak nie chcę zostać smokiem, nawet dla uratowania życia.

W tym czasie Dafydd oraz towarzyszący mu męż- czyzna, o głowę niższy, szczupły w pasie i szeroki w ba- rach, dotarli do nich. Przybysz miał twarz i dłonie ogorzałe od wiatru i

słońca, a po jego chodzie widać było, że wiele lat spędził na morzu. Ich nadejście pozwoliło Jimowi na przerwanie kłopotliwej rozmowy z Gilesem.

–Dafyddzie! – zawołał. – A więc znalazłeś Anglika!

–Nie, nie znalazł, szlachetny rycerzu! – odkrzyknął towarzysz łucznika. – Tutaj nie ma Anglików. Jestem Francuzem.

W miarę zmniejszania się odległości zniżał głos, a ostatnie słowa wypowiedział już normalnym tonem.

–Szlachetny rycerzu, czy chcesz, żebym zginął? A co najmniej utracił swoją łódź?

–Przepraszam – rzekł Jim, także zniżając głos.

–Urodziłem się we Francji, ale moim ojcem był Anglik i tam właśnie się wychowałem. Znam to miasto tak samo jak i wszystkie angielskie porty. Pływałem między nimi, a miejscowi uważają mnie za jednego ze swoich. Taka przeszłość czasami się przydaje. Ale jeśli moje życie coś dla ciebie znaczy, nie podnoś głosu i nie zwracaj się do mnie jako do Anglika, panie. Powinieneś dbać o mnie, bowiem nikt inny nie zechce ci pomóc.

Jim wiedział już, że to prawda. Giles nie podzielał jednak opinii przyjaciela.

–A dlaczegoż to, żeglarzu? – warknął.

–Nawet jeśli uda się wam przedostać przez kryjące się tuż pod powierzchnią skały, silne wiatry i prądy sprawią, że nie zdołacie dotrzeć na drugi brzeg – wyjaśnił przybysz. – Nie wiecie nic na temat statków. Nie macie pojęcia, kiedy należy zwinąć żagle, kiedy łapać wiatr, a kiedy uciekać przed nim. Żeglarstwo to nie takie proste zajęcie, jak mogłoby się zdawać. Nie spierajmy się jednak.

Przyszedłem tutaj, ponieważ jesteście Anglikami, a ten Walijszyk powiedział, iż losy Anglii zależą od tego, kiedy powrócicie do kraju. Nazywam się Giles Haverford...

–Ha! – wykrzyknął Northumbrianin, rzucając groźne spojrzenie marynarzowi. – Ja też mam na imię Giles.

–Nic na to nie poradzę, panie, że mnie także nadano to imię, popularne nie tylko w Anglii, ale i tutaj. W tym porcie znany jestem jednak jako Edouard Brion.

–A więc będę zwracał się do ciebie Edouard – zaproponował Giles, spoglądając jednocześnie na przyjaciół. – I mam nadzieję, że pozostali pójdą w moje ślady.

–Z przyjemnością – zgodził się Smoczy Rycerz. – Niech tylko w rodzinie panuje spokój. Wszyscy, z wyjątkiem Dafydd, który nie zwykł okazywać uczuć, skinęli głowami przystając na tę propozycję.

–Hm... to takie powiedzenie stamtąd, skąd przybyłem – wyjaśnił Jim. – Moim zdaniem, to świetny pomysł, żebyśmy się zwracali do naszego kapitana Edouard.

Wszyscy raz jeszcze wyrazili swą aprobatę.

–A teraz, panowie, jeśli mamy wyruszać, najlepiej zrobmy to jak najszybciej, żebyśmy zdążyli przed przyływem.

Chodźcie więc ze mną. Załadujemy wasze rzeczy i odbijamy.

Secoh obładował się bagażem, a Dafydd wziął konie i wszyscy podążyli za Edouardem. Poprowadził ich niemal na sam koniec nabrzeża. Tam zatrzymali się przed jedną z zakotwiczonych łodzi, zbudowaną niemal jak wszystkie pozostałe, z otwartym pokładem i małą kabiną na dziobie.

Pokład znajdował się jakieś piętnaście centymetrów poniżej nabrzeża.

Rozdział 23 Edouard Brion (lub Giles Haverford, gdy przebywał w Anglii) odwrócił się w stronę brzegu i spojrzął na ciąg karczem, po czym wetknął do ust dwa palce.

Rozległ się przeraźliwy gwizd. Nie czekając na od- powiedź, zeskoczył na pokład łodzi.

–Rzucę linę z dziobu – zawołał – bo, jak widzicie, statek jest przycumowany rufą.

Musicie ją złapać i wspól- nymi siłami przyciągnąć go burtą do nabrzeża. Ja w tym czasie przygotuję trap, żeby wprowadzić po nim wasze konie.

Umiejętnie cisnął linę, którą pochwycili Secoh i Dafydd.

Ani Giles, ani Brian nie ruszyli się nawet, uznając, że praca taka nie przystoi rycerzom.

Dziób został przyciągnięty i statek lewą burtą dotknął oślizgłych pali nabrzeża. Edouard wytaszczył spod pokładu dwie długie, grube deski, szerokie na ponad trzydzieści centymetrów. Końce ich wysunął poza burtę, a Secoh i Dafydd, którzy, pod komendą Gilesa, zdążyli już przy- wiązać linę do jednego ze słupków, w regularnych odstępach stojących na nabrzeżu, przeciągnęli je nieco dalej.

Wspólnymi siłami ułożyli z nich prowizoryczny trap, po którym wnieśli swój dobytek. W tym czasie Edouard umocował wiosło do sterowania i zanurzył je w wodzie.

Kolejno wprowadzano na pokład wystraszone konie. Osta- tni miał wejść wspaniały koń bojowy Briana – Blanchard, na kupno którego rycerz poświęcił cały swój majątek rodzinny, z wyjątkiem na wpół zrujnowanego zamku Smythe i ziem w bezpośrednim jego sąsiedztwie, gdzie znajdowało się zaledwie kilka biednych gospodarstw.

Blanchard stanął na trapie, wyraźnie nie mając ochoty iść dalej po uginających się deskach.

–Naprzód, Blanchard, do cholery! – zdenerwował się właściciel rumaka, ciągnąc go za uzdę.

Wierzchowiec, który w walce nie obawiał się niczego, zarżał i zaparł się czterema nogami.

–Patrzcie! Patrzcie! – zawołał Secoh. – Nadchodzą jerzy w swoich skorupach!

Edouard zaklął.

–Będę się musiał z tego gęsto tłumaczyć! – rzekł. – Teraz jednak nie ma już wyjścia.

Rzeczywiście, szybko zbliżała się do nich grupa zbroj- nych.

–Niech cię licho, Blanchard! – ryknął Brian. – Rusz się!

Trącił zad konia poślacaną ostrogą.

–Do ataku, Blanchard! – zawołał.

Tresura wzięła górę nad instynktem i wierzchowiec wreszcie ruszył. Przebiegł po deskach i prawie galopem popędził po pokładzie statku. Gdyby Brian i Giles nie chwycili go za cugle i nie zaparli się z całych sił, dotarłby na dziób łodzi, gdzie mógł połamać nogi.

Zatrzymał się, lecz nadal drżał i ciężko sapał.

–No, Blanchard, uspokój się. Dobry konik – przema- wiał do niego właściciel, czule gładząc szyję wierzchowca, który w końcu zaczął się uspokajać.

–Zostaw już tę bestię, panie – zawołał do niego żeglarz, usiłując z powrotem wciągnąć deski na pokład. – Lepiej, by wyskoczyła za burtę, niż żeby ci zbrojni mieli nas dopaść i zabić.

Jim przyglądał się nadciągającemu oddziałowi. Przyszło mu do głowy, że odzyskawszy kontrolę nad sobą Ecotti posłużył się magią do odtworzenia tego, co nastąpiło, gdy był w

stanie hipnozy. Może nie udało mu się samemu przypomnieć, co zaszło, i użył do tego celu osoby króla.

Jeśli tak się stało, to na jaw wyszedł przebieg całego przesłuchania i niezwłocznie wysłano zbrojnych na poszukiwania. Droga z pałacu króla Jeana zajęła im zaledwie kilka minut. Niepokój marynarza był uzasadniony. Jeśli natychmiast nie odbiją, czeka ich marny los. Nie mieli żadnych szans w starciu z czterdziestoma czy pięćdziesięcioma przeciwnikami.

Liczba wrogów zmniejszała się jednak systematycznie.

Dafydd, za zwykłym sobie spokojem sięgał do kołczanu i za każdym razem z konia spadał jeden ze zbliżających się napastników.

Wszyscy zbrojni byli odziani w kolczugi, na których mieli napierśniki z wygrawerowanym znakiem króla Francji.

Herb ten lśnił czerwienią w promieniach zachodzącego słońca. Dafydd był więc zmuszony do celowania w mniej chronione części ciała, przede wszystkim w szyję. Nie zmieniało to jednak faktu, że żaden, do którego wymierzył, nie uszedł z życiem. Zbrojnych było jednak zbyt wielu, by sam łucznik zdołał ich powstrzymać.

–Przetnijcie cumy! – polecił Edouard.

Na nabrzeżu pojawiło się trzech młodych mężczyzn w obszarpanych ubraniach, bez butów. Zręcznie wskoczyli na pokład i od razu zabrali się do odcinania cum przytrzymujących dziób i rufę statku. Statek zaczął powoli oddalać się od nabrzeża.

Na nieszczęście jedna z większych fal z powrotem pchnęła ich w kierunku brzegu. Nastąpiło to akurat wtedy, gdy pierwsi spośród zbrojnych znaleźli się na nabrzeżu.

Jeden z nich cisnął linkę zakończoną hakiem, który zaczepił za burtę i umożliwił przyciągnięcie statku jeszcze bliżej brzegu.

Francuzi wdarli się na pokład. Mieli tak dużą przewagę, że Giles, Jim oraz Brian zostali prawie natychmiast zepchnięci pod samą burtę. Żaden z nich nie miał na sobie nic poza kolczugą. Jim wdział ją przed opuszczeniem karczmy, a pozostała dwójka zaraz po oswobodzeniu z lochów. Nie nałożyli jednak zbroi i tylko Jim miał na głowie hełm. Ich uzbrojenie pozostawiało także wiele do życzenia, ponieważ składało się jedynie z mieczy i sztyletów oraz łuku Dafyddda.

Kiepsko uzbrojeni stanęli przed tłumem znacznie lepiej wyposażonych wrogów, do tego wielokrotnie przewyższających ich liczbą.

Bez wątplenia Brian i Giles, a zapewne także Dafydd, który odłożył łuk i walczył długim nożem, noszonym w pochwie na łydce, w sztuce fechtunku przewyższali zbrojnych. Walcząc jednak z więcej niż jednym przeciwnikiem naraz, prędzej czy później musieli popełnić błąd.

Wtedy zostaliby pochwyceni lub, co gorsza, zabici.

W tej chwili Secoh klasnął w dłonie.

Jego ubranie rozpadło się na strzępy, gdy ponownie przybrał postać smoka.

Jednym potężnym machnięciem skrzydeł wzbił się w powietrze na kilka metrów i zawisł, chwytając przeciwników potężnie uzębionymi szczękami i łapami o ostrych pazurach.

Ryczał przy tym głośno.

Królewscy zbrojni byli odważnymi ludźmi. W przeciwnym wypadku nie pozwolono by im nosić na piersiach wizerunku leoparda i lilii – królewskiego herbu.

W porównaniu z innymi smokami Secoh był karłem. Ale teraz, wisząc w powietrzu ze skrzydłami rozpostartymi na ponad sześć metrów, rzucając potężny cień dzięki zachodzącemu słońcu, wyglądał znacznie groźniej niż w rzeczywistości i zdawał się być synem piekiel. Stał się przeciwnikiem, z którym nie sposób podjąć równej walki.

Grozę powiększał fakt, że przybył znikąd, co niejako potwierdzało jego diabelskie pochodzenie. We Francji powszechnie uważano, że Anglików stać jest na wszystko.

Pewien wpływ na ukształtowanie się tej opinii miało stwierdzenie Jego Świątobliwości papieża Innocentego II na II Synodzie Laterańskim w 1139 roku, który uznał łuczników, jak tego tutaj, za niegodnych wykorzystania w walce pośród chrześcijan, chyba że przeciw poganom.

W obliczu sytuacji, która nagle uległa diametralnej zmianie, zbrojni zaczęli się wycofywać.

Jeden z przybyłych w ostatniej chwili marynarzy odciął linę, którą ich przyciągnięto, a pozostali dwaj już stawiali żagle. Edouard zajął miejsce przy sterze. Po chwili zaczęli oddalać się od brzegu, co prawda wolno, lecz odległość ta stopniowo rosła, gdy łódź posuwała się w kierunku wyjścia na pełne morze. Widząc to, Secoh wylądował na pokładzie, wyraźnie z siebie zadowolony.

–Świetnie to rozegrałeś, Secohu – pochwalił go Jim.

Smok zakołysał głową.

–To nie było nic trudnego, panie – odrzekł.

W oddali, na wzgórzu przed karczmami i tawernami, zgromadził się spory tłum gapiów.

–Będę musiał wymyślić jakąś dobrą bajeczkę, zanim znowu zaryzykuję odwiedzenie Brestu – rzucił przez zęby Edouard. – Liczę, że weźmiecie to pod uwagę i zapłacicie więcej, niż uzgodniliśmy z tym Walińczykiem. Wówczas nie przeczuwałem, że odetnę sobie dostęp do portu, który jest głównym źródłem moich dochodów.

Słowa te zrobiły na Jimie duże wrażenie. Jeśli ten krostowaty i jego żeglarze uwierzyli ich słowom, to atak zbrojnych króla Jeana sprawił, że kłamstwo wyszło na jaw.

Bezsprzecznie byli Edouardowi winni znacznie więcej, niż uzgodniono pierwotnie.

–Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie stracił z tego powodu – zapewnił.

Nikt nie próbował ich ścigać, a że wiatr był sprzyjający, wkrótce minęli niebezpieczne wyjście do portu i wypłynęli na otwarte morze.

Ostatni blask dnia pozwalał jeszcze ocenić, jak szybko oddalają się od lądu. Morze było dla nich łaskawe. Na statkach, jakie dawniej znał Jim, w takich warunkach nie czuło się kołysania.

Jednakże na tym statku (Jim tak właśnie postanowił nazywać tę niewielką łódź, ponieważ takiego określenia używał jego kapitan i załoga) wyraźnie odczuwało się wznoszenie i opadanie fal. Nie przeszkadzało to Smoczemu Rycerzowi, który zawsze był odporny na chorobę morską, a i jego towarzysze sprawiali wrażenie, że również nie mają tego rodzaju problemów. Załoga czuła się zaś na chybotliwym pokładzie jak u siebie w domu.

–Wspaniały dzień na powrót! – zauważył Brian, wyrażając głośno to, o czym myślała cała ich piątka.

Edouard zmarszczył jednak czoło.

–Wolałbym płynąć w ciemnościach lub w rześystym deszczu – oświadczył. – Nasz żagiel wciąż widać z dużej odległości.

–Czy to źle? – zapytał Jim.

–Możemy napotkać wroga, który uzna nas za łakomy kąsek. Rzeczywiście, nie byłibyśmy trudnym przeciwnikiem.

No cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak być przygotowanym na kłopoty i stawić im czoło, jeśli się pojawią.

Powiedziawszy to, na powrót zajął się swoimi obowiązkami. Jim zaś utwierdził się w przekonaniu, że wszyscy kapitanowie to urodzeni pesymiści.

Wzięli kurs na północny zachód, wprost ku wybrzeżom Anglii. Przyszła noc. Od czasu do czasu w świetle księżycy widzieli w oddali jasne żagle. Nikt się jednak do nich nie zbliżył.

Wreszcie o świcie w oddali ujrzeli ciemniejszy pasek na horyzoncie. Do niedawna podobny widok towarzyszył im od strony rufy, ponieważ trzymali się wybrzeża Francji.

Jim przypomniał sobie, że takie statki zwykły pływać nie oddalając się od brzegu, bowiem ich kapitanowie nie znali się dobrze na nawigacji według słońca i gwiazd.

W pewnej chwili rozległ się potężny głos Secoha: – Panie! Panie! Nad nami jest jakiś smok.

Wskazał w górę i Jim zadartł głowę. W swoim ludzkim wcieleniu nie miał tak dobrego wzroku jak Secoh. Zdołał jednak dostrzec niewyraźny kształt szybujący nad nimi.

–Czy mam wylecieć mu na spotkanie? – zapytał błotny smok z zapalem.

–Może rzeczywiście powinieneś tak zrobić – przyznał po namyśle Jim. – Ale staraj się nie wdawać z nim w żadną awanturę.

–Będę rozważny – zapewnił go Secoh i mocno machając skrzydłami wzbił się w powietrze.

Smoczy Rycerz obserwował go. Odległość między smokami powoli zmniejszała się, aż w końcu przez moment leciały obok siebie, niemal dotykając się skrzydłami. Wreszcie rozdzieliły się: tamten zawrócił, a Secoh skierował się w stronę statku i wylądował ciężko, posługując się przy tym tylko jedną nogą. W drugiej trzymał jakiś duży przedmiot, ukryty teraz pod skrzydłem.

–Panie! – zawołał. Gdy Jim podszedł, smok podał mu spory i bardzo ciężki worek. – To był Iren, jeden z tych francuskich smoków. Powiedział, że wystąpią z nami przeciw wężom morskim! Oto gwarancja ich udziału.

Jim ostrożnie rozwiązał worek i zajrzał do środka. Ujrzał tam klejnoty w ilości znacznie przewyższającej te, które wręczył jako paszport francuskim smokom. Było ich więcej, niż zawierał skarb któregośkolwiek z władców, a nawet całego ich tuzina. Pospiesznie zwrócił pakunek Secohowi.

–Zachowaj go i strzeż jak oka w głowie – polecił szeptem.

–Tak, panie – odparł smok z dumą w głosie.

Jim, oddawszy worek, odwrócił się w stronę reszty towarzyszy, starając się zachować normalny wyraz twarzy.

Postanowił, że nowinę przekaze im dopiero później.

Nie było wątpliwości, że linia na horyzoncie to południowe wybrzeże Anglii. Z początku stanowiła tylko wąski pasek ciemniejszy od wody. Bardzo szybko zaczęła jednak rosnąć.

Zarysowały się wzgórza i doliny, choć wciąż jeszcze było za daleko, by rozpoznać miasta i porty.

Zbliżanie się do portu zwiastował fakt, iż z nastaniem dnia wokół nich pojawiło się znacznie więcej jasnych żagli.

Oczy żeglarzy uważnie lustrowały statki, szczególnie płynące w ich stronę.

Edouard usadowił się na dziobie łodzi, gdzie pokład wznosił się tworząc dach nadbudówki.

Trzej marynarze zajęli miejsca przy relingu, trzymając się wantów i mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem, rozglądali się na wszystkie strony.

Nagle jeden z nich zaczął się wspinać na maszt. Przytrzymując się go jedną ręką, drugą przysłonił oczy i patrzył na znajdujący się w pewnej odległości statek.

Pozostali członkowie załogi uważnie śledzili jego ruchy.

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie marynarz na maszcie zawołał: – Kapitanie! To Bloody Boots! Płynie wprost na nas!

Edouard stanął na bukszprycie i trzymając się jednej z lin wyciągnął szyję we wskazanym kierunku.

– Nie widzę dokładnie jego żagla! – zawołał do marynarza na maszcie. – Czy widzisz na nim jakieś łaty?

– Jestem zupełnie pewien, kapitanie! – odkrzyknął obserwator. – Ma dwie duże łaty na żaglu od strony sterburty. A z przodu i z tyłu ma platformy bojowe.

Jim też wreszcie zobaczył w oddali statek, o którym mówili. Nie był jednak w stanie rozróżnić żadnych szczegółów. Nagle do głowy przyszła mu pewna myśl. Istniał przecież przydatny w takich okolicznościach czar, z którego korzystał już wcześniej. Wzrok smoków pod wieloma względami przypominał wzrok sokołów – one także z dużej wysokości mogły dostrzec małe przedmioty.

Musiał więc widzieć jak smok, by dokładnie opisać nadpływający statek. Na wewnętrznej stronie czoła napisał odpowiedni czar: **SMOCZY WZROK NA DUŻĄ ODLEGŁOŚĆ** Momentalnie statek urósł w jego oczach przynajmniej dwukrotnie. Była to, tak jak opisał ją znajdujący się na maszcie żeglarz, jednostka większa od ich, z dwoma wysoko wzniesionymi platformami nadziobie i rufie.

Na obu pełno było ludzi i po chwili Jim zauważył, że każdy z nich trzyma w rękach jakieś ciemne przedmioty, które wyglądały na kusze. Na śródkręciu także znajdowało się wielu mężczyzn.

Napisał czar, mający przywrócić mu zwykłe widzenie.

Zobaczył, że stojący tuż obok marynarz przygląda mu się z przerażeniem, z twarzą białą jak papier. Początkowo zaskoczony tym, zrozumiał, że kiedy skupiał wzrok na tak odległym obiekcie, jego gałka oczna zmieniła kształt.

W głębokich smoczyczych oczodołach nie było to widoczne, lecz jego oczy musiały sprawiać takie wrażenie, jakby za moment miały wypaść z orbit.

Nie było jednak czasu na wyjaśnienia.

– Edouardzie! – zawołał. – Ja dobrze widzę z tak daleka. Właśnie przyjrzałem się temu statkowi. Rzeczywiście, na żaglu ma łatę, a na dziobie i rufie wysokie platformy.

Stoją na nich zbrojni z kuszami. A na śródkręciu jest ich jeszcze więcej.

Kapitan ciężko zeskoczył na pokład, po czym przeszedł na środek łodzi, gdzie stał Jim wraz z resztą pasażerów.

–Panowie, a więc po nas! – rzekł ponuro. – Nie jestem w stanie uciec przed nimi, a ich siły znacznie przewyższają nasze. Podczas spotkań z tym statkiem nikt z napadniętych nie uchodzi z życiem!

–Co z tego? – warknął Brian. – Ich liczebna przewaga jeszcze o niczym nie świadczy. Jeśli nie mają na pokładzie rycerzy, wcale nie są od nas silniejsi.

–Któż to taki ten Bloody Boots? – zapytał Giles.

–To cholerny szkocki pirat! – wyjaśnił Edouard. – Przy pływa ze swojego kraju, chwytając zdobycz i znika, zanim ktokolwiek zdoła zebrać siły wystarczające, aby go pokonać. Jak słyszałeś, ma na pokładzie wielokrotnie więcej ludzi, niż potrzeba do kierowania statkiem. Są dobrze uzbrojeni i gotowi zabić wszystkich, których napotkają.

Nie wieziemy żadnego cennego ładunku, ale oni nie wiedzą o tym. Temu Szkotowi chodzi także o nasz statek, który, jeśli zdoła przejąć nienaruszony, obsadzi swoimi ludźmi 1 wyśle na północ, gdzie zostanie sprzedany.

Jim pomyślał o ogromnym skarbie, należącym do francuskich smoków. Ale przecież to niemożliwe, aby ten pirat wiedział o jego istnieniu. Chyba że dowiedział się o tym za sprawą maga, który skrywa się gdzieś, trzymając w rękach wszystkie nitki sterujące sprawami związanymi z inwazją w Anglii.

–Jak sądzisz, ilu ludzi ma na pokładzie? – zapytał Brian kapitana.

–Co najmniej dwudziestu. Na pewno jest ich tylu, że nie będziemy w stanie stawić im czoła.

–Mów za siebie i swoją załogę, kapitanie! – rzucił mistrz kopii. – Jeszcze raz ci powtarzam, że jeśli nie ma tam rycerzy, nie musimy się obawiać nawet trzydziestu jego ludzi.

–Sądzę, że Bloody Boots jest rycerzem, ale chyba nikt więcej nie pochodzi z tego stanu. Jego piraci walczą w półzbrojach albo lekkich zbrojach.

–A więc na pewno nie ustępujemy im – orzekł Brian. – Jest nas trzech rycerzy i możemy wdziać pełne zbroje. Jeśli chodzi o mnie, znam się nieco na robieniu bronią. Śmiem twierdzić, że Sir Giles także, a Sir James...

–zawahał się na moment -...jest rycerzem, którego chciałbym mieć u swego boku w tak drobnej potyczce jak ta. Płyn dalej, jakbyś w ogóle ich nie zauważył, a my w tym czasie przysposobimy się do walki.

–Szlachetny rycerzu – zaczął zrezygnowanym tonem Edouard. – Czy nie widziałeś, że na platformach znajdują się kusznicy? Z bliskiej odległości nawet twój pancerz nie oprze się bełtom. Mówię wam, że jesteśmy bezbroni jak owieczka wiedziona na rzeź.

–Mylisz się, kapitanie – rozległ się spokojny głos Dafydd. – Chyba zapomniałeś, że masz mnie na pokładzie. Jestem łucznikiem, i to walijskim. Potrafię zabić każdego kusznika, który odważy się przyłożyć broń do ramienia. Jeśli znajdziesz mi miejsce, skąd, przynajmniej częściowo osłonięty, będę miał dobry widok na tamten statek, obiecuję, że wielu kuszników, jeśli nie wszyscy, będzie już martwych, nim odległość między nami wyniesie dwadzieścia długości statku.

Edouard spojrzał na niego przerażony, na co Dafydd odpowiedział uśmiechem.

–Na wszystkich świętych! Jesteś jednym z tych diabeł- r nych angielskich łuczników, którzy czynili takie spustoszenie wśród Francuzów!

Uśmiech zniknął z ust Dafyddda.

–Powiedziałem, że jestem Walijszym, kapitanie! – Nie podniósł głosu, lecz zabrzmiał on tak ostro, że przyjaciele zdziwieni popatrzyli po sobie. – Jestem walijskim łucznikiem, który posyła strzałę tam, gdzie chce, a z którym łucznicy angielscy nie mają się co mierzyć.

Walijskim! Jestem mistrzem w tym, co robię, i znam się na swoim fachu znacznie lepiej niż ty na swoim, marynarzu. Walijskim!

Dafydd był wysokim mężczyzną, lecz w tej chwili górował ponad wszystkimi jak wieża. Szczególnie dominował nad Edouardem, który, choć muskularny, był niższy nawet od Gilesa i Briana.

–Walijskim – zgodził się potulnie żeglarz. – Proszę o wybaczenie, mistrzu łuku. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, może rzeczywiście nie powinniśmy tracić jeszcze nadziei. Tak czy inaczej nadzieja ta jest jednak nikła, ponieważ nie mamy platform takich jak oni, z których mógłbyś posyłać swe strzały. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby przygotować ci jakieś w miarę bezpieczne miejsce, zanim tamci zdążą się zbliżyć.

Odwrócił się w stronę trójki rycerzy.

–Jeśli chodzi o was, panowie, sugerowałbym, byście sposobili się do walki w kabinie. Po co mają znać nasze siły, zanim dojdzie do starcia?

–Chwileczkę! – rzekł Brian marszcząc czoło. – To nie uchodzi, żeby rycerz miał się gdzieś chować. Przy- wdziejemy nasze zbroje na pokładzie.

–Postępując tak, szlachetni rycerze, spowodujecie, że wszystko zostanie zaprzepaszczone.

–Niemniej... – upierał się mistrz kopii, ale w tym momencie Jim uznał, że powinien interweniować: – Brianie, Gilesie, sądzę, że powinniśmy porozmawiać, a kabina jest chyba najlepszym do tego miejscem. Pozostaje jeszcze sprawa Secoha. Ty zaś, kapitanie, jak najszybciej ukryj nasze konie przed wzrokiem napastników. Zapewne masz jakieś rupiecie, którymi możesz je osłonić. Jeśli nie zarzą, tamci nie będą podejrzewać ich obecności, dopóki nie podpłyną blisko, a wtedy i tak nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Jim przypomniał sobie sztuczkę pogromców lwów, którzy stawiali swoich podopiecznych naprzeciw krzesła. Podobno widok czterech nóg tak ogłupiał lwa, że nie wiedział, co robić. Zastanawiał się, na którą z czterech grożących mu nóg rzucić się najpierw. A gdy lew raz się zawahał, prędzej już ucieka w panice, niż atakuje.

Jim właśnie w takiej sytuacji postawił towarzyszy, zlecając im trzy zadania do wykonania i natychmiast kierując się w stronę wejścia do kabiny. Przyjaciołom nie pozostało więc nic innego, jak tylko podążyć za nim.

Rozdział 24 O prowadzenie Secoha po schodach okazało się ogromnie O trudne. Nawet przy złożonych skrzydłach drzwi były dla niego zbyt wąskie. I chociaż jako smok czuł się świetnie w ciemności i w ciasnych pomieszczeniach, tutaj zawahał się nieco.

Ale Secoh dawno już przestał obawiać się czegokolwiek.

Przecisnął się jakoś i zszedł po czymś, co bardziej przypominało drabinę niż schody.

Nie padło żadne słowo, aż wszyscy znaleźli się w kabinie.

Głównie za sprawą smoka panował tu spory tłok, prze- szkadzający trzem rycerzom w

przysposobieniu się do walki.

–Może z powrotem przemieniłbyś mnie w... czło- wieka? – zapytał Secoh Jima.

Smoczy Rycerz spojrział na niego z podziwem. Wiedział dobrze, że boi się on jak ognia ponownego przybrania ludzkiej postaci.

–Nie, Secohu – rzekł. – Zamierzam wysłać cię po pomoc. Czy możecie poczekać na mnie chwilę? Chcę zapytać o coś kapitana. Zaraz wracam.

Odwrócił się w stronę schodów prowadzących na pokład.

–Jamesie? – zawołał za nim Brian. – Poprosiłeś nas tutaj, by porozmawiać na osobności, a teraz wychodzisz, i żeby zapytać o coś kapitana. Dopawdy, dziwne to zachowanie. Sądziłbym...

–Wybacz mi, proszę, Brianie. Muszę zamienić z nim jedno słowo. Wyjrzę i zawołam go. Za momencik będę z powrotem. Możecie słuchać naszej rozmowy, jeśli tylko chcecie.

Nie czekając na zgodę, Jim wspiął się po stromych schodkach i wystawił głowę przez drzwi, które stanowiła otwarta teraz kłapa, mająca zabezpieczać wnętrze przed wodą.

–Kapitanie! – zawołał. – Czy mógłbyś tu przyjść?

Najpierw dotarło do niego zrzęczenie kapitana, do- chodzące z pokładu dziobowego, a potem nad jego głową zadudniły kroki. Edouard zeskokczył zręcznie do kokpitu i przyklęknął, by zrównać się ze Smoczym Rycerzem.

–O co chodzi, szlachetny rycerzu? – zapytał. – Jeśli mamy zbudować łucznikowi jakieś schronienie, liczy się każda chwila...

–Wiem o tym. I chcę, żeby Dafydd był jak najlepiej zabezpieczony. Mam jednak do ciebie krótkie pytanie. Nie macie na pokładzie żadnego ładunku, prawda?

–Hm. – Edouard popatrzył na niego przenikliwie. – Znasz się nieco na morzu, panie. Nie, nie mamy ładunku.

Skąd mieliśmy go mieć, gdy tak pospiesznie odbiliśmy od brzegu?

–To oznacza, że statek ma małe zanurzenie, praw- da? – zapytał Smoczy Rycerz. – A więc ten Bloody Boots, czy jak go tam zwa- wi, widzi, że nie mamy ładunku?

Przy okazji, czemu go tak nazywają?

–Podobno wlewa sobie do butów krew jeńców i idąc pozostawia krwawe ślady – wyjaśnił kapitan. – Sądzę, że to raczej krew jagnięcia lub cielaka, ale nie dałbym sobie głowy uciąć, że nie podrzyna więźniom gardeł. Tak, masz rację. Nie mamy żadnego ładunku. Sam jestem zdziwiony, dlaczego obrał sobie za cel właśnie nas, skoro wokół aż roi się od równie łatwych do zdobycia statków, gdzie można uzyskać naprawdę bogate łupy.

–I nie znalazłeś na to odpowiedzi? – zapytał Jim.

–Nie, nie znalazłem – przyznał Edouard.

–Dziękuję ci. To wszystko. Sam zastanawiałem się nad tym. Możesz wracać do swoich zajęć, a my zajmiemy się rycerskim ekwipunkiem.

–Bezsensowne pytanie, które zajęło nam tyle cennego czasu! – narzekał żeglarz, podnosząc się.

Skoczył na dach kabiny i zgromadzeni w niej usłyszeli tupot jego nóg, gdy przechodził na dziób łodzi.

Jim zszedł po drabinie.

–O co więc chodzi, Jamesie? – zapytał Brian. – Cóż to ma za znaczenie, czy wieziemy

ładunek, czy też nie i dlaczego akurat nas upatrzył sobie ten szkocki pirat?

–Chciałem się po prostu upewnić, czy zamieszana jest w to wszystko magia – wyjaśnił Jim. – Wciąż brak mi pewnego dowodu, ale jestem niemal pewien, że tak jest.

Secohu!

–Tak, panie – odezwał się smok. – Jak już proponowałem, panie, jeśli chcesz zamienić mnie z powrotem w Jerzego, żeby zrobić więcej miejsca...

–Ależ nie, Secohu. Zależy mi bardzo na tym, żebyś pozostał w swojej obecnej postaci. Chcę bowiem wysłać cię z prośbą o pomoc.

–Pomoc? – zapytali z niedowierzaniem Brian i Giles.

lok przyglądał się im bez słowa swymi okrągłymi, ciemnymi, smoczymi oczami.

–Tak – rzekł Jim. – Nie zdziwiło was, że ci francuscy zbrojni dopadli nas tak szybko? Jakby wiedzieli, gdzie szukać.

–To prawda – zgodził się Northumbrianin, powoli cedząc słowa. – Skierowali się prosto na nabrzeże, nie marnując czasu na poszukiwania. Z drugiej jednak strony, czy trudno było przewidzieć, że będziemy usiłowali jak najszybciej dostać się do Anglii?

–Przypuszczam, że król i Ecotti za sprawą magii wiedzieli, gdzie jesteście.

–Powiedziałeś jednak – zaprotestował Giles – że Ecotti używa innego rodzaju magii niż ty. Jeśli ty nie potrafiłeś dowiedzieć się od króla tego, na czym ci zależało, to jak on ustalił miejsce, do którego się udaliśmy?

–Na to pytanie przychodzi mi do głowy tylko jedna odpowiedź – odparł Smoczy Rycerz. – Zaczynam podejrzewać, że któryś z nich, król lub czarnoksiężnik, znajduje się w bezpośrednim kontakcie z jakąś potężną osobą, zajmującą się magią, lecz sam nie jest tego świadom.

Możliwe, że ten Geniusz już podczas przesłuchania wiedział, o czym rozmawialiśmy. Jeśli kontrolował Ecottiego, to natychmiast, gdy tylko wyszliśmy sprawił, że czarnoksiężnik dowiedział się od króla o całym przebiegu rozmowy.

–A jeśli króla? – zapytał Brian.

W jego głosie brzmiał sceptycyzm. Jean był pomazańcem bożym, a więc nie mógł brać udziału w spisku czarnoksiężników.

–Nie sądzę, żeby to mógł być król. Stawiam na Ecottiego.

–Jaki z tego wniosek? – zapytał Giles.

–Nie sądzę, by czarnoksiężnik mógł posłużyć się magią w rodzaju tej, którą ja znam, żeby ustalić, co się zdarzyło, gdy byli zahipnotyzowani. Z pewnością pozostali pod jej wpływem, dopóki nie doliczyli do pięciuset, jak im poleciłem. Ale później Ecotti, albo Geniusz działając przez niego, wykorzystał swoją moc.

–Panie – odezwał się niepewnie smok. – Nie rozumiem.

–Jeśli mam rację, Geniusz wiedział, że udajemy się do portu i chcemy znaleźć statek odpływający do Anglii.

Spowodował więc, że król bez chwili zwłoki wysłał swoich zbrojnych naszym śladem.

–Ale nawet jeśli wszystko to prawda, dlaczego wysłał Secoha po pomoc? – zdziwił się mistrz kopii. – I w ogóle jaka pomoc zdąży nadejść na czas?

–Magię można wykorzystywać na różne sposoby. Nie mówiłem wam, ale Geniusz – ten tajemniczy mag, inspirujący Ecottiego i węże morskie – mógł także przekazać Bloody

Bootsowi informację, że mamy na pokładzie kosztowności, jakich nigdy nie widział jeszcze żaden człowiek.

To by tłumaczyło, dlaczego wybrał akurat nas. Wybaczcie, ale nie mogę zdradzić, w jaki sposób te klejnoty znalazły się w naszym posiadaniu.

–Nie musisz prosić nas o wybaczenie, Jamesie – powiedział mistrz kopii. – Ale czy rzeczywiście sądzisz, że ten pirat może o tym wiedzieć?

–Biorę taką możliwość pod uwagę, Brianie.

–W jaki więc sposób Secoh ma nam pomóc? – zapytał drugi z rycerzy. – Z pewnością za godzinę okręt piracki zbliży się na tyle, że nie pomogą tu nawet nadludzkie umiejętności Dafydda.

–Znajdujemy się blisko południowego brzegu Anglii – wyjaśnił Jim. – Malencontri i Cliffsides są o jakieś czterdzieści pięć kilometrów stąd. Smok pokona ten dystans bardzo szybko, szczególnie gdy sprzyja mu wiatr, tak jak teraz. Przy takiej pogodzie wiatr wieje też na dużych wysokościach.

Odwrócił się i spojrzał na smoka.

–Secohu, chcę żebyś zrobił dwie rzeczy. Po pierwsze, wyjdź na pokład i leć nisko nad falami, kryjąc się za naszym statkiem. W ten sposób masz oddalić się na tyle, aby nie zostać zauważonym przez piratów. Gdy uznasz, że jesteś wystarczająco daleko, szybko wzbijesz się w górę, żeby z wody widać było tylko jako mały punkcik. Możesz to zrobić?

–Oczywiście, panie. Ale co to pomoże?

–Będąc już wysoko, zawrócisz w stronę wybrzeża i polecisz do Malencontri. Jeśli zastaniesz tam Carolinusa, powiedz mu, czego się dowiedzieliśmy. Francuzi ruszą do ataku za pięć dni, jeśli pozwoli na to pogoda. Gdybyś go nie spotkał, nie marnuj czasu i nie szukaj!

–Ale wtedy... – zająknął się Secoh. – Panie, będę znajdował się o pół godziny lotu od was, gdy staniecie do walki z piratami. Czy naprawdę chcesz, żebym poleciał?

–Tak, ponieważ zajmiesz się sprowadzeniem pomocy.

Chcę, żebyś zaraz potem poleciał do jaskiń smoków z Cliffsides, zebrał ich co najmniej ze sześć, a jeśli uda się, to i więcej, i przyleciał tu z nimi.

–Wyłącznie na moją prośbę nie będą chciały tego zrobić – rzekł Secoh z powątpiewaniem. – Znasz, panie, te tłuściochy tak dobrze jak ja. Nie mają ochoty walczyć, chyba że w obronie własnego życia. Jeśli dojdzie do inwazji węży morskich, ruszą oczywiście do boju, ale tak...

–Weź młode smoki. I wcale nie muszą walczyć.

Secoh, o czym Jim dobrze wiedział, stał się ulubieńcem młodszych smoków z Cliffsides. Przedstawiciel tego gatunku był uważany za dziecko aż do pięćdziesiątego roku życia, a za młodzika co najmniej do setki. Starsze smoki pomiatały młodszymi, traktując je z pogardą.

Secoh, błotny smok, mieszkający na dodatek w pobliżu Twierdzy Loathly i często głodujący, mimo dwustu lat życia był niewiele większy od przeciętnego pięćdziesięciu latka i znacznie ustępował rozmiarami pozostałym mieszkańcom Cliffsides. Cieszył się jednak szacunkiem i uwielbieniem smoczej młodzieży.

Imponował jej swą odwagą i brawurą tak wielką, że gotów był zmierzyć się z każdym smokiem, bez względu na jego rozmiary. Doprawdy, nie bał się niczego. Potrafił opowiadać różne historie, a szczególnie tę o bitwie pod Twierdzą Loathly, w której brał udział u boku

Jim, Briana, Dafydd oraz Smgrola, ciotecznego dziadka Gor-basha – smoka, w którego ciele znajdował się wtedy Jim.

Wraz ze Smgrolem, słabym już i schorowanym, walczył i pokonał smoka – zdrajcę Bryagha, który opuścił swych pobratymców i zaprzedał się Ciemnym Mocom, zamieszkującym w twierdzy.

Secoh przeżył także wiele innych przygód i nauczył się na pamięć opowieści Smgrola. Gdy Smgrol żył jeszcze, starsze smoki mruczały z dezaprobatą, kiedy zaczynał którąś ze swych długich opowieści, lecz mimo to tłoczyły się przy nim i słuchały, zaglądając co chwila do beczki z winem i spychając młodzików w kąty jaskini. W osobie Secoha młodzież znalazła własnego gawędziarza. Bardziej skłonna do działania niż starsi, łatwo dawała się skusić do wzięcia udziału w przygodach, jakie dotychczas znała jedynie z opowieści.

–Sprowadź mi co najmniej sześć młodych smoków, które nie zdążyły jeszcze przytyć.

–Może... – zaczął niepewnie Secoh.

–Wcale nie musisz namawiać ich do walki – uspokoił go Smoczy Rycerz. – Wiesz, jak sokoły rzucają się na ofiarę? Składają skrzydła i spadają jak kamień. W ostatniej chwili rozpościerają skrzydła i zatrzymują się tuż nad ziemią, żeby pochwycić zdobycz pazurami.

–O, tak, panie. Każdy smok to potrafi.

–No więc namów je do tego. W czasach, z których pochodzę, nazywa się to lotem nurkowym. Powiedz swoim młodszym kolegom, że mają zatrzymać się kilka metrów ponad statkiem Bloody Bootsa.

Pysk Secoha rozjaśnił się.

–Och, spodoba im się to!

–Tymczasem – ciągnął Jim – Brian, Giles i ja zrobimy, co w naszej mocy, żeby wyeliminować wszystkich kuszników, którzy ujdą śmierci z ręki Dafydda, więc twoim przyjaciółm nie powinno nic grozić. Jestem pewien, że tyle smoków napędzi stracha Bloody Bootsowi. Nie wolno ci jednak tracić czasu! Ruszaj!

Secoh precyzyjnie się między przyjaciółmi i wspinał po schodkach. Na moment utknął w wejściu. Jakoś je w końcu sforsował i wyszedł na pokład. Po chwili w głośnym łopotem skrzydeł wzbil się w powietrze z rufy, sprawnie omijając liny biegnące od relingu do masztu. Przyjaciele, stłoczeni na drabinie, ujrzeli go lecącego nad samą powierzchnią morza.

–Mam nadzieję, że zostanie na takiej wysokości – rzekł Jim, zabierając się do wdziwania pancerza.

Giles i Brian, którzy zrobili to już wcześniej, byli niemal gotowi do wyjścia na pokład. Teraz obaj pomogli mniej doświadczonemu przyjacielowi w tej skomplikowanej czynności. Wkrótce wszyscy trzej, już w zbrojach, wyszli na pokład, chcąc zobaczyć, jak przebiegają prace nad konstruowaniem stanowiska bojowego dla łucznika.

Na dziobie, w miejscu, gdzie łączą się ze sobą obie burty, Edouard i jego załoga zbudowali zakrytą z trzech stron i częściowo zadaszoną budę, wysoką na niecałe dwa metry. Ściany wykonane były z podwójnej warstwy takich samych desek, jakie posłużyły za trap do wprowadzenia koni. Zostały one powiązane ze sobą, a nie zbite.

W tak powstałym schronieniu Dafydd mógł swobodnie stanąć, a na dodatek na specjalnie przygotowanym kołku powiesić kołczan. Sam miał możliwość celowania korzystając z ośmiu szpar szerokich na dwanaście centymetrów.

Zajął już swoje miejsce, lecz czekał, aż przeciwnicy bardziej się zbliżą.

Marynarze z nadzieją przyglądali się nadchodzącym rycerzom. Edouard aż wzdrygnął się na widok herbu wymalowanego na tarczy Jima, umocowanej do lewego ramienia. Żeglarze ze zdziwieniem obserwowali reakcję kapitana, ale gdy spojrzeli na tarczę, na ich twarzach także odmalował się strach i zmieszanie.

Jim już otwierał usta, lecz żeglarz ubiegł go: – Panie! Nie wiedziałem... Czy naprawdę jesteś Smo- czym Rycerzem?

–Tak i wcale nie spodziewałem się, że mnie rozpoznasz.

–Jestem bardziej Anglikiem niż Francuzem, panie – odparł Edouard. – Ale nawet jako Francuz też słyszałbym o twoich dokonaniach. Tam cieszysz się taką samą sławą jak w Anglii. Jeśli się nie mylę, byłeś już wcześniej na francuskiej ziemi?

–I to wraz z tymi oto dżentelmenami. Czy o nich także słyszałeś?

Kapitan popatrzył na tarcze Briana i Gilesa, po czym przeniósł spojrzenie na Dafydd, który nie uczestniczył w rozmowie, lecz obserwował wrogi okręt przez strzelnice.

Wreszcie odwrócił się z powrotem do Jima.

–Magu, czuję się zaszczycony, że mogę poznać was wszystkich.

–Nie nazywaj mnie magiem – powiedział Jim zmę- czonym głosem. Ileż to już razy musiał to tłumaczyć. – Żaden ze mnie mag. Tego określenia powinno się używać tylko w stosunku do najlepszych, na przykład Carolinusa, ojego mistrza, czy Merlina, gdyby jeszcze żył. Mów do mnie po prostu "panie", jak czyniłeś to wcześniej.

–Jak sobie życzysz. Ale doprawdy czuję się zaszczycony obecnością tak sławnych rycerzy. Daje mi to pewną nadzieję, że możemy uratować życie.

–Nie spodziewaj się zbyt wiele – przestrzegł go Jim. – Jesteśmy tylko ludźmi i nie możemy zrobić więcej niż to możliwe. Niewykluczone, że ten Bloody Boots nas pokona, tak samo jak zrobiliby to zbrojni, gdyby Secoh nie prze- mienił się w smoka.

–Właśnie wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że możecie być kimś więcej niż tylko zwykłymi śmiertel- nikami. Ale czy mam wierzyć, że smoki mogą przemieniać się w ludzi i odwrotnie, jak wilkołaki? Nigdy o tym nie słyszałem.

–Same tego nie potrafią – wyjaśnił Smoczy Rycerz. – A jeśli już mówimy o Secohu, muszę wam powiedzieć, że odleciał, by sprowadzić na pomoc swych pobratymców.

Bez nich nie wiem, czy sobie poradzimy.

–Na początku nie miałem żadnej nadziei... – zaczął Edouard, lecz przerwało mu głośnie uderzenie, które rozległo się za jego plecami.

–Widocznie mają tyle bełtów, że mogą je marnować – skomentował Dafydd, nie odrywając wzroku od zbliżające- go się statku. – Ja nie mam nawet trzydziestu strzał, a każda musi zabić jednego z nich, bo później mój łuk nie zda się już na nic i będę mógł walczyć tylko nożem.

–Czemu więc nie strzelasz? – zapytał kapitan.

Walijczyk bez słowa wskazał na jedną z desek stanowią- cych jego schronienie. Grot pocisku przebił drewno i wy- stawał z niego na trzy centymetry. Edouard zaklął na ten widok.

–I to przez dwie grube deski! Z bliska przejdą na wylot. Ale dlaczego nie odpowiesz na to, łuczniku?

–Czy nie widzisz, pod jakim kątem wbił się bełt? – rzekł Dafydd. – Kuszniak strzelił w górę. Pocisk wbił się tak głęboko głównie dzięki szybkości, z jaką opadał. Nie przeczę jednak, że z bliska bełty nie tylko porozrywają deski, ale całkiem przez nie przejdą! To niezwykle groźna broń, choć jednocześnie bardzo nieporęczna. Jeśli zaś chodzi o to, dlaczego zwlekam: spójrz przez te szpary, żeglarzu.

Cofnął się nieco i Edouard wyjrzał przez prowizoryczną strzelnicę.

–Tak, ciągle jeszcze są za daleko.

–A więc widzisz – rzekł łuczniak. – Z takiej odległości jestem w stanie trafić każdego z nich, ale nie mogę być pewny, że go zabiję. A skoro mam tak mało strzał, zachowam je, aż będę wiedział, że każda osiągnie cel.

Zajmij się prowadzeniem statku, kapitanie, a mnie pozwól robić to, na czym znam się najlepiej.

Edouard zawstydział się.

–Masz rację. Wybacz mi moją ignorancję, mistrzu łuku.

–Nic nie szkodzi – powiedział Dafydd, nie odwracając głowy. – Będę strzelał, kiedy uznam to za stosowne.

Kapitan zwrócił się do pozostałych.

–Lepiej schowajmy się, dopóki głos mieć będą łuk i kusze. Przy tak słabym wietrze nie da się płynąć szybciej, a zresztą oni i tak byliby szybsi. Ich statek jest większy i ma więcej żagli, więc płynie prędzej niż nasz.

Było to tak oczywiste, że nikt nie kontynuował tematu.

Jim, Brian, Giles oraz cała załoga usiedli za kabiną, opierając się plecami o jej wysoką na dziewięćdziesiąt centymetrów ścianę i stając się w ten sposób niewidoczni dla kuszników.

Brian zdjął hełm, a przyjaciele poszli w jego ślady. Co prawda przez cały czas mieli uniesione przyłbice, lecz znacznie wygodniej było im bez tak ciężkiego nakrycia głowy.

–A teraz, kapitanie – zaczął mistrz kopii – najwyższy czas, żebyś nam powiedział o spodziewanej liczbie wrogów, o ich uzbrojeniu, opancerzeniu i jak zamierzają dokonać abordażu, jeśli sami ich nie uprzedzimy.

Rozdział 25 Edouard przyglądał mu się, jakby szukając właściwych słów.

–Na chwilę zapomniałem, kim jesteście, szlachetni rycerze – rzekł. – Tylko paladyn może proponować abordaż takiego statku jak ten, posiadającego załogę kilkakrotnie liczniejszą od naszej.

–Dalej, człowieku! – rzucił ostro Brian. – Odpowia- daj na moje pytanie.

–Wspominałem już o tym, ale jeśli trzeba, powtórzę.

Sądzę, że na pokładzie mają od dwudziestu do trzydziestu ludzi, przeważnie Szkotów, tak jak i ich dowódca. On jest prawdopodobnie jedynym rycerzem pośród nich. Reszta będzie opancerzona i uzbrojona w różną zdobyczną broń, od sztyletów po włócznie. Ich kapitan, jak mówią, ma ciężki, długi, dwuręczny miecz, nazywający się po szkocku cly... clid...

–Claihea mor – rzekł Giles. – Oznacza to "wielki miecz".

–Zgadza się. "Claymore" – ciągnął żeglarz. – Jest podobno ogromnego wzrostu i nikt nie potrafi stawić mu czoła, gdy weźmie w ręce ową broń.

–Ha! – wykrzyknął Brian. – I na taki miecz są sposoby. Być może przekonacie się jeszcze dzisiaj.

Rozmowa została przerwana, bowiem kilka bełtów uderzyło w deski chroniące Dafydd. Jim usłyszał także trzykrotny świst cięciwy łuku Walińczyka. Giles wstał i wychylił głowę ponad ścianę kabiny.

–Dafydd jest ranny – rzekł.

Wszyscy poderwali się na nogi. Pociski do połowy przeszły przez deski. Jeden z nich dosięgnął uda Walińczyka.

Dafydd pewnym ruchem ułamał bełt tuż przy osłonie. Jego sprawność świadczyła, że rana nie jest poważna, lecz już po chwili cała nogawka była zbroczona ciemną krwią.

Brian zaklął.

–To nie uchodzi, żeby rycerze musieli skrywać się za człowiekiem uzbrojonym tylko w łuk.

Edouard wyprostował się i spojrzał na nadpływający okręt piratów. Szybko jednak schylił się, a tam gdzie przed chwilą stał, przemknął bełt, który wpadł do wody za rufą.

–Jest blisko.

–Jak długo jeszcze? – warknął mistrz kopii.

–Niedługo. Mamy tyle czasu, żeby się pomodlić i wyznać przed Bogiem nasze grzechy, jeśli nie jest ich zbyt wiele.

Ku zdziwieniu Jima, choć niemal natychmiast uświadomił sobie, że to całkiem naturalne, wszyscy posłuchali kapitana.

Przeżegnali się, złożyli ręce, a niektórzy zamknęli oczy i zaczęli szeptać.

Po chwili wahania Smoczy Rycerz zdecydował się dołączyć do nich. Od maga być może nie oczekiwano tego, jednak solidarność zawsze jednoczyła i dodawała sił.

Zamknął oczy, złożył ręce i opuścił głowę. Nie mógł udwać, że się modli, ponieważ nie potrafił tego robić.

Zdecydował jednak, że w takiej pozycji poczeka na innych.

Giles i Brian jako pierwsi opuścili ręce i unieśli głowy.

Później uczynił to Edouard, a wreszcie dwaj marynarze.

Najdłużej i najzarliwiej modlił się najmłodszy z żeglarzy.

Jim pomyślał, jak czuje się młody człowiek w obliczu śmierci, gdy nie chce się z nią pogodzić.

Sam zdał sobie sprawę, że nie odczuwa strachu. Dręczyła go tylko niepewność, czy smoki zjawią się na czas i czy wystarczy to, aby uratować im życie.

Poczuł jakąś dziwną niemoc. Gdy się zastanowił, doszedł do wniosku, że z wyjątkiem tych kilku razy, kiedy brał udział w bitwach, na przykład pod Twierdzą Loathly, na szkockiej granicy, z Pustymi Ludźmi lub podczas ich poprzedniej wizyty we Francji, nigdy nie czuł prawdziwego strachu. Pewne obawy nachodziły go tylko w chwili rozpoczynania walki, bo później nie było już na to czasu.

Czy w grę wchodziła nieświadomość ryzyka? Może przekonanie, że jest magiem, dodawało mu fałszywej pewności siebie? A może powód był jeszcze inny? Chociaż długo już żył w tym świecie, nie wydawał mu się on tak realny jak dwudziestowieczny i może dlatego nie potrafił wyobrazić sobie, że mógłby tu zginąć. Odruchowo zacisnął palce prawej

dłoni na nadgarstku lewej.

Omali nie podskoczył z bólu. Zupełnie zapomniał, że dłoń okryta była ciężką rękawicą. A więc jest to świat najzupełniej realny. Nie miał jednak czasu dłużej o tym rozmyślać.

Co chwila słyhać było huk bełtów wbijających się w schronienie łuczniaka. Pociski przelatowały także ponad pokładem na takiej wysokości, że ugodziłyby każdego, kto by stał wyprostowany. Część trafiała w burty statku.

–Biedak silnie krwawi – rzekł Giles, który wyrżał z za nadbudówki.

Pozostali także spojrzeli ostrożnie w stronę dziobu.

Northumbrianin mówił prawdę. Wiele bełtów sterczało z desek osłaniających Dafydd, a inne przebijały je na wylot, na szczęście tracąc po drodze prawie całą energię- Walińczyk zdołał ochronić górną część ciała, osłoniętą kolczugą, lecz poniżej cały zboczony był krwią. W wiszą- cym przed nim kolczanie znajdowały się już tylko dwie lub trzy strzały.

Wspierał się kolanem o jeden z wystających z desek bełtów. Widocznie w tę nogę został trafiony kilkakrotnie i nie mógł na niej ustać z bólu lub osłabienia. Obserwowali, jak sięgnął po kolejną strzałę, położył ją na łuku, naciągnął cięciwę i wystrzelił przez boczną strzelnicę.

Bełty świstały teraz już znacznie rzadziej, lecz z dziwną regularnością.

–Został im tylko jeden kusznik – rzucił Dafydd przez ramię. Jego głos był spokojny, lecz słaby. – Pozostali ładują kusze i podają mu je. Dlatego strzela tak regularnie.

Towarzysze zasłaniają go, więc nie mogę dobrze wycelować.

Ale i tak go dostanę.

Jego twarz była blada. Znowu spojrzął przez strzelnicę.

–Boję się, że zemdleje z utraty krwi – powiedział Giles.

–Dość tego! – ryknął Brian, podrywając się na nogi.

Byłby cały wystawiony na pociski wroga, gdyby nie osła- niająca Dafydd budowla. – Na świętego Edmonda, świętego Ryszarda i Oswalda, kapitanie! Ustaw się bokiem do nich, albo przyplącisz to życiem!

Obnażył miecz, zaś w drugą rękę ujął tarczę.

–Szlachetny rycerzu – zaczął Edouard, wciąż siedzący za ścianą kabiny. – Błagam, bądź rozsądny! Ster jest przywiązany, a odwiązać go może tylko ktoś znający się na tym. Ale jeśli ja lub któryś z moich chłopców spróbuje dostać się do niego, kusznik trafi nas i zabije. Proszę, usiądź i czekaj. Wkrótce oni sami podpłyną do naszej burty.

–Przywiązany! – krzyknął mistrz kopii. – Więc przetnę liny i sam pokieruję statkiem!

Z tymi słowami rzucił się w kierunku wiosła do sterowa- nia, umieszczonego na dziobie. Momentalnie w jego ślady Podążył Giles. Rozległ się świst pocisku, wymierzonego w Briana, lecz on osłaniał się z prawej strony tarczą, w którą trafił bełt. Wbił się w nią głęboko, lecz nie przeszedł na wylot. Mistrz kopii dopadł steru, przez cały czas osłaniając się tarczą zwróconą w kierunku pirackiego okrętu. Również Giles osłaniał go swoją tarczą.

Jim i pozostali dojrzeli uniesione w górę ostrze i rozległ się głuchy trzask pękającego drewna. Po chwili statek zboczył z kursu, a gdy obaj rycerze wycofali się, ukazało się przecięte na pół wiosło, które nie mogło służyć już za ster.

–Wiedziałem, że tak będzie! – zawołał Edouard.

Kapitan pobiegł skulony na rufę. Ale, co dziwne, nie rozległ się już świst pocisku, który

mógł odebrać mu życie.

Jim zamierzał ruszyć za nim, lecz doszedł do wniosku, że jego pomoc nie jest konieczna, i zwrócił się w stronę Dafyddda.

Łucznik leżał na pokładzie. Smoczy Rycerz wskoczył na dach kabiny, skąd widać było znajdujących się już niedaleko przeciwników.

Nie zwracając na to uwagi, rzucił się ku przyjacielowi, który spojrzał na niego i uśmiechnął się blado.

–Dostałem go... Ostatniego – szepnął Dafydd. – Żaden z kuszników już nie żyje. Wybacz mi, Jamesie. Pomógł- bym ci teraz, ale...

To rzekłszy, zamknął oczy.

Nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół, Jim padł na opancerzone kolana i zaczął drzeć ubranie łuczniaka na paski, by zrobić z nich bandaże tamujące upływ tak cennej dla życia krwi.

Rzucił krótkie, pełne desperacji spojrzenie na niebo, wypatrując na nim śladu smoków. Był pewien, że jeśli Secoh nie zdoła nikogo namówić do pomocy, powróci sam.

Janowi wydało się, że widzi na niebie jakieś odległe punkty, lecz nie był tego pewien. Korzystając ze smoczego wzroku, mógłby się o tym przekonać, ale nie było teraz czasu na magię. Należało jak najszybciej opatrzeć Dafyddda.

Obwiązał ostatni skrawek materiału wokół zranionej w kilku miejscach lewej nogi przyjaciela, zerwał się, sięgnął po miecz i ruszył na pomoc towarzyszom.

Oba statki szczyły się już burtami. Brian powiódł do ataku nie tylko Gilesa, ale także Edouarda oraz jego załogę. Sforsowali wysoką burtę pirackiego okrętu, połączoną z ich statkiem za pomocą bosaków oraz lin, i rzucili się do walki.

Marynarze byli uzbrojeni w topory na długich styliskach, zaopatrzone dodatkowo w długie szpikulce. Taka broń, umożliwiająca rażenie przeciwnika ze znacznej odległości, była równie niebezpieczna dla rycerskiej zbroi jak miecz.

Idąc za przykładem Briana, żeglarze wymachiwali toporami jak szaleni.

Sam mistrz kopii wpadł w bitewny amok, a zapal ten udzielił się także Gilesowi. Dosłownie wyrąbывali przed sobą drogę, a Brian wrzeszczał coś ochryple. Przez pewien czas Jim nie rozróżniał jego słów, tak głośno było wokół.

Wreszcie jednak zrozumiał, a po części domyślił się treści okrzyków.

–Do mnie, Bloody Boots! – ryczał Brian. – Do mnie!

Jim ze zdziwieniem stwierdził, że sam wcale nie ustępuje towarzyszom, a słabiej uzbrojeni i opancerzeni przeciwnicy nie są w stanie mu zagrozić. Cała trójka, odziana w pełne zbroje i dająca świadectwo swych rycerskich umiejętności, wzbudzała przerażenie pośród wrogów, którzy cofali się przed ich mieczami. Jedynie herszt piratów mógł stanąć z nimi do równej walki.

Jim miał na tyle bitewnego doświadczenia, aby wiedzieć, że co trzeci krok należy się odwrócić, raz w jedną, raz w drugą stronę, aby uchronić się przed wrogami mogącymi przemknąć obok z długim sztyletem i wbić go w którąś ze szpar między blachami.

Główną uwagę skupił jednak na poruszaniu się naprzód pośród ciżby przeciwników, tnąc tylko najzuchwalszych, którzy ośmielili się zagrozić mu drogę.

W tym momencie zdarzyło się coś nowego. Zgiełk bitewny zagłuszony został nieludzkim

wprost rykiem.

–Z drogi, gamonie! – grzmiał potężny bas. – Prze- puśćcie mnie do niego!

Głos ten należał do Bloody Bootsa. Jim wreszcie zobaczył go z bliska. Nie był to gigant przypominający olbrzyma spod Twierdzy Loathly. Był także wielokrotnie mniejszy od Diabła Morskiego. Miał jednak znacznie powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu i był potężnie zbudowany. Kiedy zbliżył się do Briana, mistrz kopii wyglądał przy nim jak chłopczyk.

Gdy stanęli naprzeciwko siebie na wolnej przestrzeni wyrąbanej nie tylko mieczem Briana, ale także przywódcy piratów, który bez skrupułów używał broni przeciw swym towarzyszom, walka ustała i wszyscy zamarli w oczekiwaniu na widowisko.

Bloody Boots uniósł ogromny miecz ponad głowę i opuścił go ze świstem. Wyglądało na to, że nic nie jest w stanie powstrzymać ostrza przed przecięciem Briana na dwoje.

Ale kiedy miecz natrafił na tarczę Anglika, zamiast przeciąć ją, zsunął się i z ogromną siłą wbił się w deski pokładu.

Brian zaprezentował w ten sposób jedną ze swoich sztuczek, w których był przecież ekspertem. To on uczył Jima takiego ustawiania tarczy, żeby ostrze przeciwnika ześlizgiwało się po niej. Olbrzym zaklął, z całych sił usiłując wyszarpanąć unieruchomioną broń.

Wreszcie udało mu się to, lecz Brian miał okazję do zadania ciosu. I gdyby nie to, że pirat był opancerzony od kolan w górę, mistrz kopii już na początku roztrzygnąłby walkę na swoją korzyść.

Brian swym szerokim mieczem celował nie w pancerz, lecz w nogę, między sięgające do łydek skórzane buty a stalowy nabiodrek.

Widocznie jednak Bloody Boots również posiadał duże umiejętności w odpieraniu ciosów, ponieważ błyskawicznie opuścił tarczę, zasłaniając się nią, mimo że nie odzyskał jeszcze równowagi po szarpaninie z mieczem. W wyniku tego ostrze wgniotło tylko tarczę, nie czyniąc mu krzywdy.

I znowu Bloody Boots ruszył do ataku.

Rozdział 26 Pozostali uczestnicy bitwy utworzyli wokół dwójki walczących krąg, który wędrował wraz z nimi, gdy przesuwali się po pokładzie pirackiego okrętu, nacierając i odpierając ataki przeciwnika.

Przewaga Briana polegała nie tylko na umiejętności parowania ciosów tarczą, lecz także na zdolności marnowania uderzenia w górną część ciała, a gdy zadawał cios w nie osłonięte nogi. Był też znacznie zwinniejszy niż olbrzym i zręcznie wywijał się spod jego miecza. Odskakując, atakował przeciwnika z boku, zanim tamten zdążył obrócić się do niego.

Początkowa przewaga pirata wynikała z jego siły oraz długości i wagi broni. Najpierw machał mieczem lekko niczym piórką, ale po kolejnych uderzeniach trafiających w pokład czy maszt, a nie w pancerz mistrza kopii, zaczął ciężko sapać. Jim dostrzegł strugi potu płynące po jego twarzy, ponieważ w czasie walki miał uniesioną przyłbicę.

Smoczy Rycerz podzielił się swymi spostrzeżeniami ze stojącym obok Gilesem: – Jeśli Brian będzie walczyć tak dalej, to pokona pirata, który nie może przecież bez końca wymachiwać takim mieczem.

–Zgadzam się z tobą w zupełności – odrzekł cicho Northumbrianin.

Obaj z uwagą śledzili przebieg walki.

Dla Jima było jasne, że Brian poprzez swoje nagłe uskoki zmuszał pirata, by podążał za nim, co związane było z wyczerpującym siły dźwiganie ciężkiej zbroi i miecza. Nie podlegało wątpliwości, że Bloody Boots wolały stać w jednym miejscu na szeroko rozstawionych nogach i, wykorzystując swą siłę, potężnymi ciosami miecza razić każdego, kto znalazł się w jego zasięgu.

Czując coraz większe zmęczenie, ryknął do przeciwnika: – Stój w miejscu! Jesteś rycerzem czy tancerzem? Stań i walcz jak przystało, jeśli masz w sobie ducha walki!

Brian nie odpowiedział. Nie zmienił także swojej taktyki.

Przemierzyli już niemal cały górny pokład, który stanowił jednocześnie dach kabiny.

Z powodu znacznie większych rozmiarów statku różnica poziomów pomiędzy pokładami wynosiła nie dziewięćdziesiąt centymetrów, jak na łodzi Edouarda, lecz półtora metra.

Skok z takiej wysokości w pełnej zbroi nie był więc łatwy.

Rzecz nie tylko w dodatkowym obciążeniu dwudziestoma czy nawet trzydziestoma kilogramami stali, lecz przede wszystkim w wynikającej z konstrukcji zbroi możliwości utraty równowagi. Ten, który upadł, nie mógł się podnieść i był zdany na łaskę i niełaskę sprawniejszego przeciwnika.

W związku z tym górny pokład stał się areną, której walczący nie ośmielali się opuścić, choć widzowie rozstąpili się, umożliwiając im to.

Bloody Boots próbował przyprzeć Briana do jednej z burt lub masztu, aby ograniczyć mistrzowi kopii swobodę ruchów.

Pirat liczył na to, że uniemożliwiwszy Anglikowi stosowanie uników, skruszy wreszcie potężnym mieczem tarczę przeciwnika, która była już cała pocięta i podziurawiona.

!i Brian jak dotąd zdołał uniknąć zapędzenia w zasadzkę, w której nie mógłby wykorzystywać swojej zwrotności.

Nagły szturm giganta zmusił go jednak do wycofania się w kierunku uskoku pokładu.

Bloody Boots rzucił się za nim, dysząc ciężko, lecz mistrz kopii także oddychał już z trudem pod zamkniętą przyłbicą.

Pirat ze zwykłą sobie powolnością uniósł miecz do ciosu, na co Brian zaczął się cofać, obawiając się przyjąć uderzenie na tak już niepewną tarczę.

–Olbrzym przeciwko karłowi – rzekł któryś z piratów. – Kto jeszcze wątpi, jak skończy się ta walka?

Odpowiedzią był pomruk zgody jego kompanów.

Było jasne, że Brian lawiruje już prawie na skraju pokładu, nad półtorametrową przepaścią. Gdyby musiał zeskoczyć jako pierwszy, olbrzym miałby czas ostrożnie zejść na dół. Mistrz kopii po kilku krokach oparł się plecami o maszt.

–Ha! No i co teraz?! – rozległ się bas Bloody Bootsa.

Mówiąc to, pirat wzniósł potężny miecz do ostatecznego uderzenia.

Na to Brian, który od pewnego czasu poruszał się już coraz wolniej, błyskawicznie cisnął tarczę przeciwnikowi w twarz, odrzucił miecz wraz ze stalową rękawicą i sięgnął do pasa po długi sztylet. Wyszarpnął go pewnym ruchem i rzucił się na Szkota, który wciąż jeszcze trzymał uzbrojoną rękę w górze, odsłaniając nie zabezpieczoną pachę. Ostrze sztyletu wbiło się w nią, sięgając zapewne aż do płuc.

Bloody Boots pochylił się do przodu, zadając cios. Brak mu było jednak celności, bo uderzenie zostało zadane na ślepo. Ostrze musnęło skraj tarczy Briana i utkwilo w deskach pokładu. Pirat opadł na kolana, wypuścił rękojeść miecza, chwiał się jeszcze przez moment, aż wreszcie padł na bok i przetoczył się na plecy. Brian stanął nad nifflem z nogą na napierśniku.

–Poddaj się! – rzekł, łapiąc chrapliwie oddech.

–Poddaję... się... – wyszeptał leżący na pokładzie pirat. – Umieram... Zbliź się. Pozwól, że wyznam przed śmiercią swe grzechy. A może... nie jesteś chrześcijaninem?

W odpowiedzi Brian wypuścił z rąk broń i ukląkł przy nim.

–Moim największym... grzechem – powiedział z trudem olbrzym, choć jednocześnie jego twarz wykrzywił dziki uśmiech – jest to... że nigdy... nie chciałem... umierać sam!

Poderwał się wyciągając sztylet, na którego rękojeści przez cały czas trzymał dłoń. Była to niezwykle ostra broń, przeznaczona specjalnie do przebijania kolczugi. Wbił go całą resztką siły w stalową siatkę łączącą dwie płyty ochraniające klatkę piersiową Briana.

Siła uderzenia była tak duża, że choć mistrz kopii próbował uniknąć ciosu, ostrze wbiło się w jego ciało.

–Tchórz! Zdrajca! – wykrzyknął Brian. – Fałszywy rycerz – zaatakował, uprzednio poddawszy się!

Pochwycił swój miecz i pewnym ruchem, wkładając w to całą siłę, wbił go w miejsce połączenia napierśnika i hełmu Bloody Bootsa, gdzie widoczny był jasny pasek jego nie osłoniętego ciała. Miecz utkwiał głęboko w pokładzie, a głowa olbrzyma niemal odpadła od tułowia.

Wyprostował się i stał chwilę nad martwym przeciwnikiem, chwiejąc się i nie mogąc złapać oddechu.

W jego imieniu przemówił Giles: – Tak zginął wasz przywódca! – krzyknął do zgromadzonych. – Was czeka to samo, jeśli będziecie z nami dalej walczyć! Jesteście przygotowani na kolejną chmurę pocisków wystrzelonych przez naszego łucznika, przed którym nikt się nie ukryje?

Jego słowa, zamiast zmusić piratów do rzucenia broni, wyrwały ich jedynie z transu. W tej chwili Brian zachwiał się!

się i upadł z głośnym hukiem. To dodało nowych sił przeciwnikom. Zamiast poddać się, schwycili mocniej broń w dłonie i rzucili się na Gilesa, Jima i czwórkę żeglarzy.

–Broń się, Jamesie! – krzyknął Giles, gdy natarła na nich pierwsza grupa napastników.

W tym jednak momencie zdarzyło się coś, czego nikt się nie spodziewał, bowiem toczony pojedynek tak pochłonął uwagę wszystkich, że zupełnie nie zwracali uwagi na to, co dzieje się poza statkiem.

Ponad ich głowami rozległ się huk przypominający grzmot. Wszyscy popatrzyli w górę i zobaczyli smoka, w którym Jim rozpoznał Secoha, zatrzymującego się tuż nad masztem, z błoniastymi skrzydłami rozpostartymi na całą rozpiętość, rzucającymi cień na pokład. Zamachał nimi i odleciał, lecz z przestworzy z podobnym odgłosem spadł następny smok, sądząc po rozmiarach dość młody, który powtórzył ten sam manewr.

Gdy pojawił się trzeci, Jim rozejrzał się po niebie i dostrzegł kolejne szybko rosnące

punkty. Na ten widok w serce wróciła mu otucha i nadzieja na zwycięstwo. Ale wśród przeciwników rozległ się czyjś mocny głos: – Pośród nich jest sam szatan! Walczmy o życie, bo inaczej nie ma już dla nas nadziei. Jeśli zabijemy tych na pokładzie, może smoki zostawią nas w spokoju!

Piraci zbili się w gromadę. Szeptali coś między sobą, wyraźnie zastanawiając się, co robić. Kiedy kolejny smok zanurkował nad statkiem, ruszyli na górny pokład, gdzie leżeli Bloody Boots i Brian.

–Węże! Węże morskie! – rozległy się nagle przerażone okrzyki.

Na chwilę zapadła głucha cisza, a potem ktoś tak wrzasnął, że dotarło to do najodleglejszych zakątków statku: – Anieli, strzeżcie nas! Ogromne węże!

Piraci zamarli w bezruchu.

Jim wytrzeszczył oczy zaskoczony tym, co zobaczył. Całe morze zdawało się wrzeć.

Kolejny z młodych smoków rozpostarł skrzydła, wyhamowując lot nad statkiem. W tym momencie kilka ogromnych cielsk wystrzeliło ponad wodę, by go dosięgnąć.

Głowy węży były potężne, wyglądem przypominające buldoga, ze szczękami dwukrotnie większymi od smoczych, wyposażonymi w szablaste, zielonkawe zęby z czarnymi smugami.

Nadlatujący smok dojrzał je i wydał z siebie ryk, który wprawne ucho Jima rozpoznało jako okrzyk przerażenia.

Smoczy młodzian wzbił się w górę tak szybko, jakby do ogona miał przytwierdzony silnik.

Węże opadły do morza, lecz Smoczy Rycerz wciąż miał przed oczami ich widok, który wstrząsnął nim do szpiku kości.

Czy to właśnie te stwory, o których mówili Rrrnlf, Granfer i Smgrol?

Były wprost nieprawdopodobne. Przewyższały smoki pod każdym względem. Z zamyślenia wyrwała go wrzawa pośród piratów: – Puśćmy ich! Puśćmy ich! Sprowadzili na nas i węże!

Jim momentalnie ocenił zaistniałą sytuację. Mocno trącił wciąż sparaliżowanego widokiem węży Gilesa i rzekł do niego: – Szybko, przenieśmy Briana na nasz statek i zabierajmy Edouarda i jego ludzi. Musimy odpłynąć, zanim tamci zmienią zdanie.

Giles poruszył się wreszcie, wyrwany z otępienia. Bez słowa wspólnymi siłami dźwignęli Briana z pokładu. Był nieprzytomny. Kapitan wraz z marynarzami pospieszyli z pomocą i wspólnie przedostali się na swój statek. Piraci nawet nie próbowali ich powstrzymać.

Jim zamierzał odciąć łączące ich liny, lecz okazało się, że załoga Bloody Bootsa zrobiła już to wcześniej i statki oddalają się od siebie. Woda uspokajała się, co świadczyło o tym, że węże odpłynęły, gdy w zasięgu ich wzroku przestały pojawiać się smoki. Wkrótce po tych mrożących krew w żyłach potworach nie było nawet śladu. Jim wraz z Gilesem natychmiast zajęli się zdejmowaniem z Briana zbroi, by odsłonić jego rany.

Okazało się, że tylko jedna jest poważna – rana kluta, zadana sztyletem Bloody Bootsa. Sztylet nie wbił się jednak głęboko i Jim obawiał się przede wszystkim tego, czy do rany nie dostały się strzępy ubrania mistrza kopii, które nie było zbyt czyste, choć za takie wszyscy je uznawali. Mogły one stać się przyczyną groźnej infekcji.

Na szczęście z rany obficie płynęła krew. Dlatego właśnie, a nie z powodu wyczerpania, Brian stracił przytomność. Gdy tylko rana została opatrzona, Jim podszedł do Dafydda.

Łucznik nie odzyskał jeszcze przytomności. On także stracił dużo krwi, o czym świadczyła chociażby jego nienaturalna bladość.

Jim żałował, że nie zna lepiej magii, szczególnie tej, jakiej Carolinus używał do leczenia ran. Zamierzał nie korzystać już z dodatkowych zasobów energii magicznej, którą wywalczył dla niego starzec po ostrej wymianie zdań z Wydziałem Kontroli. Smoczy Rycerz pragnął zaoszczędzić to, co z niej zostało, na wypadek niespodziewanej konieczności.

Ale czy właśnie teraz nie zachodziła taka konieczność?

Zwrócił się do Gilesa: – Zamierzam skłonić Carolinusa, żeby ich uzdrowił.

Płyńcie do najbliższego portu i dopilnujcie, żeby obu rannych przeniesiono do wygodnej karczmy. Nie pozwól nikomu na upuszczenie im krwi! I tak stracili jej zbyt dużo.

Nie pozwól zbliżyć się do nich nikomu, kto będzie mienić się lekarzem lub znachorem. To może spowodować jedynie ich śmierć. Tylko w Carolinusi nadzieja.

Spojrzał na Edouarda.

–Gdzie w najbliższym porcie Sir Giles może umieścić rannych?

–W karczmie Boar and Bear w Plymouth.

–Dobrze. Sprowadzę Carolinusa tam albo jeszcze na statek. A może poproszę, żeby przeniósł ich do siebie. Jeśli Giles, Brian i Dafydd znikną nagle, kapitanie, nie martw się tym. Mogą wszyscy zostać przetransportowani przy użyciu magii. Ile jestem ci winien? Najlepiej będzie, jeśli zapłacę już teraz.

Kapitan uśmiechnął się znacząco.

–Mógłbym zażądać każdej ceny, ponieważ ten, który ubijał ze mną interes, nie jest teraz w stanie powiedzieć, na ile się zgodziliśmy. Ale dwukrotnie uratowaliście życie mnie i moim chłopcom, raz z ręki Bloody Bootsa i jego ludzi, a drugi – ze strony węży. Za tę podróż nie należy się nic, szlachetny rycerzu. To był zaszczyt mieć ciebie i twoich przyjaciół na pokładzie. Nigdy nie zapomnę Smoczego Rycerza i jego towarzyszy.

–Masz dobre serce, kapitanie – rzekł Jim. – Niemniej chciałbym, żebyś przyjął należność. Jeśli my ocaliliśmy ciebie, to twoje umiejętności uratowały życie nam. Zasłużyłeś więc na zapłatę...

–Nie przyjmę jej! – rzucił Edouard. – Nie jestem rycerzem ani dżentelmenem, ale człowiekiem morza i jeśli mówię, że nic się nie należy, to tak właśnie ma być. Nigdy nie zmieniam danego słowa. Obrazisz mnie, oferując w takim wypadku pieniądze!

Jim zdał sobie sprawę, że po raz kolejny zetknął się z czternastowiecznym poczuciem honoru.

–W takim razie dziękuję ci – rzekł. – Muszę ruszać.

Pospiesznie na wewnętrznej stronie czoła napisał czar: PRZENIESIENIE DO MIEJSCA, GDZIE JEST CAROLINUS Statek i morze zniknęły.

Stwierdził, że siedzi w wielkim amfiteatrze, który wypełniały setki mężczyzn i kobiet. Wszyscy mieli na sobie powłóczyste szaty o ciemnych barwach, a większość na głowach nosiła spiczaste, wysokie czapki.

W centrum amfiteatru znajdował się gładki, biały piasek, lśniący w promieniach słońca przygrzewającego z bezchmurnego nieba. Stały tam trzy postacie. Jedną z nich był wysoki mężczyzna w średnim wieku, o orientalnych rysach twarzy, odziany w purpurową togę.

Z prawej strony miał niemal tak samo wysoką kobietę, szczupłą i kościstą, ubraną w

ciemnozieloną szatę i myckę w tym samym kolorze. Na jej pociągłej, z wydatnymi kośćmi policzkowymi twarzy malowało się skupienie. Rozdziałała tamtych dwóch jak sędzia na ringu bokserskim.

Po jej prawej ręce, w wysokiej, czerwonej czapce, która wyglądała na rzadko noszoną, i w swej codziennej, czerwonej szacie, stał Carolinus.

Rozdział 27 Wszystko było nie tak. Magia powinna przenieść go do Carolinusa. Nagle wpadł w panikę. Chciał wstać i zawołać Maga, ale nie był jednak w stanie niczego zrobić.

Nie mógł opuścić miejsca, na którym się znalazł. Kiedy zaś spróbował krzyknąć, nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

–A co to za młodzik? – usłyszał głos z prawej.

Odwrócił się i zobaczył krępego maga siedzącego obok, prawdopodobnie w średnim wieku, lecz mógł mieć równie dobrze dwadzieścia jak i sześćdziesiąt lat. Nie posiadał orientalnych rysów twarzy, ale nie należał także do rasy zachodniej. Jego szata była granatowej barwy, a zamiast spiczastej czapki miał na głowie coś przypominającego beret. Uśmiechał się przyjaźnie.

–Muszę dostać się do Carolinusa! – rzekł Smoczy Rycerz. – Jak najszybciej. To bardzo ważne.

–Ważne czy nie, i tak będzie musiało poczekać do zakończenia pojedynku – stwierdził sąsiad. – O co chodzi?

–Dwóch moich przyjaciół – dwóch bliskich przyjaciół Carolinusa – znajduje się na granicy śmierci. Potrzebuję go, żeby ich uratować. Jestem jego uczniem. Znam go.

Wiem, że rzuciłby wszystko, żeby im pomóc, gdyby tylko wiedział o grożącym niebezpieczeństwie. Nie mogę się jednak do niego dostać i wezwać na pomoc.

–Nie będziesz mógł tego zrobić, dopóki pojedynek się nie zakończy – powiedział sąsiad ze współczuciem. – Gdzie są ci twoi przyjaciele?

–Na statku, zaledwie kilka mil od południowego wybrzeża Anglii – wyjaśnił Jim. – Zostaliśmy zaatakowani przez piratów.

–Południowe wybrzeże Anglii. Niech no popatrzę.

Mówisz południowe wybrzeże...

Sąsiad zmarszczył czoło i przymknął oczy, wyglądając teraz jak Azjata, choć bez wątplenia nim nie był.

–Tak, chyba ich widzę. Mały statek. Sześciu ludzi na pokładzie. Jeden stracił mnóstwo krwi, a drugi otrzymał cios sztyletem w pierś. Zgadza się?

–Tak! Widzisz ich? Czy możesz ich uzdrowić? To rany odniesione w bitwie, a Carolinus powiedział, że można je uleczyć, nie tak jak chorobę. Mam tylko klasę C i nie umiem im pomóc, ale może ty...

–Martti Lahti, młodzieńcze – przedstawił się sąsiad. – Mam klasę B+. Nie jestem w stanie ich uleczyć.

Do tego potrzebny jest taki mag jak twój mistrz. Mogę jednak zrobić dla nich coś innego. Na jakieś pół godziny zatrzymam czas. To znaczy, że nie będą świadomi upływającego czasu, ich rany nie będą krwawić, a stan nie pogorszy się. Za pół godziny pojedynek dobiegnie już końca. Miejmy nadzieję, że to twój mistrz go wygra.

Jim poczuł przesywający go niespodziewanie chłód.

–Chyba nie sądzisz, że mógłby przegrać? – zapytał.

–Przegrać? – powtórzył Lahti. – No cóż, zawsze jest taka możliwość, młodzieńcze.

Oczywiście nie powiem złego słowa na twojego mistrza. Jest wielkim magiem i wspaniałym człowiekiem. Ludzie na całym świecie znają to imię, a pod względem wiedzy magicznej stawiają go na równi z Merlinem.

Urwał i popatrzył na Jima, jakby zastanawiając się, co powiedzieć.

–Ale wokół unosi się dziwna aura – ciągnął. – Nie należy także zapominać, że wiek robi swoje. W pewnej chwili można częściowo utracić kontakt ze światem. Och, nie mam na myśli nic poważnego. Normalnie nie byłoby problemu, ale w pojedynku takim jak ten, gdy stoi przeciw bardzo mocnemu magowi klasy B, specjalizującemu się we wschodniej magii już od dziecka, istnieje pewne niebez- pieczeństwo...

Ostatnie zdanie pozostawił niedopowiedziane.

–Rozumiem – rzekł Smoczy Rycerz. W środku czuł pustkę. Nagle owładnął nim strach. – A co się stanie, jeśli przegra?

–Jeśli przegra? Zostanie mu odebrana większość energii, będzie zdegradowany do rangi C, a my wszyscy otrzymamy część jego magii. Na każdego nie wypadnie tego dużo, sam rozumiesz, ale taka jest zasada. Oczywiście nie straci obecnych umiejętności i wiedzy, bo nikt nie może mu ich odebrać. Będzie jednak musiał odbudowywać magię, żeby znowu osiągnąć klasę AAA+, jeśli w ogóle zdoła to uczynić.

Jim poczuł paraliżujący chłód. Jeśli Carolinus nagle miałby nie więcej energii niż on, w jaki sposób przeniósłby Dafydd i Briana do Malencontri, które było jedynym miejscem, gdzie można by ich wykurować?! A gdzie moc na ich uzdrowienie?

–Nie rób takiej płacziwej miny, młodzieńcze. Być może to Son Won Phon przegra.

–Son Won Phon? – powtórzył zaskoczony Smoczy Rycerz.

–Znasz go? – zapytał Lahti. – Tak, wydaje mi się, że wyzwiał Carolinusa w związku z jego znajomością wschod- niej magii i prawem do jej nauczania. Czy byłeś w to zamieszany?

–Tak! – rzucił Jim przez zęby.

A więc wszystko to z jego winy, za to, że posłużył się hipnozą wobec Ecottiego i króla Jeana. Jeśli Brian i Dafydd umrą, bo Carolinus nie zdoła im pomóc, to tylko dlatego, że on skorzystał ze swojej dwudziestowiecznej wiedzy.

A teraz musi tu tkwić, bezradnie obserwując pojedynek.

I mieć nadzieję, że zakończy się pomyślnie. Nagle przypo- mniał sobie, że sąsiad zaofiarował pomoc.

–Czy zawiesiłeś czas tak, jak obiecałeś? – zapytał.

–Jeszcze nie. Czekalem, aż wyraźnie powiesz, czy tego chcesz.

–Tak, proszę. I to jak najszybciej!

–A więc... zrobione – oświadczył Lahti, nie mrug- nawszy nawet okiem.

Jim poczuł wobec tego ogromną wdzięczność.

–Dziękuję ci bardzo... hm... – urwał, nie wiedząc jak zwrócić się do nowo poznanego sąsiada.

Wiedział, że nikt mający jakieś pojęcie o magii nie zwróci się do jej adepta o randze BH _____ "Magu". Z drugiej jednak strony sam ustępował mu klasą.

Instynktownie powstrzymał się przed dodaniem przed nazwiskiem słowa "pan", które tutaj nie było znane. Zamknął więc oczy i powiedział: – Dziękuję ci, Marty Lockty.

–M-a-r-t-t-i L-a-h-t-i – poprawił tamten uprzejmie, wymawiając to w dziwny, gardłowy sposób.

Jim chciał spróbować jeszcze raz, ale w porę się po- wstrzymał.

–Teraz możesz spokojnie siedzieć i obejrzeć zmagania do końca.

–Co się dzieje? – zapytał Jim, przyglądając się trójce stojącej na arenie. – Przecież oni niczego nie robią.

–Obecnie walczą w trzeciej płaszczyźnie astralnej – wyjaśnił Lahti. – Oznacza to oczywiście, że żaden z nas r nie może widzieć, co się naprawdę dzieje. Są tam tylko dwaj rywale i sędzia. Ale czujesz przepływ magicznej mocy, prawda?

–Ja... – Jim chciał już powiedzieć, że nie, gdy zdał sobie sprawę, że rzeczywiście w powietrzu wyczuwa się coś na podobieństwo silnych wyładowań elektrycznych pomiędzy Carolinusem i Son Won Phonem.

Nagle wrażenie to zniknęło. Wschodni mag zbliżył się do kobiety, która pełniła rolę sędziego.

–Co się teraz dzieje? – zapytał Jim, poruszając się niespokojnie.

–Nie słyszysz? Och, tak, zapomniałem, że masz tylko klasę C. Nie posiadasz zdolności dalekiego słyszenia, dopóki nie zdobędziesz rangi B. Son Won Phon konsultuje się z Obserwatorem. Twój mistrz wykonał pomyślnie wszystkie postawione mu do tej pory zadania związane ze wschodnią magią. Teraz Son Won Phon chce pominąć resztę podstawowych pytań i przejść od razu do najtrud- niejszego, decydującego testu.

–A co wspólnego z tym wszystkim ma Obserwator? – zdziwił się Smoczy Rycerz.

Lahti przyglądał mu się przez chwilę zaintrygowany.

–Czy naprawdę masz klasę C? – zapytał wreszcie.

–Tak, ale to specyficzna sytuacja – próbował wy- tłumaczyć Jim. – Chociaż mam rangę C, nie wiem wszystkiego, co powinienem wiedzieć. Jestem swego rodzaju wyjątkiem.

–Najwyraźniej – stwierdził sąsiad, a jego piwne oczy załśniły z ciekawości. – A więc Obserwator dba o przestrze- ganie zasad pojedynku. Właściwie występuje w imieniu wszystkich nas. Normalnie powinien posiadać wyższą rangę od walczących. Ale, jak zapewne wiesz, nie ma klasy wyższej niż AAA+. Musiała więc być to jedna z dwóch pozostałych osób posiadających tę rangę. Nazywa się KinetetE.

–Konetee... – starał się powtórzyć Jim.

–Nie, Kine-tet-E. 2 akcentem na końcu Musi wydać pozwolenie na pominięcie przewidzianych regulaminem zadań.

Wyraźnie uczyniła to, ponieważ Smoczy Rycerz dostrzegł nawet z tej odległości, że na obliczu przedstawiającego poropozycję Son Won Phon pojawił się uśmiech zadowo- lenia.

Nagle na arenie ukazał się słoń. Jim nie zauważył momentu, w którym się zmateriałizował, lecz jego widok nie zdziwił go. Jeśli do rozstrzygnięcia rywalizacji potrzebny był słoń, należało go sprowadzić.

–Co... – zaczął.

–Bądź cicho i patrz – przerwał mu Lahti.

Son Won Phon wyczarował coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak gruba laska.

Okazało się jednak, że to zwój materiału. Chwycił jeden jego koniec i zaczął owijać słońca matową, zieloną materią.

Materiał sam trzymał się w powietrzu i wreszcie powstało z niego opakowanie zupełnie skrywające zwierzę, nie tylko przed wzrokiem Carolinusa i Obserwatora, ale także wszystkich zgromadzonych.

Jim pomyślał, że być może siedzący w najwyższych rzędach widzą coś z góry, lecz doszedł do wniosku, że to niemożliwe. Parawan zapewne wykonany został tak, by z żadnej strony nie można było zobaczyć, co jest za nim ukryte.

–Teraz Carolinus będzie musiał sprawić, żeby słoń zniknął – wyjaśnił Lahti.

Jim popatrzył na niego ze zdziwieniem.

–Nie sądzę, żeby miał z tym jakiegokolwiek problemy.

–Ha!, widzisz, nie chodzi tu o zwykłe opakowanie. Jest ono zamknięte wokół słońca za pomocą najbardziej skomplikowanego zabezpieczenia, jakie zna wschodnia magia.

Carolinus będzie je musiał złamać, żeby dostać się do środka. Ma na to jedną minutę od chwili zakończenia nakładania zabezpieczeń.

Son Won Phon skończył owijanie zwierzęcia materią.

Przyłożył do siebie jej końce, które natychmiast połączyły się w jedną całość. Specjalista od wschodniej magii cofnął się i w tym momencie Obserwatorką podniosła rękę do góry. Na ten znak nad areną pojawił się ogromny zegar, mający co najmniej kilkanaście metrów średnicy.

Wskazówka zaczęła obiegać tarczę, lecz zaznaczone na niej przedziały zupełnie nie odpowiadały znanej Jimowi skali. Przebyła już trzecią część drogi i nieubłaganie zbliżała się coraz bardziej do miejsca, z którego wystartowała.

Smoczy Rycerz wstrzymał oddech.

Wskazówka wykonała pełen obrót i zatrzymała się. Son Won Phon dał krok do przodu i zaczął odwijać tkaninę.

Wokół wyczuwało się ogromne napięcie, które zniknęło jednak, gdy oczom zebranych zaczęła ukazywać się pusta przestrzeń wewnątrz.

Jim także dostrzegł wreszcie, że w środku nie ma nawet śladu po słońcu.

Son Won Phon nagle wyrzucił ręce w górę w geście wyrażającym złość i desperację. Parawan zniknął. Podobnie stało się z Obserwatorką. Na piasku pozostali tylko stojący naprzeciw siebie Carolinus i Son Won Phon.

Miejsca wokół Jima zaczęły pustoszeć, gdy zgromadzeni magowie znikali z amfiteatru. Smoczy Rycerz stwierdził, że nic nie krępuje już jego ruchów. Spróbował wstać i udało mu się.

–Dziękuję za wszystko! – rzekł pospiesznie do Lah- tiego. – Muszę pędzić!

Odwrócił się i zaczął zbiegać schodkami w dół. Son Won Phon z namaszczeniem skłonił się przed Carolinusem, a starzec odpowiedział w taki sam sposób.

^ Jim dotarł do areny i zręcznie przeskokował ogradzający ją kamienny murek sięgający mu zaledwie do pasa. Son Won Phon ponownie ukłonił się przeciwnikowi. Ten powtórzył to samo i zanim Jim zdążył dopaść go, odprawili ten rytuał jeszcze raz. Po czym mistrz wschodniej magii zniknął.

Smoczy Rycerz zadyszany stanął obok Maga.

–Carolinusie... – wysapał – Dafydd i Brian są śmiertelnie ranni. Jesteś nam potrzebny...

–W porządku, w porządku – przemówił starzec, wciąż przyglądając się pustej arenie. – Opowiesz mi wszystko, kiedy wrócimy do Malencontri.

–Ale ich tam nie ma! – wyjaśnił Jim. – Są na łodzi na Kanale Angielskim...

–Więc po prostu przeniosę ich na twój zamek – rzekł Carolinus opryskliwym tonem. – Przystąpimy do tego za chwilę. Widziałeś, jak gładko sobie poradziłem? Oskarżyć maga klasy AAA+ o brak umiejętności posługiwania się wschodnią magią! Dałem mu taką lekcję, że nigdy jej nie zapomni.

–To nieważne! Brian i Dafydd... – Smoczy Rycerz nagle urwał.

Uświadomił sobie bowiem, że do pojedynku tego doszło z jego winy, za użycie hipnozy, a Carolinus, uczestnicząc w nim, postawił na szalę znaczną część swojej mocy oraz związaną z nią rangę. Odzyskanie magicznej energii i klasy AAA+ zajęłoby mu całe lata. Lahti miał rację mówiąc, że mogłoby to już nigdy nie nastąpić.

Zamiast ponaglać, powinien raczej najpierw przeprosić.

A jeszcze lepszym rozwiązaniem byłoby obłaskawienie Maga. Nie zaszkodziłoby więc złożyć gratulacje.

–Carolinusie – zaczął – to, że ten słoń zniknął, było wspaniałym osiągnięciem. Mag siedzący obok mnie wątp czy zdołasz wykonać to zadanie w ciągu zaledwie minuty.

A więc rzeczywiście okazałeś się ekspertem w dziedzinie wschodniej magii!

–Okazałem się? Ależ skąd. Wciąż ci powtarzam, że magia jest twórcza. Teoretycznie, znając wiele języków, nowych będziesz się uczył coraz łatwiej, aż wreszcie któregoś nauczysz się od razu. Dojdiesz do tego, że usłyszawszy zaledwie kilka słów, potrafisz biegle nim władać.

–Tak po prostu? – nie mógł uwierzyć Jim. – Nie wierzę, żeby ktokolwiek...

–Oczywiście, że to możliwe! – warknął Mag. – Był taki lingwista, w niedalekiej przyszłości lub przeszłości, nie pamiętam. Ze względu na jego ogromne umiejętności został zatrudniony chyba przez króla Prus. Podczas pierwszego spotkania, rankiem, król przemówił do niego w nieznanym języku. Był to język używany na bardzo małym obszarze, tam, gdzie król się wychowywał. Ku zdziwieniu monarchy, przy obiedzie lingwista zaczął z nim rozmawiać właśnie w tym języku.

–Doprawdy?

–Oczywiście! – wykrzyknął starzec. – Wiedza i kreatywność. Kiedy opanowało się jedno i drugie, reszta leży w znanych już granicach. Musisz nauczyć się myśleć magią.

Musisz w myślach nią operować, jakby to był po prostu inny język. A wreszcie dojdiesz do tego, że potrafisz bez trudu tłumaczyć jedną magię na inną. Och tak, wiem, że wszyscy ludzie i zwierzęta używają jednakowego języka. Ale na tym świecie było już wiele języków i w przyszłości znowu powrócą.

–Rozumiem – przyznał pokornie Smoczy Rycerz. – Chyba wiem, o czym mówisz. W świecie, z którego przybyłem, niektórzy ludzie umieli myśleć językiem mate- matyki...

–Matematyki? – powtórzył zdziwiony Carolinus.

–To rodzaj skomplikowanej arytmetyki – tłumaczył Jim. – Widzisz...

–Nie, nie! – przerwał Mag. W jego głosie ponownie zabrzmiała nie hamowana wściekłość. – Nie próbuj mi tego wyjaśniać. I tak jest zbyt wiele rzeczy, nad którymi muszę

myśleć, więc po co mam zaśmiecać sobie umysł informacjami, które nigdy mi się nie przydadzą. Jeśli zrozumiałeś, to najważniejsze. Myśl magią. Wiedza i kreatywność. Wbij sobie to do głowy, a będziesz mógł zrobić wszystko, oczywiście gdy zdobędziesz odpowiednio wysokie umiejętności i doświadczenie. Chociaż wątpię, żeby kiedykolwiek ci się to udało, Jimie.

–Prawdopodobnie masz rację – zgodził się Smoczy Rycerz.

–Po co właściwie tu sterczymy? – powrócił do rzeczy- wistości Carolinus.

Z amfiteatru znikaly już ostatnie postacie. Czyniły to na różne sposoby. Niektórzy nikli w mgnieniu oka, podczas gdy inni stopniowo bledli lub stawali się najpierw przezroczyści i dopiero po chwili ginęli. Wszyscy jednak opuszczali to miejsce.

–W tym właśnie rzecz! – ocknął się z zamyślenia Jim. – Ruszajmy. Siedziałem obok maga, który przedstawił się jako Lahti...

–A, tak, ten chłopiec z Finlandii.

–Na pół godziny wstrzymał on czas dla Briana i Dafydda. Ale działanie tego czaru minie, zanim...

Jim nie zdążył dokończyć. Wreszcie i oni opuścili amfiteatr. Stali teraz na blance, po wewnętrznej stronie muru otaczającego zamek Malencontri, tuż nad fosą. To on miał stanowić linię obronną przeciw wężom morskim, gdyby tu się zjawily.

Rozdział 28 Być może za sprawą dwóch dalekich podróży, odbytych za pomocą magii jednego dnia, po przybyciu do Malencontri Jim poczuł zupełną dekoncentrację. Dłuższą chwilę musiał przyzwyczajać się do dobrze znanego, lecz jakże zmienionego otoczenia.

W tym wypadku dezorientacja była spotęgowana faktem, iż na murach znajdowały się jeszcze dwie osoby, spośród których jednej nie spodziewał się tu ujrzeć.

Nie zdziwiła go obecność Angie. I gdyby tylko był od niej nie dalej jak na wyciągnięcie ramion, uścisnęłaby żonę, a ona prawdopodobnie krzyknęłaby przestraszona i zaczęłaby się wyrwać, nagle pochwycona przez kogoś, kto zjawił się nie wiadomo skąd.

Na swoje szczęście stała od niego w pewnej odległości.

Pomiędzy nimi znajdował się zaś niespodziewany gość. Był to Sir John Chandos, przemawiający akurat z ożywieniem do Angie.

Ciągnął swój wywód jeszcze przez chwilę, aż wreszcie umilkł, widząc zaskoczenie na twarzy pani zamku. Obejrzał się i dostrzegł przybyszów.

Wcześniej jednak do Jima dotarł fragment jego wypowiedzi: – Wici zostały rozesłane po całej południowej Anglii.

Wkrótce ludzie zaczną się zbierać, ale zorganizujemy z nich silną armię dopiero za tydzień. Na szczęście mamy jeszcze kilka tygodni, zanim król Jean wykona jakiś ruch...

To rzekłszy urwał, a Angie popędziła w stronę męża.

–Mamy zaledwie pięć dni, Sir Johnie... – zaczął Jim, ale w tym momencie żona padła mu w ramiona. Po pewnym czasie, wciąż nie wypuszczając jej z objęć, powiedział do Maga: – Carolinusie, pamiętasz o Dafyddzie i Brianie? Są ciężko ranni i prawdopodobnie umierają na statku w Kanale Angielskim. Nie wiedziałem, jak ściągnąć ich tu magicznie...

–Ja to zrobię – oświadczył starzec i skinął na Angie. – Masz gotową komnatę, żeby ich tam umieścić?

–Na razie można ich położyć u nas – odparła, uwalniając się z objęć. – Sprowadź ich jak

najszybciej, Carolinusie. Zaraz wezmę ludzi, żeby ich tam przenieśli.

Odwróciła się i skierowała się ku schodom prowadzącym na platformę ponad główną bramą.

–Jeśli mógłbym zamienić z tobą słówko, Magu Carolinusie – zaczął Chandos, lecz starzec, nawet na niego nie patrząc, nie pozwolił mu dokończyć.

–Nie mógłbyś! – rzucił ostro. – Nie mam czasu. Nie kłopotz się szukaniem ludzi, Angelo...

Urwał zaskoczony, gdyż nagle ogarnął ich cień. Jim odwrócił się i dostrzegł, że za jego plecami stoi Rrrnlf. Był na tyle potężny, że stojąc na ziemi, mógł wyglądać zza muru. Wyciągnął rękę i delikatnie ujął Angie, która już zaczęła zbiegać po schodach. W dłoniach szerokich jak drzwi stodoły opuścił ją na podwórzec i postawił delikatnie.

Angie pisnęła na widok pomiętej spódnicy, a na jej twarzy widać było wściekłość.

–Nie rób tego! – krzyknęła. – Słyszysz? Nigdy więcej tego nie rób!

Na podkreślenie swych słów kopnęła Diabła Morskiego w duży palec u nogi, wystający z noszonych przez niego sandałów. Rrrnlf zmieszał się.

–Chciałem zaoszczędzić ci tylko nieco czasu, mała damo – tłumaczył się.

–Nigdy nie rób tego! – wrzasnęła jeszcze raz.

Odwróciła się do niego plecami i ruszyła w stronę wejścia do Wielkiej Sieni, przez którą mogła dotrzeć na wieżę.

Nagle jednak znalazła się z powrotem na murach. Wstrzymała oddech, odruchowo chwyciła się za wystający ze ściany głaz i posłała wściekle spojrzenie Carolinusowi.

–I ty też tego nie rób! – warknęła.

–Chciałem ci właśnie wytłumaczyć, że nie ma potrzeby szukania ludzi do przeniesienia Briana i Dafydd – odezwał się Mag beznamietnym tonem. – Są już w waszej izbie.

Popatrzył na nią karcącym wzrokiem.

–Och! – zdołała tylko wykrztusić pani zamku Malencontri.

–Natychmiast tam się udam i zobaczę, co da się zrobić z ich ranami – ciągnął starzec. – Czy chcesz mi towarzyszyć?

–Oczywiście! – odrzekła. – Oczywiście, że chcę pójść tam razem z tobą!

Oboje zniknęli.

John Chandos wlepił wzrok w pozostałe po nich puste miejsce. Po raz pierwszy w życiu Smoczy Rycerz widział go tak zdezorientowanego.

–Nie rozumiem tego...

–Przepraszam, Sir Johnie – rzekł Jim. – Sir Brian i Dafydd znajdują się w ogromnej potrzebie i tylko Carolinus może im pomóc. Nie ma czasu do stracenia.

A widząc, że Chandos wciąż przypatruje mu się niepewnie, dodał: – To dlatego zdarzyło się wszystko to, co się zdarzyło.

–O – dał się słyszeć potężny bas Rrrnlfa – teraz rozumiem. Potrzebują pomocy tego małego Maga.

Jim spojrzął przez ramię na giganta.

–To prawda, Rrrnlfie – powiedział, po czym kontynuował rozmowę z Sir Johnem.

–Czy to prawda, że inwazja ma nastąpić za pięć dni, Sir Jamesie? – zapytał Chandos.

–Tak. Właśnie wracaliśmy z tą wieścią, kiedy na wodach Kanału Angielskiego

zostaliśmy zaatakowani przez piratów.

Ta ostatnia informacja wyraźnie nie wzbudziła zainteresowania Sir Johna.

–Kto wam o tym powiedział? – zapytał.

–Sam król Jean – odparł Jim. – Nie będę zanudzał cię opowiadaniem wszystkiego, co nam się przydarzyło, ale posłużyłem się... odrobiną magii wobec niego i czarnoksiężnika Ecottiego, żeby zmusić ich do mówienia. Ecotti rzeczywiście niczego nie wiedział. Ale król pod wpływem magii wyznał, że inwazja ma rozpocząć się za pięć dni, jeśli pozwoli na to pogoda.

–Ależ to niemożliwe! – rzekł Chandos z wyraźną nutą irytacji w głosie. – Zaokrętowanie oddziałów powinno zająć mu półtora do dwóch tygodni. Czy podczas pobytu we Francji widziałeś jakieś znaki świadczące o tym, że wojska zajmują już miejsca na okrętach? A właściwie to gdzie byliście?

–W Breście – odpowiedział Smoczy Rycerz. – Nie, nie widzieliśmy, żeby przebywające tam wojska wsiadały na okręty, chociaż w mieście pełno było rycerstwa, a na nabrzeżu mnóstwo statków wszelakich rodzajów. Zapewne wykorzystają wszystkie jednostki, jakimi dysponują.

–Powiadam ci, że to nie" ma sensu! – rzekł Chandos, spacerując po występie murów. – Musiał cię okłamać!

–Nie mógł tego uczynić. Znajdował się pod działaniem magii. Sprawilem, że był w stanie powiedzieć tylko prawdę.

–Co więc, u licha, może to oznaczać? – wybuchnął gniewem Chandos.

–Ma węże morskie za sprzymierzeńców. Czy wykonywały jakieś ruchy? Może to ich udział traktował jako początek inwazji?

–Nie ma wątpliwości, że są gdzieś w pobliżu. – rzekł Sir John, zatrzymując się tuż przed Jimem i gniewnie spoglądając na niego. – Zdarzają się przypadki, że pożrane są krowy, a nawet mężczyźni, kobiety i dzieci.

Przynajmniej takie krążą opowieści. Nikt nie waży się opuszczać bezpiecznych miejsc. Twoja połowica przyjęła do zamku chyba wszystkich poddanych, ponieważ wiedzą, że tylko tutaj nic im nie grozi. Ale co to ma wspólnego z inwazją? Nic nie rozumiem – rzekł bezradnie.

–Węże mogą pożerać bydło, a nawet ludzi, atakują wszystko, co się porusza – stwierdził Jim.

Spojrzał na Diabła Morskiego.

–Czy mam rację Rrrnlfie?

–Oczywiście – przyznał olbrzym. – Każdy musi jeść, a w morzu połyka się wszystko, co się nawinie. Przypomnij sobie Granfera. On je przez cały czas.

–Kto to jest Granfer? – zapytał Chandos.

–To... takie morskie monstrum – wyjaśnił Smoczy Rycerz, uznając, że użycie słowa "kałamarnica" lub "kra-ken" wywoła tylko dalsze pytania ze strony rycerza. – Jest tak stary i doświadczony, że wszystkie morskie stwory wykorzystują go jako doradcę, oczywiście te, których nie pożera. Swoimi długimi mackami chwytą ryby i połyka je w całości, mimo że niektóre z nich są wprost ogromne.

Sądzę, że nigdy nie opuszcza dna morskiego.

–Kiedyś, gdy był młodszy i mniejszy, wynurzał się na powierzchnię – wtrącił Diabeł Morski. – Ale teraz chyba uważa, że to za duży wysiłek.

–Powiedział nam, że poradził jednemu z węży morskich, temu, który szykuje atak na naszą wyspę, aby tego nie robił. Ale Essessili, nie posłuchał go.

–Tak – ryknął groźnie Rrrnlf – to on ukradł moją Damę. Wiem o tym!

–Ale wężom morskim właściwie nie zależy na nas, ludziach – tłumaczył Jim. – Chcą pozabijać wszystkie smoki w Anglii. Mieszkamy na wyspie, więc łatwiej im się do nas dostać.

–Węże nie lubią wychodzić z wody – zauważył olbrzym. – Nie cierpią też wód śródlądowych. Dla nas, Diabłów Morskich, nie stanowi różnicy, czy jest ona słona czy słodka i możemy także chodzić po lądzie, tylko po co?

Ten wasz kraj wcale nie jest ciekawy, a w rzekach i jeziorach żyją tylko malutkie rybki.

Jimowi przyszła do głowy nagła myśl. Z ciekawością spojrzął na Rrrnlf.

–Co więc cię sprowadziło tu, na mój zamek? – zapytał.

–Essessili zawziął się na smoki, a ty masz z nimi kontakt. Ukradł moją Damę i prędzej czy później przypłynie do ciebie. A kiedy się tu zjawi...

Uczynił ruch, jakby miażdżył coś w swych potężnych dłoniach. Jim aż się wzdrygnął na myśl o wężu morskim, który znalazłby się w takim uścisku.

–Zabrać moją Damę... – zaczął narzekać Rrrnlf, gdy nagle przerwał mu dziwny hałas.

Wszyscy unieśli głowy i dostrzegli zniżającego lot smoka, który wylądował na nieco za wąskiej dla niego blance, przez chwilę machając jeszcze skrzydłami, by utrzymać równowagę. Wreszcie udało mu się to i złożył skrzydła.

–Secoh! – wykrzyknął Jim. – W jaki sposób dotarłeś tu tak szybko?

–Szybko, panie? – zapytał smok lekko dysząc. – Opuściłem statek około południa, a teraz słońce jest już bardzo nisko. Popatrz!

Jim dopiero teraz to zauważył.

Rzeczywiście, słońce chyliło się już ku zachodowi. Smoczy Rycerz ocenił, że jest już co najmniej czwarta. Być może, biorąc pod uwagę fakt, iż w Anglii letnie dni trwają dłużej niż w położonym bardziej na południe rodzinnym Riveroak, mogła już być nawet piąta. Jeśli tak, to co zdarzyło się w tym czasie? Przecież przeniósł się...

–Secohu, skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz? – zapytał.

–Popędziłem za młodymi smokami, ale za bardzo wystraszyły się węży, żeby wrócić. Zrezygnowałem więc – wyjaśnił. – I skierowałem się tutaj. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, panie, są sprawy niecierpiące zwłoki...

Urwał i rzucił okiem na stojącego obok Chandosa.

–Wybacz, szlachetny rycerzu – ciągnął wyniosłym tonem – te sprawy dotyczą smoków i nikt nie może o nich wiedzieć.

Jim spojrzął na rycerza. Stał on bez ruchu, a jego twarz na pozór nie wyrażała żadnych uczuć. Jednak Smoczy Rycerz natychmiast zorientował się, że Chandos lada chwila może wybuchnąć. On, który przywykł do odsyłania niższych od siebie rangą z pomieszczenia, gdzie miał omawiać ważne sprawy, został poproszony o oddalenie się! I to nie przez rycerza, nawet nie przez kogoś z pospólstwa, ale przez zwierzę! Przez smoka!

Twarz Chandosa zmieniła wyraz. Smoczy Rycerz zdał sobie nagle sprawę, że nigdy w

życiu nie widział tak beznamiętnego, straszego oblicza. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego tak obawiano się Sir Johna jako wodza i turniejowego przeciwnika.

–Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Sir Johnie – rzekł pospiesznie pojednawczym tonem – oddalimy się nieco z Secohem. Za chwilę wrócę. Proszę o wybaczenie.

Przerażający wyraz twarzy nagle zniknął.

–Ależ oczywiście, Sir Jamesie – powiedział Chandos normalnym tonem.

Jego twarde jak stal spojrzenie skoncentrowało się jednak na jakimś odległym przedmiocie. Jim odwrócił się na pięcie, puszczając przed sobą Secoha, który ruszył kołyszącym krokiem, aż odeszli na taką odległość, że rycerz nie mógł ich usłyszeć.

–Secohu – powiedział Jim szeptem – powinienes uważać, jak zwracasz się do Sir Johna. Nie piastuje on żadnego wysokiego urzędu, chociaż proponowano mu je wielokrotnie, ale jest jednym z największych angielskich rycerzy i należy być w stosunku do niego uprzejmym.

–Myślałem, że byłem uprzejmy.

–No cóż, następnym razem spróbuj inaczej – poradził Smoczy Rycerz. – O czym to chciałeś ze mną pomówić?

–No więc...

Jim westchnął w duchu. Jak na smoka przystało, Secoh zamierzał zacząć od samego początku i opowiedzieć całą historię krok po kroku, zamiast przejść od razu do najistotniejszej jej części.

–Widzisz – zaczął Secoh – młode smoki bardzo przerażyły się węży morskich, kiedy zaczęły one wyskakiwać z morza w ich stronę. Wszystkie odleciały z powrotem do Cliffside. Przez pewien czas leciałem razem z nimi, starając się przemówić im do rozsądku i nakłonić do powrotu. Ale mnie nie słuchały. Wróciłem więc sam. Kiedy znalazłem się na miejscu, ciebie już nie było, a Sir Brian i Dafydd leżeli na pokładzie ciągle nieprzytomni. Nagle zniknęli i wiedziałem, że musiałeś znaleźć Carolinusa i skłonić go do zabrania ich, skoro nie chciałeś robić tego sam, jak powiedział mi główny jerzy na statku. Wszyscy zniknęliście, ale pozostały rzeczy, które mieliście ze sobą.

–Och, mój Boże! – wykrzyknął Jim, nagle uświadamiając sobie, do czego zmierza Secoh.

–To oznacza... -zaczął.

–Tak, oczywiście. – To dlatego nie przyleciałem wcześniej. Gdy młode smoki stchórzyły, a ja wróciłem na statek, by wam pomóc, uświadomiłem sobie, co musi zostać zabrane za wszelką cenę...

Posłał wymowne spojrzenie Jimowi.

–I zrobiłeś to? – zapytał niecierpliwie Smoczy Rycerz.

–Jerzy ze statku przywiązali mi worek na plecach, tak żeby nie przeszkadzał w lataniu – ciągnął Secoh. – W ten sposób wróciłem. Najpierw poleciałem do Cliffside. Wziąłem klejnoty francuskich smoków, będące gwarancją, że przylecą z pomocą, i pokazałem naszym. Później zabrałem je i ukryłem na bagnach, wyjmując oczywiście własny skarb.

To rzekłszy, Secoh otworzył paszczę i wysunął długi, czerwony język z tkwiącą na nim ogromną perłą, stanowiącą cały jego majątek.

Schowwał język i mówił dalej, z klejnotem umieszczonym bezpiecznie w którymś z

policzków.

–Powiedziałem naszym smokom, żeby przekazały dalej wieść o pomocy francuskich braci. Zrobiło to na nich duże wrażenie. Dopiero wówczas ruszyłem do was.

–Świetnie to załatwiłeś – pochwalił go Jim. – Dziękuję ci, Secohu. Okazałeś ogromną mądrość, której za- brakło mnie, ponieważ opuściłem tak cenny powierzony mi depozyt.

–Och, dziękuję ci, panie – rzekł smok. Zwierzęta te nie czerwienią się, ale sądząc z ruchów Secoha, gdyby mógł, zrobiłby się czerwony jak burak. – Wiem, że to nieprawda, ale i tak cieszę się, że tak mówisz, panie.

–Nonsens – zaprotestował Smoczy Rycerz. – Te słowa to szczerą prawdą. A teraz musimy wracać do Sir Johna i miejmy nadzieję, że zbytnio nie zdenerwował się, czekając na nas.

–Nie rozumiem, dlaczego to takie ważne – stwierdził Secoh, na szczęście na tyle cicho, że rycerz nie mógł go usłyszeć.

–To sprawa Jerzych – skwitował Jim, nie mając ochoty na dyskusję.

–Sprawa Jerzych? – powtórzył z powątpiewaniem smok za plecami Jima.

Nie dodał jednak nic więcej, ponieważ podeszli już do Chandosa. Rycerz spojrzał na nich i uśmiechnął się.

Wyraźnie uspokoił się lub postanowił udawać, jak przystało na człowieka tak przebiegłego, jakim był.

–Widzę, że zakończyłeś już tę rozmowę, Sir Jamesie – rzekł.

–Tak, Sir Johnie, i jeszcze raz proszę o wybaczenie.

Rycerz niedbale machnął ręką.

–To zbyt cenne, ale cieszę się, że to mówisz, Sir Jamesie.

Wreszcie ktoś traktuje mnie należycie. Pewnego dnia może uda mi się skończyć dysputę z Carolinusem, rozpoczętą przed jego zniknięciem.

–Za niego także cię przepraszam... – zaczął Jim, lecz Chandos ponownie machnął dłonią.

–Ależ to nic. Nie zwracaj uwagi na to, co przed chwilą powiedziałem. Nie było to zbyt uprzejme z mojej strony.

Spróbuję się poprawić. Aha, zastanawialiśmy się, w jaki sposób król Jean chce dokonać inwazji za pięć dni, jeśli wojska jeszcze nie zaczęły wsiadać na statki. Mówiłeś coś na temat węży morskich...

–Tak. Wspomniałem, że węże morskie obiecały go wesprzeć. Są na tyle duże i silne, że pomogą okrętom przepłynąć przez Kanał i ochronią je w razie niebezpieczeństwa. Ale doszedłem do wniosku, że właśnie wysłanie ich: na pierwszy ogień może być początkiem najazdu. Ty lub Carolinus wspominaliście, że jakieś węże kręcą się już po okolicy, a sam widzę, ilu ludzi schroniło się przed nimi w moim zamku.

Chandos zmarszczył czoło.

–Nie wyobrażam sobie, jak nasze wojsko miałooby walczyć z takim przeciwnikiem. Mielibyśmy wystarczająco dużo kłopotów z samymi Francuzami, gdyby tylko zdołali wylądować na wyspach.

–Masz rację. Inwazja może się udać, jeśli nie powstrzymamy ich już podczas lądowania. A nie będą mieli z tym problemu, jeżeli osłonę desantu zapewnią węże morskie.

Grasujące tu już mogą być ich przednią strażą.

Szpiegami, którzy mają zbadać sytuację.

Sir John zamyślił się.

I – To całkiem prawdopodobne, Sir Jamesie. Ale jeśli mają taki właśnie plan, musimy się upewnić, żeby móc przeciwdziałać. A jak to uczynić? Nie sądzę, żebyśmy mieli okazję wypytać któregoś z tych potworów przed zabiciem go w walce.

–Dlaczego nie? – rozległ się bas Rrrnlfa. – Zostańcie tu. Spróbuję znaleźć jakiegoś.

Diabeł Morski wsparł jedną rękę na murze i nieoczekiwanie przeskoczył przezeń.

Wylądował z drugiej strony tak energicznie, że jego stosunkowo małe stopy obute w sandały zapadły się w ziemię.

Mur był zbyt solidny, żeby popękać, czego Jim obawiał się przez moment, ale zadrżał tak, że obaj rycerze musieli chwycić się za wystające kamienie, żeby nie upaść lub nawet nie zlecieć na dziedziniec.

–Sir Jamesie, może wreszcie znajdziesz nieco czasu, żeby opowiedzieć mi o swoich odkryciach i dokonaniach, odkąd zniknąłeś, kiedy to zamierzałem wysłać cię do Francji? – Smoczy Rycerz usłyszał głos Chandosa.

Rozdział 29 Zanim Jim skończył swą opowieść, słońce zniknęło już za drzewami i wisiało zapewne tuż nad horyzontem.

Secoh, nie mając ochoty słuchać go, schował głowę pod skrzydło i zasnął.

Smoczego Rycerza zdziwiło zachowanie smoka, tak przecież lubiącego wszelkiego rodzaju opowieści. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, jak musi być zmęczony.

Poleciał przecież po młode smoki, przybył z nimi nad Kanał, wrócił na ląd, odwiedził Cliffside, aż wreszcie zjawił się tutaj. Trochę odpoczął w jaskiniach, kiedy pokazywał pobratymcom klejnoty i prowadził rozmowy. Nie mógł sobie pozwolić na to, by nie zamienić z nimi kilku słów.

Dla smoków byłaby to wyraźna obraza. Ale te rozmowy nie trwały zbyt długo.

Chandos wysłuchał całej historii, nie przerywając ani słowem. Przez cały czas pozostawał niewzruszony, nie okazując emocji, z jednym tylko wyjątkiem: słysząc opis rozmiarów Granfera wzdrygnął się i złapał za głowę.

Jim w duchu zdziwił się, czemu rycerz nie zareagował tak wcześniej, kiedy wspomniał mu o kałamarnicy. Chyba jednak dlatego, że wiadano powszechnie o istnieniu różnych morskich stworów, takich jak węże czy Diabły Morskie. Dopiero stwierdzenie, że istnieje coś znacznie większego od nich, wstrząsnęło nim.

Niemniej, Sir John pozwolił Jimowi skończyć, nie przerywając ani razu.

–I ten Granfer sądzi, że Essessili, jest przywódcą węży morskich atakujących Anglię? – zapytał wreszcie.

–Tak.

–Ale Carolinus twierdzi, że ten wąż nie ma magicznej mocy, którą ktoś z tamtej strony się posługuje?

–Tak jest w istocie – ponownie przyznał Smoczy Rycerz.

Chandos pokręcił głową. Wyjrzał ponad murem w kierunku zachodzącego za drzewami słońca.

–Nasz ogromny przyjaciel jeszcze nie wraca – zauważył. – Jeśli węże są tak ogromne i

niebezpieczne, jak je opisałeś, trudno uwierzyć, by Diabeł Morski mógł tak łatwo pochwycić któregoś z nich i dostarczyć na przesłuchanie. Czy istnieje jednak jakiś szczególny powód, Sir Jamesie, dla którego nie mielibyśmy oczekiwać go w wygodniejszych warunkach, w Wielkiej Sieni? Przyznaję, iż nieco zaschło mi w gardle.

–Ależ oczywiście. Sam chciałem to zaproponować.

Na te słowa Secoh momentalnie się obudził, jakby przez cały czas ich słuchał. Wielka Sień kojarzyła mu się z winem, a smoki uwielbiały je niemal tak samo jak złoto i kosztowności.

Ruszył więc za dwójką rycerzy. Doszedł do kamiennych schodów prowadzących w dół i widząc, że są dla niego zbyt wąskie, rozwinął skrzydła i poszybował pod drzwi prowadzące do Wielkiej Sieni.

Jim i Chandos weszli do środka i zajęli miejsce przy wysokim stole. Już po chwili służący postawił przed nimi tacę z chlebem, zimnym mięsem, serem oraz kilka dzbanów wina i kubki.

Secoh grzecznie zajął miejsce przy niskim stole, tuż obok podwyższenia, na którym ustawiony był wysoki stół. Nie usiadł na ławce, bo nie pozwalała mu na to budowa ciała, lecz przycupnął na podłodze.

Nawet w takiej pozycji jego łeb znajdował się na poziomie głów siedzących znacznie wyżej ludzi. Był też na tyle blisko, że Sir John dał swoim zachowaniem poznać, iż nie jest zachwycony takim towarzystwem.

Z tak bliskiej odległości, nawet gdyby mówili szeptem, słyszałby wszystko. Chandos był także wyraźnie zaskoczony faktem, iż przed smokiem postawiono dwa duże dzbany wina, bez kubka. Secoh pociągnął z jednego z nich, wlewając w siebie pół kwarty napoju.

–Wróciłem akurat w chwili, gdy mówiłeś Angie, że rozesłano już wici, ale zebranie armii zajmie jakiś tydzień – odezwał się Jim, nalewając wina do kubków i stawiając jeden przed Chandosem, by w ten sposób odwrócić jego uwagę od Secoha. – Czy nie da się zrobić tego szybciej?

–To i tak będzie bardzo szybko – wyjaśnił Sir John poważnym tonem. – Nawiasem mówiąc, Sir Jamesie, kiedy wróciłeś już z Francji, sam powinieneś zebrać swój oddział. Tak nakazuje prawo.

Jim zupełnie o tym zapomniał. Jako bezpośredni lennik króla, miał wobec niego określone zobowiązania.

–Czy mam zebrać swoich ludzi i dołączyć do armii, Sir Johnie? – zapytał.

–Nie. Będziesz znacznie bardziej przydatny, jeśli pozostaniesz przy mnie, a to za sprawą twojej znajomości magii i morskich stworów. Masz obowiązki, ale sądzę, że zdołam cię od nich uchronić.

–Dziękuję, Sir Johnie – rzekł Smoczy Rycerz z ulgą.

Zupełnie nie miał ochoty znaleźć się w średniowiecznej armii, w której panował organizacyjny bałagan i trudne do opisanego warunki życia. Tutaj rzeczywiście był znacznie bardziej przydatny, zajmując się innymi sprawami. Z ulgą odetchnął, ponieważ obawiał się powinności wynikających z posiadanego statusu lennika.

System feudalny tylko z pozoru wydawał się prosty.

Każdy wasal w przypadku wojny musiał stawić się przed seniorem z możliwie

największą liczbą wyposażonych do walki ludzi. Powinność ta obowiązywała jednak tylko przez dziewięćdziesiąt dni, a po upływie tego czasu armia często rozpadała się, szczególnie jeśli przegrała jakąś bitwę.

Jej przywódcy wszczynali między sobą kłótnie i dalsza walka nie mogła przynieść korzyści.

–Rzecz w tym, że węzom morskim chodzi wyłącznie o pozbycie się angielskich smoków. Sądzę, że w obliczu takiego zagrożenia smoki zjednoczą się przeciw wspólnemu wrogowi. One także mają swoje zasady, różniące się nieco od naszych, ale zagrożone będą je skrzętnie realizować.

Czy mam rację, Secohu?

–Tak, panie – przyznał smok. – Sami wytępillibyśmy węże morskie, gdybyśmy potrafili znaleźć je w wodzie. Ta nienawiść trwa od niepamiętnych czasów. Oczekujemy także, panie, że w tej rozgrywce pomożesz nam.

Jim uświadomił sobie, że bycie smokiem, podobnie jak bycie wasalem króla Anglii, wiąże się z obowiązkami. Jak więc to wszystko pogodzić?

–Stanałbym z wami, Secohu, ale gdzie indziej będę bardziej przydatny. Nie wolno ci zapominać, że jestem także magiem.

Zaledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy uświadomił sobie swą trzecią powinność. Los powierzył mu jednocześnie trzy role – barona, smoka i maga. Jak dotąd nie przeszkadzało mu to. Ale oczywiste było, że nadejdzie taka chwila, kiedy co najmniej dwie z nich, jeśli nie wszystkie trzy zaczną ze sobą nawzajem kolidować.

Nagle rozbrzmiał głos Carolinusa.

–Jim! Jesteś mi potrzebny.

Smoczy Rycerz odsunął ławę i pospiesznie poderwał się na nogi.

–Wybacz mi, Sir Johnie – rzucił. – Coś niedobrego musi dziać się z Dafyddem lub Brianem. Proszę, pozostańcie tu obaj aż do mojego powrotu.

–Oczywiście. Zajmij się swoimi przyjaciółmi, Sir Jamesie. Są tego warci.

Jim skierował się przez kuchnię, kamiennymi schodami, na najwyższe piętro wieży. Nie zdawał sobie sprawy, że nie jest sam, dopóki nie usłyszał za plecami głośniego sapania.

Obejrzał się i zobaczył, że za nim gramoli się Secoh. Te schody były dla niego wystarczająco szerokie, lecz, czego Jim doświadczył na własnej skórze, smocze ciało nie było stworzone do chodzenia, szczególnie zaś do szybkiego chodzenia. Unikały więc tego, gdy tylko mogły. Jeśli gdzieś się spieszyły, korzystały ze swoich potężnych skrzydeł.

–Wybacz mi, panie – wysapał Secoh. – Jest jeszcze coś, o czym chciałem ci powiedzieć. Byłem zmęczony i zapomniałem poinformować cię o tym wcześniej, kiedy rozmawialiśmy o młodych smokach.

–Tak, tak, tylko szybko – rzucił Jim, przestępując z nogi na nogę.

–Dobrze, panie. Kiedy byłem u smoków z Cliffside, dowiedziałem się, że przedstawiciele wszystkich smoczyczych rodów Anglii, a nawet Szkocji, zebrali się tam, żeby porozmawiać z tobą, zanim zjednoczą siły przeciw węzom morskim. Chcą, abyś dzisiaj przybył do Cliffside!

Pod Smoczym Rycerzem ugięły się nogi. Dwie spośród jego trzech ról już znalazły się w wyraźnym konflikcie.

Przez chwilę myślał o niemożności bycia jednocześnie doradcą smoków i Chandosa.

Rozwiązanie tego problemu pozostawił na później. Teraz szedł do rannych przyjaciół, wezwany nagle przez Carolinusa, co świadczyło o powadze sytuacji. Musiał się spieszyć.

–Będę tam – rzucił, nie chcąc tracić czasu.

Odwrócił się, wziął ze stojaka płonąca pochodnię i po- spiesznie zaczął wspinać się po schodach. Secoh nie podążył dalej za nim.

Kiedy dotarł na miejsce, tylko jeden z rannych znajdował się w łóżku. Był nim Dafydd, który leżał szczelnie okryty kocami, choć w kominku, przyłączonym do zaprojek- towanego przez Jima przewodu kominowego, płonął ogień.

Izbę oświetlały cztery pochodnie.

Mistrz kopii siedział na krześle przy stole i popijał wino.

–Brianie! – wykrzyknął z radością Jim. – Widzę, że Carolinus uporał się z twoimi ranami i czujesz się dobrze.

Ale nie wiem, czy powinieneś pić wino.

Rycerz popatrzył na niego zaskoczony.

–A czemuż by nie?

–Nic mu nie jest – rzekł Carolinus, stojący przy Dafyddzie, spoczywającym na łożu należącym do pana i pani zamku. – Stracił nieco krwi i wino pomoże ją zastąpić. Podejdź tutaj, do Dafydda!

Jim posłuchał Maga, który odstłonił nieco chroniące łuczника okrycia. Twarz, szyja i ręce Walijczyka były białe jak ściana.

–Nie jestem w stanie mu pomóc – oświadczył Carolinus, ponownie otulając rannego. – Stracił zbyt wiele krwi. Na to nic już nie poradzę. Jestem w stanie wyleczyć ranę odniesioną w bitwie, ale magia nie skutkuje w przypadku choroby i nie może zregenerować czegoś, czego brakuje. A tak właśnie jest z krwią płynącą w ludz- kich żyłach.

Smoczy Rycerz sięgnął pod okrycie, namacał przegub Dafydda i zbadał puls. Był ledwie wyczuwalny i mocno przyspieszony.

–Potrzebna mu transfuzja – rzekł bardziej do siebie niż reszty obecnych.

–Och, Jim – odezwała się Angie, stojąca po drugiej stronie łoża – to niemożliwe. Nie znamy nawet jego grupy krwi i nie mamy żadnych próbek, igieł...

–Poczekaj chwilę – rzekł Smoczy Rycerz w zamyś- leniu. – Może uda się nam znaleźć na to sposób. Przypo- minam sobie coś, co kiedyś wyczytałem... Już wiem! – wykrzyknął. – Dawniej porównywano grupy krwi w ten sposób, że przyglądano się jej pod mikroskopem i spraw- dzano, czy po zmieszaniu z inną krwią czerwone krwinki rozdziela się, czy też nie.

–A jak zamierzasz to zrobić? – zapytała Angie z powątpiewaniem. – Nie mamy przecież mikroskopu.

–Poczekaj – uspokoił ją Smoczy Rycerz, unosząc rękę. – Pozwól mi pomyśleć. Na pewno da się coś na to poradzić. Mamy przecież magię.

–No cóż, mogę sobie wyobrazić, że w magiczny sposób przetoczysz Dafyddowi krew któregoś z nas, ale jeśli grupy nie będą zgodne, zabijesz go.

–Wiem o tym. Mówię przecież, żebyś dała mi pomyśleć.

Najpierw zajmijmy się mikroskopem...

Zwrócił się w stronę Carolinusa.

–Potrzebuję mikroskopu... -zaczął.

–Czego? – zapytał Mag.

–Wiem, że go nie masz. Jestem nawet pewien, że nie wiesz, co to takiego. Ale możesz mi stworzyć szkło powiększające. Prawda?

–Szkło powiększające? – powtórzył starzec. Jego błękitne oczy spoczęły na jakimś odległym przedmiocie. – Tak, istnieje coś takiego. O to ci chodzi, prawda?

Jim poczuł, że w jego prawej dłoni znalazło się coś przypominającego monokl. Był to szklany krążek z mister- nie wykonaną drewnianą oprawką, na tyle szeroką, żeby za nią uchwycić, nie dotykając szkła.

Przez to szkło przyjrzał się uważnie tkaninie rękawa. Nie dawało dużego powiększenia. Zwiększało obraz dwa, trzy razy – tyle co tandetna, dziecięca lornetka. Co więcej, soczewka była wykonana ze szkła marnego gatunku i znie- kształcała obserwowany przedmiot.

–Potrzebuję jeszcze drugiego takiego szkiełka – rzekł Smoczy Rycerz. – Może wyjdziemy na korytarz. Musimy pomówić na temat magii, a wątpię, żebyś chciał, by ktokolwiek słyszał naszą rozmowę.

Siwe brwi Maga uniosły się. Bez słowa podążył jednak za Jimem w kierunku wyjścia. Kiedy zamknęli drzwi, Smoczy Rycerz powiedział: – Pozwól, że w kilku słowach wyjaśnię ci, o co chodzi.

Jedynym sposobem na uratowanie Dafyddda jest dostar- czenie jego organizmowi dodatkowej krwi. Jest to możliwe tylko poprzez przelanie jej z organizmu jednego z nas do jego żył. Czy jak na razie rozumiesz, o czym mówię?

–Chyba nie uważasz mnie za idiotę! – oburzył się Carolinus. – Nigdy wcześniej nie robiłem tego, ale nie widzę przeszkód, żeby teraz tego nie uczynić.

To rzekłszy, skierował się z powrotem w stronę drzwi.

–Poczekaj jeszcze. To będzie ostatnie zadanie, naj- prostsze. Najpierw musimy się upewnić, że przetaczana krew go nie zabije.

–Zabije? – zapytał starzec. – Krew to krew. W jaki sposób może go zabić?

–W tym właśnie miejscu, za pozwoleniem, mylisz się – oświadczył Jim dyplomatycznie. Carolinus stanął i spojrzał mu prosto w oczy.

–Ja? Ja się mylę?

–Tak. Tam, skąd przybywam, odkryliśmy, że ludzie mają różne grupy krwi. Jest ich na szczęście tylko kilka.

Jeśli jednak zmiesza się niewłaściwe w czyimś organizmie, spowoduje się jego śmierć. Proszę, zaufaj mi w tym względzie.

Carolinus popatrzył na niego wrogo, lecz chwilę potem rozchmurzył się.

–No cóż, to chyba starość – powiedział zmęczonym głosem. – Słucham cię, Jimie. Mów.

–Dziękuję. Otóż dowiedzieliśmy się, że istnieją cztery podstawowe grupy krwi. Możliwe, że przy użyciu in- strumetu nazywanego mikroskopem znajdziemy kogoś, czyja krew jest bezpieczna dla organizmu Dafyddda. Ale tylko wtedy, gdy rzeczywiście stworzymy mikroskop i szkieł- ka, na których będziemy mieszać krew każdego z nas z krwią ранnego. Te grupy krwi noszą nazwy A, B, AB i 0.

Człowiek z grupą AB może przyjąć krew od każdego. Kto zaś ma grupę 0, może dawać swą krew wszystkim innym.

–Rozumiem – rzekł Mag. – I żeby zbadać krew, potrzebujesz tego... mikroskopu. Ale ja nie mogę go dla ciebie stworzyć. Pewnie już ci to tłumaczyłem, ale jeśli nie, to powtórzę, że magia daje możliwość tworzenia. To dlatego tak wiele umiesz, będąc ignorantem w zwykłej magii. Przybyłeś z innego świata, więc potrafisz sobie wyobrazić rzeczy, których ja nie jestem w stanie wymyślić.

Przecież nie wiem nawet, jak powinien wyglądać ten mikroskop. Nie mogę go więc stworzyć, choć tak dobrze znam magię.

–Rozumiem, ale jeśli będziemy pracować razem, wytłumaczę ci po kolei, czego potrzebuję...

Oblicze Carolinusa rozjaśniło się.

–Oczywiście! – rzekł. – Jim, mój chłopcze, miewasz świetne pomysły, a to najważniejsze! Opisz tylko, czego ci potrzeba, a ja to natychmiast dostarczę.

–A więc przede wszystkim jeszcze drugiego szkła powiększającego. O, dziękuję. Teraz wyjmij je z tych oprawek i umieść na przeciwległych końcach czarnej, metalowej tuby. Na samych końcach, i dobrze je tam zamocuj. O tak.

Jim ujął w dłonie dość niezdarnie wykonany cylinder i ponownie spojrzął przezeń na tkaninę.

–Wszystko jest bardzo rozmazane. Spróbujmy odwrócić dolne szkło. Nie, to nie pomaga. Odwróć więc górne. Nie, to też nic nie daje...

Przez ponad pół godziny pracowali wspólnie przy świetle pochodni umieszczonej na pobliskiej ścianie i wreszcie stworzyli aparat, który był jednak zupełnie nieprzydatny.

–Chyba należy dać sobie z tym spokój, Carolinuso – rzekł wreszcie Jim. – Przepraszam, że musiałeś się tyle napracować. Myślałem, że coś z tego będzie. Ale, niestety, to urządzenie nie pozwoli poznać, czy można mieszać krew.

–Musi być jakiś sposób, żeby zrobić to, bezpośrednio korzystając z magii – stwierdził Mag.

Rozdział 30 Jim uśmiechnął się.

–Oczywiście! – wykrzyknął. – Przecież to proste.

Zrobisz to dla mnie? Wykonaj tylko sześć prostokątnych kawałków szkła długich na pięć centymetrów, szerokich na trzy i pół centymetra i grubych na trzy milimetry.

–To powinieneś stworzyć już sam – rzekł zgryźliwie Carolinus. – Zajmę się tym jednak, żeby zaoszczędzić czasu.

W dłoni Smoczego Rycerza znalazł się stos szkiełek, jakich zażądał. Były złej jakości i zbyt grube, ale nie miało to większego znaczenia. Ich powierzchnia była na tyle równa, że nadawały się do użycia.

–Teraz, kiedy już je masz, co zamierzasz z nimi zrobić?

Modlić się? – zapytał starzec.

–Muszę wypróbować czar. Będę wypowiadać go na głos, zapisując jednocześnie na czole, żebyś w razie czego mógł mnie powstrzymać. Jesteś gotów?

–Oczywiście – warknął Mag.

–A więc dobrze.

Zaczął mówić, jednocześnie wyobrażając sobie wypowiedziane słowa na wewnętrznej stronie czoła: KREW GRUPY "A" NIE BĘDZIE SIĘ MIESZAĆ Z KRWIĄ GRUPY "B",

KIEDY SIĘ JE POŁĄCZY GRUPY "A" I "B" ZMIESZAJĄ SIĘ Z GRUPAMI "0" I "AB" JEŚLI KREW ZMIESZA SIĘ, TO MOŻNA JĄ UŻYĆ DO TRANSFUZJI Jim urwał i spojrzał na starca.

–W porządku? – zapytał.

–Niech będzie. Nieco niezdarne, ale wystarczy. Może- my już wracać do komnaty. Zbliżyli się do Dafydd. Łucznik nadal leżał bez ruchu, blady jak uprzednio.

Zaniepokojony Jim ponownie zbadał mu puls i odetchnął z ulgą, wyczuwszy jego rytm. Spojrzał na Carolinusa.

–Mógłbym zapewne pobrać kroplę krwi z z jego rany, ale czy nie prościej by było zrobić to przy użyciu magii? Od nas też można by pobierać ją w ten sam sposób...

–I oczywiście chcesz, żebym ja to zrobił? – domyślił się Carolinus.

–Jeśli mógłbyś... Wiem, że to...

–Wyzysk! – warknął Mag. – I masz rację. Ale zrobię to dla Dafydd. Gdzie chcesz mieć tę krew?

–Na skraju szkiełka – rzekł Jim. – Gdybyś umieścił ją z lewej strony, wiedziałbym, że należy do Dafydd. Bo lewą ręką dzierży łuk. A krew od nas umieszczaj z prawej strony. Później spróbujemy je ze sobą mieszać i sprawdzimy, jak będzie to wyglądać.

Gdy tylko skończył mówić, na trzymanym przez niego szkiełku, z lewej strony, pojawiła się kropla krwi.

–Dobrze! – powiedział. Uniósł głowę i rozejrzał się po pomieszczeniu. – Teraz potrzebujemy kroplę krwi od...

–Ode mnie! – zawołał Brian, podrywając się na nogi. – Walczyliśmy wspólnie i teraz musimy podzielić się tą krwią, która nam pozostała.

–Nie, Brianie – zaprotestował Smoczy Rycerz. – Może nie straciłeś jej tak dużo jak Dafydd, ale i tak masz jej mniej niż powinieneś. Skorzystamy z innego dawcy. A teraz usiądź... jeśli nie chcesz, żebyśmy cię z powrotem położyli!

Mistrz kopii rzeczywiście chwiał się na nogach i musiał wesprzeć się o stół. Posłuchał i ciężko opadł na krzesło.

–Spróbuj mojej krwi – zaproponował Jim.

–Nie – zaprotestowała Angie. – Ja pierwsza, Carolinusi. Jim, o ile pamiętam, mam grupę 0. A zatem mogę oddać krew każdemu. Chyba tak mi właśnie powiedziano, kiedy po raz pierwszy oddawałam krew do Czerwonego Krzyża.

–Jeśli twoja krew będzie przydatna, utracisz jej sporo – ostrzegł Jim. – Pomyśl o tym.

–Przecież nie umrę od tego – odparła Angie. – Wiem, jak to jest, bo wielokrotnie już byłam dawcą.

Druga kropla pojawiła się na przeciwnym skraju szkiełka trzymanego przez Smoczego Rycerza, który ostrzem noża próbował je ze sobą mieszać. Krople zachowywały się jednak jak kuleczki rtęci i w żaden sposób nie chciały się połączyć.

–Przykro mi, Angie, musiałaś się mylić co do swojej grupy.

–A dałabym sobie rękę uciąć! – zawołała pani zamku Malencontri.

–Jeśli miałybyś grupę 0, krew Dafydd zmieszałaby się z twoją. Przykro mi, Angie. Carolinusi, usuń ze szkiełka jej krew i umieść tam moją. Obawiam się jednak, że mogą być problemy, bo mam grupę A. Jeśli więc Dafydd będzie miał jakąś inną grupę, to też nic z

tego.

Nic nie poczuł, lecz po chwili na czystym skraju szkiełka pojawiła się kropla jego krwi. Ponownie spróbował je ze sobą połączyć, używając czubka noża.

–Udało się! – wykrzyknęła Angie. Podbiegła do męża i uścisnęła go. – Jim, twoja krew się nadaje! Połączyły się idealnie!

–To dobrze! – powiedział Jim. – Carolinusie, teraz musisz tylko przekazać pół kwarty mojej krwi do organizmu Dafydd. Nie zaszkodzi nawet więcej, a gdy wciąż będzie taki blady, dodamy mu jeszcze jakieś ćwierć kwarty... ale poczekaj jeszcze chwilę!

Nagle przypomniał sobie coś ważnego.

Oddawanie krwi w staq'i krwiodawstwa, w ich starym świecie, było długotrwałą czynnością, podczas której spływała ona przewodem poprzez nakłucie w żyłę do specjalnie przygotowanego pojemnika. Odbywało się to tak wolno, ponieważ w takim właśnie tempie krew była pompowana przez serce, ale z drugiej strony...

–Powinniśmy z tym uważać – stwierdził. – Kwarta krwi przepompowana nagle do żył Dafydd może mu zaszkodzić. Carolinusie, czy możesz przelewać ją z taką prędkością, z jaką pompowana jest przez serce?

–Oczywiście! – odparł Mag. – Właśnie tak zrobiłem.

–To znaczy, że już zacząłeś transfuzję? – zapytał Smoczy Rycerz.

–Dziwny jesteś. Ciągłe mnie o coś prosisz, a później pytasz, czy to zrobiłem. Czy mam przestać? Jeśli tak, powinieneś wyrażać się jaśniej.

–Rzecz w tym, że niczego nie czuję.

–A dlaczego miałbyś czuć? – zapytał starzec.

Oczywiście Carolinus miał rację. Jim uświadomił sobie, że podczas oddawania krwi czuło się jedynie tkwiącą w żyłę igłę, poprzez którą do połączonej rurką butelki spływała krew.

–Powiniennem zejść na dół – przypomniał sobie Jim.

Ciągle myślał o Chandosie, pozostawionym w Wielkiej Sieni tylko w towarzystwie Secoha. Wszystko byłoby w porządku, gdyby smok siedział cicho. Ale to nie było takie oczywiste. Ciężka uwaga rycerza mogła zamknąć Secohowi pysk, ale niekoniecznie. Chandos przełknął już dzisiaj wystarczająco dużo przejawów lekceważenia. Najwyższy czas przeprosić go za to.

–Jak daleko mogę odejść, żeby nie przerwać transfuzji? – zapytał.

–Odejść? – zdziwił się Carolinus. – Możesz iść, dokąd tylko chcesz. Nawet na drugi koniec świata. To, gdzie jesteś, nie ma żadnego znaczenia. Magia to magia. – Teatralnym gestem spojrzął w sufit. – I jak z tych dzisiejszych uczniów mogą być dobrzy magowie!

–Może jednak powinieneś zostać, aby przekonać się, czy Dafydd nie potrzebuje więcej krwi – rzekła Angie dość ostrym tonem.

–Masz rację – zgodził się Smoczy Rycerz. – Ale będę blisko, na dole. Jeśli Carolinus wezwie mnie tak jak poprzednio, kiedy byłem przy wysokim stole, do którego teraz powiniennem wrócić, zjawię się tu w kilka sekund.

A w tym czasie krew już będzie przekazywana Dafyddowi.

Chcę po prostu udobruchać Sir Johna, bo opuściłem go i pozostawiłem tylko w towarzystwie Secoha.

–Secoha? – zdziwiła się Angie.

–Tak – powiedział Jim, podchodząc już do drzwi. – Usiadł przy niskim stole. Tuż obok Chandosa. A nie sądzę, żeby byli dobrymi partnerami do rozmowy. Sir Johnowi należą się też przeprosiny. Wezwijcie mnie, a zaraz będę z powrotem.

Ostatnie słowa wypowiedział już na progu. Zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem, lecz zatrzymał go głos Angie.

–Jim! – zawołała stanowczo.

Odwrócił się. Stała na korytarzu, zamykając drzwi.

Skinęła, żeby podszedł bliżej.

–Właśnie sobie coś przypomniałam – powiedziała szeptem. – Wezwałam do nas Aragha. Jest w jednej z komnat. Niezbyt mu się to spodobało, ale muszę trzymać go w ukryciu, dopóki z tobą nie pomówi. Powinien przyjrzeć się Carolinusowi i wyrazić swoją opinię na temat zmiany jego zachowania.

Jim skinął głową.

–To dobry pomysł – przyznał. – Zna go przecież znacznie dłużej niż my, a niektóre jego zmysły przewyższają ludzkie. Może zauważy coś, czego my nie widzimy.

–Tak właśnie pomyślałam. Chciałam jednak, żebyś wiedział. Nie mogę patrzeć, jak Carolinus stara się ukryć coś, co go gryzie, i zachowuje się jak nigdy dotąd. To musi być jakaś poważna sprawa.

–Tak, ja też tak myślę – zgodził się Smoczy Ry- cerz. – No coż, może Aragh ułatwi nam rozwikłanie tego problemu.

–Mam taką nadzieję. Idź teraz na dół, a ja go wypuszczę i będziemy udawać, że wpadł, aby zobaczyć, co u nas słychać.

–Dobrze – zgodził się i ponownie ruszył korytarzem.

Tym razem żona już go nie zatrzymywała.

Zszedł po schodach i wreszcie dotarł do Wielkiej Sieni, gdzie Sir John siedział wraz z Secohem.

Kiedy zbliżył się do nich, ku ogromnej uldze stwierdził, że prowadzą swobodną pogawędkę. Martwił się więc zupełnie niepotrzebnie. Rozmawiali i widać było, że dysku- sja ta sprawia wyraźną przyjemność Chandosowi.

–Och, Sir Johnie, wybacz, że pozostawiłem cię same- go... – rzekł Jim siadając przy wysokim stole.

–Wcale nie był sam – zaprotestował smok. – Przecież ja z nim zostałem. Jak się czują Brian i Dafydd?

Jim uświadomił sobie, że Secoha również łączy coś z Brianem i Dafyddem. Poczuł wyrzuty sumienia.

–Brian siedzi i popija wino. Carolinus uleczył jego rany, a znasz przecież Briana. Myśli już, że zupełnie nic mu nie jest. Dafydd zaś potrzebuje krwi i w magiczny sposób przekazujemy mu moją. Jeśli będzie jej jeszcze potrzeba, Carolinus zawiadomi mnie w ten sam sposób jak poprzed- nio. Ale na razie mogę zostać tutaj i nieco się odprężyć.

–Napij się wina – zaproponował Chandos, napełniając kubek i stawiając go przed Jimem. – Bardzo się cieszę, że ci dwaj szlachetni wojownicy czują się dobrze. A my tu miło gawędziliśmy z Secohem. To pierwszy smok, z którym miałem okazję rozmawiać. Przez

całe życie dyskutuję, z kim tylko się da, i zawsze usłyszę coś nowego. Secoh właśnie opowiadał mi, jak on i ten stary smok walczyli z Bryaghem w sławnej bitwie pod Twierdzą Loathly. Nie miałem pojęcia, że ich skrzydła tak bardzo przydają się w walce.

–Tak, to prawda – wtrącił Secoh. – Nie jestem dużym smokiem, ale jednym skrzydłem... Nagle rozpostarł skrzydło, które w zamkniętym pomieszczeniu zdało się rzeczywiście potężne. – Tym skrzydłem powaliłbym pięciu, może nawet dziesięciu Jerzych, a niektórzy z nich już by nie wstali. Skrzydłem mógłbym złamać kark krowie... no, jeleniowi, choćby nie wiem jak był wielki. Przewróciłbym nawet niedźwiedzia albo odyńca. Większość Jerzych nie zdaje sobie sprawy, że smok w walce lub na polowaniu posługuje się przede wszystkim silnymi mięśniami skrzydeł.

W pojedynku między smokami starają się one złamać przeciwnikowi skrzydło.

–Orły też mają bardzo mocne skrzydła – wtrącił Chandos.

–Nasze są jeszcze silniejsze. Bryagh był tak potężny, że gdybym stanął naprzeciw niego sam, szybko połamałby mi oba skrzydła. Smgrol, stary już i mało ruchliwy, miał kości skrzydeł tak twarde jak jego, chociaż jedno chore i słabe.

Walcząc naraz z nami obydwoma, Bryagh nie mógł skupić całej uwagi na próbach połamania mi skrzydeł, więc kąsaliśmy go i rwaliśmy pazurami, a on nas...

Urwał, gdyż na dziedzińcu, tuż przed wejściem do Wielkiej Sieni, rozległy się głośne okrzyki. Jim uświadomił sobie, że była to mieszanina ludzkich wrzasków, basowych pokrzykiwań Rrrnlfa i jakichś pisków, niewiele różniących się od wydawanych przez Granfera.

–Ma go! – wykrzyknął Secoh uradowany, składając skrzydło i stając na łapach. – Diabeł Morski złapał węża!

Wąż morski! A więc te piskliwe głosy należały do tego stworu żyjącego w morzu. Cały ten harmider został za- głuszony przez Secoha, którego potężny głos zabrzmiał echem po Wielkiej Sieni.

Smok był już przy wyjściu.

–My też lepiej wyjdźmy, Sir Jamesie – zaproponował Chandos. – Nie uważasz?

Mówiąc to wstał i podążył za smokiem. Jim ruszył w jego ślady.

Gdy wypadli na dziedziniec, zauważyli, że plac jest niemal opustoszały. Zniknęli z niego wszyscy kręcący się tu zawsze służący, a pośrodku, w świetle pochodni, widać było stojącego Rrrnlfa, przed którym wszyscy wycofali się pod ściany.

W swoich potężnych rękach, rozpostartych na pięć metrów, Diabeł Morski trzymał zielonego węża, wymachu- jącego w powietrzu wszystkimi czterema krótkimi koń- czynami. Olbrzym nogą przydepnął mu ogon, unierucha- miając go skutecznie. Prawą ręką schwycił go w połowie długości, a lewą tuż za łbem. Szczęki węża, zdolne połknąć na raz całego konia, kłapały bezradnie w powietrzu i pisz- czał z bezsilnej złości.

Rozdział 31 A mali rycerze! – zauważył Rrrnlf. – Czy jest tu z wami mały Mag? Może on także chciałby zobaczyć węża? Ten nazywa się linnenii. Uciekał mi, ale dopędziłem go i przyniosłem. Musiałem przewlec go przez tę waszą ścianę. Hej, wy tam, bądźcie cicho!

Ostatnie słowa były skierowane nie tylko do węża, który piszczął wniebogłosy, ale i do Secoha stojącego tuż poza zasięgiem kłapiącej paszczy i obrzucającego odwiecznego wroga obelgami.

Smok umilkł, zaś morski stwór tylko nieco zniżył głos.

Teraz wreszcie można było go zrozumieć.

–...Wszystkie smoki i Diabły Morskie dopaść w głębi-
nach i wszędzie tam gdzie spróbują się ukrywać!

Brzmienie głosu węża trudno było określić, ale najbardziej przypominało pisk.

–Powiedziałem, zamilcz! – ryknął Diabeł i grzmotnął go pięścią w łeb.

Jim aż wzdrygnął się na ten widok. Rozległ się dźwięk, jakby z wysokości dwóch pięter spadła na beton stalowa kula. Wąż nagle ucichł i przestał kłapać paszczą. Oszołomiony zwiśł bezwładnie w rękach Rrrnlfa.

–Głupie stwory – stwierdził Diabeł Morski. – Cała ich zgraja nie miałaby szans z kilkoma zaledwie tuzinami moich rodaków... ale wątpię, by dało się zebrać ich w jednym miejscu choćby kilkunastu. Macie tu węża, którego chcieliście przepytac. Może uderzyłem go odrobinę za mocno, ale za chwilę dojdzie do siebie.

–A oczekując na to, mam do ciebie pytanie – odezwał się Chandos. – Wspomniałeś, że niełatwo jest zebrać choćby kilkunastu twoich rodaków w jednym miejscu.

–Tak, to prawda, chyba że podczas godów.

–A jak często przychodzi na to pora?

–Niech pomyślę... Jestem pewien, że nie było ich w ostatnim stuleciu. Może ze dwieście lat temu. Nie, wydaje mi się, że to było jakieś sto lat temu.

–Gody w odstępie stulecia? – zdziwił się Jim. – To dość długi okres.

–No cóż, sam widzisz – powiedział z godnością Rrrnlf. – Ktoś taki jak ja... nie potrafi zadbać o siebie, póki nie ma co najmniej osiemdziesięciu lat. Nie jest także całkiem dorosły, póki nie dożyje pięciuset lat. Przez te pierwsze osiemdziesiąt lat zajmuje się więc nim matka. – W kącikach oczu zakręciły mu się łzy. – Ja miałem wspaniałą matkę. Chciałbym zobaczyć ją jeszcze raz...

Gdybym tylko pamiętał, jak wyglądała. Była chyba podob-
na do mojej Damy.

Nagle bezceremonialnie potrząsnął wężem morskim.

–Hej, ty, obudź się! – huknął. – Masz odpowiedzieć na jakieś pytania.

Wąż poruszył się lekko i zamrugał powiekami.

–Co się stało? – zapiszczał.

–Uderzyłem cię – wyjaśnił ponuro Rrrnlf. – I zrobię to jeszcze nieraz, jeśli nie zaczniesz nam zaraz odpowiadać.

Gdzie jest Essessili? Gdzie podział moją Damę?

–Damę? Damę? – powtórzył wciąż oszołomiony jeniec. – Jaką Damę?

–Moją! – wrzasnął Diabeł. – Nie mów mi tylko, że jej nie ma, bo wiem, że to nieprawda. Gdzie on jest?

–Nie wiem! – jęknął wąż, widząc że olbrzym zamierzył się do ponownego uderzenia. – Naprawdę nie wiem! Jest gdzieś w wodach Kanału, a może na brzegu kraju, który nazywacie Francją. Nie wyszedł na ląd jak reszta. Nie wiem, czy ma twoją Damę. Nigdy nie widziałem go z czymś podobnym. Jak ona wygląda?

–Jest piękna! – odparł Diabeł.

Sprawiał wrażenie, że lada chwila znów uderzy, lecz w porę zmytygował się. Spojrzał na Jima i Chandosa.

–Czy wy, mali rycerze, macie jakieś pytania?

–Wiesz, że tak, Rrrnlfie – powiedział z przyganą w głosie Jim.

Ogrom siły olbrzyma był dla niego zaskoczeniem i budził lęk. To coś wręcz nieprawdopodobnego nawet przy takich rozmiarach. Diabeł Morski miał potężne dłonie, proporcjonalne do tego nadgarstki, silnie umięśnione ramiona i barki.

Nic więc dziwnego, że mur zamkowy aż zadrżał, gdy Rrrnlf wsparł się na nim, przeskakując na drugą stronę.

Jim patrzył na to jednak z innej strony, wiedząc, że jego magia potrafiła przecież unieruchomić nawet jeszcze większego Granfera. Olbrzym był także podatny na magię i w razie konieczności można się było nią posłużyć.

–Ilu wyszło was na ląd? – rzucił Chandos.

Stał naprzeciw głowy węża morskiego by móc patrzeć mu prosto w oczy. Stwór miał dziewięć metrów długości, ale jego ciało nie było grubsze niż metr dwadzieścia, a szyja i głowa miały podobną średnicę. Tak więc Sir John stanął z nim oko w oko.

–Nie wiem – odrzekł Jeniec. – Nic nie wiem. Kazali mi tu przybyć, więc posłuchałem. Zjadłem kilka lądowych stworów, ale każdy by to zrobił. Przypelźłem tu tylko i nikogo nie niepokoilem...

Diabeł mruknął groźnie.

–Zapytam cię jeszcze raz, ale uprzedzam, po raz ostatni. Jeśli nie odpowiesz, pozwolę Rrrnlfowi wyciągnąć z ciebie całą prawdę. Ile węży wyszło z morza na nasze ziemie? – nie ustępował Chandos.

–Naprawdę nie... – powiedział wąż, lecz olbrzym począł skręcać jego ciało obiema rękoma w przeciwnych kierunkach. Jeniec zapiszczał z bólu i przerażenia.

Jim nie mógł na to patrzeć. Wiedział, że w tym świecie tortury były powszechnie praktykowane, gdy od pochwyconego wroga chciano wyciągnąć jakieś informacje. Zdobywało się je, lub Jeniec ginął w katuszach, gdy był szczególnie wytrwały albo o niczym nie wiedział. Nigdy nie mógł się jednak do tego przyzwyczaić.

–Daj mu jeszcze szansę – zaproponował Smoczy Rycerz.

Diabeł Morski zwolnił miażdżący chwyt.

–Nie wiem, naprawdę nie wiem...Mogę tylko zgadywać... – wymamrotał wąż. – Zgadnę, jeśli chcecie. Zgadnę.

Jest nas pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu. Tylko tylu.

–Raczej dwustu trzydziestu – rozległ się ochryply głos za plecami Jima i Chandosa.

Odruchowo odwrócili się obaj, a Sir John położył dłoń na rękojeści miecza, widząc naprzeciw wilka tak dużego jak kuc. Natychmiast rozpoznał jednak Aragha, a widok Angie u jego boku uspokoił go ostatecznie, więc opuścił rękę.

–Dobrze. Lepiej zostaw broń w spokoju, szlachetny rycerzu, albo będzie to ostatnia rzecz, jakiej dotkniesz w życiu – rzekł wilk.

Takie słowa stanowiły wyzwanie na pojedynek dla każdego honorowego rycerza, a w tych czasach wszyscy oni mieli głęboko wpojone poczucie honoru. Jim natychmiast wkroczył do akcji, by załagodzić ewentualny spór.

–Sir Johnie, pamiętasz naszego towarzysza jeszcze z okresu walki pod Twierdzą Loathly. To wspaniały przyjaciel i zna tę ziemię lepiej niż my wszyscy razem wzięci.

–A, mały wilk – stwierdził Rrrnlf.

–Nie taki mały, szlachetny olbrzymie lub Diabie, albo jak tam się naprawdę zwiesz! – warknął Aragh. – Ty zaś nie jesteś aż taki duży, żeby moje zęby nie sięgnęły twoich łudek, a wtedy, zanim się obejrzysz, już będziesz leżał na ziemi.

–Nie, nie, Rrrnlfie! – wykrzyknął Jim, widząc że olbrzym prawą ręką puścił węża. – Źle go zrozumiałeś.

Pozwól, że mu to wyjaśnię.

Spojrzał na czworonożnego przyjaciela.

–Araghu, to jest Rrrnlf, Diabeł Morski. Jest naszym przyjacielem. Nie chciał cię obrazić mówiąc, że jesteś mały.

Nazywa tak po prostu wszystkich, którzy są od niego mniejsi.

–Może i masz rację – przemówił wilk, patrząc wprost w oczy olbrzymowi. – Jestem jednak angielskim wilkiem, szlachetny Diabie, więc twoje rozmiary, a także to, kim jesteś, nie ma dla mnie znaczenia. Stoisz na mojej ziemi tylko dlatego, że cię na niej toleruję. Gdyby James i Angie nie poręczyli za ciebie, nie poradziłbyś sobie ze mną tak łatwo jak myślisz, nawet z twoją siłą i rozmiarami!

Rrrnlf zawahał się i ponownie chwycił węża wolną ręką.

–Nie rozumiem lądowych istot – rzekł. – Czy obraziłem was w jakiś sposób? Nie chciałem tego zrobić.

Przecież jestem na tyle duży, żeby nie obawiać się nikogo.

–Tak też powinno być – oświadczył wilk z dziwną w jego głosie satysfakcją. – Ja też niczego się nie boję.

Nikt nie powinien się bać.

Smoczy rycerz zauważył, że z niewiadomego powodu Diabeł Morski i Aragh spoglądają na siebie z szacunkiem i akceptacją. Na szczęście udało mu się rozładować napięcie.

Szeptem zapytał żonę: – Co Aragh powiedział o Carolinusi?

–Stwierdził, że inaczej pachnie – odparła cicho Angie. – Oprócz zwykłego zapachu wyczuł odór choroby.

Tylko tyle mógł stwierdzić.

–No cóż, przynajmniej podziela naszą opinie – podsumował.

Przypomniał sobie pierwsze słowa wilka i zwrócił się do niego: – Przejdźmy do poważniejszych spraw. Skąd znasz liczbę węży morskich, które wyszły na brzeg?

–To moja ziemia, Jamesie – odparł Aragh. – Jakże mógłbym tego nie wiedzieć. Potrafiłbym je wszystkie zliczyć, ale zdarzyło się, że podsłuchałem takie dwa długie, zielone stwory i to one wymieniły tę liczbę. Reszta ma przybyć później... Będzie ich jakieś trzy, cztery tysiące.

–Trzy, cztery tysiące! – powtórzył Chandos tonem, w którym wyczuwało się konsternację. – Jest ich w morzach aż tyle?

–Jest nas znacznie, znacznie więcej! – wykrzyknął wąż, trzymany przez olbrzymi. – Przejdziemy przez tę wyspę i nic na niej nie zostanie.

–Może tak, a może nie – odrzekł wilk. – Znajdą się tacy, którzy będą z wami walczyć.

–A do walki staną także smoki – odezwał się Secoh, który przez dłuższy czas milczał, co nie było u niego normalne. – Jeśli wy liczycie się w tysiące, wiedz, że my także. A jeden

smok może dokonać znacznie więcej niż którykolwiek z was.

Wąż morski zaśmiał się piskliwie.

–Wy silniejsi od nas!

–Śmiesz cię to? – oburzył się Secoh, podchodząc bliżej i znajdując się już niemal w zasięgu szcęk więźnia. – A co powiesz o Gleingulu, smoku, który pokonał węża morskiego przy Gray Sands, zaledwie trzydzieści kilometrów stąd?

Jeniec przyglądał mu się przez moment.

–Żaden smok nie zabił nikogo z naszego rodu.

–Nigdy o tym nie słyszałeś? Dobrze o tym wiesz i tylko nie chcesz się przyznać! – ryknął Secoh. – Ale Gleingul zabił jednego z was i wszystkie smoki potrafią to zrobić.

Ukrywacie się w głębiach morza, wmawiając sobie, że jesteście lepsze od smoków. Ale mylicie się! Mylicie się!

–Secohu... – odezwał się Jim.

Podszedł i położył rękę na jego grubej szyi. Jeszcze chwila i Secoh wpadnie w furję, której kiedyś doświadczył sam Smoczy Rycerz, znajdując się w ciele Gorbasha.

Mogło to wplątać smoka w zupełnie niepotrzebne kłopoty.

–Secohu, zrób to dla nas i zostaw w spokoju tego węża. Musi nam jeszcze powiedzieć parę rzeczy.

–Tak, kiedy zjawi się tu Essessili? – zapytał Rrrnlf. – Jeśli teraz go tu nie ma, zjawi się zapewne z całą resztą?

Kiedy to będzie? Odzyskam moją Damę, jeśli nawet osobiście będę musiał zabić wszystkie węże na lądzie i w wodzie!

–Nie wiem – odparł jeniec niemal drwiąco.

–Czyżby!?! – wzburzył się olbrzym. Spojrzał na Jima. – Ta woda wokół twojego zamku jest słodka, prawda?

–Tak... – odparł Smoczy Rycerz.

Oboje z Angie bezskutecznie zabiegali o to, by fosa wokół zamku Malencontri, nie była ściekiem jak w innych zamkach. Z całą pewnością nie miałby ochoty na kąpiel w tej wodzie, szczególnie teraz, gdy przebywający na zamku uchodźcy dodatkowo ją zanieczyszczali. Nie tak łatwo było zmienić przyzwyczajenia mieszkańców zamku i okolicy.

–Tak, jest słodka – przyznał.

–To dobrze! – ucieszył się Diabeł Morski. Poniósł węża w kierunku okalających zamek murów, za którymi znajdowała się fosa. Promienie jasno świecącego księżyca zaśniły na wyszczerzonych ze strachu zębach węża imieniem linnenii, gdy zorientował się jaki los go czeka. – Zaraz zanurzymy naszego długiego, zielonego przyjaciela w tej wodzie i zobaczymy, jak mu się to spodoba.

–Tylko nie słodka woda! – wykrzyknął jeniec. – Nie!

Nie! Nic nie wiem, ale powiem wszystko. Wszystko. Essessili przybędzie z trzecią falą, jutro, chyba z samego rana, a wtedy zaczniemy niszczyć wszystko wokół, tropiąc smoki i zabijając je. Wiem tylko tyle. Powiem wam wszystko, co chcecie! Za nami dotrą tu ludzie na czymś, co nazywają statkami i zastaną już wszystko gotowe na swoje przybycie!

Rrrnlf chwycił brzeg muru, gotów przeskoczyć przezeń, pociągając za sobą węża.

–Przestań, proszę! – piszczął linnenii. – Przestań.

Powiem wam wszystko. Essessili przybędzie tu. Ma roz- prawić się tu z kimś nazywanym Smoczym Rycerzem, a ja miałem tylko obserwować to miejsce, dopóki nie nadejdzie on z głównymi siłami.

Rozdział 32 Jim poczuł, że w jego żyłach wzrósł poziom adrenaliny.

Węże morskie, a szczególnie Essessili, uważały go więc za jednego ze smoków, zapewne najniebezpieczniejszego, skoro jednocześnie był magiem. Wciąż jednak pozostawało pytanie, dlaczego Essessili podjął ryzyko zmierzenia się z wrogiem, dysponującym tak znaczną mocą. Nie znał na nie odpowiedzi pochwycony przez Diabła Morskiego jeniec.

Rrrnlf wciąż stał przy murze, wsparty na nim jedną ręką, drugą trzymając węża za szyję.

–Mam więc zanurzyć go w tej wodzie? – zapytał.

–Nie, nie... – mruknął zamyślony Jim, ale po chwili powiedział już normalnym głosem: – Nie, przywiąż go gdzieś tylko. Może się nam jeszcze później przydać. Trzeba przygotować plany obrony. Wszyscy musimy się tym zająć...

Obok niego nagle pojawił się Carolinus, który w magiczny sposób przeniósł się tu z izby. W tym samym momencie coś dziwnego zaczęło dziać się wokół Smoczego Rycerza.

Dziedziniec, zamek i wszystko w pobliżu zawirowało wokół niego. Zatoczył się, nie mogąc utrzymać się na nogach.

Angie chwyciła męża pod jedno ramię, a ktoś inny pod drugie, co uchroniło go przed upadkiem.

–Nie możesz utrzymać się na nogach! – krzyknęła pani zamku. – Zapomnij o wszelkich planach. Jak naj- szybciej trzeba cię położyć do łóżka. Musisz się przespać.

–Ale... Dafydd... -Jim nie był nawet w stanie mówić.

–Już wszystko w porządku – uspokoiła go Angie. – Brian zaraz zejdzie do nas na dół. Nie można go po- wstrzymać. Dafydd był na tyle rozsądny, że pozwolił się położyć w przygotowanej dla niego komnacie. Briana zapewne dopiero wówczas położymy do łóżka, gdy padnie tak jak ty. Trzeba cię teraz przenieść do izby.

–Ale... -usiłował zaprotestować Smoczy Rycerz.

W tym momencie ponad nim zamknęła się ściana mroku i pomyślał jeszcze, że to wali się cała ziemia. Nic więcej nie pamiętał.

Później, Jim nie był w stanie ocenić, ile czasu minęło od omdlenia na dziedzińcu, obudził się i stwierdził, że leży nago w swoim łóżu, szczelnie okryty pościelą i futrami.

Raziły go promienie wschodzącego słońca, wpadające przez wąskie, oszklone okna. Czuł się wspaniale. Ziewnął, prze- kręcił się na drugi bok i ponownie zamknął oczy.

Zapewne udało mu się zasnąć, ponieważ kiedy zbudził się na dobre, stała nad nim Angie.

–Jak się czujesz? – zapytała.

–Doskonale. I chce mi się spać – odparł. – To naprawdę wspaniałe łóżko, wiesz? – Wyciągnął rękę w jej stronę. – Może przyjdiesz do mnie?

Angie zawahała się.

–A co z węzami? – zapytała.

–Z węzami? – powtórzył zaskoczony. – Z jakimi węzami? A, tak!

Usiadł i pospiesznie zaczął wygrzebywać się spod przy- krycia.

–Gdzie jest moje ubranie? – dopytywał się. – Gdzie moja zbroja? Jaki dziś dzień?

–Dostaniesz ubranie i całe to żelastwo, kiedy upew- nię się, że nic ci nie jest – odrzekła nieporuszona. – I tak zbroja nie jest ci teraz potrzebna. Wszyscy zebrali się w Wielkiej Sieni i usiłują przygotować jakieś plany.

Jeśli czujesz się na siłach, powinieneś do nich dołączyć.

–Nic mi nie jest. Naprawdę nic mi nie jest! – wy- krzyknął Jim, wstając z łóżka. Momentalnie zrobiło mu się zimno. – Zaraz tam zejdę. Gdzie schowałaś ubranie?

Angie obrzuciła go kpiącym spojrzeniem.

–Z drugiej strony łóżka.

Smoczy Rycerz okrążył je pospiesznie i znalazł starannie złożoną świeżą bieliznę,

koszulę, nogawice i kaftan.

–Mówiłaś, że wszyscy są na dole – zwrócił się do Angie, nie przerywając ubierania się.

– Kogo miałaś na myśli?

–Jest tam Carolinus, Sir John, Brian, Giles, Dafydd, Aragh, Secoh... A odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie: spałeś trzydzieści sześć godzin.

–Ile? – wykrzyknął Smoczy Rycerz, wpuszczając koszulę w nogawice i nakładając na wierzch kaftan. – Przecież tamtego wieczora, kiedy zasnąłem, miałem spotkać się z przywódcami smoków.

–Zemdlałeś, a nie zasnąłeś – poprawiła go Angie. – A jeśli chodzi o spotkanie ze smokami, Secoh zaniósł im wiadomość, że nie spałeś przez kilka dni i nie możesz się stawić, ale zobaczysz się z nimi później.

–Pozwoliłaś, żeby Secoh poleciał do nich z taką wiadomością? – zaniepokoił się Jim. – Rozerwałyby go na strzępy...

Umilkł nagle i zastygł w bezruchu.

–Ale przecież powiedziałaś, że jest na dole.

–Tak – przytaknęła Angie. – Carolinus zabrał mnie ze sobą i oboje zjawiliśmy się w jaskini w Cliffsides akurat wówczas, kiedy przyleciał tam Secoh. Smokom nie bardzo podobała się ta wieść, ale Carolinus przekonał je, że muszą poczekać.

–Jak to zrobił? – zapytał Smoczy Rycerz, kończąc się ubierać. – Zamienił je w chrząszcze, kiedy przeszedł do wyjaśnień?

–Po prostu przekonał. W każdym razie oczekują cię, gdy tylko się obudzisz. Ale najpierw sam musisz obmyślić jakiś plan. Smoki nie postanowiły niczego rozsądnego.

Chcą po prostu ruszyć na węże morskie i dać się porozrywać na kawałki, żeby zabić choć część z nich.

–Takie już są – stwierdził Jim. – Masz rację, muszę wymyślić jakiś sensowny plan. Nie tak łatwo poradzić sobie z tego rodzaju wrogiem, ale przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Sen podziałał jak balsam i jego umysł pracował na największych obrotach. Mogło nic z tego nie wyjść, ale należało spróbować.

–Wszystkie smoki są teraz w jaskini w Cliffsides, prawda? – zapytał, kiedy schodzili już po schodach.

–Nie. Reprezentują rody smocze i jak najszybciej muszą wrócić do swoich towarzyszy, żeby przekazać im podjęte wspólnie decyzje. Postanowiły więc – Secoh pomógł je do tego namówić – że przylecą tutaj i czekają, aż się obudzisz. Gdy tylko coś zostanie uzgodnione, będą mogły odlecieć do domów.

–Znakomicie! – ucieszył się Jim.

Zatarł ręce z radości, jednocześnie wciąż obmyślając nowe szczegóły związane ze swym pomysłem. Kusilo go, żeby już teraz podzielić się swoimi przemyśleniami z Angie, choćby po to, żeby sprawdzić, czy nie popełnia jakiegoś błędu, lecz powstrzymał się. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie, gdy najpierw wszystko dokładnie przemyśli i uporządkuje w głowie.

Dotarłszy na parter, skierowali się do Wielkiej Sieni. Weszli na podest z wysokim stołem i zajęli za nim miejsca u szczytu, gdzie najwyraźniej dla nich pozostawiono dwa wolne stołki.

Jim obejmował wzrokiem wszystkich obecnych, włącznie ze smokami zgromadzonymi

przy niskim stole. Angie siedziała obok niego, a dalej miejsca zajmowali Sir John, Carolinus, Brian, Giles i Dafydd. Wszyscy ludzie znajdowali się z jednej strony, naprzeciw smoków.

Smoki zrezygnowały z nieprzydatnych dla nich ław i usadowiły się na podłodze. Być może za sprawą Secoha, znajdujący się przed nimi długi stół zastawiony był dzbanami z winem. Pięć smoków popijając z nich brało udział w toczącej się dyskusji.

Była ona niezwykle ożywiona. Nie tylko Chandos i Carolinus, który był gotów dyskutować ze wszystkimi, nawet ze smokami, ale także Dafydd, Brian oraz Giles zaangażowali się w debatę. Na szczęście panował porządek i gdy tylko ktoś zaczynał mówić, wszyscy milkli, starając się mu nie przeszkadzać.

Tak byli zajęci, że dopiero po chwili zwrócili uwagę na przybycie gospodarzy zamku. Po kolei milkli, aż w komnacie zapanowała cisza.

Znajdowało się tu pięć dużych smoków, oraz Secoh, obok którego stało najwięcej wina.

Jimowi przyszło do głowy, że może przed wejściem do sieni sam powinien przemienić się w smoka. Byłoby mu jednak niewygodnie zasiąść w takiej postaci przy wysokim stole, a skoro i tak wszystkie smoki wiedziały, że jednocześnie nie jest jerym, powinny teraz zaakceptować fakt, iż nie wygląda jak one.

Otwierał już usta, ale uprzedził go Secoh: – Panie! – wykrzyknął – jakże wspaniale znowu cię widzieć w dobrej kondycji. Czy mogę ci zaprezentować przedstawicieli smoków z całej naszej wyspy?

–Ależ oczywiście. Dziwi mnie jednak, że widzę ich tylko pięciu. Wydawało mi się, że jest więcej smoczych rodów.

–Owszem – przyznał Secoh, a pozostałe smoki kiwnęły łbami. – Mogliśmy sprowadzić tu kilkuset spośród nas jako reprezentantów, ale uznaliśmy, że rozsądniej będzie wysłać tylko tyłu. Każdy z nich występuje w imieniu znacznej liczby smoków. Najbliżej ciebie znajduje się Egnoth, rzecznik zachodniej części kraju. Podam nazwy, jakich używają jerzy, żeby jasne było, kogo reprezentują.

–Dziękuję – powiedział Jim.

Siedzący rycerze zrobili zdziwione miny. Secoh, patrząc na nich, zapytał zakłopotany: – Czy coś zrobiłem nie tak, panie?

–Nie. Bardzo nam w ten sposób pomożesz. Mów dalej.

–No cóż... Egnoth mówi w imieniu smoków z zachodu, mieszkających od rzeki Mersey po Severn i jakieś sto kilometrów w głąb wyspy. Obok niego siedzi Marnagh ze wschodu. Przemawia w imieniu wszystkich smoków od rzeki Humber na północy po jej zakręt u podnóża gór.

Jim usiłował przypomnieć sobie mapę Anglii, Walii i Szkocji. Nic mu to jednak nie dało, ponieważ zupełnie nie orientował się, gdzie leżą obszary wskazane przez Secoha.

–Spomiędzy tych dwóch rejonów – ciągnął smok błotny – przybywa smoczyca, siedząca najbliżej mnie. To Artalleg. Z lewej strony znajduje się zaś Chorak, czwarty nasz reprezentant, występujący w imieniu wszystkich smoków żyjących na północ od Wzgórz Cheviot. Piątym zaś, którego mam zaszczyt przedstawić, a który przybywa z południa, jest Lanchorech.

Secoh zamilkł. Zapadła chwila ciszy, podczas której Jim zastanawiał się, jak najlepiej zwrócić się do przybyłych.

–Witam serdecznie wszystkie zgromadzone smoki – przemówił wreszcie. – Czuję się zaszczycony, że zechciałyście mnie odwiedzić.

Cała piątka smoków zgodnie skinęła łbami, wyraźnie zadowolona.

–Zanim przyszedłeś... – wtrącił Brian, który niecierpliwie stukał palcami w blat stołu przez cały czas prezentacji. – Wraz ze szlachetnymi smokami rozważaliśmy właśnie...

–Wchodząc usłyszałem, o czym mówiliście – wyjaśnił Smoczy Rycerz. Brian nie obraził się, że mu przerwano, a nawet uśmiechnął się. – Próbowaliście wybrać najdogodniejsze miejsca na koncentrację armii Jerzych i smoków oraz do stoczenia walki z węzami morskimi, które właśnie wychodzą na brzeg, lub już to zrobiły wcześniej. Ja jednak biorę pod uwagę zupełnie inne rozwiązanie. Pragnę znaleźć sposób na pozbycie się zarówno węży jak i Francuzów bez walki.

Po tych słowach zapadła głucha cisza, którą wreszcie zdecydował się przerwać Chandos.

–Mówisz bardzo interesujące rzeczy, panie. Czy mógłbyś powiedzieć nam nieco więcej na ten temat.

Jim zwrócił uwagę na fakt, że Sir John zwrócił się do niego tytułując "panie", co podkreślało jego pozycję w świecie feudalnym. Chandos stał od niego wyżej w hierarchii społecznej, a poza tym cieszył się ogromną sławą jako wódz i Smoczy Rycerz postanowił wykorzystać ten atut do gry na zwłokę, która pozwoliłaby mu na przemyślenie nie do końca skryształizowanych planów.

Pełno w nich jeszcze było niejasności, które mogły wywołać lawinę pytań i wątpliwości zebranych. Pragnął nadać temu formę atrakcyjną dla żądnych walki rycerzy, a także nie palących się do niej smoków, które bezpośrednio starcie traktowały jako ostateczność.

Na szczęście w zanadrzu wciąż miał obietnicę pomocy ze strony francuskich smoków. Informację o tym należało jednak zachować na odpowiednią chwilę.

–Najpierw chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat obecnej sytuacji – rzekł. – Wszyscy wiecie, że spałem prawie dwa dni, podczas których coś na pewno musiało się zdarzyć. Proszę o wybaczenie, ale nie przewidziałem, że potrwa to aż tak długo.

–Panowie i smoki, te przeprosiny są zbyt cenne – odezwała się nagle Angie. Siedziała ze splecionymi ramionami, niewzruszona jak skała Gibraltaru, o ile oczywiście można z nią porównywać tą drobną, atrakcyjną szatynkę. – To ja zdecydowałam, że powinien spać tak długo. Ale po co marnować teraz cenny czas na czcze dyskusje?

Artalleg już otwierała pysk, lecz zrezygnowała, gdy siedzący obok smok trącił ją wymownie łapą.

–Wróćmy do tematu... – przerwał krępującą ciszę Smoczy Rycerz. – Gdzie podziewa się Rrrnlf? Wiem, że nie zmieściłby się tu, ale...

–Rrrnlf to wszystko zupełnie nie interesuje – przerwała mu ponownie żona. – Kiedy usłyszał, że Essessili ma się tu zjawić i wystarczy tylko na niego poczekać, resztę spraw pozostawił nam. Ułożył się obok związanego mocno węza morskigo i zasnął. Poza tym, że obaj zajmują na dziedzińcu mnóstwo miejsca, nie sprawiają innych kłopotów.

–Rozumiem – rzekł Jim i chrząknął. – A więc może ktoś inny przedstawi mi, jak wygląda obecna sytuacja. Co z węzami morskimi? Czy jest ich wokół zamku coraz więcej? Czy wiadomo, ile węży wyszło już na brzeg...

–Ja mogę na to odpowiedzieć – odezwał się Secoh. – Trzy razy latałem już, żeby przyjrzeć się wybrzeżu, nie opodal Twierdzy Loathly. Szybowałem wystarczająco wysoko, żeby nie zostać rozpoznanym z ziemi. Jeśli mnie zauważono, pomyślano zapewne, że to ptak. A węże i tak nie patrzą w niebo...

–Czy widziałeś węże wychodzące na brzeg? – zniecierpliwził się pan zamku Malencontri.

–Już przybyły. Są ich tysiące. Wypełzły na brzeg poniżej bagien i twierdzy. Niektóre skierowały się w naszą stronę, ale tylko ich niewielka część. Kiedy ostatnio sprawdzałem, większość wciąż jeszcze była na wybrzeżu, chyba organizując się w grupy.

Jim spojrzał na Carolinusa.

–Co o tym sądzisz? – zapytał. – Czy wciąż uważasz, że Ciemne Moce nie mają z tym nic wspólnego?

–Raczej nie – odparł Mag. – To po prostu działanie Losu i Historii, no i oczywiście naszego Geniusza. Wciąż nie mam pojęcia kto to taki.

–Tym będziemy martwić się później. Teraz należy odpowiedzieć na pytanie, co zrobić z węzami morskimi.

Zwrócił się do piątki smoków: – Jak szybko możecie sprowadzić tu swoich pobratymców?

Głos zabrał Lanchorech: – Uzgodniliśmy to między sobą jeszcze w jaskiniach Cliffside. Zanim stamtąd przylecą, może upłynąć około sześciu godzin, nawet jeśli już są gotowe do drogi.

–Możecie liczyć na wsparcie ze strony francuskich smoków. Wiecie o tym?

–Jeśli się zjawią – rzekł ponuro Lanchorech.

–Na pewno przybędą – rzekł Jim, starając się nie zdradzić tajemnicy. – Pamiętajcie, że mam na to dowód.

A przynajmniej miałem...

–I wciąż masz, panie – odezwał się nieoczekiwanie Secoh. – Byłem na tyle przezorny, że zabrałem go z miejsca, gdzie został ukryty, gdy lecieliśmy na twój zamek. Mam go przy sobie, tutaj, pod stołem. Przecież to tobie go powierzono!

–W takim razie może mi go przekażesz – zaproponował Smoczy Rycerz.

Głowa Secoha zniknęła na moment pod stołem, po czym wyłonił się z dużym, wypchanym workiem w łapie. Jim wziął pakunek, rozwiązał rzemień i wysypał część jego zawartości na stół.

–Klejnoty... Ależ wspaniale! – wykrzyknął Egnoth. – Nigdy nie widziałem tak pięknych! Nadszedł moment wyłożenia kart.

–Tak samo cenne są dla francuskich smoków – oświadczył Jim. – Nie przyrzekały, że będą walczyć.

Zapewniły jednak, że przylecą, a chyba wy najlepiej orientujecie się jak wiele ich będzie. Jeśli wasze skrzydła wypełnią połowę nieba nad głowami węży, one zajmą pozostałą jego część. Gdy zbierzecie się razem, utworzycie nieprzeliczalną armię.

–Jeśli nie zamierzają walczyć, nie zdadzą się nam na wiele – warknął Egnoth. – Ale czegoż innego można spodziewać się po smokach z kontynentu?

–Jeśli ani wy, ani one nie będziecie musiały walczyć, nie ma to żadnego znaczenia. Jak

już wspomniałem, wymyśliłem plan, który uchroni nas przed walką z węzami morskimi. Ale najpierw...

Spojrzał na Chandosa, siedzącego obok Angie.

–A co z angielskimi wojskami, Sir Johnie? – zapytał. – Czy ich punkt zborny znajduje się blisko miejsca desantu węży, tak że może dojść do spotkania?

–Wątpię. Miejsce to jest położone o półtora dnia marszu na północ. Szczerze mówiąc, już wcześniej spytałem Carolinusa, czy żaden wąż nie będzie niepokoić gromadzących się żołnierzy. Odparł, że nie sądzi, by zdołały dotrzeć aż tak daleko na północ.

–Żaden nie wylądował aż tak daleko – odezwał się Mag. – Zapytaj zresztą Rrrnfa, kiedy się obudzi. Żyję jednak wystarczająco długo, żeby wiedzieć, iż węże morskie na obcym sobie terenie nie są wcale takie odważne.

Szczególnie w pojedynkę.

–Zadam więc kolejne pytanie, Sir Johnie – ciągnął Jim. – Czy sądzisz, że armia już się zebrała?

–Tak. Ale mogli nie dołączyć się jeszcze do niej ludzie z Northumberlandu i odległych zakątków Walii.

–A czy z miejsca koncentracji zdążyliby dotrzeć do nas w ciągu jednego lub co najwyżej dwóch dni?

–Tak – stwierdził Chandos, marszcząc jednak lekko czoło. – Ale po co ściągać ich tutaj? Cóż z tego, że w okolicy zjawi się ten wąż ze swoimi braćmi? Nie jestem pewien, czy Jego Wysokość i poszczególni dowódcy będą skłonni rzucić swoich żołnierzy do walki z węzami, żeby ratować twój zamek.

–Ja też tak nie myślę – powiedział Smoczy Rycerz. – Ale nie o to mi chodziło. Chciałbym, żeby zjawili się na tyłach węży, które w ciągu półtora dnia z pewnością już nas okrążą. Stworów tych może być mnóstwo, ale przecież potrafią one tylko pełzać po ziemi i nie dysponują żadnymi machinami bojowymi, żeby sforsować mury. Nie sądzę także, by potrafiły wspinać się po pionowych ścianach za pomocą tych swoich króciutkich kończyn. Oblężenie może więc nieco potrwać, nawet jeśli zjawią się ich tu tysiące.

–Chcesz jednak, by żołnierze obsadzili teren na tyłach oblegających zamek węży. Dlaczego? – zapytał Sir John.

–Ponieważ znajdują się między nimi a morzem. Będę musiał poczekać aż obudzi się Rrrnlf i porozmawiać z nim jeszcze, ale wydaje mi się, że węże wpadną w panikę, gdy zauważą, że mają odciętą drogę do swego naturalnego środowiska.

–Co to wszystko ma wspólnego z nami, smokami? – zdziwił się Egnoth.

–No cóż, wyobraźcie sobie taką sytuację – ciągnął niewzruszenie Jim. – Węże wychodzą na stały ląd, który nie jest ich domem, a potem nagle odkrywają, że za nimi znajduje się armia Jerzych, odgradzająca dostęp do wody.

W tym samym czasie od północy niebo zaczyna zapełniać się smokami przylatującymi z Francji. Z drugiej strony nadciągacie wy, zasłaniając cały nieboskłon. Mają więc odciętą drogę ucieczki, a nad ich głowami krąży więcej smoków niż, jak sądziły, może żyć na świecie.

Smoczy Rycerz skończył triumfalnie swe przemówienie i nagle zdał sobie sprawę, że w sali zapanowała grobowa cisza.

Rozdział 33 Jimowi po plecach przeszły ciarki. Myślał, że wie już, jakie błędy popełnia w kontaktach z otoczeniem. Nie- zliczoną ilość razy powtarzał sobie, że nie powinien nigdy zaskakiwać mieszkańców czternastowiecznego świata.

Ci ludzie mieli wystarczająco dużo powodów, by tego nie lubić. W owych czasach i w panujących warunkach błędne planowanie mogło mieć tragiczne skutki. Działo się tak nawet w przypadku na pozór błahych decyzji. Wystarczyło obsiać pole źle przechowywanym zbożem, lub zrobić to zbyt wcześnie czy za późno. Obranie niewłaściwej drogi mogło zakończyć się śmiercią z rąk zbójców, którzy z zasady zabijali swe ofiary, traktując to jako najszybszą i najpewniejszą metodę ich uciszania. Mogli natknąć się także na groźne, dzikie zwierzę, które nie wahało się zaatakować człowieka.

Krótko mówiąc, świat ten był pełen pułapek. Nikt nie dał tu kroku naprzód, nie sprawdziwszy uprzednio miejsca, gdzie postawi nogę. Nawet dziecko wiedziało, że niczego nie należy przyjmować zbyt pochopnie.

Jim niespokojnie spoglądał po twarzach zgromadzonych.

Nagle serce aż podskoczyło mu w piersiach z radości, ponieważ zauważył, że na ustach Chandosa pojawił się lekki uśmiech.

–Wyśmienity plan bitwy, panie – przemówił. – Za- uważam w nim tylko jeden mały szkopuł. W jaki sposób mamy przesłać wiadomość dowódcom naszej armii, którzy są daleko, a na drodze mogą się już znajdować węże morskie?

Jim zupełnie o tym nie pomyślał. A właściwie uznał, że nie będzie z tym żadnego problemu.

–Co więcej – ciągnął Chandos – nawet jeśli uda się przekazać im tę wiadomość, skąd można mieć pewność, że dowódcy przyjmą twoją propozycję?

Tego Smoczy Rycerz całkowicie nie wziął pod uwagę.

Zapomniał, że średniowieczni dowódcy byli indywidualistami. Każdy z nich pragnął mieć decydujący głos. Gdyby młody następca tronu był bardziej doświadczony i potrafił podporządkować sobie dowódców, z pewnością przystałby na plan Jima, pamiętając, że uratował go on z rąk francuskiego maga Malwinne'a. Trudno było jednak liczyć na zdecydowaną postawę księcia.

Jim postanowił odpowiedzieć najpierw na łatwiejsze z pytań.

–Zacznijmy więc od pierwszego problemu, Sir Johnie.

Sam nie posiadam magicznej możliwości wysłania kogoś do miejsca koncentracji armii, ale mam nadzieję...

Posłał wymowne spojrzenie Carolinusowi, który zareagował na nie stanowczo: – Jimie, musisz się wreszcie czegoś nauczyć. Nie można tak rozrzutnie korzystać z magii. Nie jestem bogaczem, który bez przerwy może wspomagać nędzarzy, ale...

Urwał nagle, ponieważ na twarzy Jima odmalował się niepokój.

–Nie przejmuj się nimi – uspokoił go Mag. – Widzą tylko, że poruszamy wargami, ale nic nie usłyszą, dopóki im nie pozwolę.

–Nie rozumiem... – rzekł Smoczy Rycerz zmienionym głosem.

–Chodzi mi o to, że odkąd otrzymałeś od Wydziału Kontroli magiczne konto, popełniasz ten sam błąd – tłumaczył Carolinus.

–Ale... – zaczął Jim, lecz starzec nie dał mu dojść do słowa.

–Posłuchaj mnie. Zdobyłeś je przez czysty przypadek, dlatego że przybyłeś z innego świata i poprowadziłeś towarzyszy do walki z Ciemnymi Mocami. Pamiętasz, że kiedy nie korzystałeś ze swojej mocy, przemieniałeś się w smoka, i to wbrew własnej woli. Musiałeś więc zjawić się u mnie, zostać moim uczniem i zacząć studiować magię, by móc nad nią panować.

–To prawda – przyznał Smoczy Rycerz.

–Kiedy jednak liźnąłeś już nieco wiedzy – ciągnął starzec, wznosząc wskazujący palec w goście przestrogi – natychmiast wykorzystałeś wszystkie zasoby magicznej mocy i musiałem przyjść ci na ratunek. Skończyło się na tym, że zdołałem wywalczyć dla ciebie klasę C, wraz z dodatkowymi zasobami na koncie. Mówiłem ci już, że istnieją powody, by nie powierzać nisko sklasyfikowanym, niedoświadczonym magom dostępu do znacznych zasobów magicznej energii. Jednym z nich jest możliwość wykorzystania jej do niewłaściwych celów lub zmarnowania. Tobie udało się tego uniknąć, ale już niemal w całości wykorzystałeś dodatkową moc.

–Ale przecież...

–Wiesz, że dysponuję znaczną mocą. Ale i ona nie jest nieograniczona. Smoczy skarb jest niezwykle cenny, ale poza nim istnieją jeszcze inne bogactwa. Można go roztrwonić. Zapytaj swojego przyjaciela Secoha, co zdarzyło się, gdy dotknęło jego gatunek zło pochodzące z Twierdzy Loathly.

Jim odruchowo spojrzał na smoka. Tak jak wszyscy pozostali, siedział zdziwiony i obserwował toczących bezgłośnie rozmowę.

–Mówiąc krótko, muszę zaoszczędzić to, co mi pozostało. Potrzebuję jak najwięcej mocy do walki z owym tajemniczym magiem. Choć mógłbym wysłać kogoś z wiadomością, muszę niestety odmówić. Znajdź więc jakiś inny sposób.

Smoczy Rycerz siedział oszołomiony. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że wszyscy zgromadzeni obserwowali ich, a Carolinus pozwolił, aby usłyszeli dwa ostatnie wypowiedziane przez niego zdania.

–Jeśli Mag nie wyśle nikogo, to jak mamy dostarczyć im tę wiadomość? – zapytał Secoh. – Co prawda jeden z nas mógłby tam polecieć, ale czy posłuchają zwykłego smoka?

–Oczywiście, masz rację – przyznał Jim. – Dlatego nie proszę żadnego z was o pomoc. Rzecz w tym, że jest tylko jeden jerzy, którego mogą posłuchać dowódcy angielskiej armii.

Spojrzał na Chandosa, – Sir Johnie – zwrócił się do niego – tylko ty masz szansę przekonać wojsko do zajęcia wskazanych przez nas pozycji. Wiesz o tym dobrze.

–Rzeczywiście – przyznał rycerz. – Nie będzie to jednak proste zadanie, nawet dla mnie. Ale chociaż nieźle znam się na fechtunku, nie wiem, czy uda mi się pokonać tę niebezpieczną drogę, jeśli natknę się na węże. Gdybym musiał stanąć do walki z nimi, nie pomógłby tu nawet zastęp zbrojnych. A pozostaje jeszcze kwestia czasu potrzebnego na odbycie tej podróży.

Jim ponownie poczuł się bezradny.

–To bardzo proste – włączyła się do rozmowy Angie. – Rrrnlf go tam zabierze. Nie tylko zapewni bezpieczeństwo, ale i przeniesie, więc droga nie potrwa długo. A poza tym dowódcy na widok takiego sojusznika łatwiej ulegną namowom Sir Johna.

Jim popatrzył na żonę z podziwem. Wiedział, jak wspólnie zarządza zamkiem i

podległymi ziemiami, kiedy jego nie ma, ale gdy dołączyła do naradzających się, nie sądził, że będzie tu miała cokolwiek do powiedzenia. Zrobiło mu się wstyd, że to właśnie kobieta podpowiada rycerzowi, co należy uczynić.

–To wspaniałe rozwiązanie, Angie! – wykrzyknął. – Cudowne!

Nagle jednak zreflektował się.

–Ale czy Rrrnlf zgodzi się na udział w takiej es- kapadzie? – Czeka tu na przybycie Essessiliego i obawia się, by nie przegapić możliwości odzyskania swojej Damy.

Był to rzeczywiście problem, ale w tym momencie nadeszła zupełnie nie oczekiwana pomoc.

–Ponieważ to dość błaha sprawa, chyba będę mógł ją załatwić – rzekł Carolinus, skubiąc koniec wąsa.

Wszyscy powstali i poprzedzani przez Maga udali się na dziedziniec.

Śpiący Rrrnlf i leżący obok niego, także drzemiący, wąż morski, wyglądali niesamowicie. Te dwa ogromne cielska sprawiły, że Jim i towarzyszące mu osoby poczuli się rzeczywiście "mali", jak mówił do nich Diabeł.

–Obudź się! – krzyknął Brian.

Jednocześnie kopnął olbrzyma w łydkę. Z równym skutkiem mógł jednak kopać górę. Czubek granatowego buta mistrza kopii, noszonego przez rycerzy nie odzianych w zbroje, odbił się od ciała Rrrnlfa jak od kamienia. W ten sposób nie dało się obudzić olbrzyma.

–Ja zaraz postawię go na nogi – oświadczyła pani zamku Malencontri.

Z upiętego koka wyjęła szpilkę, co spowodowało, że jej włosy rozsypały się na ramiona. Pochyliła się nad stopą Rrrnlfa i wbiła ostrze w wystający z sandała duży palec.

–Auu! Co się dzieje? – ryknął Rrrnlf zrywając na równe nogi, z obiema dłońmi zaciśniętymi w pięści, goto- wymi do zadania ciosu.

Na podwórku zapadła cisza. Diabeł, nie wiedząc, co się dzieje, z zainteresowaniem obserwował, jak stojący u jego stóp ludzie starają się odzyskać równowagę po wstrząsach ziemi spowodowanych jego nagłym skokiem. Jako pierw- szej, udało się to Angie.

–Obudziłam cię – poinformowała Rrrnlfa. – Musia- łam ukłuć cię szpilką w palec. Czy bardzo bolało?

–Nie bardzo – odparł olbrzym, masując palec. – Tyl- ko trochę.

Wyprostował się i popatrzył na zebranych z góry.

–Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał.

–Bo jesteś nam potrzebny. Jim, ty mu powiedz.

–Poczekaj – odezwał się Carolinus. – Już ja się tym zajmę. Rrrnlfie, masz zanieść Sir Johna Chandosa do miejsca, gdzie zbiera się armia. Nikt nie ma prawa zrobić mu krzywdy, szczególnie węże morskie.

–Ha! Jeśli będę go niósł, nic mu nie zrobią. Ale chwileczkę, mały Magu. Nie mogę się stąd nigdzie ruszyć.

Przybędzie tu Essessili i muszę na niego czekać.

–To w tej chwili nie jest najważniejsze. Musisz zabrać Sir Johna – nie ustępował starzec. – Jeśli Essessili zjawi się podczas twojej nieobecności, dopilnujemy, żeby pozostał, aż wrócisz. Nie sądzę, aby ta misja zajęła ci więcej niż dzień.

–Zapewne nie – przyznał Diabeł Morski. – Przykro mi jednak, mały Magu, ale nie mogę

wam pomóc. Nie mam zamiaru utracić możliwości odzyskania mojej uko- chanej Damy tylko dlatego, że chcecie, żebym zaniósł gdzieś kogoś akurat wtedy, kiedy zjawią się tu te glisty.

–Rrrnlfie! – przemówił Carolinus i choć nie urósł ani o centymetr, jego głos zabrzmiał potężniej niż głos olb- rzyma. – Nie proszę cię, ale rozkazuję, powołując się na swoją rangę maga: zanieś Sir Johna do dowódców armii!

–Już powiedziałem, że nie...

Rrrnlf nagle zamilkł i zniknął. Wszyscy wpatrywali się w miejsce, gdzie stał jeszcze przed chwilą.

–Gdzie on jest? – zdziwił się Brian, rozglądając się wokół. – Nigdzie go nie widzę...

–Nie ruszaj się! – warknął starzec. – Niech nikt nie waży się ruszyć.

To rzekłszy, wskazał na ziemię u swoich stóp.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę, włącznie z Brianem, który, aby to zrobić, omal nie skręcił sobie karku, bowiem dosłownie zastosował się do poprzedniego polecenia Maga.

Carolinus wskazywał dużego, czarnego chrząszcza. Żuk stał na tylnych nogach, środkowe zwieszały mu się bez- władnie, a przednie, szeroko rozłożone, trzymał uniesione w górę.

–Nie życzę sobie takiego tonu, mój panie! – powie- dział Mag do chrząszcza. – Więcej kultury! Jesteś żuczkiem i zostaniesz nim, jeśli nie przywrócę ci zwykłej postaci.

Słyszysz mnie? Odpowiadaj!

Zapadła chwila ciszy.

–Nie, nie będę miał dla ciebie litości! Pozostaniesz tym, czym jesteś, dopóki nie zgodzisz się zanieść Sir Johna gdzie trzeba!

Rrrnlf stanął przed nimi ponownie na całą wysokość swoich dziewięciu metrów i potulnie spojrzął w dół na Carolinusa.

–Mały Magu! – rzekł z żalem w głosie. – Przez ciebie nie odzyskam mojej Damy... Czuję, że tak będzie.

–Nonsens! – zaprotestował starzec. – Daję ci słowo, słowo Maga, że dostaniesz swoją Damę z powrotem, gdy tylko zjawi się tu ten Essessili. A teraz zdecydujmy, w jaki sposób odbędzie się ta wyprawa.

Po krótkich naradach i dzięki pomysłowości Jima, przy pomocy cieśli i kowala, zbudowali konstrukcję, którą udało się solidnie przytwierdzić do prawego barku olbrzyma, a do niej z kolei zamocować siodło Sir Johna. Sir John wraz z Brianem udał się do zamku przywdziać zbroję.

Diabeł Morski leżał cierpliwie na ziemi podczas przy- miarek i mocowania konstrukcji. Gdy praca ta została zakończona, przeskoczył mur i położył się poza fosą.

Po chwili pojawił się gotowy do drogi Chandos, pożegnał się ze zgromadzonymi i wyszedł przez otwartą bramę poza mury. Zbliżył się do Rrrnlfa i wspiął na siodło, starając się zachować spokój, jakby dosiadał własnego rumaka. Olb- rzym podniósł się ostrożnie i ruszył na północny wschód, szybko znikając za drzewami.

–No cóż, panie – odezwał się Brian. – Proponuję wydać rozkaz, by zamknięto bramę, podniesiono most zwodzony i opuszczono kratę. Wtedy będziemy mogli spokojnie przejść do Wielkiej Sieni, gdzie nad kubkiem wina przedyskutujemy, jak bronić się, kiedy dotrą tu wężę.

–Jeśli pozwolisz, panie – rzekł Dafydd – pozostanę na murach i będę wypatrywał jakiegoś zabląkanego węża.

Pragnę bowiem wypróbować pewien rodzaj strzał i ustalić, które części ciała tych stworów są najbardziej czułe na trafienia. Na pewno oczy, ale podejrzewam, że strzała wbita głęboko w gardło też robi swoje, a może znajdę coś jeszcze.

–Dobrze – powiedział Smoczy Rycerz. – Brianie, obawiam się, że wraz z Carolinusem będziecie skazani na własne towarzystwo. Muszę bowiem udać się z powrotem do izby, zostawić tam swoje ubranie i przemienić się w smoka. Wystartuję z dachu wieży i polecę na wschód oraz południe, żeby przyjrzeć się wężom, o których wspomniał Secoh. Może polecisz ze mną? – zaproponował smokowi.

–Och, tak! – ucieszył się ten. – Z przyjemnością, panie.

–Jeśli zaś chodzi o pozostałe smoki – rzekł Jim, zwracając się w ich stronę – bez wątpienia pragniecie zanieść do swoich towarzyszy informacje o podjętych tu ustaleniach.

–Tak, to prawda – przyznał Egnoth. – I to najszybciej, jak się tylko da.

Jim popatrzył na pozostałe.

–Może któreś z was ma do mnie jakieś pytanie lub chce tu jeszcze pozostać? – zapytał.

Wszystkie smoki zgodnie pokręciły łbami. Stojący wokół ludzie ze zdziwieniem obserwowali, jak rozpostarły potężne skrzydła i kilkoma ich machnięciami wzbiły się w powietrze, odlatując w różnych kierunkach.

Smoczy Rycerz zabrał worek z klejnotami i podążył za Brianem do Wielkiej Sieni, a następnie, już samotnie, udał się do izby, żeby przygotować się do rekonesansu nad wybrzeżem, gdzie zapewne wciąż jeszcze przebywały węże morskie.

Rozdział 34 Jim mógł bezpiecznie obserwować węże ze znacznie mniejszej wysokości niż się spodziewał.

Secoh miał rację – pełzające stwory nie spoglądały w górę. Widocznie uniesienie głowy na szyi nieco tylko cieńszej od reszty ciała nie było łatwe i wymagało przekręcenia się na bok.

Na wszelki wypadek trzymali się jednak pułapu ponad trzystu metrów, więc nawet gdyby zostali dostrzeżeni z tej odległości, nie dałoby się ustalić z całą pewnością czy to smoki, czy tylko duże ptaki.

Dzięki temu Smoczy Rycerz mógł objąć wzrokiem znaczny obszar.

Nie było wątpliwości, że węże dokonały inwazji i coraz to nowe ich zastępy wychodziły na brzeg. Łącznie tworzyły front szeroki na jakieś siedem kilometrów, którego czoło wdarło się już w głąb lądu prawie na kilometr.

Zauważył, że z daleka omijają wszystkie strumienie.

W miejscu tym grunt był kamienisty i dość stromo wznosił się od strony morza. Stromizna nie była jednak tak duża, by węże miały problemy ze wspinaczką.

Z powietrza ich zielone ciała wyglądały na małe i niegroźne. Trudno było wyobrazić sobie, że ich długość od łba do końca ogona przewyższała wzrost Rrrnlfa. Nie były oczywiście tak potężnej budowy jak Diabeł Morski i nie miały zapewne jego siły. Jednak człowiek w żaden sposób nie zdołałby zatrzymać tych machin bojowych, zbudowanych z ciała i kości.

liniowi aż zrobiło się słabo na myśl o konsekwencjach wysłania Chandosa z

wiadomością, by armia odcięła im drogę odwrotu do morza. Jak ludzie mogliby stanąć do walki z tak potężnymi i groźnymi istotami?

Sunące obok siebie węże przypomniały Smoczemu Ryce- rzowi plagę zielonych liszek, które kiedyś zaatakowały drzewa rosnące na terenie Riveroak College, kiedy wraz z Angie pracowali tam w dwudziestowiecznym świecie.

Gąsienic tych była niezliczona ilość, tak samo jak obecnie węży morskich.

Pierwsze wrażenie, że poruszają się w tak nie zor- ganizowany sposób jak liszki, okazało się jednak mylne.

Kiedy przyjrzał się im uważniej, dostrzegł, że tworzą zwarte szyki. Można było to określić batalionami, ponieważ z góry oddział miał postać prostokąta utworzonego z około tysiąca pięciuset węży, poruszających się w jednym rytmie.

Gdy tylko na brzegu zebrała się odpowiednia liczba morskich potworów, oddział ruszał w kierunku zamku Malencontri. Na szczęście z morza wylaniało się ich coraz mniej, więc można było sądzić, że te, które są już na brzegu, stanowią główne siły węzowej armii.

Z lotu ptaka wyglądało, że na ląd wypełzło około dziesięciu tysięcy węży. Przez chwilę obserwującego to Jima ogarnęła rezygnacja. Ta potęga z łatwością poradzi sobie zarówno z ludźmi jak i smokami, jeżeli dojdzie do bezpośredniej konfrontacji. Musiał więc zrealizować swój plan, by uniknąć walki. W przeciwnym razie mógł to być koniec całego smoczego rodu. Myśli krążyły mu w głowie jak oszalałe, lecz jak na razie nie opracował dokładnie żadnych szczegółów. Wszystko opierało się wyłącznie na nadziejach.

Nagle, rozglądając się wokół, zauważył odległy punkt, poruszający się co najmniej trzysta metrów wyżej niż on i Secoh. Skoncentrował na nim swój smoczy wzrok i jego przypuszczenia sprawdziły się – to był smok.

–Secohu! – zawołał do przyjaciela, lecącego nie opodal. – Pomówimy z tym smokiem na górze.

Nie zwracając uwagi na towarzysza, skierował się w stro- nę przybysza. Wydało mu się, że wznosi się ze znaczną szybkością, lecz okazało się, że także lecący w oddali smok obniża lot i zmierza w ich stronę. Już po chwili Jim znalazł się z nim skrzydło w skrzydło, a obok pojawił się Secoh.

–Panie! Panie! – zawołał błotny smok. – Czy po- znajesz Irena? Był jednym z trzech przedstawicieli francus- kich smoków, z którymi rozmawialiśmy w Breście.

–Och, tak! – wykrzyknął Jim, który dopiero teraz zorientował się, z kim mają do czynienia.

Udało mu się już co prawda nauczyć rozpoznawać smoki i znał większość mieszkających w Cliffside, ale tego widział tylko raz, i to przy nie najlepszym świetle.

–Iren! – wykrzyknął. – Nie spodziewałem się takiego spotkania.

–Dlaczego? – odparł przybysz z dumą w głosie. – Jesteśmy francuskimi smokami i otrzymałeś od nas słowo i skarby. Jeden z nas wciąż obserwuje te obrzydliwe stwory, od czasu gdy zaczęły wychodzić na ląd. Teraz są tu już wszystkie, wraz ze swoim przywódcą.

–Z przywódcą? Masz na myśli Essessilliego?

–Mniejsza z tym, jak się nazywa... – rzekł Iren, z wyraźnym obrzydzeniem. – Zjawił się niedawno i zaczął formować oddziały, które pełzną na północ.

–Czy widziałeś... – Jim zawahał się nie wiedząc, jak opisać skarb Rrrnlfa, aby

jednocześnie nie zdradzić zbyt wiele. – Czy Essessili miał coś przy sobie... Powiedzmy figurę z dziobu statku?

–Nic takiego nie zauważyłem. A jakie ma to w ogóle znaczenie?

–Hm, prawdopodobnie żadnego – skłamał Jim. – Tak tylko się zastanawiałem. Skoro obserwujecie cały ten rejon, wiecie zapewne także, co dzieje się w Breście. Czy francuscy jerzy przygotowują się do przeprawy?

Iren skinął łbem.

–Czy dużo czasu im to jeszcze zajmie?

–Już zbierają się do wypłynięcia – wyjaśnił francuski smok.

Wszystkie trzy smoki krążyły ponad wybrzeżem i peł- znacymi po nim węzami. Ta błogość szybowania wyraźnie kontrastowała z nawałem myśli kłębiących się w głowie Jima.

–Nasi jerzy są konwojowani przez to robactwo – ciągnął Iren – które zapewnia bezpieczeństwo ich łodziom.

Tak więc statki powinny dotrzeć do tych wybrzeży, bo sądzę, że właśnie tu płyną, za jakieś dwa dni.

–Akurat wtedy, kiedy Essessili i jego towarzysze dotrą do Malencontri – zauważył ponuro Smoczy Rycerz. – Secohu, czy nasze smoki zbiorą się do tego czasu?

–Tak mi się wydaje – odrzekł błotny smok.

–Moi rodacy czekają także w gotowości – wtrącił Iren – niedaleko, ale poza zasięgiem wzroku węży. Mogą zjawić się nad twoim zamkiem za godzinę... może odrobinę później.

–To dobrze – ucieszył się Jim. – Zamierzałem polecieć nad Brest i sprawdzić, jak tam wygląda sytuacja, ale teraz nie widzę już takiej potrzeby. Zamiast tego wraz z Secohem polecimy na wschód, a później na północ, do punktu zbornego naszych angielskich Jerzych. Mam nadzieję, że oni także ruszą w kierunku zamku Malencontri.

–Wspaniale! – wykrzyknął Iren. – Polecę z wami. Im więcej będziemy wiedzieć o tym, co się tu dzieje, tym lepiej.

Poczekajcie tylko, aż wyślę sygnał do następnego obser- watora.

To rzekłszy francuski smok wzleciał wyżej. Kiedy wzbił się o kilkaset metrów, zawrócił, zanurkował, zatrzymał się nagle w powietrzu, zatoczył ciasną pętlę i wrócił do oczekującej dwójki.

–Po co to wszystko? – zapytał Smoczy Rycerz. – Czy to właśnie był ten sygnał?

–Mówiłem przecież, że obserwujemy południowe wy- brzeże waszej wyspy już od kilku dni.

–Jesteśmy dość daleko od Brestu – zauważył Jim.

–Nie masz o nas zbyt wysokiego mniemania. Jestem tylko jednym z pięciu francuskich smoków znajdujących się przez cały czas w powietrzu. Drugi patroluje na południe od nas i dostrzegł mój znak. Przekazałem mu wiadomość, by wszyscy obserwatorzy przesunęli się o jeden rejon w kierunku Anglii. Kiedy przekaże to dalej, zajmie moją pozycję i będę wolny.

–Ale przecież... – zaczął z powątpiewaniem w głosie Jim, lecz Iren nie dał mu dojść do słowa: – Nie pozwoliłeś mi skończyć. Powiedziałem, że jest pięciu obserwatorów. Kiedy najdalej wysunięty odlatuje, jego miejsce zajmuje przedostatni, zaś pozostałe zmieniają rejony. Równocześnie z francuskiego wybrzeża startuje nowy smok. Tak więc w powietrzu zawsze znajduje się pięć smoków. Każdy lata przez dwie godziny, chyba że musi z jakiegoś

powodu zejść wcześniej ze swojego posterunku.

Rozumiesz?

–Tak, to całkiem dobry pomysł.

–Każdy z obserwatorów widzi sąsiada i w ten sposób możemy przekazywać sobie wiadomości, jak właśnie to uczyniłem. Krótco przed tym, jak się tu zjawiliście, przekazałem na przykład wieść, że węże zaczynają pełznąć w głąb łądu. Teraz więc mogę swobodnie lecieć z wami, żeby odnaleźć tych angielskich Jerzych.

–Musimy skierować się na północ – stwierdził Smoczy Rycerz. – Dla mnie i Secoha to nic wielkiego, skoro jesteśmy blisko domu, ale ty znacznie oddalisz się od Francji.

–Masz nasze słowo i klejnoty. Czy uważasz, że w takiej sytuacji francuski smok nie poświęci się dla wspólnej sprawy? To rzeczywiście może być długi lot. Ale jako jeden z nas wiesz, że możemy szybować całe dni i przebyć ogromne odległości, jeśli to konieczne.

Jim poczuł się mile połączony tym zaliczeniem go do smoczego rodzaju. Podobną satysfakcję odczuwał Smgrol, stryjeczny dziadek Gorbasha, w którego ciele Jim pojawił się w tym świecie, gdy udzielał mu rad przed decydującą bitwą pod Twierdzą Loathly.

Na moment tamte zdarzenia stanęły mu przed oczami jak żywe. Było to tuż przed tym, zanim smoczy staruszek, częściowo już sparaliżowany, bez wahania rzucił się do walki z młodym i silnym Bryaghem. A na dodatek miał jeszcze czas wspierać Jima i doradzać mu, jak walczyć z olbrzymem, z którym kiedyś już miał okazję się zmierzyć.

Uczucie ciepła rozeszło się po całym jego ciele. To dziwne, należeć jednocześnie do dwóch gatunków, ale stwierdził, że w głębi duszy zawsze tego pragnął.

–A więc w drogę – rzekł, by oderwać się od tych rozmyślań.

Prowadził, wyszukując kolejne prądy wznoszące. Kierowali się na północ, tak jak i pełnzące pod nimi węże. Teraz już nie było wątpliwości, że te długie, potężne stwory zmierzają do Malencontri. Uświadomienie sobie tego potwierdziło wcześniejsze obawy.

Zmusił się jednak do skupienia całej uwagi na aktualnej sytuacji.

Był pod wrażeniem tego, co Iren powiedział mu o działaniach swych pobratymców. Rzeczywiście, oceniał ich zbyt nisko. Być może uległ sugestiom angielskich smoków i Jerzych, którzy wszystkich innych uważają za gorszych od siebie. Łatwo uwierzył, że francuskie smoki są bardziej bojaźliwe, niezbyt skłonne do wypełniania swych powinności i pod każdym względem gorsze od znanych mu smoków angielskich. Oczywiście tak nie było. Ale zapewne francuskie smoki miały podobne mniemanie o żyjących w Anglii.

To właśnie z tego powodu czuł się wciąż zaintrygowany, ale i przerażony otaczającym go światem – ludźmi, zwierzętami, brudem, panującymi tu warunkami i zwyczajami.

Być może właśnie dlatego on i Angie tuż po zwycięstwie pod Twierdzą Loathly postanowili tu pozostać. Zrezygnowali być może z jedynej możliwości powrotu do swojego świata.

Zlokalizowanie angielskiej armii zajęło im dobrych kilka godzin. Na szczęście Secoh, posługując się wyostrzonymi smoczymi zmysłami, poprowadził ich niemal wprost do celu, choć wcześniej nie latał tędy.

Czas płynął szybko. Minęło południe. Nad całą Anglią utrzymywała się wciąż ładna pogoda, a po niebie sunęło zaledwie kilka małych obłoczków, więc widoczność była wprost wymarzona.

Ludzie, w przeciwieństwie do węży, spoglądali w górę.

Nikt jednak nie spodziewał się ich tu, a że lecieli tak wysoko, zapewne brano ich za ptaki. Jim ocenił, że ludzi jest co najmniej tyle ile węży morskich, a może nawet więcej.

W przeciwieństwie do tych zielonych stworów, wojownicy byli wyraźnie podzieleni, w zależności od roli spełnianej w walce. Rycerze biwakowali w pobliżu największego namiotu, należącego zapewne do księcia. Wyraźnie widać było granicę pomiędzy ich namiotami i namiotami ciężkiej piechoty, która również była oddzielona od lekkiej. Na obrzeżach zajmowały miejsce najgorsze wojska, słabo opancerzone i uzbrojone co najwyżej w kosy lub pałki.

Na samym końcu znajdowało się zaś miejsce przeznaczone dla łuczników i kuszników.

Nigdzie nie było widać Chandosa lub, znacznie łatwiejszego do wypatrzenia, Rrrnlfa. Ale można się było domyślać, że Diabeł Morski, kiedy tylko tu dotarł, zostawił Sir Johna i wyruszył w drogę powrotną do Malencontri. Był zapewne już daleko, chąc odzyskać Damę, której, jak się okazało, Essessili nie miał przy sobie. Mogło się to stać kolejnym powodem kłopotów Jima.

–Co ci jerzy tu robią? – zapytał nagle Iren. – Czy nie powinni maszerować na wybrzeże, żeby walczyć u naszego boku?

–Właśnie wkrótce mają wyruszyć – wyjaśnił Jim. – Chcę, żeby zajęli miejsce pomiędzy nim a wężami. W ten sposób sprawią wrażenie, że odcinają napastnikom drogę ucieczki.

–Ucieczki? – zdziwił się Iren. – Dlaczego uważasz, że te morskie glisty będą chciały uciekać? Kiedy ostatnio je widzieliśmy, nie sprawiały takiego wrażenia.

–To prawda, ale mam nadzieję, że uda mi się zmusić je do odwrotu.

Francuski smok popatrzył na niego z niedowierzaniem.

–Magia wszystko potrafi – rzekł Jim, podając najczęściej stosowane wytłumaczenie, które w tym wypadku nie zabrzmiało jednak zbyt przekonująco.

Przez cały czas lotu znad wybrzeża Smoczy Rycerz zastanawiał się, czy wtajemniczyć Irena i jego rodaków w swoje plany. Teraz zdecydował się to zrobić.

–W tej właśnie chwili najważniejsi jerzy w armii sprzeczą się, jak postąpić. Ale jeden z najbardziej przez nich szanowanych występuje w naszym imieniu. Nazywa się Sir John Chandos. Jeśli mu się uda, skieruje armię tam, gdzie ja tego chcę.

–Nie powiedziałaś jednak, po co mają tam pomaszerować – odparł francuski smok.

–Mam nadzieję, że węże morskie nie zdołają sforsować murów zamku Malencontri. A jeśli im się to nie uda, zaczną powątpiewać, czy w ogóle mogą dostać mnie, którego uważają za przywódcę angielskich smoków.

–Naprawdę nim jesteś! – wykrzyknął nieoczekiwanie Secoh.

–Dziękuję ci – rzekł Jim, spoglądając na błotnego smoka. – Myślę, że jednak mnie przeceniają. W każdym razie...

Zwrócił łeb z powrotem w kierunku Irena, lecącego z drugiej strony.

–W każdym razie, jeśli węże zaczną wątpić w możliwość dostania mnie, musimy jeszcze zwiększyć te wątpliwości. Kiedy już znaczna ich większość znajdzie się pod Malencontri, wezwiemy angielskie smoki, które zajmą pozycje w powietrzu, znacznie niżej niż teraz lecimy.

Wypełnią sobą całą północną część nieba. Jeśli wy także ruszycie na moje wezwanie i

zajmiecie południową jego stronę, wtedy węże morskie znajdą się w niezbyt miłym położeniu – od góry zagrożone przez smoki, mając przed sobą zamek, którego nie są w stanie zdobyć.

Urwał, lecz Iren nie miał zamiaru zabierać głosu. Zapewne analizował to, co usłyszał.

– Mam nadzieję – ciągnął Smoczy Rycerz – że zdołam zmusić je do odwrotu bez walki. Nasza przewaga liczebna będzie znaczna, gdy do nas dołączycie. Co więcej, mimo że się do tego nie przyznają, wszystkie wiedzą, iż sto lat temu jeden z nich został pokonany przez smoka o imieniu Gleingul, w pojedynku rozegranym w miejscu zwanym Gray Sands. Muszą więc zdawać sobie sprawę, że smoki nie są takie bezbronne i mogą zabić wiele spośród nich. Nie prosiłem was o nic więcej, tylko o pojawienie się dla wystraszenia węży, ale...

– Jeśli wasze smoki będą walczyć, my staniemy przy nich – zapewnił Iren. – My także jesteśmy gotowe do poświęceń!

Słyszając determinację w głosie Irena, Jim po raz pierwszy pomyślał, iż walka między smokami i węzamiorskimi rzeczywiście może dojść do skutku. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że jeśli tak się stanie, on także będzie musiał być jednym z walczących smoków.

Zaczęła ogarniać go coraz większa wściekłość. Przez moment zapomniał, że w tym ciele udzielały mu się także smocze instynkty. Jednym z nich była furia, przed którą tak przestrzegał go stary Smgrol pod Twierdzą Loathly, kiedy Jim stawał do pojedynku z olbrzymem. Zalecił mu przez cały czas kontrolować swoje poczynania, ponieważ smoki w ferworze walki bardzo łatwo tracą głowę i przez to przegrywają.

Smgrol przypomniał mu wtedy, że jest szybszy od Orga.

Smoczy Rycerz pomyślał, że w przypadku węży morskich ta przewaga powinna być jeszcze większa, szczególnie na lądzie, gdzie przyciąganie ziemskie dodatkowo krępowało ruchy nie przyzwyczajonych do niego stworów.

Co więcej, on miał już praktykę w walce na lądzie jako smok, dla nich zaś było to zupełnie nowe środowisko. To prawda, że pod wieloma względami miały nad nim przewagę, ale ta nagła dla węży zmiana otoczenia powinna działać zdecydowanie na jego korzyść...

Nagle ocknął się z zamyślenia i zauważył, że Iren już ich opuścił. Francuski smok uznał widocznie, iż najwyższy czas wracać do swoich.

– Wiesz, Secohu, my także powinniśmy rozstawić nasze smoki na punktach obserwacyjnych, żeby śledziły ruchy węży i armii Jerzych – przemówił Jim swym potężnym głosem, który bez trudu dotarł do towarzysza oddalonego o dwanaście metrów. – Nie wydaje mi się jednak, żeby udało ci się skłonić do tego któregoś spośród smoków z Cliffside...

– Młode na pewno będą chętne! – odkrzyknął błotny smok. – Zorganizuję je, żeby na zmianę trzymały wartę, tak jak robią to smoki francuskie.

– Ale myślałem...

– Zrobią to z przyjemnością! Bardzo się wstydzą swej rejterady i obwiniają się nawzajem o pozostawienie cię na pastwę losu. Zrobią wszystko, żeby tylko zatrzeć złe wrażenie. Sądzę nawet, że znajdę do tego znacznie więcej chętnych, niż potrzebujemy.

– Rozumiem – rzekł Jim nieco zakłopotany. – Czy nie można by ich wykorzystać jako łączników między nami a resztą angielskich smoków, kiedy już się zbiorą?

–Łączników? – powtórzył Secoh.

–Umyślnych, przenoszących wiadomości – wyjaśnił Smoczy Rycerz.

–Och, tak. Będą z nich wspaniali umyślni. I wielu będzie chciało pełnić taką funkcję.

Zostaw to mnie.

–W porządku – zgodził się Jim. Ze zdziwieniem zauważył, że Secoh zaczyna się od niego oddalać, szybując w stronę sąsiedniego prądu. – Dokąd lecisz?

–Do Cliffside! – odkrzyknął. – Jesteśmy prawie nad nim.

–Doprawdy? – zdziwił się Smoczy Rycerz. Widocznie czas płynął szybciej, niż mu się wydawało. To wszystko przez te kłębiące się w jego głowie myśli. – Poczekaj chwilę...

Musiał głośno krzyżeć, ponieważ Secoh zdążył się już znacznie oddalić. Ale smoczy głos okazał się na szczęście wystarczająco donośny.

–Czy lecąc w tę stronę dotrę do Malencontri? – za- wołał.

Jego smocze zmysły podpowiadały mu, że tak, ale chciał się jeszcze upewnić.

–Leć prosto przed siebie! – usłyszał odpowiedź.

–Dobrze – odkrzyknął, mając jednak jakieś złe prze- czucia.

Rozejrzał się i w dole przed sobą zobaczył ciemniejszy fragment lasu, podobny do rosnącego w okolicach Malen- contri. Skierował się tam.

Szybował jeszcze jakieś pięć kilometrów, stopniowo zniżając lot. Ucieszył się, kiedy zobaczył, że drzewa prze- rzedzają się, aż wreszcie zupełnie nikną. Na pustej prze- strzeni znajdował się jego zamek. Wylądował na dziedzińcu, obok Rrrnlfa, siedzącego z głową wspartą na ręku i spra- wiającego wrażenie bardzo przygnębionego.

–Nie martw się, Rrrnlfie – pocieszył go Jim. – Od- zyskamy twoją Dameę... A tak w ogóle, to jestem Sir James Ećkert – chwilowo pod postacią smoka.

–Ha, mały smok – zauważył ponuro Diabeł Mor- ski. – Co też się wyprawia na tym świecie. Najpierw mały rycerz, później mały mag. A wreszcie smok. Ale co z tego?

Dla mnie nic teraz nie jest ważne.

–Rozchmurz się! Carolinus obiecał, że odzyskasz swoją Dameę, a przecież to Mag, który zawsze dotrzymuje danego słowa.

–Wszyscy tak mówią – stwierdził ze smutkiem ol- brzym.

Smoczy Rycerz musiał wreszcie skapitulować przed taką postawą. Wzbijając z dziedzińca tuman kurzu, wzleciał w powietrze i podfrunął na szczyt wieży. Złożył skrzydła i już zamierzał zejść schodami, kiedy cały zamek aż się zatrzęsł od potężnego huku.

Na moment zamarł przerażony, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to Rrrnlf kichnął od pyłu uniesionego przez jego skrzydła. Zszedł do komnaty i z ulgą zamknął drzwi.

Nagle uzmysłowił sobie, jak bardzo jest zmęczony, mimo że tak długo odpoczywał po omdleniu. Może w trakcie snu skłębione w głowie myśli nieco się poukładają. Jeśli tysiące węży miało już niedługo nadciągnąć pod mury jego domu, musiał znaleźć sposób na uzyskanie pewności, że nie uda im się ich sforsować.

Trudno było sobie wyobrazić, by dokonały tego, po- sługując się swymi krótkimi kończynami, ale czy nie potrafią stosować jakichś forteli? Stwierdził, że przed rozważeniem wszystkich możliwości musi się trochę przespać. Może dopisze mu szczęście i kiedy się obudzi, będzie znał już odpowiedź choćby na część dręczących go pytań.

Przybrał ludzką postać i wgramolił się nago pod stertę koców i futer. Czuł jakiś

wewnętrzny chłód, napawający go przerażeniem. Zasypiając pocieszał się jednak, że może nie będzie tak źle i coś wreszcie przyjdzie mu do głowy.

Kiedy jednak obudził się następnego dnia, stwierdził, iż nadal nie wie, jak ma postępować.

Nic nie przyniósł też kolejny dzień. No, jeśli nie liczyć nadejścia węży morskich.

Rozdział 35 Jim usłyszał po raz pierwszy o zjawieniu się wrogów od Angie, która obudziła go oświadczając, że zamek jest otoczony.

–Mój Boże! – wykrzyknął Smoczy Rycerz, zrywając się z łóżka i pospiesznie ubierając. – Pojedyncze kręciły się między murami a lasem już od dwóch dni, ale kiedy dotarły tu w takiej liczbie?

–Zapewne w nocy. Wszyscy są już na nowym punkcie obserwacyjnym, który urządziliśmy na pomoście do wylewania gorącego tłuszczu na głowy oblegających główną bramę. Powinieneś udać się tam jak najszybciej.

–Przecież widzisz, że spieszę się jak mogę.

–Wiesz, Jim, naprawdę poważnie martwię się o Carolinusa. Jest zupełnie inny niż zwykle. Odmawia pomocy i wygląda to tak, jakby chciał, żeby węże pożarły nas wszystkich. Jakby pragnął mieć już to wszystko za sobą.

–Czy pomożesz mi założyć zbroję? – przerwał jej Jim. – Wszyscy się w nie ubrali, prawda?

–Rycerze tak.

–Podaj mi naramiennik, dobrze? Dziękuję. Angie, postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ustalić co gryzie Carolinusa. Teraz jednak nie mamy na to czasu. Toczy się gra o życie. Teraz nagolennik, jeśli możesz.

Zawiąż mocno rzemienie pod łydką, bo podczas chodzenia będą się obsuwać, a muszą przecież skutecznie chronić nogę... o tak...

Oboje zamilkli, mocując się z pancerzem Jima. Wreszcie w zbroi, z Angie u boku, skierował się na dziedziniec. To, co ujrzał, różniło się diametralnie od widoku, do którego przywykł. Niemal każdy skrawek wolnego miejsca zajęty był przez ludzi i zwierzęta domowe, ponieważ ochrony za murami zamku szukali wszyscy mieszkańcy należących do niego ziem, a nawet i ci z dalszych okolic.

Ci, których było na to stać i dysponowali odpowiednimi materiałami, rozbili namioty tuż pod murami. W kącie ustawiono tymczasowe latryny. Wszelkiego rodzaju odpadki lądowały w fosie, która cuchnęła znacznie intensywniej niż zwykle.

Angie już na początku ich bytności wyznaczyła miejsca na śmieci i odpadki poza murami zamkowymi, co sprawiło, że stan wody w fosie znacznie się podniósł. Teraz śmierdziała już jak fosy we wszystkich okolicznych zamkach. Jim dziwił się, jak szybko zdołał przywyknąć do rozprzestrzenianego przez nią odoru. Nie miał po prostu innego wyboru, jak tylko żyć w takich warunkach.

Oboje wbiegli na mury i wyjrzeni przez blanki. Otwarta przestrzeń wokół zamku była cała pokryta długimi, zielonymi cielskami. Jim szybko podszedł do platformy nad bramą, gdzie czekali na niego nie tylko Brian, Giles i Dafydd, ale także Carolinus, Secoh i, o dziwo, – Chandos.

–Kiedy wróciłeś, Sir Johnie? – zapytał Jim, gdy tylko wdrapał się na podest. Rycerz

uśmiechnął się do niego.

–Osiem waszych smoków zabrało mnie z punktu zbornego wojsk – wyjaśnił. – Start i lądowanie były dość trudne, ale cała reszta bardzo atrakcyjna. Twoja żona sporządziła i przesała mi sieć z linami, które trzymał każdy z ośmiu smoków. Mogłem w niej leżeć...

Chandos prawą ręką uczynił nieświadomie ruch w kierunku ust, tak jak czynił to Giles, gdy zadowolony podkręcał potężnego węża.

–Nie sądzę, aby jakiś inny Anglik, oczywiście poza tobą, latał w powietrzu. Długo będę pamiętać twarz rycerzy, gdy smoki wylądowały w obozie i zabrały mnie ze sobą!

W słowach Sir Johna zabrzmiała protekcjonalna nutka, która sprawiła Jimowi pewną przykrość. Uznał, że to odwrotna strona medalu, kontrastująca z dumą odczuwaną po zaliczeniu go przez Irena do smoczego rodzaju.

Dla Chandosa, a nawet dla Briana i Gilesa, tak do końca nigdy nie będzie Anglikiem. Oczywiście nie wymagali mu tego, ale czuł, że w głębi ducha skrywali takie właśnie przekonanie. A jednocześnie Jim nie był też smokiem i miał tego pełną świadomość.

Przerwał te rozmyślenia i popatrzył na Chandosa.

–Ale dlaczego wróciłeś do nas? – zapytał.

–Książę ma innych dowódców. Kiedy przystali na moją propozycję przemarszu, uznałem, że bardziej przydam się tutaj.

–Cieszę się, że jesteś z powrotem. Skoro tak, uczynisz mi ogromny zaszczyt przejmując dowodzenie.

–Cóż, Sir Jamesie, to niezaprzeczalny zaszczyt, lecz sądzę, że tobie właśnie on się należy. Nawet Lady Angela jest znacznie lepiej przygotowana do odparcia ataku niż ja.

Widocznie korzysta z rad swojej sąsiadki, Lady Geronde Isabel de Chaney.

Spojrzał na mistrza kopii.

–Damy obecnego tu Sir Briana.

–Jesteśmy tylko zaręczeni, Sir Johnie – odparł Brian, kładąc wyraźny nacisk na słowo "zaręczeni".

–Och, nie wiedziałem. Proszę o wybaczenie, a jednocześnie gratuluję, Sir Brianie.

–Jestem zaszczycony, Sir Johnie.

Nie ukłonili się w zwykły sposób, lecz wykonali gesty podobne do czynionych przez Son Won Phona i Carolinusa po zakończonym pojedynku w amfiteatrze.

–Wracając do tematu, Sir Jamesie. Lady Angela zna się dużo lepiej na walce w oblężeniu niż ja – ciągnął Chandos. – Ja mam więcej doświadczenia w atakowaniu zamków niż w ich bronienu. Co więcej, to twój zamek i posiadasz umiejętności, które mnie są obce. Dlatego to ty będziesz najlepszym dowódcą.

–No cóż, nie... – zaczął Smoczy Rycerz i posłał Magowi pełne desperacji spojrzenie. – Carolinusi...

–Nie patrz tak na mnie! – warknął starzec. – Jestem Magiem a nie rycerzem i nigdy w życiu nie byłem właścicielem zamku. Poza tym, tak jak mówi Sir John, masz coś, co można nazwać specjalnymi uzdolnieniami, żeby poradzić sobie w takiej sytuacji.

–Cieszę się, że tak myślicie – powiedział Jim niezbyt pewnym tonem. Zwrócił się do Angie: – Jak wyglądają sprawy zapasów, moja droga?

–Mamy ich tyle, że wystarczą na ładnych kilka miesięcy. Do zimy możemy żywić

wszystkich znajdujących się w obrębie murów, nawet tych przybyłych ostatnio. Nie wyobrażam sobie, żeby węże tkwiły tu tak długo, jeśli nie uda im się nas dostać.

– Ani ja – przyznał Smoczy Rycerz, patrząc na żonę z podziwem. – Jak udało się nam zgromadzić aż tyle zapasów?

– Nie nam, tylko mnie – wyjaśniła Angie. – Robiłam to wówczas, kiedy byłeś poza domem. Odpowiednio zabezpieczyłam całe zbiory, a część zboża i warzyw dokupiłam.

Moim głównym celem było zabezpieczenie bytu wszystkim naszym poddanym. Zadbaliśmy, by nie cierpieli głodu. Ale, słuchając Geronde, zgromadziłam także odpowiednie zapasy na taki wypadek, jaki zdarzył się właśnie teraz.

– Dokupiłaś jeszcze żywności? – zapytał Jim. – Jak więc wyglądają nasze... – przez chwilę poszukiwał określenia nie do końca zrozumiałego dla ludzi z czternastego wieku... rezerwy finansowe?

– Właściwie nic nam nie zostało – oświadczyła słodkim głosem Angie.

– Nic nam nie zostało!

– Nie, ale mamy jedzenie dla naszych ludzi, materiały na ich schronienia i opał aż do wiosny. To chyba ważniejsze od pieniędzy. Masz wszystko, co konieczne do utrzymania przy życiu ludzi, którzy w przyszłym roku znowu zbiorą dla nas zapasy. Jesteś więc bogaty, mój drogi panie.

– Rozumiem – przyznał Smoczy Rycerz. – Zrobiłaś to wspaniale, Angie. Stale mnie zadziwiasz.

– Ktoś musi! – zauważyła pani zamku Malencontri, ale zadziorność w jej głosie zniknęła stopniowo, a patrząc na nią Jim wiedział, że jest z siebie dumna.

Odwrócił się w stronę muru i wyjrzał przez blankę.

– To dla mnie wielka ulga, gdy wiem, że jesteśmy tak dobrze przygotowani. Nie mam jednak pojęcia, jakiego rodzaju broni powinniśmy użyć przeciwko takim najeźdźcom.

– Przy odrobinie szczęścia strzały z szerokim grotem mogą je razić – odezwał się Dafydd. – Trzeba tylko trafić w otwartą paszczę pod odpowiednim kątem, żeby pocisk sięgnął mózgu. Zanotowałem już pewne sukcesy. Nie jest to jednak proste, kiedy trzeba strzelać z góry. Strzała nie sięgnie celu, jeśli wąż nie podniesie łba odpowiednio wysoko. Wątpię, czy któryś z naszych łuczników i kuszników wyrzuci im swą bronią poważniejszą krzywdę.

Oprócz tego...

Urwał, wpatrzony w coś za plecami Jima. Smoczy Rycerz podążył za jego wzrokiem. Jakiś stosunkowo niewielki czworonóg przeskakiwał przez potężne cielska i przechodził nawet po ich grzbietach. Węże starały się go złapać potężnymi szczękami, lecz były zawsze o ułamek sekundy za wolne. Z bliższej odległości rozpoznali, że jest to wilk, a jeśli tak, to mógł być nim jedynie Aragh.

Pod samym zamkiem węże były tak stłoczone, że nie pozostawało mu nic innego, jak tylko skakać po ich zielonych cielskach. Wreszcie przebiegł po ostatnim powstającym się tuż przy fosie naprzeciw mostu zwodzonego. Ze łba z rozwartymi szczękami zdecydował się skoczyć w niezbyt zachęcająco wyglądającą wodę.

Przepląnął fosę i wyszedł na brzeg, gdzie przy murze znajdował się wąski pasek ziemi. Stał zawołał do Jima i reszty zgromadzonych. Jego głos nie był stworzony do krzyku, więc

zawył tylko: – Lina!

Jim rozejrzał się i z radością dostrzegł w pobliżu zwój liny. Dał krok w tamtą stronę, lecz Dafydd go uprzedził i pospiesznie spuścił jeden koniec liny.

Aragh pochwycił ją zębami i łucznicz zaczął podciągać zwierzaka do góry. Jim i Brian pospieszili przyjacielowi z pomocą. Wspólnymi siłami szło to znacznie szybciej i już po chwili wilk przeskoczył występ muru, wypuścił linę i stanął przed nimi mokry i niezbyt przyjemnie pachnący.

–Araghu! – wykrzyknęła Angie i uścisnęła go, nie zwracając uwagi na stan, w jakim się znajduje. Polizał ją po twarzy i zamachał ogonem.

–Araghu! – powtórzył Smoczy Rycerz. – Nie myśl- lałem... Nie przyszło mi do głowy...

–Chodzi ci zapewne o to, że nie miałeś czasu o mnie pomyśleć.

Jim zawstydził się.

–Tak – przyznał.

–Nie przejmuj się. Aragh sam troszczy się o siebie.

A jeśli tylko może, także o swoich przyjaciół. Widzę, że to wy musicie się teraz o siebie na gwałt zatroszczyć.

Ponownie polizał Angie po policzku.

–Dobrze, że twoja samica okazuje mi tyle zaintereso- wania – zwrócił się do Angie.

Objęła go ponownie.

–Wybaczam ci to określenie – rzekła. – Najważniej- sze, że jesteś tu z nami, wreszcie bezpieczny.

–Czy naprawdę jestem bezpieczny? – zapytał drwiąco wilk.

Popatrzył po zgromadzonych, aż wreszcie zatrzymał wzrok na Jimie.

–Nie wiem, czy ktokolwiek z nas jest – odpowiedział pan zamku Malencontri. – Jak tam, na zewnątrz?

–Ciężko, ale zostałem tak długo, jak się dało.

To rzekłszy, Aragh począł się otrzepywać. W pewnej chwili przestał to robić, parsknął i uśmiechnął się szeroko.

Odszedł kilka kroków i kontynuował tę czynność. Cuchnąca substancja, oblepiająca jego futro, rozpryskiwała się wokół, ale nie docierała do stojących. Kiedy do nich podszedł ponownie, był już znacznie czystszy.

–Ciekawi jesteście, jak tam jest? Ci najeźdźcy zniszczyli wszystko co żyje, od samego morza aż tutaj, a także na wschód i zachód stąd. Wszystko, co nadawało się do jedzenia, zostało już zjedzone. Te zielone potwory połykają, co tylko się da. Widziałem, jak jeden przewrócił drzewo, żeby sięgnąć do znajdującej się tam dziupli wiewiórek.

Drugi rył w ziemi, aby dotrzeć do kreta, który chciał przed nim uciec.

–A jak ocalałeś? – zapytała Angie.

–Ja? Po prostu jestem szybki. Ale jest ich zbyt wiele, żeby można się było przed nimi schronić. Przy tym nie mogę szybko zabić takiego przeciwnika. Trudno ęgać zębami jego czułych części ciała. Mógłbym tylko starać się wykrwawić go na śmierć. Chyba najlepiej by mi to szło w wąskich korytarzach tej zrobionej przez was jaskini, zwanej zamkiem. Zabiłyby mnie w końcu, ale nie sprzedał- bym tanio swojej skóry.

–Czy widziałeś ich przywódcę? – zapytał niecierpliwie Jim.

–Przywódcę? – Aragh z zainteresowaniem obwąchał swój bok. – Mnóstwo ciekawych rzeczy pływa w tej wodzie...

–Wiemy – warknął Carolinus.

–Nie – odrzekł wilk. – Nie widziałem ich przywódcy.

–Jeśli zjawiły się tu z mojego powodu, Essessili musi być gdzieś pośród nich... – uznał Smoczy Rycerz.

Nagle obok nich pojawiła się głowa Rrrnlfa.

–Essessili? Gdzie? – zapytał olbrzym.

Stanął w pełnej gotowości bojowej, zanim jeszcze ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć.

–Bezruch! – zawołał Jim.

Ale Diabeł Morski już wsparł ręce na murze, przygotowując się do przeskoczenia go.

–Carolinusie! – zawołał Smoczy Rycerz, z nadzieją spoglądając na Maga.

Starzec wyciągnął rękę i powtórzył rozkaz wypowiedziany przez Jima: – Bezruch!

Olbrzym momentalnie zamarł, wsparty o mur.

–Rrrnlfie! – krzyknął Smoczy Rycerz. Diabeł nie poruszył się, więc Jim ponownie posłał spojrzenie swojemu mistrzowi.

–Pozwól mu poruszać głową i mówić – poprosił.

Carolinus lekko kiwnął palcem. Olbrzym poruszył głową osadzoną na wciąż nieruchomym ciele i popatrzył na ludzi.

–Tam jest Essessili! – zahuczał. – Dlaczego mnie zatrzymujecie?

–Czy jesteś tego pewien? – zapytał Smoczy Rycerz. – Czy potrafisz rozpoznać go pośród tylu węży?

Rrrnlf wyrzwał przez zamkowy mur. Na jego widok pośród najeźdźców podniósł się pisk. Diabeł patrzył długo, aż nagle wykrzyknął z ogromnym podnieceniem: – Tam jest! I...

Urwał i na moment przestał poruszać głową, po czym wydał z siebie ogłuszający ryk: – Nie ma jej!

Krzyk ten był tak potężny, a jednocześnie niespodziewany, że gdy ucichł, zapadła grobowa wprost cisza. I to zarówno na terenie zamku, jak i poza jego murami. Była tak absolutna, że dało się słyszeć szum poruszanych przez wiatr gałęzi drzew, rosnących w oddali.

Rrrnlf zrezygnowany zwiesił głowę. Po chwili odwrócił ją jednak i spojrzał na Jima.

–Ukrył ją gdzieś. Puść mnie! Puść mnie, a zmuszę go, żeby powiedział, gdzie jest!

–Bezruch! – warknął ponownie Mag i Diabeł zamarł, z półotwartymi ustami. – Nigdy jej nie miał. Gdyby tak było, wiedziałbym o tym. Nic jednak nie wyczuwam. On nigdy nie dotykał twojej Damy!

–Pozwól mu mówić, Carolinusie – poprosiła Angie.

Starzec skinął dłonią i głowa Rrrnlfa drgnęła.

–Nie wierzę ci! Musiał ją mieć! – rzekł załamany głosem. – Skąd możesz być tego pewien?

–Czuję to! A jeśli coś czuję, to należy mi wierzyć, Diabie.

–Rrrnlfie – przemówił łagodnie Jim – jeśli zwolnimy cię z tego czaru, czy usiądziesz spokojnie? Widzisz, co się tam dzieje. Nawet jeśli by miał twoją Damę, chyba nie zdołałbyś go dopaść. Nie możesz przecież stanąć naprzeciw tysiąca węży jednocześnie. Pozostań z

nami, a może uda ci się ją odzyskać. Jeśli rzucisz się na Essessiliego, zostaniesz rozerwany na kawałki i na zawsze zaprzepaszysz szansę na odzyskanie swojego skarbu.

Olbrzym przez chwilę rozważał sens tych słów, aż wreszcie powoli pokiwał głową.

–W porządku... ale tylko na jakiś czas – zgodził się wreszcie. – Poczekam. Lepiej jednak, żebym ją odzyskał, bo inaczej będę niszczył wszystko na mojej drodze, dopóki sam nie zginę.

Jim spojrzął na Carolinusa, który poruszeniem ręki przywrócił Rrrnlfowi pełną swobodę ruchów. Olbrzym powoli usiadł ze zwieszoną głową, wpatrując się w ziemię między kolanami. Wyglądał tak, jakby przytłoczyły go wszystkie nieszczęścia świata.

–Musimy uzyskać odpowiedzi na mnóstwo pytań – rzekł Smoczy Rycerz, wciąż starając się pocieszyć Diabła Morskiego. – Sądzę, że uda się to nam i dzięki temu Dama powróci do ciebie...

–Ale jeszcze nie teraz! – przerwał mu Dafydd. – Wygląda na to, że węże zdecydowały się nas zaatakować. Jak dotąd powstrzymywała je fosa, zapewne z uwagi na znajdującą się w niej słodką wodę. Ale widzę, że między nimi zaczął się jakiś ruch. Niektóre zniknęły w lesie, a wątpię, żeby tak łatwo zrezygnowały z dostania nas.

Jim zlustrował wzrokiem przestrzeń za murami i przyznał przyjacielowi rację.

–Zastanawia mnie, co takiego jest w słodkiej wodzie... – urwał i spojrzął na żonę. – Angie, w Riveroak, zanim się jeszcze pobraliśmy, miałaś akwarium z wodą morską. Może wiesz, dlaczego stworzenia morskie tak nie lubią słodkiej wody?

–Nie chodzi tu o lubienie czy nie – wyjaśniła pani zamku. – Problem polega na fizjologicznej reakcji, która może je nawet zabić. Ich komórki zawierają duże ilości soli, co powoduje absorpcję wody, aż do ich uszkodzenia.

Dla stworzeń żyjących w morzu znalezienie się w słodkiej wodzie jest więc niebezpieczne, i to nawet wtedy, gdy zanurzą się w niej tylko na chwilę.

–Hm – zamyślił się Jim. Przed oczami stanął mu widok węży, które po wyjściu na brzeg jak ognia unikały strumieni. – A więc fosa powstrzymywała je do tej pory.

Czy nie domyślacie się po co część z nich poszła do lasu?

–Gdyby były żołnierzami... tak jak my – zabrał głos Chandos – zbudowałyby most, ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że wykorzystają gałęzie do zasypania fosy.

Smoczy Rycerz też sądził, że chodzi o gałęzie mogące posłużyć do wypełnienia rowu.

–Rzeczywiście! – przyznał Brian. – Tak właśnie postąpilibyśmy. Ale czy węże morskie są w stanie pomyśleć o faszynie? Z pewnością nie.

–Ten pomysł z gałęziami mógł przyjść im do głowy.

Muszą czymkolwiek wypełnić fosę, by dotrzeć do bramy.

Nawet przy opuszczonej kracie i podniesionym moście jest to wciąż najslabszy punkt naszej obrony.

–O, jeden już wraca – zauważył Dafydd. – Widzę, że wlecze coś wielkiego, ale nie rozpoznałem co to takiego.

Jim zapragnął mieć teraz smoczy wzrok. Przypomniał sobie jednak, że jest tu Secoh.

–Secohu, co widzisz? Co ciągnie ten wąż?

–Wygląda mi to na całe drzewo, panie – odparł błotny smok. – Wlecze je za korzenie, a z tyłu ciągną się gałęzie. A tam jest drugi, też z takim drzewem. Oba drzewa nie są zbyt

duże.

–Ale wystarczą, jeśli przywloką ich tu więcej – za- uważył ponuro Smoczy Rycerz. – Zobaczymy, czy rzeczy- wiście zachowają się, jak to przewidywaliśmy, i wrzucą je do fosy na wysokości bramy.

Na otwartej przestrzeni stłoczone węże robiły miejsce towarzyszom ciągnącym brzemię. Jasne już było, że nie pomylili się w swych przewidywaniach.

Dafydd wystrzelił kilka strzał do pierwszego węża spośród wlokących drzewa. Jednak pomimo jego mistrzostwa poci- ski nie uszkodziły witalnych części ciała potwora.

Oczy węża były zabezpieczone łuskowatymi powiekami, których strzała nie potrafiła przebić. Jedna utkwiała w czasz- ce, ale bez widocznego rezultatu. Dotarł wreszcie na skraj fosy i z pomocą towarzyszy cisnął do niej drzewo. Upadło korzeniami w górę.

Obserwujący to zdali sobie sprawę, jak niewiele potrzeba, by wypełnić wąską fosę i dotrzeć do kraty. Wisiała ona na grubych łańcuchach, które mogły jednak zostać rozerwane przez potężne szczęki. Wówczas ostatnią przeszkodą dla węży pozostawała już tylko brama.

Rozdział 36 Jim, wychyliwszy się poza mur ponad potężnymi skrzyd- łami bramy, przyjrzał się kracie i mostowi zwodzonemu.

Nie podniosło go to na duchu.

–Musi być jakieś rozwiązanie – rzekł wreszcie.

–Oczywiście – stwierdził Chandos. – I jestem pewien, że twoja pani też je zna.

–Niech wypełnią fosę i zbliżą się do mostu – rzekła Angie. – Nie można jednak pozwolić, żeby sięgnęły łańcuchów. Będą budować przejście jak najwyższe, żeby uchronić się przed wodą. Drzewa muszą wystawać na jakieś dwa metry ponad poziom fosy.

–I co zrobimy? – zapytał Jim.

–Użyjemy tego – oświadczyła Angie, pokazując umie- szczony na drągu kocioł wielkości beczki. Wisiał on nad paleniskiem w taki sposób, że łatwo było wylać jego zawartość poza mury. – Zbierałam zjełczały olej na taką ewentualność. Należy jak najszybciej wlać go do kotła i zacząć podgrzewać. Gdy sterta drzewa będzie już wysoka, oblejemy ją tłuszczem, a później rzucimy w dół płonące pochodnie – ciągnęła.

–A, jeśli tłuszcz się nie zapali? – zapytał wciąż ogarnięty wątpliwościami Jim.

–Jeśli będzie odpowiednio gorący, zapali się natych- miast – uspokoił go Chandos. – A od niego zajmą się gałęzie.

–Kilka tych potworów nieźle się podsmaży – rzekła Angie z zawziętością, której Jim nawet się po niej nie spodziewał. – Ale przede wszystkim zniszczymy ich bu- dowlę.

–Wspaniale! – wykrzyknął Smoczy Rycerz, a jego nastrój radykalnie się poprawił. Lecz nagle do głowy przyszła mu niepokojąca myśl. – Ile masz oleju? Jeśli spróbują raz jeszcze...

–Nie spróbują – uspokoił go Carolinus. – To niemal pewne. Skąd mogą wiedzieć, że nie mamy całego morza oleju i że za każdym razem nie będziemy niszczyć tej budowli.

–Obyś miał rację – rzekł Jim.

Odwrócił się na pięcie i krzyknął w stronę zatłoczonego dziedzińca: – Hej! Zbrojny albo sługa, natychmiast do mnie!

Po kilku sekundach stanął przed nim zadyszany zbrojny.

Smoczy Rycerz już otwierał usta, lecz ubiegła go Angie: – Idź do zamkowej kucharki i każ, aby ci wskazała beczkę zjełczałego oleju. Następnie weź tylu ludzi ile trzeba, żeby ją tu przynieść. Napełnijcie tłuszczem ten kocioł.

Rozumiesz?

Zbrojny skinął głową, ponieważ był tak zdyszany, że nie mógł mówić. Odwrócił się, zbiegł po schodach i zniknął wśród tłumu.

Po dziesięciu minutach czterej mężczyźni przytoczyli beczkę pod kamienne schody prowadzące na platformę.

Obwiązano ją liną i z pomocą jeszcze sześciu ludzi zaczęto wciągać na górę. Pchający od dołu ze strachem patrzyli na sznur, czy się nie zerwie, bo wtedy staczająca się beka przygniótłaby ich swoim ciężarem. Nic takiego nie zdarzyło się jednak i po kwadransie kocioł był już wypełniony tłuszczem, a pod nim płonął ogień.

Tymczasem węże wrzuciły już do wody kilkadziesiąt drzew. Pierwsze pływały na powierzchni, ale następne przygniotły je i zatopiły. Wreszcie powstała sterta, znacznie wystająca ponad powierzchnię wody. Stanowiła już na tyle solidną konstrukcję, że pierwsze węże ostrożnie zaczęły sprawdzać, czy wytrzyma ich ciężar.

Przygniotła drzewa aż do dna fosy, usztywniając budowlę, wciąż znacznie wystającą nad wodę. Była na tyle szeroka, że mieściły się na niej jednocześnie trzy lub cztery potwory i nawet się nie zachwiała.

Jim nie mógł się już doczekać podjęcia działań obronnych. Ogień pod kotłem wciąż podsycano, lecz znajdujący się w nim olej, przechowywany w piwnicy, był wciąż tak chłodny, że Smoczy Rycerz włożył weń palec i nie poparzył się. I nie pomagało nawet to, że dno naczynia rozgrzało się aż do czerwoności.

Zniecierpliwiony Jim odszedł wreszcie od paleniska i wyrzwał poza mury. Na zwalisku drzew znajdowały się trzy węże, spośród których jeden starał się wspiąć po spodniej części zwodzonego mostu, wspierając się na nim swymi pokraczynymi przednimi nogami. Był jednak w stanie unieść swoje cielsko nie wyżej niż na trzy metry i jego szczęki na szczęście wciąż pozostawały o jakieś dwa i pół, trzy metry poniżej krawędzi mostu. Wreszcie zrezygnował z tych usiłowań i opadł na brzuch. Wycofał się wraz z towarzyszami, by dopuścić węże wciąż ściągające nowe drzewa, mające jeszcze podwyższyć konstrukcję.

Na szczęście olej grzał się coraz szybciej i Jim nie ryzykował już sprawdzania palcem jego temperatury.

– Jest już dobry, Sir Johnie? – zapytał.

Chadnos zbliżył otwartą dłoń do powierzchni, starając się stać jak najdalej od kotła i paleniska, skąd aż buchało gorąco.

– Tak mi się wydaje. Poza tym nie możemy czekać już dłużej, bo wciąż przybywa nowych drzew. Węże mogą w każdej chwili wpaść też na pomysł, by wspiąć się jeden na drugiego i uchwycić skraju mostu. Jeśli któryś z nich zdoła schwycić się zań szczękami i zawisnąć całym ciężarem, obawiam się, że łańcuchy nie wytrzymają.

– Ale drzewa mogą nie zająć się ogniem – zawahał się Smoczy Rycerz.

– Nie ma się czego obawiać – uspokoił go Chandos. – Nawet dużo chłodniejszy olej zapalał się, jeśli użyto dobrze nasmołowanych pochodni. Drobniejsze gałęzie bardzo szybko zapłoną.

Jim spojrzął na żonę, która skinęła głową. Odwrócił się w stronę sześciu służących podtrzymujących ogień.

–W porządku – rzekł. – Wylewajcie!

Popatrzyli na niego z wahaniem. Dwóch drgnęło, lecz pozostali nawet się nie poruszyli.

–Durnie! – zirytował się Smoczy Rycerz. – Użyjcie drągów! Myślicie, że do czego są te otwory?

Z każdej strony naczynia znajdowały się wgłębienia, w które można było wetknąć koniec tyczki i dzięki temu przechylić gorący kocioł.

Jim bardzo rzadko w kontaktach ze służbą tracił nad sobą panowanie. Teraz, gdy coś takiego nastąpiło, zapewne wywołane ogólnym zagrożeniem, służący popatrzyli na niego przerażeni i chyłkiem pobiegli na dół. Wiedzieli, że gdyby panu przyszła na to ochota, miał prawo ich nawet powiesić.

Po chwili wrócili z kilkoma drzewcami od długich pik.

Ku wściekłości Jima operacja opóźniła się jeszcze, ponieważ końce tyczek były zbyt grube i należało je obrobić.

Zdawało mu się, że struganie nożami zajęło co najmniej pół godziny. W rzeczywistości nie trwało to dłużej niż pięć minut.

Zaniepokojony, ponownie wyjrzał, żeby zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Jeden z węży znów starał się sięgnąć mostu. Tym razem brakowało mu już tylko nie- wiele ponad metr.

–Gotowe! – zawołała za jego plecami Angie.

Odwrócił się i obserwował, jak za pomocą drzewc słudzy usiłują przechylić kocioł.

Przez chwilę potężne naczynie nawet nie drgnęło. Nie używano go zapewne już od wielu lat, więc narażony na deszcz i śnieg mechanizm zardzewiał. Wreszcie rozległ się przeraźliwy zgrzyt i kocioł poruszył się, a następnie przechylił się tak gwałtownie, że słudzy, napierający na drągi całym ciężarem ciała, o mało się nie poprzewracali. Rozgrzany olej chlusnął kaskadą w dół na znajdujące się na prowizorycznym moście węże.

Na ten widok Brian wydał z siebie okrzyk pełen zachwytu.

–Niezbyt im się to podoba! – zawołał. – Narobiły niezłego zamieszania uciekając!

–Pochodnie! – krzyknął Jim. – Jeszcze ich nie zapaliliście? Szybko, ruszać się!

–Tak, zapalcie jak najszybciej – rzekł bardzo spokojnym głosem Sir John. – Ale nie rzucajcie ich, dopóki węże nie wrócą. Zaraz zauważą, że sam olej nie uczynił im żadnej krzywdy. Damy im dobrą lekcję, a żeby tego dokonać, kilka z nich musi spłonąć żywcem.

–Ale olej do tego czasu może się rozpląnąć i wystygnać – zauważył z obawą w głosie Jim.

–Nie bój się. Zostanie go wystarczająco dużo, by gałęzie na wierzchu momentalnie się zapaliły, a od nich zajmie się reszta. Poczekaj i patrz.

Rzeczywiście, Jimowi nie pozostało nic innego do roboty.

Tak jak przewidział Chandos, po kilkunastu minutach węże wróciły, ostrożnie badając, co się stało. Nieco ślizgały się na rozlanym oleju, ale uznały, że to nic groźnego.

Ponownie zaczęły się pchać do przodu, aż wreszcie na prowizorycznej konstrukcji znalazło się ich aż sześć. Nie mieściły się na niej, więc jeden z nich wspiął się na grzbiet innego.

Dzięki temu znalazł się o dobry metr wyżej i już prawie sięgał skraju zwodzonego mostu. Kiedy otworzył pysk, stanowił idealny cel dla Dafydd. Rozległ się brzęk cięciwy i strzała z jego łuku zniknęła w paszczy, wbijając się głęboko w podniebienie.

Jim spodziewał się, że trafiony wąż będzie miotać się w agonii, zanim padnie. Zwalił się jednak jak ścięte drzewo i bezwładny wylądował na grzbietach pozostałych.

Wśród napastników zapanowała konsternacja. Wreszcie ocknęły się z zaskoczenia i zepchnęły zwłoki do fosy.

Zaraz pojawiły się nowe i idąc za przykładem tamtego, wspięły się na cielska swych współbraci, tym razem przezor- nie mając zamknięte pyski.

Dafydd wypuścił w ich stronę kilka strzał, lecz z równym skutkiem mógł strzelać do kamieni.

–W porządku! – zawołał wreszcie Smoczy Rycerz, uznawszy, że nadeszła już odpowiednia pora. – Rzucajcie pochodnie!

Trzymający je słudzy podeszli do występu w murze i cisnęli je w dół. Jim niecierpliwie oczekiwał na skutek. Wraz z nim wyglądali na zewnątrz wszyscy zgromadzeni na platformie.

Jim mylił się w przewidywaniach, jak szybko umiera wąż, nie docenił też konsekwencji rzucenia pochodni na pokryte olejem gałęzie. Myślał, że będą się powoli zapalać, a węże zdołają się wycofać na bezpieczną odległość.

Nic takiego nie nastąpiło. Nim pochodnie dotknęły drzew, zapaliły się opary wciąż jeszcze gorącego tłuszczu.

Płomienie momentalnie buchnęły w górę. Musiał pospiesz- nie schronić się za mur, ponieważ całe zwalisko zamieniło się w jedną ogromną ścianę ognia.

Rozległy się stamtąd przeraźliwe piski. Jim i Angie nie mogli ich słuchać i schwycili się za ręce. Wszyscy pozostali oddalili się na bezpieczną odległość od płomieni i zafas- cynowani obserwowali rozgrywający się pod murami prze- rażający spektakl.

–Na wszystkich świętych! – rozległ się głos Chan- dosa. – Widzicie tamtego? Tarza się w piasku przed fosą, ale nie może ugasić płomieni. Wygląda jak polano wyjęte z kominka!

Pozostali wtórowali mu, komentując rozgrywające się sceny.

–Niedobrze mi – szepnęła Angie do męża. Puściła jego dłoń i zatkała uszy, zamykając równocześnie oczy. – Jim, zabierz mnie stąd – poprosiła.

Mąż ujął ją za łokieć i poprowadził schodami w dół.

Doszli już do połowy ich wysokości, gdy Angie nagle zatrzymała się.

–Co ja robię? – rzekła. – Czy w taki sposób powinna postępować pani obleganego czternastowiecznego zamku?

Puść mnie, Jim.

Smoczy Rycerz bez słowa posłuchał. Zawróciła i wbiegła ponownie na platformę. Chcąc nie chcąc, podążył za nią.

W głębi duszy był zadowolony, że przynajmniej na jakiś czas może opuścić to miejsce. Kiedy jednak Angie zdecydowała się wrócić, nie pozostawało mu nic innego, jak zrobić to samo.

Jeśli ona uznała, że musi znieść widok płonących żywcem węży, to on, rycerz, nie mógł postąpić inaczej. Odwracając się plecami do cierpiących węży, nawet mając za wymówkę

zasałbnięcie Angie, stracił zapewne wiele w oczach przyja- ciół i towarzyszy. Oboje wrócili więc i z rezygnacją dołączyli do reszty.

Na płonącej konstrukcji z drzew znajdowało się już tylko to, co pozostało z dwóch potworów. Trzy dalsze leżały szerniałe i nieruchome przy fosie. Wężę odsunęły się najdalej jak mogły od potwornego żaru, który odstraszył także obserwujących z murów i zmusił ich do zajęcia pozycji daleko na blankach. Wszyscy obserwowali wysoko wznoszące się płomienie. Nagle rozległ się potężny huk i na wpeł przepalony zwodzony most zwałił się na ciała mart- wych wężę.

–Zazwyczaj się go traci podczas pożarów – zauważył filozoficznie Chandos.

–Mamy jeszcze kratę, a brama jest tylko odrobinę osmalona – rzekł podobnym tonem Brian. Chwilę myślał, po czym uniósł brwi. – Nadszedł odpowiedni moment na dokonanie wypadu – rzekł.

–Atakować kilka tysięcy wężę morskich? – zdziwił się Jim.

Wiedział, że Brian uwielbia walkę, ale to byłoby sa- mobójstwo.

–Rzeczywiście, nie jest to zwykły wróg – przemówił Chandos. – Sądzę, że należy z tego jednak zrezygnować, panowie.

–Cóż, tak sobie tylko pomyślałem – tłumaczył się mistrz kopii. – Szybki wypad, żeby poderżnąć kilka gardeł, a później błyskawicznie z powrotem. Ale jeśli jesteście odmiennego zdania...

–Tak.

Ogień zaczął przygasać. Znajdująca się ponad wodą część konstrukcji spłonęła doszczętnie i tylko gdzieniegdzie z wody wystawały dopalające się gałęzie. Pod wodą pozostawała jednak nienaruszona i nie trzeba było wiele nowego materiału, by ją odbudować.

–Nie wiemy, czego teraz spróbują – powiedział Smoczy Rycerz.

–Ważne, że krata jest cała, chociaż jej pręty musiały się bardzo rozgrzać – zauważyła Angie.

Jim podszedł do muru i wyrztał przezeń. Wciąż jeszcze z dołu buchał trudny do zniesienia żar.

–W tej chwili najważniejsze jest, czy zdecydują się odbudować przeprawę – stwierdził.

Towarzysze zbliżyli się i także patrzyli na dół, lecz tylko przez chwilę, ponieważ dłużej nie dało się wy- trzymać. Nagle Smoczy Rycerz poczuł na plecach czyjś oddech.

Obejrzał się i stwierdził, że to Rrrnlf zdecydował się wreszcie powstać. Diabeł Morski stał zapewne już od pewnego czasu, obserwując płonące wężę z takim samym zainteresowaniem, jakie przejawiali średniowieczni ludzie.

Jim ucieszył się widząc, że olbrzym odzyskał równowagę.

–Co o tym sądzisz, Rrrnlfie? – zapytał. – Czy spróbują to odbudować?

–Może tak, a może nie. Skąd mają wiedzieć, że nie jesteś w stanie spalić wszystkich drzew, jakie tu ściagną?

Ale niestety, mały Magu, mały rycerzu, czy kim tam teraz jesteś, nie mam pojęcia, co mogą jeszcze wymyślić.

–To niezbyt kamienista okolica, ale gdzieniegdzie można znaleźć głązy wystające z ziemi – włączył się do rozmowy Brian. – Nie powinny mieć problemów z ich wyciągnięciem. Obawiam się, że jeśli znowu zaczną budowę, mogą korzystać właśnie z nich. A głązy

przecież nie będą się palić.

–Ale może palić się olej, którym zostaną oblane – zauważył Sir John.

–Moim zdaniem lepszym jednak wyjściem byłoby odstraszenie ich i zniechęcenie do kontynuowania oblężenia – nie ustępował mistrz kopii. – Kiedy pierwsze z nich pojawią się z głazami, z którymi nie poradzą sobie łatwo, posługując się tylko łbami, moglibyśmy dokonać wypadu i zabić kilka spośród nich. W ten sposób zniechęcilibyśmy resztę. Nie sądzicie, że to dobry pomysł?

–Nie mamy właściwie nad czym się zastanawiać – ucięła dyskusję Angie. – Niemal cały olej został już zużyty.

Jim doszedł do wniosku, że nadszedł czas na wykorzystanie posiadanych atutów. Jeśli węże mogły wpaść na pomysł zbudowania pomostu z drzew, było prawie pewne, że wyciągną wnioski z udzielonej im lekcji i użyją materiału niepalnego, którego dosyć miały naokoło. Co prawda, mogły sądzić, że to drewno, a nie olej, sprawiło, że ogień wybuchł z taką siłą, ale właściwie nie miało to żadnego znaczenia.

Smoczy Rycerz spojrzał na błotnego smoka.

–Secohu – powiedział.

–Słucham, panie.

–Sprowadź tu natychmiast jednego z umyślnych. Chcę, żeby angielskie smoki zaczęły zapełniać północną część nieba. Aha, i miej przy sobie drugiego, żeby w odpowiedniej chwili mógł sprowadzić smoki z Francji.

–Wycofują się – zauważył Brian, obserwując stwory oblegające zamek. – Co one robią?

Nikt spośród zgromadzonych nie był w stanie udzielić odpowiedzi na to pytanie. Węże cofnęły się prawie na skraj lasu, gdzie stłoczyły się mniej więcej na wysokości bramy.

W środku kłębówiska pozostawiły wolne miejsce, na które wypełzły trzy spośród nich, tworząc pomost dla czwartego, spoczywającego na ich grzbietach. Ten wzniosł łeb ponad tłum, żeby być przez wszystkich dobrze widzianym.

Wyglądało na to, że przemawia do swych pobratymców.

Do stojących na platformie docierał nawet jego głos, lecz z uwagi na odległość i jego tonację nie dało się rozróżnić poszczególnych słów.

–To Essessili – warknął Rrrnlf, wskazując potężną ręką zgromadzenie węży.

–Ten, który przemawia? – zapytał Jim.

–Tak. To on.

–Co mówi?

Olbrzym bezradnie pokręcił głową.

–Nie jestem w stanie go zrozumieć.

–Mówi, że wszystkie muszą zaatakować zamek bez względu na straty – powiedział Secoh.

Urwał, po czym zaczął powtarzać słowo w słowo mowę Essessilego: – Możecie nie chcieć zepchnąć swojego brata do słodkiej wody w fosie, ale to posłuży naszemu wspólnemu dobru i pamiętajcie, że niektórzy muszą się poświęcić i wyścielić swoimi ciałami drogę dla innych.

–Żaden nie chce wylądować w fosie, ale nie zawaha się wepchnąć do niej stojącego obok. Dobrze to ujął, tak jak tylko on potrafi! – rzekł Diabeł Morski. – Wciąż jednak jest to

dla mnie dziwne. Węże zazwyczaj nie słuchają tego, co mówi inny. Z reguły podają w wątpliwość jego słowa i podejmują częste dysputy. To cud, że tak go słuchają.

–To żaden cud – przemówił Carolinus. – To magia.

Ta magia, która prześladowuje nas przez cały czas, teraz także pomaga twojemu Essessilemu.

–Rzeczywiście jest mój – przyznał Rrrnlf, zaciskając palce. – Niech no dostanę go tylko w swoje ręce.

Jim słuchał uważnie przemowy węża, przekazywanej przez Secoha, a jednocześnie niecierpliwie spoglądał w niebo. Martwił się, że wciąż nie widać posłańca, którego należy wysłać do angielskich smoków, by zajęły pozycję ponad zamkiem. Wreszcie zdecydował się przerwać Secohowi.

–Gdzie jest ten umyślny, który miał polecieć po smoki? – zapytał. – Przecież już dawno powinien się pojawić!

–Wcale nie trzeba było go wzywać – wyjaśnił błotny smok. – Posłaniec wisiał w powietrzu i tylko czekał, aż dam mu znak rozpościerając skrzydła, o tak.

Na moment rozłożył skrzydła, po czym złożył je stannie.

–Zrobiłem to już dawno, więc odleciał, by przekazać wiadomość – wyjaśnił, spoglądając przymilnie na Jima. – Dobrze zrobiłem, prawda?

–Wprost wspaniale – pochwalił go Smoczy Rycerz.

Wciąż jednak spoglądał w niebo. Obawiał się, że przemówienie Essessilego nie będzie trwać długo, a minie też nieco czasu, zanim smoki zajmą swe pozycje.

Essessili kontynuował mowę przez cały kwadrans, podczas którego Jim niecierpliwie się wypatrywał smoków. Wreszcie w powietrzu pojawiła się pierwsza grupa smoczej starszyny, która zaczęła zataczać ciasne kręgi.

Szybko dołączały do nich dalsze, szybując na różnych wysokościach, by nie przeszkadzać sobie wzajemnie w locie.

Stopniowo północna część nieba robiła się coraz bardziej zatłoczona i, gdy Essessili wciąż przemawiał, smoki utworzyły ogromną ciemną chmurę.

Jim odetchnął z ulgą. Już na widok pierwszych smoków nabrał nadziei, że na wezwanie stawiają się wszystkie jak jeden mąż, czego wcześniej nie był wcale taki pewien.

Tymczasem na sporej przecież platformie zrobiło się dość tłoczno, ponieważ do Secoha dołączyły się dwa młode smoki.

Secoh uznał widocznie, że potrzebny jest mu jeszcze drugi posłaniec do specjalnych poruczeń. Tak na wszelki wypadek. Smoczy Rycerz zgodził się, że był to dobry pomysł. Wszystko mogło się przecież wydarzyć. Sam powinien być o tym pomyśleć.

Tymczasem młode smoki z zaciekawieniem przypatrywały się Jimowi i reszcie zebranych. Nigdy do tej pory nie miały okazji znaleźć się tak blisko Jerzych i myślały, że będzie co opowiadać pobratymcom po powrocie do rodzinnego Cliffside. Smoki nieczęsto kontaktowały się z Jerzymi.

Kiedyś, dawno temu polowały na ludzi jak na każdą inną zwierzynę. Z czasem ludzie okazywali się coraz trudniejszym dla nich przeciwnikiem, a kiedy jeszcze jerzy zaczęli zakuwać się w zbroje, stało się jasne, że atakując ich smok ryzykuje swe życie. Musiały więc pozostawić ich w spokoju, a nawet starać się schodzić im z drogi, żeby sytuacja się

nie odwróciła.

Obecność w tym miejscu i w takim towarzystwie była więc dla smoków niezwykle ekscytująca. Jim uspokajał się coraz bardziej widząc, jak wciąż zwiększa się liczba nadlatujących krewniaków. Smoczy Rycerz obawiał się, że Essessili zakończy mowę, zanim wszystkie zawisną na niebie. Ale przywódca węży nie zamierzał wcale kończyć – być może jemu samemu podobało cię to, co mówi.

Reszta zaś słuchała uważnie, zdając się zupełnie nie zauważać tego, co dzieje się ponad nimi.

Po pewnym czasie liczba brytyjskich smoków zwiększyła się na tyle, że rzucały już cień na zamek i północną część otaczającej go wolnej przestrzeni, choć węże wciąż pozostawały w słońcu. Jim uznał, że nie ma co czekać już dłużej.

Zwrócił się więc do Secoha.

–Co Essessili mówi teraz? – zapytał.

–Powtarza wciąż to samo – odparł błotny smok. – Mówi, że powinny napierać na mury, aż któraś ich część nie wytrzyma i wedrą się do środka. Za każdym razem mówi o tym w inny sposób, ale przez cały czas chodzi mu o to samo.

–Sądzę, że trzeba wezwać już smoki z Francji. Może skończyć w każdej chwili, a wtedy pozostanie nam tylko tyle czasu, ile potrzeba będzie wężom na przeprowadzenie szturm. Och...

Zamarł nagle, ponieważ w tym właśnie momencie Essessili zamilkł.

–Wezwij francuskie smoki! – krzyknął Smoczy Rycerz. Po chwili jednak przywódca potworów kontynuował swą przemowę.

–Już to zrobiłem, panie – oświadczył Secoh i rzeczywiście na platformie pozostał już tylko jeden młody smok.

–Być może zwlekałem z tym zbyt długo – pomyślał na głos Jim. – Jeśli Essessili skończy i zaatakują, musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby powstrzymać je, dopóki nad naszymi głowami nie znajdą się wszystkie smoki.

Zwrócił się w stronę Walijczyka.

–Dafyddzie! – zawołał. – Czy powiedziałeś łucznikom i kusznikom, jak strzelać w paszcze węży?

–Tak.

Zamachał rękami i wszyscy znajdujący się na zamku strzelcy zajęli pozycje przy blankach. Stali w gotowości wszędzie, gdzie tylko mógł sięgnąć wzrokiem. Sam Dafydd znajdował się kilka metrów od Jima, trzymając w dłoni krowi róg z dorobionym do niego ustnikiem.

–Zadmę weń, żeby wiedzieli, kiedy zacząć strzelać – rzekł Walijczyk, zmuszony podnieść głos. – Ale wątpię, czy będzie potrzebny ten sygnał. Jak węże zaatakują, będzie jasne, że należy strzelać. Czy możesz ustawić między nimi włączników, aby wypełnić wolne miejsca? Równie dobrze węża można zabić długą piką.

–Oczywiście! Sam powinienem o tym pomyśleć.

Jim uniósł głos.

–Theoluf! – zawołał w stronę dziedzińca. – Niech ktoś znajdzie mojego giermka!

–Tutaj jestem, mój panie – rozległ się głos Theolufa.

Giermek czekał u stóp schodów. Miał na sobie niemal pełną zbroję, taką, jaką noszą rycerze. Składały się na nią dość przypadkowo dobrane części różnych pancerzy. Gromadzenie i kupowanie ich musiało mu zająć wiele czasu i poświęcił na to zapewne wszystkie posiadane przez siebie pieniądze.

Jim podarował mu najlepszego po Gruhocie konia i wręczył dość pokaźną sumę, choć teoretycznie giermek był zobowiązany sam zatroszczyć się o właściwy strój.

Większość giermków miała krewnych lub przyjaciół, którzy mogli wesprzeć ich pieniędzmi. Ale były dowódca zbrojnych nie posiadał majątnych krewniaków.

Był to mężczyzna po trzydziestce, średniego wzrostu, z twarzą zeszepeconą bliznami i ospą. Raczej drobnej budowy ciała, z krótkimi, ciemnymi włosami i takiegoż samego koloru oczami. Wbiegł lekko po kamiennych schodach i podszedł do swego pana.

–Czego sobie życzysz, panie? – zapytał bez śladu zadyszki.

–Czy słyszałeś, co powiedział Dafydd?

–Tak, panie.

–Więc zbierz zbrojnych ze wszystkimi pikami, jakie uda im się znaleźć, a wtedy Dafydd poinstruuje was, jak się nimi posługiwać. Masz osobiście wszystkiego dopilnować.

Zrozumiałeś?

–Tak, panie.

Theoluf podbiegł do łucznika, porozmawiał z nim przez moment, a potem obaj pospieżyli na dziedziniec.

Jim znów spojrzał na niebo.

Chyba wszystkie angielskie smoki znajdowały się już na nim, krążąc na różnych wysokościach.

Jim przeniósł wzrok na drugą stronę nieba i ujrzał tam zaledwie kilka sylwetek smoków, lecących niewysoko ponad drzewami.

–Nie ma nadziei, żeby francuskie smoki zjawyły się tu na czas – rzekł sam do siebie, czując w środku pustkę.

II Jednak, ku jego zdziwieniu, Essessili wciąż nie zamierzał kończyć, natomiast od południa stopniowo pojawiało się coraz więcej smoków. Przylatywały w znacznie lepiej zorganizowanych formacjach niż ich angielscy bracia, zapewne dlatego, że czekały już w uformowanych grupach poza linią horyzontu.

Jim zdał sobie nagle sprawę, że nie słuchać już głosu przywódcy węży. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył, że wszystkie węże pełzną w kierunku zamku. Tupot ich krótkich nóg powoli lecz systematycznie narastał.

–Zbliżają się! – wykrzyknął radośnie Brian.

Ale ku zdziwieniu obserwatorów, uformowane w szeregi węże zaczęły stopniowo zwalniać. Wreszcie niemal się zatrzymały.

Pierwsze rzędy poruszały się tylko za sprawą napierających na nie z tyłu. Węże z przodu uporczywie starały się wślizgnąć pomiędzy dalsze szeregi, ale nie pozwalano im na to, popychając przed sobą.

–Co się dzieje? – zawołał Jim.

–A czego się spodziewałeś? – zapytał ponad jego głową Rrrnlf. – Mówiłem ci, że Essessili bardzo sprytnie tłumaczył konieczność wepchnięcia części węży do słodkiej wody.

Te z przodu nie chcą wylądować w fosie, a te za nimi nie chcą dopuścić do ich ucieczki, żeby same nie musiały zająć ich miejsca.

Jim odetchnął z ulgą. Ucieszył się, że atak nie następuje.

Ponownie spojrzął na południową część nieba i stwierdził, że znalazło się tam już całkiem dużo smoków. Nagle uświadomił sobie, że nie poinformował dowódców obu grup, na jaką odległość powinny się do siebie zbliżyć.

Załoczył po prostu, że znajdują się na tyle blisko, że obserwatorowi z ziemi będą się wydawać jedną zwartą masą.

Przeniósł wzrok na przedpole zamku. Nie było wątpliwości, że pomimo oporu ściana węży zbliża się. Ale przesuwała się co najwyżej z prędkością buldożera, pchającego przed sobą stertę ziemi.

Zwrócił też uwagę, iż wolna przestrzeń zasnuwa się cieniem także z drugiej strony, przeznaczonej dla przyby- szów zza Kanału.

Wreszcie zamek znalazł się w doprawdy dziwnej po- świacie. Smoki na tyle skutecznie zasłaniały słońce, że powstał półmrok typowy dla jego pełnego zaćmienia. Na dziedzińcu zaczęły rozlegać się okrzyki zaniepokojenia.

Wężę zdawały się jednak nie zauważać niczego.

–Ludziom się to nie podoba – zauważyła Angie, stojąca obok Smoczego Rycerza.

–Wiem, ale nic na to nie mogę poradzić.

Jeszcze raz wyrzwał poza zamkowe mury. Wężę były już bardzo blisko. Od skraju fosy dzieliło je nie więcej niż dziewięć metrów.

–Co się z nimi dzieje? – powiedział zaniepoko- jony. – Zupełnie nie zwracają uwagi na smoki krążące nad głowami!

–Panie – odezwał się Secoh – pamiętasz, jak mówi- łem ci, że one nie patrzą w górę?

Jim nagle poczuł się jak idiota. Oczywiście! Nie tak łatwo było wężom spojrzeć w górę, a żyjąc w morzu nigdy tego nie robiły.

Do głowy przyszła mu nagła myśl.

–Wyślij w górę swego posłańca – zwrócił się do błotnego smoka. – Niech każe wszystkim smokom ryczeć.

–Ryczeć? – Secoh aż zatrzepotał powiekami.

–Niech krzyczą! Wszystkie razem. Możesz to nazwać, jak chcesz. Niech narobią wielkiego hałasu. Czy możesz im to przekazać?

W oczach smoka wreszcie pojawiło się zrozumienie.

–Tak, panie.

Odwrócił się w stronę czekającego obok młodego smoka.

–Słyszałeś, co powiedział Smoczy Rycerz! Ty przekaż tę wiadomość naszym smokom, a ja polecę do francuskich.

Razem wzbily się w powietrze z głośnym szumem skrzydeł i poszybowały w przeciwne strony.

W tej właśnie chwili do uszu Jima dobiegły pierwsze piski węży spychanych bezceremonialnie do tak niebez- piecznej dla nich słodkiej wody. W ciągu kilku minut fosa została wypełniona ciałami tych spośród węży, którym nie udało się uciec z pierwszych szeregów. Depcząc po nich, dalsze mogły bez trudu dostać się pod same mury. Rozległ się

głos rogu Dafydd, lecz rzeczywiście był on właściwie niepotrzebny, ponieważ napierające węże napotkały już las pik i chmurę pocisków.

Nagle odgłosy walki zagłuszył ryk wiszących w górze smoków.

Rozdział 38 Wszystko zaczęło się od kilku pojedynczych głosów, stopniowo przeradzających się w jeden wielki grzmot, od którego zatrzęsła się ziemia. Smoki z natury odznaczały się potężnymi głosami, a połączenie kilku ich tysięcy robiło niesamowite wrażenie.

Co więcej, złączywszy się w tak nietypowym chórze, smoki poczuły swą siłę jedności. Jim obserwował, jak zniżają lot, wróżąc śmierć znajdującym się pod nimi zielonym stworom. Sam Smoczy Rycerz poczuł ogarniający go bitewny zapach, a jednocześnie zdumiewającą pewnością siebie.

Na moment ludzie i węże zamarli w bezruchu, wpatrując się w niebo. Widocznie dopiero teraz morskie potwory zdały sobie sprawę z półmroku wywołanego przez ich odwiecznych wrogów.

Wreszcie jeden wąż poruszył się i zawrócił. W jego ślad poszedł drugi, a za nimi następne i następne. Pełzły, by jak najszybciej oddalić się od zamku. Po chwili cała zielona horda podążała w panice w kierunku linii drzew.

Tak się spieszyły, że wkrótce pierwsze z nich zaczęły znikać w lesie. Smoki stopniowo cichły, aż wreszcie wszys-
tkie zamilkły.

Ucichły też okrzyki radości wtórujące im z zamku.

Zapadło milczenie.

Wciąż jednak panował ten niesamowity półmrok.

W tym dziwnym świetle widać było pojedynczą zieloną sylwetkę, tkwiącą w połowie drogi między zamkiem a lasem.

Wąż uniósł przednią część ciała i krzyczał coś w stronę towarzyszy.

Kiedy zapadła cisza, jego pisk dotarł do zamkowych murów. Mimo że był dość blisko, Jim nie potrafił zrozumieć, co krzyczy, nie tylko z powodu brzmienia głosu, ale w ogóle nie znał tych słów.

Obejrzał się w poszukiwaniu Secoha, by wyjaśnić mu on, o co chodzi, lecz przypomniał sobie, że Secoh poleciał wraz z młodym smokiem, by przekazać rozkazy pobratymcom.

–To Essessili – zauważył Rrrnlf. – Ależ im wymyśla!

–Zupełnie nie mogę go zrozumieć – rzekł Smoczy Rycerz.

–Używa mnóstwa określeń z dna morza – wyjaśnił Diabeł. – Gdybym miał go teraz w rękach, pozwoliłbym mu jeszcze pożyć, dopóki mówiłby w ten sposób!

–Ale może wreszcie wyjaśnisz mi, co on mówi?

–Co mówi? – powtórzył olbrzym, spoglądając na niego ze zdziwieniem. – Stara się ich zawstydzić i skłonić do powrotu i walki. Jak jednak widzisz, nic mu z tego nie wychodzi.

Rrrnlf mylił się jednak. Słowa przywódcy węży stopniowo zaczynały skutkować. Węże przestały na ślepo pędzić przed siebie i zaczęły zawracać, formując wokół niego pierścień.

Wkrótce ponownie znalazł się na grzbietach trzech towa-
rzyszy i zaczął przemowę.

Nagle Rrrnlf zaniósł się śmiechem. Jim popatrzył na niego zaskoczony.

–Essessili pyta je właśnie, czy są wężami, czy też rozgwiadami.

–Rozgwiadami? – powtórzył Smoczy Rycerz.

–Otóż to! Czy chciałbyś, żeby nazwano cię rozgwiadą?

–No cóż... – Jimowi zabrakło słów, by wyjaśnić, że nie widzi nic obraźliwego w takim określeniu.

–Oczywiście nic to nie da – orzekł Diabeł. – Nie można zawstydzić węży, bo żaden z nich nie ma poczucia wstydu.

–Poczucia wstydu? Żadnego? – zdziwił się Brian, porzuciwszy już widocznie myśl o szybkim wypadzie.

–Oczywiście, że nie – stwierdził olbrzym. – Interesuje je tylko to, co zrobić, żeby zapewnić sobie jak najlepsze życie. Nie istnieje dla nich żadna idea, dla której gotowe byłyby zginąć.

Mistrz kopii wyglądał na bardzo zdziwionego. Jego oblicze spoważniało. Spojrzał na pozostałych rycerzy.

–Podziękujmy Bogu, że mamy Jego, Anglię i naszą broń, za które każdy z nas wolałby zginąć, niż ściągnąć na siebie wstyd i hańbę!

Jim nie wątpił w żadne ze słów przyjaciela. Broń była jedną z największych świętości, symbolem przynależności do rycerstwa, przedmiotem osobistej i rodzinnej dumy.

Jim nie był szczerze przekonany, czy gotów jest za to oddać własne życie. Czy w ogóle istnieje coś aż tak cennego? Jego poglądy na temat Boga nie były w pełni skryształizowane. Nie był także prawdziwym Anglikiem, ani rycerzem.

Zdawał sobie jednak sprawę, że istnieją wartości, dla których gotów był się poświęcić. Przede wszystkim pomyślał o Angie. Ale co jeszcze? Nic innego nie przychodziło mu już do głowy, lecz czuł, że drzemie w nim jakaś wiara.

Wiara w co?

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Wiedział, że jest idealistą, a gdy tylko było to możliwe – również optymistą.

Wierzył głęboko w przyszłość rasy ludzkiej, sięgającą znacznie dalej niż dwudziesty wiek, z którego pochodził. Być może chodziło właśnie o to. W każdym razie tylko to przyszło mu do głowy – dość nedorzeczna wiara w cały ludzki rodzaj.

Nagle z zamyślenia wyrwał go hałas. To Secoh wylądował na platformie.

W pazurach przedniej łapy trzymał wypchany worek, w którym znajdowały się zapewne klejnoty francuskich smoków.

–Panie – rzekł – wstąpiłem do twojej komnaty i zabrałem je stamtąd. Możemy ich potrzebować.

Jim momentalnie odsunął od siebie myśli, które krążyły mu po głowie jeszcze przed chwilą.

–Jesteś wreszcie! – ucieszył się. – Niech inne smoki służą nam za posłańców. Świetnie, że pomyślałeś o klej- notach. Trzymaj je przy sobie. I bądź przez cały czas obok mnie, dobrze?

–Oczywiście, panie.

Jim zwrócił się do Rrrnlfa.

–Co Essessili teraz mówi? – zapytał.

–Wciąż powtarza, co o nich myśli – zaśmiał się olbrzym. – Mówi, że są w stanie pokonać każdego smoka.

Deklaruje, że jest gotów wyzwać cię na pojedynek, żeby to udowodnić. Jeśli mu się uda, reszta musi uwierzyć i nie bać się walczyć ze smokami, których nie jest więcej niż ich.

Jim poczuł ogarniający go chłód. Spojrzał pytająco na Maga.

–Carolinusie, musisz coś zrobić!

Starzec, który przypatrywał się węzom, albo czemuś znajdującemu się gdzieś w lesie, odwrócił się do swego ucznia. Postarzał się. Wyglądał na potwornie zmęczonego, na granicy wytrzymałości.

–Niestety! Cóż mogę zrobić? – rzekł pustym głosem. – Czy zawsze to ja muszę wszystko robić, do kroćset?!

Bezceremonialnie odwrócił się plecami do Jima.

Smoczy Rycerz stał jak wryty. Poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia. Zobaczył Angie. Żona przyłożyła palec do ust i odprowadziła go kilka kroków na bok.

–Wygląda, jakby miał kilkanaście lat więcej! – szepnęła. – Sądzę, że najlepiej zostawić go w spokoju i poczekać, aż sam się z tego wyrwie.

–Ale potrzebujemy go – rzucił Jim ze złością.

–W takim stanie nie przyda się na nic.

Jim spojrzał na Diabła Morskiego.

–Czy Essessili już obiecał, że rzuci takie wyzwanie? – zapytał zaniepokojony.

Olbrzym skinął głową.

Pod Smoczym Rycerzem ugięły się nogi. Jeśli rzeczywiście zostanie wyzwany do walki, nie będzie sposobu na jej uniknięcie. Szczególnie w obecnej sytuacji, gdy obok znajdowali się Brian, Giles i Chandos.

Być może stanowiło to jedyne rozwiązanie. Smoki, przynajmniej francuskie, właściwie nie obiecywały, że będą walczyć i w każdej chwili mogły się wycofać.

Na walkę mogły też nie zdecydować się smoki angielskie, choć Jim miał nadzieję, że nie byłyby aż tak nierozsądne.

Chyba że przewaga liczebna węży stałaby się wyraźnie widoczna...

Ale jeśli musiałby walczyć z Essessilim, oczywiście w smoczym ciele, jakie miał szansę na wygraną? Kiedy stanął naprzeciw olbrzyma pod Twierdzą Loathly, pomocą służył mu udzielający rad Smgrol. Natomiast jedyne smok, któremu kiedykolwiek udało się pokonać węża morskiego, nie żył już od co najmniej stu lat.

–Secohu, czy słyszałeś, co właśnie powiedział Rrrnlf?

Essessili chce ze mną walczyć, żeby udowodnić, że każdy wąż morski jest w stanie pokonać smoka.

–Słyszałem, panie – przyznał błotny smok z błyszczącymi oczami. – I to na oczach wszystkich angielskich i francuskich smoków. Co za wspaniała okazja!

A więc nie było już żadnego wyjścia. Secoh wyraźnie liczył na zwycięstwo Jima i z pewnością tego samego zdania były wszystkie pozostałe smoki. Sam Smoczy Rycerz nie był takim optymistą. Ale jeśli nie przyjmie wyzwania, smoki opuszczą go rozgoryczone, a wtedy węże na pewno zdobędą zamek i zginą wszyscy jego obrońcy.

Ta ostatnia myśl była dla niego wprost nie do zniesienia.

Musiał więc nie tylko walczyć z przywódcą węży, ale także pokonać go.

Popatrzył na Diabła Morskiego.

–No cóż, jeśli rzeczywiście mnie wyzwie... – zaczął z rezygnacją w głosie.

–Nie ma tu żadnego, jeśli". Oto się zbliża, mały Smoczy Rycerzu! – mówiąc to zachichotał, zapewne rozbawiony użytym przez siebie określeniem. – Popatrz!

Jim posłuchał.

Do fosi zbliżał się pojedynczy zielony potwór. Pan zamku Malencontri wciąż nie wiedział czy to Essessili, ale według olbrzyma był to właśnie on.

Podpełził na sześć metrów od fosi, zaś w pewnej odległości za nim podążała cała reszta węży. Pewnie chciały usłyszeć mającą nastąpić rozmowę, a nie wesprzeć swego przywódcę.

Essessili zatrzymał się. W panującej ciszy rozległ się jego piskliwy głos.

–Smoczy Rycerzu! Smoczy Rycerzu! – zawołał. – Po- każ się na szczycie swoich murów. Wyzywam cię... Pokaż się.

Śmierć któregoś z nich stała się nieunikniona. Jim wystąpił do przodu i stanął z górną częścią ciała wystającą ponad blanką. Nagle do głowy przyszła mu pewna myśl.

–Rrrnlfle, możesz się tu zbliżyć? Będę do niego mówić zwykłym głosem, a ty powtarzaj moje słowa, żeby wszyscy je słyszeli. Zrobisz to dla mnie?

Rrrnlf znowu zachichotał.

–Uczynię to – rzekł cicho. – Ty mów, a ja będę powtarzać.

–Essessili – zaczął Jim, z rozmysłem nie podnosząc głosu, świadom, iż węże nie słyszą go wyraźnie. Zamilkł, czekając na olbrzyma.

Ten powtórzył za nim potężnym głosem.

–Oto mnie widzisz – ciągnął Smoczy Rycerz. – Przy- jmuję twoje wyzwanie. Ponieważ znajduję się w ludzkim ciele, przemiana w smoka zajmie mi kilka minut. Pozostań więc tam, gdzie jesteś. Wyjdę na spotkanie, ale najpierw musimy uzgodnić warunki pojedynku.

–Jakie warunki? – zapiszczał Essessili. – Chcę z tobą walczyć, żeby udowodnić, że smok nie potrafi pokonać żadnego z nas. To wystarczy.

–Niezupełnie – powiedział Jim, a jego słowa, po- wtarzane przez Diabła z łatwością docierały aż do linii lasu. – Chcę bowiem, żebyśmy uzgodnili, że jeśli ty wygrasz, możesz starać się zdobyć mój zamek. Ale jeśli to ja zwyciężę, twoje węże zrezygnują z dalszej beznadziejnej walki i wrócą do swojej ojczyzny, którą są morskie odmęty.

–Dobrze wiemy, kim jesteś! – wykrzyknął przywódca węży, kiedy przebrzmiały słowa Rrrnlf. – Jesteś dwu- nogiem, magiem i jednocześnie smokiem. Ale mnie, Esse- ssilego, to nie przeraża. Jeśli przegram, wycofają się. Masz na to moje słowo – słowo węża morskiego. Nie boję się ciebie. Dla dobra moich towarzyszy chcę dowieść słabości smoków, pokonując ciebie – jednego z nich. Czy jesteś gotów walczyć, nie posługując się żadną magią?

–Jestem – odparł Jim.

–A więc dobrze. Nie ma co dalej zwlekać. Będę tu czekać na ciebie. Aha, i niech ten Diabeł Morski nie powtarza już twoich słów. Jeśli masz coś do powiedzenia, używaj własnego głosu!

–A co byś powiedział na pojedynek ze mną, jeśli tak bardzo nie podoba ci się mój głos? – huknął Rrrnlf.

Essessili odwrócił łeb, jakby wcale tego nie słysząc.

–Bezruch! – rzucił Smoczy Rycerz, wskazując na olbrzyma. – Posłuchaj, Rrrnlfie – przemówił cichym głosem. – Masz tylko powtarzać to, co mówię. Nie wolno ci wdawać się z nim w żadne kłótnie. Jeśli zgadzasz się na to, zwolnię twoją głowę i szyję, żebyś mógł potwierdzić, ale wciąż nie będziesz mógł mówić.

Częściowo usunął działanie czaru i olbrzym energicznie pokiwał głową.

–Powiedz więc Essessilemu, że ma czekać, tam gdzie jest, i kazać wężom, żeby zrobiły nam miejsce do walki. Są zbyt blisko niego. Powiedz też, że jeśli nie posłuchają, nie stanę do pojedynku.

Po krótkich targach przywódca węży przyjął warunek i jego pobratymcy cofnęli się o prawie trzydzieści metrów.

Jimowi udało się wreszcie opracować złożony czar – wciąż uczył się tworzyć coraz bardziej skomplikowane kombinacje – który równocześnie pozwalał mu przemienić się w smoka i pozbyć ubrania, zbroi i broni, które miały starannie zostać złożone na kupce.

Posłużył się nim teraz i już po chwili przybrał postać smoka. Secoh, który do tej pory wydawał się tak potężny, teraz przy nim prezentował się całkiem niepozornie. Był mu jednak bardzo potrzebny.

–Secohu – przemówił cicho – potrzebuję twojej pomocy.

–Tak, panie... Smoczy Rycerzu.

–Czy pamiętasz bitwę pod Twierdzą Loathly?

–Ależ tak, panie.

–A czy pamiętasz jak, Smgrol udzielał mi rad podczas walki z olbrzymem?

–Coś sobie przypominam. Powiedział ci coś ważnego, bo sam walczył kiedyś z Orgiem.

Wydaje mi się, że coś o ich rękach lub łokciach...

–To prawda – przyznał Smoczy Rycerz. – Teraz przydałby mi się sam Gleingul – przodek Smgrola, który pokonał węża. Wiem, że wśród smoków krążą dokładne opowieści o tym zdarzeniu. Z pewnością znasz je na pamięć.

–O, tak, panie – przytaknął z zapalem Secoh. – To rzeczywiście wspaniała historia!

–Doskonale. A teraz szybko przypomnij sobie te jej fragmenty, które mogłyby mi pomóc w walce z Essessilim.

Błotny smok usiadł na platformie i utkwiał wzrok gdzieś w przestrzeni.

–Było to co najmniej sto obrotów słońca temu – zaczął. – Wtedy, kiedy Agtval był już starym smokiem i nie wychodził ze swojej jaskini...

–Nie! Nie chcę słuchać całej tej opowieści – krzyknął Jim. Smoczy Rycerz wiedział, że smoki lubują się w wydłużaniu snuty opowieści niemal w nieskończoność. – Pomyśl dobrze. Wyszukaj elementy przydatne dla mnie.

Chcę wiedzieć, jak Gleingul tego dokonał. W jaki sposób atakował węża? Co zrobił, że udało mu się zwyciężyć? I jak zabił swojego przeciwnika?

Secoh wyglądał na zawiedzionego, lecz rozumiejąc intencje Jima, zamyślił się głęboko.

–Opowiadano, że Gleingul używał w walce skrzydeł.

To właśnie skrzydła pozwoliły mu wygrać. Nie chodzi oczywiście o latanie, panie...

–A o co? – przynaglił go Smoczy Rycerz.

–Chodzi o zadawanie nimi uderzeń. Wiesz, jak silne są nasze skrzydła. Inaczej nie moglibyśmy oderwać się od ziemi. Wszystko, co porusza się w powietrzu, ma mocne

skrzydła. Podobno gęś potrafi zwalić z nóg Jerzego, nawet dorosłego, jeśli uderzy go skrzydłem. Wyobraź więc sobie, na co stać nas. Gleingul zalecał każdemu, kto będzie walczyć z wężem, by posługiwał się przede wszystkim skrzydłami.

–Rozumiem.

Rzeczywiście, była to szczerza prawda. Za pierwszym razem, kiedy pod postacią smoka usiłował wzbić się w powietrze, zamknął oczy i zaczął wściekle wymachiwać skrzydłami w obawie, że roztrzaska się o ziemię. Kiedy wreszcie zdecydował się otworzyć oczy, stwierdził, że znajduje się wysoko w górze, znacznie wyżej, niż się spodziewał.

To było jego pierwsze doświadczenie z ogromną siłą mięśni poruszających skrzydłami. Sam narząd służący do latania nie wyglądał zbyt atrakcyjnie – było to coś na kształt ogromnych, błoniastych skrzydeł nietoperza.

Dopiero kiedy zastanowił się nad tym głębiej, zdał sobie sprawę, jak potężne ma mięśnie. Tak, skrzydła nadawały się do zadawania ciosów, groźnych nawet dla kogoś takiego jak wąż morski.

–Dobrze. Co jeszcze możesz mi powiedzieć? Pomyśl.

Widać było, że Secoh wyteża umysł do granic możliwości.

Krzywił się przy tym i poruszał niespokojnie. Po dłuższej chwili zrezygnowany pokręcił głową.

–To wszystko, co sobie przypominam, panie – oświa- dczył.

–Dziękuję ci bardzo – rzekł Jim z nutą sarkazmu w głosie. Natychmiast spróbował to naprawić. – Wybacz mi, Secohu. Bardzo mi pomogłeś.

–Wybaczyć tobie, panie? – zapytał ze zdziwieniem smok. – Ale co?

–Nieważne. Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc.

–A, o to chodzi. Każdy smok zrobiłby to dla ciebie, panie. Szkoda, że nie mogę pomóc ci więcej.

–Nie możesz. Reszta należy już tylko do mnie – powiedział stanowczo Smoczy Rycerz. Poszukał wzrokiem Angie i zapomniawszy, że znajduje się w smoczym ciele, pochylił się, żeby ją pocałować.

Dopiero po chwili zdał sobie z tego sprawę i polizał ją długim językiem po policzku.

–Kocham cię, Angie – rzekł najciszej jak mógł.

Zrobiła krok w jego stronę i objęła czule, przytulając twarz do chropowatych łusek na smoczej piersi.

–Wiesz, że i ja cię kocham, Jim – szepnęła.

Po chwili cofnęła się.

–Poradzisz sobie z nim – rzekła pewnym głosem. – Wiem, że ci się uda.

–Dziękuję, Angie.

Niechętnie odwrócił od niej wzrok, rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze zmierzając ponad murem do miejsca, w którym czekał na niego przywódca węży morskich.

W ostatniej chwili zmienił jednak zamiar. Do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Dlaczego nie skorzystać z taktyki podpatrzonej u sokołów? Polegała ona na wzbiciu się na znaczną wysokość i zanurkowaniu w kierunku wroga, by uderzyć go nie pazurami, lecz łapami zaciśniętymi jak gdyby w pięści.

Na dole Essessili zaczął piskliwie wykrzykiwać pogard- liwe uwagi, sądząc, że jego

przeciwnik zbiera się do ucieczki.

Ponad nim zaś smoki obu nacji zamarły w oczekiwaniu.

Zdawał sobie sprawę z tego, co muszą teraz o nim myśleć.

Mimo przyjęcia wyzwania nagle stchórzył i starał się uciec.

–Panie! Panie!

Jim przestał się wznosić, widząc, że ile sił w skrzydłach pędzi za nim Secoh. Wyrównał lot i zataczał ciasne kręgi, dopóki błotny smok go nie dogonił.

–Przypomniało mi się coś jeszcze, panie! – wysapał Secoh, gdy znalazł się wystarczająco blisko. – W tamtej historii jest powiedziane, że Gleingul zabił węża, wbijając pazury głęboko w jego gardło. Zrobił to jednak od tyłu.

Uczepił się jego szyi i wbił w nią pazury!

–W gardło? – upewnił się Smoczy Rycerz.

Przypomniał sobie, jak Dafydd skutecznie ostudził zapał jednego z węży, trafiając go w wewnętrzną część pod- niebienia. Strzała bez wątplenia naruszyła coś znajdującego się tuż za nim.

Tam powinien być węzowy mózg, a przynajmniej jego centrum nerwowe. Wyglądało na to, że Gleingul zabił swego przeciwnika, atakując to samo miejsce.

–Dziękuję, Secohu! Właśnie tego było mi trzeba. I nie masz się co niepokoić. Wzleczę jeszcze trochę, a później spadnę na niego z góry. Możesz wytłumaczyć smokom o co mi chodzi, bo widzę, że bardzo się niepokoją. Zrobisz to?

–O tak, panie... – odpowiedź dotarła do uszu Jima już z oddali, ponieważ wzleciał na tyle wysoko, iż dotarł do pierwszych smoczyczych zastępów.

Uznał, że to wystarczy i zawrócił. Korzystając ze swego teleskopowego wzroku, wypatrzył w dole Essessilego.

Przeszedł do lotu nurkowego, składając jednocześnie skrzydła.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Wyraźnie rósł opór powietrza, gdy nabierał prędkości. Jednocześnie miał wrażenie, że wisi nieruchomo, a tylko ziemia nie wiadomo czemu gwałtownie zbliża się do niego. Nagle znalazł się tuż nad węzem. W ostatniej chwili zdążył zacisnąć pazury i rozwinąć skrzydła. Jego łapy z potężną siłą uderzyły w tył łba Essessilego. Natychmiast gwałtownie zaczął machać skrzydłami, starając się wzbić w powietrze.

Zatrzymał się dopiero trzydzieści metrów nad ziemią.

Zobaczył, że jego cios powalił węża, ale niestety nie wyrządził mu poważniejszej krzywdy. Essessili znów stanął na swych pokraccznych kończynach i tylko nieco oszołomiony popatrzył w górę.

"Dobra nasza" – pomyślał Jim z nagłym optymizmem.

Po raz pierwszy ocenił, że ma szansę zwyciężyć w tym nierównym pojedynku.

Tak rozmyślając, wciąż poruszał skrzydłami, nabierając wysokości. Przyszło mu do głowy, że jeszcze kilka takich ciosów, a zamroczy Essessilego na tyle, że łatwo już go pokona. Osiągnął właściwą wysokość i ponownie zanurkował.

Mknął w dół, wciąż uważając obraną taktykę za niezwykle skuteczną, gdy nagle zdał sobie sprawę, że przeciwnik przyjął teraz zupełnie inną pozycję.

Essessili zwinął się tak, jak to potrafi każdy wąż. Miał nieco inne proporcje ciała, więc

nie uczynił tego tak wprawnie jak grzechotnik czy kobra, lecz wyraźnie starał się je naśladować. Ponad splotami ciała, jakby na straży, znalazł się jego potężny łeb z rozwartą na całą szerokość, przerażającą paszczą.

Smoczy Rycerz leciał prosto w nią.

Rozdział 39 Jim zdołał skręcić dosłownie w ostatniej sekundzie, opanowując lodowaty strach. Uniknął rozwartej paszczy i właściwie przez przypadek prawym skrzydłem trafił Essessilego w szyję.

Ponownie wzbił się wyżej i, kiedy już czuł się bezpiecznie, spojrzął, co dzieje się w dole. Ze zdziwieniem stwierdził, że Essessili tarza się po ziemi, jakby z bólu po otrzymanym ciosie. Przypomnił sobie słowa Secoha o sile smoczycy skrzydeł. Stworzenie mniejsze od Essessilego miałoby już skręcony kark, a może nawet głowę oderwaną od reszty ciała.

Na moment opuścił go strach. Szybko jednak powrócił, ponieważ zdał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by wylądował w potwornym uścisku węża.

Tym razem nie wleciał już tak wysoko i krążył przez chwilę, szybko analizując atuty własne i przeciwnika.

Przywódca węży był większy, silniejszy, a szczęki miał o wiele bardziej niebezpieczne niż smocze.

Mógł także poruszać się jak zwykły lądowy wąż. Brakowało mu jego zwinności, ale mimo to był niezwykle groźnym przeciwnikiem.

Jim zaś ważył mniej, a jego potężne zęby nie dały się niestety porównać z zębami Essessilego. Miał jednak dodatkową broń w postaci pazurów i zrobił z nich już dobry użytek podczas pierwszego ataku.

Był także zapewne szybszy od węża, a ponadto umiał latać, co dawało mu niewątpliwą przewagę w trakcie ataku.

Starał się więc maksymalnie wykorzystać swe atuty i zadać przeciwnikowi jak najwięcej uderzeń skrzydłami.

Wiedział, że siła jego ciosów byłaby znacznie większa, gdyby stał na ziemi, ale wtedy Essessili mógłby również atakować.

Uznał więc, że lepiej nadal szarżować na węża z powietrza. Miał nadzieję, iż w ten sposób zdoła osłabić wroga, doprowadzając go do stanu, w którym będzie znacznie mniej niebezpieczny.

Zanurkował ponownie i skręcił tuż nad Essessilim, próbując znaleźć się za jego łbem. Ale wąż zdołał uchylić się przed ciosem.

Smoczy Rycerz zrezygnował więc z tego rodzaju prób i kontynuował zadawanie uderzeń skrzydłami, atakując szyję morskiego potwora.

Szło mu to dość dobrze. Raz tylko wężowi udało się uniknąć ciosu, który jedynie go musnął. Kilkakrotnie jednak potężne uderzenia dosięgły celu.

Wkrótce Jim zaczął sobie zdawać sprawę, że Essessili wychodzi z tych starć bez szwanku, gdy tymczasem on sam zaczyna odczuwać zmęczenie i brakuje mu tchu.

Smoki storzone były raczej do szybowania niż ciągłego machania skrzydłami. Stacje było na karkołomne wyczyny w powietrzu tylko przez krótki czas. Był to tak duży wysiłek, że często musiały odpoczywać. Zazwyczaj smok poruszał skrzydłami zaledwie przez parę minut, po czym odpoczywał szybując aż do chwili, gdy mógł pozwolić już sobie na kolejny

wysiłek.

Teraz, podczas walki, Jim intensywnie używał skrzydeł niemal bez wytchnienia, co musiało nadszarpnąć jego siły.

Zdesperowany wylądował naprzeciw Essessilego, w takiej odległości, by nie znaleźć się w zasięgu jego zębów. Stojąc już na ziemi, rozpostarł skrzydła i zaczął nimi okładać przeciwnika po szyi.

Przez chwilę w oczach węża odmalowało się zaskoczenie, gdy nagle ujrzał przeciwnika na stałym gruncie.

Zniknęło ono jednak, gdy trafił go pierwszy cios, zadany w szyję prawym skrzydłem. Jego łeb został odrzucony z taką siłą, że prawie dotknął ziemi, a gdy tylko wyprostował się, otrzymał kolejne uderzenie, z drugiej strony.

Jim postępował jak bokser, który zapędził przeciwnika do rogu i usiłuje powalić go na deski.

Nagle jednak został odrzucony do tyłu o dobrych sześć metrów. Jego potężnie umięśniona klatka piersiowa ugięła się pod ciosem. Ocalił go instynkt. Odruchowo zatrzepotał skrzydłami i wzleciał w górę. Znow był bezpieczny i mógł złapać oddech.

Wspiął się na tyle wysoko, by dostać się w prąd powietrzny i móc swobodnie szybować.

Dopiero teraz zaczął analizować, co się wydarzyło.

Essessili nagle rozprostował swe długie ciało i wystrzelił do przodu, jak zwykły to czynić węże. Jego zęby chybiły celu, którym była szyja Jima, ale impet uderzenia był tak duży, że Smoczego Rycerza aż zamroczyło i omal nie przegrał pojedynku. Essessili włożył bowiem w ten atak całą swoją energię, wykorzystując wszystkie atuty.

Krążąc Jim obserwował węża, zdającego się być w pełni sił i gotowego do odparcia przeciwnika.

Zdecydował się więc na kolejny atak z powietrza. Essessili oczekiwał, że spadnie prosto na niego, w ostatniej chwili zmieniając tor lotu, jak czynił to wcześniej. Jim tym razem przyjął jednak inną taktykę. Zanurkował w miejsce położone o dobrych dwanaście metrów od niego, wyrównał lot i niemal poziomo zbliżył się błyskawicznie do węża, dzięki uprzednio nabranej prędkości.

Udało mu się zaskoczyć Essessilego i dosięgnąć go z boku. Widząc odwróconą w swoją stronę głowę potwora skręcił lekko, tak, że przez moment znalazł się tuż za przednią częścią jego ciała. W tej samej sekundzie wyciągnął prawą łapę i wbił z boku pazury w szyję Essessilego. Siła rozpędu spowodowała, że okręcił się wokół niej i natychmiast schwycił węża także drugą łapą. W ten sposób znalazł się z tyłu, za łbem węża, a więc i poza zasięgiem jego paszczy.

Potwór starał się unieść łeb i schwycić napastnika zębami, lecz Jim trzymał się poza ich zasięgiem. Co więcej, silnie pracując skrzydłami, był w stanie utrzymać łeb węża ponad ziemią.

Smoczy Rycerz nie zdołałby unieść dorosłego człowieka.

Tym bardziej nie mógł unieść węża morskiego, ale starczyło mu sił, by nie pozwolić potworowi na dotknięcie głową ziemi. Właśnie na to liczył. Essessili musiał bowiem znaleźć oparcie dla łba, żeby się przekręcić. Jim zaobserwował, że kiedy węże odkryły krążące w

powietrzu smoki, z uniesioną głową nie były w stanie przekrócić się na bok, by spojrzeć w górę.

Pojedynek stał się wyrównany, ponieważ smocza siła Jima równoważyła siłę szyi Essessilego. Ta część ciała była rzeczywiście nieco węższa niż reszta, ale nie na tyle, żeby piętnastocentymetrowe pazury Jima, osadzone na dwu- dziesiętcentymetrowych palcach, mogły sięgnąć organów życiowych potwora. Smoczy Rycerz uznał, że miałby znacznie większe szansę powodzenia, gdyby znalazł się bliżej łba przeciwnika.

W nagłym natchnieniu posłużył się skrzydłami, by zakryć Essessilemu oczy, a gdy zdezorientowany wąż zamarł w bezruchu, przesunął łapę, chwytając nieco wyżej. To samo miał zamiar uczynić z drugą, ale potwór wyczuł jego intencje i zaczął szarpać się ze zdwojoną siłą.

Jim desperacko wbił pazury najgłębiej jak mógł, by nie dać się zrzucić. Essessili bezskutecznie kontynuował próby przez dobrych kilkanaście minut, lecz widocznie i jego siły nie były niewyczerpane. Stopniowo słabł i Smoczy Rycerz skorzystał z okazji, by przesunąć także drugą łapę. Teraz obie znalazły się już na poziomie gardła potwora. Zebrał więc wszystkie siły i wbił pazury naj- głębiej, jak tylko dał radę.

Essessili zaprzestał dotychczasowych nieskutecznych wysiłków i miotał się teraz na wszystkie strony jak szalony, za wszelką cenę starając się zrzucić z siebie Jima. On zaś czuł, że z każdą sekundą jego uchwyt słabnie, chociaż wkłada weń wszystkie siły. "Muszę, dla Angie" – pomyślał i ostatnim wysiłkiem wbił pazury jeszcze głębiej.

Nagle łeb Essessilego opadł bezwładnie na ziemię, a jego ciało zeszywniało.

Przez chwilę Smoczy Rycerz nie ruszał się, wciąż kurczowo wpijając szpony w zielone cielsko, oszołomiony przejściami i nieoczekiwanym zakończeniem walki. Wreszcie doszedł do siebie na tyle, że rozluźnił chwyt. Zsunął się na ziemię i rozejrzał wokół.

Zobaczył, że potężna fala węży szybko zbliża się w jego kierunku.

"A więc tak wygląda słowo węża morskiego" – pomyślał. Był potwornie wyczerpany, lecz zmusił się jeszcze do wysiłku i wzbił się w powietrze, unikając rozszarpania przez te bestie. Zawrócił w powietrzu i niepewnie podleciał do muru, opadając nań niepewnie, jak pływak, który przepłynął ogromny dystans, kurczowo chwytając się burty łodzi.

Rozdział 40 Wisiał tak przez moment, póki nie pochwyciły go potężne ręce Diabła Morskiego, unosząc delikatnie.

Na wpół przytomny, opadł na szorstką powierzchnię platformy. Obrazy przed oczami zaczęły tracić ostrość.

Ostatnią jego myślą było, że przecież smoki nie mdleją.

Stracił przytomność.

Zdawało mu się, że utracił ją zaledwie na kilka sekund.

Gdy wrócił do rzeczywistości, aż huczało nad nim od głosów, ponad które wybijał się jeden, rozpaczliwy, należący do kobiety.

–Jim! Nic ci nie jest?

–Nie – wyszeptał, choć nie był pewien, czy z jego ust w ogóle dobył się głos. – Jestem tylko zmęczony.

Spróbował mówić nieco głośniej.

–Dajcie mi... chwilę... żebym złapał oddech.

Rzeczywiście czuł się coraz lepiej, co świadczyło nie tylko o tym, że nie odniósł żadnych obrażeń ale także o ogromnej wytrzymałości smoków.

Zastanowiwszy się, doszedł do wniosku, że chyba naj- lepiej będzie, jeśli wróci do swojej normalnej postaci. Jego wciąż otępiały umysł z trudnością spróbował sformułować odpowiednie czary, żeby przemienić się w człowieka, i to w pełnej zbroi. Jak zwykle skorzystał z wyimaginowanej wewnętrznej strony czoła.

W chwilę później stał na platformie już ubrany. Zachwiał się lekko, lecz jakoś utrzymał równowagę na znacznie mniej pewnych ludzkich nogach. Uśmiechnął się do stojącej naprzeciw Angie, sprawiającej wrażenie poważnie zatroskanej.

–Popatrz! Już wszystko w porządku.

–Tak, wprost wspaniale! – rzuciła Lady Angela. – Tylko że jesteś blady jak ściana! Jim zauważył, że sama też pobraźnia. Postanowił jednak nie mówić jej o tym.

–Nie obawiaj się, zaraz odzyskam rumieńce. Stój i patrz.

Angie zaśmiała się niepewnie.

–Nie mamy na to czasu – oświadczyła wreszcie. – Kiedy leżałeś nieprzytomny, zjawił się tu jeden z młodych smoków z ważną wiadomością.

Obejrzała się. Smoczy Rycerz podążył za jej wzrokiem i zobaczył Secoha oraz drugiego, większego od niego smoka. Oba zaczęły zbliżać się do niego, a rycerze, co było zaskakujące, ustępowali z drogi.

–Panie! – odezwał się Secoh. – Posłuchaj! Opowiedz, Gnarjo.

Wezwany zakłósał głową zanim zaczął mówić, co u smoków było oznaką zakłopotania.

–Panie – przemówił Gnarjo basem, który chwilami przechodził w dyszkant. – Znajdowałem się wybrzeżem, obserwując, czy z morza nie wyłaniają się nowe zastępy węży.

–No i co? Pojawiły się? – zapytał Jim.

–Nie, panie. Ale zamiast nich zjawiło się coś dużego.

Coś strasznie dużego, co wyszło z oceanu!

–Jak dużego?

–Dużego... Tak dużego... – smokowi zabrakło słów. – Było... było dwa lub trzy razy wyższe od tego muru!

–Aż tak? – zdziwił się Smoczy Rycerz. – A jak wyglądało?

–Było wielkie i jakby... nie wiem... – wyjąkał Gnarjo -...jakby szare... Nie, szaroniebieskie. Ale było tam i coś białego... to znaczy coś świeciło się w wodzie... och, panie, nie wiem, bo nie czekałem już dłużej. Przyleciałem jak najszybciej tutaj, żeby ci powiedzieć!

Zakłopotany smok zwiesił łeb.

–Wszystko w porządku. Zrobiłeś to, co należało zrobić – pocieszył go Jim.

–Naprawdę? – ucieszył się Gnarjo. Uniósł głowę, a jego oczy zalśniły zadowoleniem.

Smoczy Rycerz popatrzył na pełne powagi twarze Angie, Briana, Gilesa, Dafyddda oraz Chandosa.

–Zastanawia mnie, co to mogły być za jasne błyski – rzekł bardziej do siebie niż do pozostałych. – Na początku przypominało to pewną ogromną, znaną mi istotę. A może te błyski oznaczały, że nie była sama...

–Mały smok mógł być zbyt przerażony, żeby przyjrzeć się dokładniej – zauważył Rrrnlf. Gnarjo wyglądał na oburzonego, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi.

–Powiniennem sprawdzić to osobiście – postanowił Smoczy Rycerz.

Urwał, ponieważ za zamkowymi murami zapanowała dziwna cisza. Przecież do tego czasu węże powinny dotrzeć już do murów i ponowić atak. Wyrżał na przedpole.

Choć armia smoków wciąż przysłaniała słońce, w słabym świetle widać było wyraźnie, że napastnicy zatrzymali się, jakby za sprawą magii, w miejscu, gdzie leżało martwe ciało Essessilego. Kiedy dokładniej przyjrzał się węzom, dostrzegł, że wiele z nich niepewnie spogląda w górę, na smoki. Węże ogarnęła obawa, że jeśli on potrafił poradzić sobie z Essessilim, inne smoki również mogą je pozabijać.

Wzajemny respekt obu stron stworzył sytuację patową.

Taki stan rzeczy zapewne zmieniłby się, gdyby dotarła tu istota, która wyszła z morza. Pomyślał ponownie o przybra- niu smoczej postury i locie zwiadowczym, lecz doszedł do wniosku, że nie ma już na to czasu. Sytuacja mogła w każdej chwili przybrać nieoczekiwany obrót. Przecież węże mogły jeszcze zdecydować się na atak. Istniało także pewne prawdopodobieństwo, że to smoki uderzą jako pierwsze.

Wszystko mogło się jeszcze wydarzyć.

Zdesperowany popatrzył na stojącego tyłem Carolinusa.

Obszedł go i spojrzął mu prosto w twarz. Widok oblicza starca przeraził go, bowiem było jeszcze bardziej wymize- rowane i przybrało zupełnie nienaturalny wyraz. Mag zawsze starał się trzymać prosto, a teraz stał zgarbiony, ze zwieszonymi ramionami. Mistrz patrzył na niego błędnym wzrokiem.

–Carolinusie! – zawołał Jim. – Możesz coś dla nas zrobić? Pozwól mi spojrzeć na to, co nadchodzi od strony morza. Zrób przynajmniej to!

–Zostaw mnie w spokoju – rzucił Mag głosem dochodzącym jakby zza grobu. – Nie angażuj mnie w te sprawy. Musisz radzić sobie sam.

–Carolinusie...!

Smoczy Rycerz opanował się. Krzyczenie na starca nie miało najmniejszego sensu. Tego, co go niszczyło, nie dawało się zakrzyczeć.

Należało jednak zrobić wszystko, żeby wyciągnąć Caro- linusa z depresji, w której znajdował się od dłuższego już czasu – od chwili uratowania go z rąk oprawczyń mienia- cych się pielęgniarkami. Jim spróbował wymyślić coś, co poruszyłoby starca. Wreszcie mu się udało.

–Carolinusie! – rzucił ostro. – Możesz zrobić przynaj- mniej tyle. Pokaż nam tego intruza!

Na moment oczy Maga zajaśniały dawnym blaskiem, a wyraz cierpienia zniknął z jego twarzy.

–No cóż, teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

Dobrze. I mam nadzieję, że ci się spodoba!

Zwrócił się ku blankom, wyciągnął ręce i zakreślił w powietrzu krąg metrowej średnicy.

Nagle zebrani ujrzeni w nim nie węże, smoki i dalszą okolicę, lecz jakby ogromną wieżę jasnoszarego cielska, z dwojgiem niesamowitych oczu, mknącą z prędkością ekspresu i pozostawiającą za sobą pas powalonych drzew.

–To Granfer! – wykrzyknął Rrrnlf.

–Tak, i zmierza w naszą stronę – stwierdził Smoczy Rycerz.

Przez chwilę wszyscy stali wpatrzeni, jak drzewa łamią się pod Granferem niczym gałązki asparagusa. Jego potężne ciało znajdowało się w pozycji pionowej i zwinnie poruszało się na wszystkich dziesięciu kończynach.

–W jaki sposób może pędzić tak szybko? Jak w ogóle mu się to udaje? – zapytała Angie bardzo spokojnym tonem. – Przecież jest taki wielki i ciężki. Jego macki nie są w stanie utrzymać takiego cielska.

–Bo nie utrzymują – rzekł cicho Carolinus. – To magia. Porusza się w ten sam sposób, jak robi to pod wodą. Popatrzcie, co niesie.

Nikt nie zwrócił wcześniej uwagi na to, co kałamarnica trzymała w jednej z kończyn.

–Moja Dama! – ryknął Rrrnlf.

Momentalnie wsparł rękę na murze i już chciał skoczyć, kiedy Jim wyciągnął w jego stronę palec i rzucił jedno słowo: – Bezruch!

Diabeł Morski natychmiast zamarł.

–Przykro mi, że muszę cię zatrzymać, Rrrnlfie – powiedział łagodnie. – Pomyśl jednak przez chwilę. Jesteś w stanie bez trudu rozerwać na strzępy węża morskiego.

Nie możesz jednak mierzyć się z Granferem. Jeśli rzeczywiście chcesz odzyskać swoją Damę, zostań tu. Teraz zwolnię cię z działania czaru. Zastanów się.

Carolinus zaśmiał się niemile, czego Jim nigdy by się po nim nie spodziewał. W obecnej jednak sytuacji nie zwracał sobie tym głowy. Postanowił natomiast porozmawiać z Brianem, który znał okolicę znacznie lepiej niż on.

–Gdzie jest teraz Granfer? – zapytał. – I może uda ci się ocenić jego szybkość oraz czas, kiedy tu dotrze.

Mistrz kopii wpatrywał się w magiczny ekran.

–Porusza się znacznie szybciej niż najszybszy koń w galopie – powiedział cedząc słowa. – Wydaje mi się, że mknie tak, jak latają niektóre ptaki. Carolinus musiał mieć rację mówiąc, że to magia, bo żadna żywa istota sama nie rozwinie takiego tempa.

–A kiedy tu będzie? I gdzie jest teraz? – pytał Smoczy Rycerz.

–Przybywa z plaży, na której wylądowały węże – odparł Brian, wciąż nie spuszczać wzroku z kałamarnicy. – Przy takiej prędkości pojawi się tu za niecały kwadrans.

A nawet szybciej. Będzie tu w czasie potrzebnym na zmówienie piętnastu Ojczy nasz. Jest już przy Round Hills.

Pozostało mu około dziesięciu kilometrów lasu, żeby znaleźć się na przedpolu zamku.

Mistrz kopii spojrzał na Carolinusa i Jim odgadł, że przyjaciel chce zapytać o coś Maga, lecz nie śmie, widząc go w tak złej formie.

–W morzu ten potwór wydawał mi się mniejszy – odezwał się Giles. – Jest wyższy od największych drzew.

Jeśli rozpędzi się, samym tylko impetem zniszczy cały zamek.

Rycerz zwrócił swe poblądle, lecz nadal odważne oblicze w stronę Jima.

–Powiedz, jak z nim walczyć? Może gdyby wszystkie smoki rzuciły się na niego, zostałyby powstrzymane? Ale czy zdecydują się na to, nawet jeśli je poprosisz? A przecież jeśli Granfer nas zaatakuje, to wrócą i węże...

–Teraz są zdezorientowane, ale kiedy zobaczą, kto idzie im na pomoc, rzeczywiście

mogą wrócić – przyznał Chandos.

Jim wyjrzał na przedpole. Wężę kręciły się niespokojnie i dyskutowały ze sobą, spoglądając na wiszące nad ich głowami smoki. Widać było, że nie są zdecydowane: zostać i ponownie zaatakować zamek, czy też zacząć się wycofywać. Dobiegające z tej odległości ich niespokojne piskliwe głosy przypominały cykanie świerszczy.

–Czy nic nie możesz zrobić swą magią, żeby je zniechęcić? – zapytał Jima Sir John.

Jim pokręcił tylko głową.

–A Carolinus...

Chandos przeniósł na niego wzrok. Mag podskoczył na dźwięk swego imienia, jakby ukłuty szpilką.

–Znowu ja? – rzucił opryskliwie. – Czy uważasz, że mogę zrobić każdą rzecz? Jesteśmy głupcami. To ten, którego szukaliśmy od samego początku. To on inspirował wszystko.

–A więc to ten mag, którego nie mogliśmy znaleźć. – Smoczy Rycerz wypowiedział na głos swe myśli.

–Tak, głupcze! – pieklił się starzec. – Jesteś podwójnym głupcem, bo przybyłeś z takich czasów i miejsca, że powinieneś wiedzieć znacznie więcej od nas. Nie podejrzewałeś go nawet? Czy kiedykolwiek zadałeś sobie pytanie, dlaczego ja, Carolinus, jeden z największych magów na świecie, znalazłem się w łóżku z powodu byle choroby i natychmiast zostałem opadnięty przez dwie wiedźmy, karmiące mnie jakimiś truciznami wbrew mej woli? Mogły rzeczywiście mnie otruć... ale on... – Tu wskazał na wciąż pędzącego Granfera. – ...On był na to za sprytny. Wydział Kontroli mógł przecież zwrócić uwagę na morderstwo popełnione na osobie maga klasy AAA+.

Mówił dalej, w furię w głosie.

–Jakże inaczej mógłbym zostać obezwładniony, stać się bezsilny jak dziecko, jeśli nie za pomocą magii, przed którą nie mogłem się bronić? Czy nie nabrałeś żadnych podejrzeń, kiedy powiedziałem ci, że Wydział Kontroli nie wie, kto stoi za Eccottim i wężami morskimi...?

–No cóż... – bąknął Jim czując, że rzeczywiście nie ma nic na swoją obronę.

–Nie, nawet o tym nie pomyślałeś. Nie zrobiłeś tego, bo mimo pozorów jesteś głupcem. Od samego początku zdawałem sobie sprawę z powagi zagrożenia, ale ja także byłem głupi.

Zamilkł na moment, po czym ciągnął jeszcze ostrzejszym tonem.

–Sądziłem, że ten mag działa na korzyść francuskiego króla chcącego najechać Anglię. Jakież ze mnie żalosny idiota! Dałem się zwieść jak dziecko! Ten kraken wcale nie troszczy się ani o Francję, ani o Anglię, ani o smoki, wężę czy cokolwiek innego. Chce tylko rządzić światem. Musi jednak najpierw podporządkować sobie wszystkich magów.

To było jego celem... i wybrał mnie jako pierwszy obiekt tej kampanii!

–Ale przecież nie było żadnych powodów... -usiłował protestować Jim, lecz Carolinus nie dał mu dojść do słowa.

–Powiadasz, że nie było żadnych powodów? – parsknął Mag. – Przecież sam mi powiedziałeś, że byłeś świadkiem, jak czytał książkę. Czy naprawdę nigdy cię to nie zastanowiło? Powiedz więc, jak można czytać cokolwiek pod wodą?

–Ależ... – zaczął Jim, lecz słowa starca uderzyły go jak potężna pięść Rrrnlf. – Chodzi

ci o atrament?

–Oczywiście, że o atrament, głupcze! – rzucił Carolinus. – Każda książka, która znajdzie się pod wodą, stanie się nieczytelna już po kilku minutach, ponieważ atrament zostanie rozpuszczony i zmyty, zaś kartki namiękną i zamienią się w papkę! Jaką więc książkę mógł czytać Granfer?

–Z pewnością nie była to książka! – wypalił Brian, starając się bronić przyjaciela.

–Nie. Jest jedna taka księga – rzekł Jim, dzielnie znosząc utkwione w nim jadowne spojrzenie mistrza. – Encyklopedia necromantick. Księga o magii sama jest czarodziejska. Potrafi zabezpieczyć się przed wodą i wszystkim innym. Ale w jaki sposób wpadła w macki Granfera?

–Skąd mam wiedzieć? – oburzył się Mag, rozkładając ręce. – Może zmarł jakiś mag, podróżujący na pokładzie statku, a zabobonna załoga wyrzuciła tę książkę wraz z jego ciałem do morza. Co to ma za znaczenie? Rzecz w tym, że Granfer liczy sobie zapewne wiele tysięcy lat.

Księga znalazła się w jego posiadaniu, a później miał setki lat na poznawanie zawartej w niej wiedzy i ćwiczenia.

Wreszcie opanował ją i zaczął realizować marzenia o rządzeniu całym światem.

–Ale ty także ją opanowałeś. Nie rozumiemy więc, dlaczego...

–On sam nauczył się magii! – wykrzyknął starzec. – Czy nie rozumiesz tego? To jego własna magia, jakiej nie zna nikt na świecie!

–Czym się różni?

–To najprymitywniejsza forma magii. Dawno już zapomniana przez wszystkich. To magia człowieka mieszkającego w jaskiniach, starającego się bronić przed przyrodą środkami skuteczniejszymi niż siła fizyczna. Myślisz, że po co zabrał i nosi ze sobą to, co kiedyś było ozdobą na dziobie statku, a co Rrrnlf nazywa swoją Damą?

–Nie mam pojęcia – wyznał Jim.

–To magia totemiczna! – podniesiony głos Carolinusa załamał się nagle. Mówił dalej jak człowiek mający dość życia. – Wybacz mi, Jim. Nie powinienem nazywać cię głupcem. Ja także wiedziałem o tych faktach i nie potrafiłem ich skojarzyć. Ty mogłeś się nie domyślić, ale ja powinienem. Nie rozumiałem, aż stało się już za późno. Jego magia wykorzystuje totem.

–Dlaczego mówisz, że jest już zbyt późno? – zapytał Smoczy Rycerz.

–Cii... – przerwał mu gwałtownie Mag.

Wszyscy popatrzyli na niego, kiedy nasłuchiwał z podniesioną do góry ręką. Węże także zamilkły.

Z oddali dobiegał odgłos łamanych gałęzi, jakby coś ciężkiego miażdżyło drzewa swoją masą.

–Zbliży się – stwierdził Carolinus wciąż tym samym zmęczonym tonem. – I ani ja, ani ty nie jesteśmy w stanie go powstrzymać. Posługuje się magią, która wykorzystuje totem w postaci Damy Rrrnlfa. My nie mamy własnego totemu, żeby z nim walczyć. Nawet ja nie potrafię tak nagle stać się specjalistą w totemicznej magii.

Jego głos osłabł aż do szeptu.

–Kiedyś, może... Ale jestem już stary... Teraz to czuję...

Zamilkł. Stali tak, w ciszy, a z daleka dobiegał do nich hałas, wciąż przybierający na sile. Granfer, widoczny na magicznym ekranie, zdawał się być jeszcze większy niż uprzednio. Jim miał wrażenie, że rozpoznaje walące się drzewa, rosnące przecież na jego ziemi.

Carolinus, zupełnie zrezygnowany, skulił się jeszcze bardziej i wyglądał jak zgrzybiały staruszek. Nagle Jim zbuntował się przed tak łatwą kapitulacją.

–Mówiłeś, że wystarczy, by mistrz magii taki jak ty popatrzył przez chwilę na inny jej rodzaj i zaraz pozna wszystkie sekrety, będzie w stanie skopiować ją i zwalczyć.

Powiedziałeś to po pojedynku z Son Won Phonem. Czy zapomniałeś już swoje własne słowa? – wykrzyknął Smoczy Rycerz.

Carolinus nie odpowiedział, jak gdyby myślami znajdował się gdzieś daleko.

–Potrzebujesz tylko totemu! – Jim doskoczył do niego, starając się wszystkimi siłami wyrwać Maga ze stanu otępienia. – Wystarczy totem i wiara w swoją moc! Czyż totemem nie może być imbryk, który przybył z wiadomością od ciebie?

Starzec wciąż nie reagował.

–Ten imbryk zna cię już od lat, a może nawet od stuleci! – rzucił ostro Smoczy Rycerz.

Pospiesznie ułożył odpowiedni czar i w jego ręku znalazł się imbryk Carolinusa, jak zwykle w trzech czwartych pełen wody bliskiej zagotowania.

–Proszę... Auu! – krzyknął, parząc sobie dłoń.

–Nie rozumiesz – odezwał się wreszcie Carolinus beznamiętnym tonem. – To, co ma Granfer, było figurą symbolizującą jedną z fal. Bóg morza Aegir i olbrzymka Ran mieli dziewięć córek – fal. Największą i najpotężniejszą z nich była dziewiąta, o imieniu Jarnsaxa. Mimo iż czasy pogańskie minęły już dawno, ciągle służyła...

–Poganom! – wykrzyknął niespodziewanie Brian, wspierając dłoń na rękojeści miecza i spoglądając groźnie na Rrrnlfa, jakby mógł się z nim zmierzyć.

Carolinus kontynuował, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół niego.

–Dla pogan Jarnsaxa istniała i to ona tworzyła fale.

To dzięki niej, jak mówi legenda, dziewiąta fala sięga najdalej w łąd. Kiedy Rrrnlf znalazł zatopiony statek z umieszczoną na dziobie figurą, zabrał ją, odmalował, oczyścił z wodorostów i naprawił tak, że wyglądała jak nowa. Co więcej, ozdobił ją klejnotami...

–Kochałem ją! Tę żywą! – zawołał niespodziewanie Diabeł Morski głosem, który zagłuszył wszystkie inne dźwięki, włącznie z hukami walących się drzew. – Byliśmy kochankami! Ale kiedy starzy bogowie odeszli, także Aegir zabrał swoje dziewięć córek. Nigdy już jej nie ujrzałem.

Jim ku swemu zdziwieniu dostrzegł lzy płynące po policzkach olbrzyma.

–Tak więc Rrrnlf obdarzył miłością tę figurę, która przypominała mu ukochaną – ciągnął beznamiętnym tonem starzec. W ten sposób nadał jej życie. Tam, gdzie jest miłość, pojawia się także życie. Do pewnego stopnia umiłowane przedmioty stają się żywe. Kiedy Essessili, albo jakiś inny wąż morski, na rozkaz Granfera ukradł mu ją, potrafił on wykorzystać znajdujące się w niej życie do własnych celów. Takie połączenie stworzyło nieznaną i niepokonaną magię.

–Nie! – wykrzyknął Jim. – Ty w ten sam sposób tchnąłeś życie w swój imbryk. On też jest żywy! Także możesz go wykorzystać. Musisz tylko przełożyć swoją magię na tę używaną przez Granfera.

Mag nie reagował. Nagle coś jakby eksplodowało we- wnętrzu Smoczego Rycerza.

–A więc ja to zrobię! – wykrzyknął w chwili, gdy kraken wypadł na otwartą przestrzeń. Zatrzymał się przed stłoczonymi węzami morskimi.

Zmiażdżył kilka z nich, ale reszta zdawała się nie zwracać na to uwagi. Zgromadziły się wokół niego jak wierne psy.

Jim uniósł imbryk przed siebie, trzymając go za rączkę.

Z wysiłkiem obmyślał właściwy czar.

Wypowiedział go na głos, by dodać mocy: – Simon mówi... – rzucił z desperacją. – Simon mówi: Granfer, bezruch!

Ale Granfer nawet nie przerwał rozmowy z węzami.

Dopiero teraz Jim zdał sobie sprawę, że tak naprawdę jego magia nigdy nie działała na Granfera. Na dnie morskim kraken tylko udawał bezruch, żeby nie ujawnić swej rzeczywistej mocy.

Jego macki, z wyjątkiem jednej, trzymającej rzeźbione popiersie Jarnsaxy, wciąż poruszały się, utrzymując go w pionie. Tłumaczył węzom, że to nierozsądne obawiać się smoków, szczególnie kiedy on się tu zjawiał. Zapewniał, że sam zrobi wyłom w murze, ułatwiając im zadanie, żeby bez trudu mogły zabić i zjeść wszystko, co spotkają na drodze.

Widząc, że to nie ma sensu, Jim opuścił imbryk. Tylko Carolinus był w stanie podjąć walkę. W ostatecznej depresji uznał, że wolno mu przekroczyć wszelkie granice. Musiał wreszcie obudzić starca, nawet jeśli miałby uczynić z niego swego zażartego wroga. Zwrócił się do Maga.

–Niech cię wszyscy diabli, Carolinusie! – wykrzyknął. – Jak śmiesz kulić się tu jak robak i wciąż nazywać się Anglikiem i Magiem?

Przez chwilę wyglądało, że nawet tak ostre słowa nie przedarły się przez mroczną chmurę zasnuwającą umysł Carolinusa.

Nagle jednak Carolinus wyprostował się i odwrócił się do Jima twarzą, na której aż kipiała wściekłość.

Rozdział 41 Dawaj to!

Mag, z gorejącymi oczami, wyciągnął ręce i wyszar- pnął Jimowi imbryk.

–Carolinusie! – krzyknęła przerażona Angie, ponieważ starzec chwycił w obie ręce naczynie za gorące ścianki.

Nie reagując na nic, starzec odwrócił się w stronę węży i Granfera. Uniósł imbryk przed siebie na wysokość piersi.

Stał tak nieporuszony, ze wszystkimi mięśniami napiętymi do granic możliwości i lśniącym od potu obliczem.

Stojący wokół wyraźnie czuli jego ogromny wysiłek, nie fizyczny, lecz magiczny.

Jego oczy śledziły każdy ruch potężnego ciała Granfera.

Ręce pozostawały nieporuszone, jak wykute z kamienia, chociaż skóra na palcach zaczęła pokrywać się pęcherzami i musiał czuć straszliwy ból.

Wszyscy stali jak oniemiaли, w absolutnej ciszy. Kiedy Jim zauważył, że jego żona chce coś powiedzieć, zacisnął dłoń na jej ramieniu.

–Nic nie możemy zrobić – szepnął jej do ucha.

Stali więc i obserwowali, co się dzieje.

Nagle z dzióbka imbryka zaczął wydobywać się słup pary. Rozległ się także cienki głosik, który słyszeli już wcześniej, gdy stał na stole w Wielkiej Sieni. Tym razem śpiewał jednak inaczej.

–Caro-lin-us, Caro-lin-us... – pogwizdywał łagodnie.

Melodia była prosta jak kołysanka, w której wciąż powtarzane było tylko imię Maga. Jej słuchanie nie męczyło jednak ucha. Jim uświadomił sobie, że imbryk potrafi zaśpiewać tylko to słowo.

Teraz jednak nadał mu formę piosenki wyrażającej miłość do właściciela i, co dziwne, sam Carolinus zdawał się czerpać z niej siły. Odprężył się i jakby urósł. Nie tylko wyglądał na wyższego, ale także szerszego w barach i silniejszego. Znow był taki jak zawsze – opanowany i kontrolujący każdą sytuację.

Na przedpolu głos Granfera podniósł się do przeraźliwego pisku, do którego dołączyły krzyki węży.

Obserwatorzy poznali wreszcie powód ich niepokoju – kraken powoli unosił się w powietrze. Widok ten skojarzył się Smoczemu Rycerzowi z widzianym w telewizji, jeszcze w dzieciństwie, startem pierwszej rakiety zmierzającej w stronę Księżyca. Tak jak ona, Granfer stopniowo nabierał szybkości.

Gdy znalazł się na wysokości kilkakrotnie większej niż jego wzrost, zatrzymał się. Powoli, z prędkością wskazówki sekundnika, zaczął obracać się, aż wreszcie zastygł z głową do dołu.

Potem zaczął dryfować w stronę zamku, ponad spogładającymi w górę węzami i martwym ciałem Essessilego, aż do fosy wypełnionej teraz zielonymi cielskami.

Zawisł wreszcie w powietrzu zaledwie dwadzieścia metrów od muru, ogromny, lecz zupełnie bezsilny. Stać go było jedynie na pełen przerażenia pisk.

–Bądź cicho! – warknął Carolinus.

Granfer momentalnie zamilkł.

Mag przemówił do niego ostrym i zdecydowanym tonem: – Wiesz, czego chcę.

Kraken niepewnie przebierał wszystkimi mackami, jakby starając się uchwycić czegoś stałego. Nie udawało mu się to i wreszcie przełożył do najdłuższej kończyny Damę Rrrnlfa, wspaniale odmalowaną i przyozdobioną klejnotami oraz złotem. Wyciągnął ją w stronę wzniesionych rąk Diabła Morskiego.

Olbrzym kurczowo pochwycił rzeźbę i przycisnął do piersi, przytulił potężny policzek do jej złotych włosów.

–Czekam! – rzucił groźnie Carolinus.

Z jakiegoś ukrytego miejsca Granfer wyjął opasy tom oprawny w czarną skórę, z tłoczonymi złotymi literami. Ją także przenosił z macki do macki, aż wreszcie znalazła się w rękach Maga.

–A teraz, mój panie, zemszczę się za to, co usiłowałaś zrobić przy pomocy węży morskich. Odeślę cię z powrotem tam, skąd przybywasz. Ale już nie za pomocą twojej magii, niższego gatunku. Użyję własnej, ponieważ teraz nie jesteś już w stanie się przed nią bronić. I zapamiętaj sobie, że choćbyś nie wiem ile wieków jeszcze żył, nie posiadasz już ani odrobiny magii!

–Nie mam już magii... – powtórzył piskliwy głos Granfer a.

Kraken nagle zniknął. I nie tylko on, ale także wszystkie węże, nawet te martwe. Pozostał tylko pas połamanych drzew, który wyznaczał przebyty przez niego szlak.

Przez pewien czas zgromadzeni w ciszy rozglądali się wokół. Spojrzeli w górę, ponieważ półmrok wywołany obecnością smoków stopniowo zaczynał się rozjaśniać.

Francuskie smoki odlatywały na południe, a angielskie – do swoich domów.

Jim, który przez pewien czas patrzył za nimi, opuścił wzrok.

Podobnie uczyniła Angie. Uśmiechnęli się do siebie. Nagle uświadomili sobie, że Carolinus wciąż ściska w rękach imbryk.

–Odstaw go – poprosił Mag.

Smoczy Rycerz ujął go za rączkę. Metalowe ścianki ostygły, a piosenka ucichła. Imbryk był jak przyklejony do rąk starca. Musiał go mocno pociągnąć, by oderwać.

–Carolinusie! – wykrzyknęła przerażona Angie.

Wewnętrzna strona dłoni Maga zupełnie pozbawiona była skóry i tylko na brzegach widniały zaczerwienienia i pęcherze.

–Powiniennem zostawić to i poczekać, aż samo się wygoi, jako nauczkę, ale mogą być mi jeszcze potrzebne – stwierdził Carolinus ochrypłym głosem.

Nagle jego dłonie pokryły się skórą i już po chwili wyglądały zupełnie normalnie. Podniósł wzrok i zatrzymał go na Smoczym Rycerzu.

–Jeśli chodzi o ciebie, Jim, należą ci się przeprosiny.

Wszystko to była moja wina, ponieważ zapomniałem o czymś. To dziwne, że tak często zapominamy o tym, co jest oczywiste.

Ponownie ujął imbryk, tym razem za rączkę, ponieważ rozgrzał się już ponownie, i pogładził go pieszczotliwie.

Tym razem na jego dłoni nie pojawiły się żadne ślady oparzeń. Jim patrzył na to zaskoczony.

–Carolinusie, jeśli mogłeś się nie poparzyć, to po co skazywałeś się na taki ból?

–Czasem trzeba go przeżyć – wyjaśnił Mag, spoglądając czule na imbryk. – To konieczny ból. Taki ból pozwala się skupić, podczas gdy zły tylko wszystko niweczy.

Z dzióbka czajnika buchnął kłęb pary. Cienki głos zaśpiewał ponownie: – Caro-lin-us, Caro-lin-us.

Zamilkł, lecz para wciąż ulatywała w górę.

–Zupełnie zapomniałem, że miłość jest siłą twórczą – rzekł starzec, patrząc na imbryk i jednocześnie kręcąc głową. – Magia Granfera była przecież tak prymitywna.

Gdybym tylko spróbował wcześniej, używając całej swojej mocy, byłbym w stanie mu się przeciwstawić. Pozwoliłem jednak, aby opanowało mnie przygnębienie wynikające z choroby i słabości. I nic nie robiłem, żeby się z niego wyrwać. Mój imbryk zadziałał, ponieważ tchnąłem w niego życie. Tak samo Dama Rrrnlfa ożyła za jego sprawą. Ale Granfera nie było stać na miłość, więc jego totem był słabszy od mojego. Strach to nie wszystko, o czym już dawno przekonali się ludzie. Więc w końcu słabsza magia musiała skapitulować przed moją, oczywiście za sprawą tego imbryczka.

Popatrzył na Jima i Angie i uśmiechnął się do nich.

Czynił to niezwykle rzadko, lecz jeśli już się na to zdecydował, taki uśmiech długo się pamiętało, fizycznie czuło się jego ciepło, buchające jak od kominka.

–Wygraliśmy więc – stwierdził. – Sir Johnie, nie sądzę, żeby król Jean i jego armia spróbowali wylądować w Anglii bez pomocy węży.

–Masz rację – zgodził się Chandos, także się uśmiechając, lecz ze smutkiem.

–Będę się musiał gęsto tłumaczyć z tego wymuszenia na dowódcach marszu na południe, dla zagrodzenia węzom drogi ucieczki. Żołnierze musieli najeść się strachu, gdy zobaczyli, kto jest ich przeciwnikiem.

–Ale panie... Sir Johnie... – zaczął niepewnie Secoh. – Dotarła do nas wiadomość... tylko w tym zamieszaniu nie było czasu na jej przekazanie. Oni się nie pojawili.

–Nie pojawili się? – powtórzył zaskoczony Chandos. – Armia nie przybyła? Ale przecież wszyscy dowódcy...

Zamilkł i nagle roześmiał się głośno.

–Tak to już jest z armiami i ich dowódcami! – stwierdził. – Nagle zmieniają zdanie i niczego nie można być pewnym, jeśli wszystkiego nie trzyma się silną ręką! Ale w tym wypadku niczego to nie zmieniło.

Jego śmiech był tak zaraźliwy, że reszta zgromadzonych na platformie przyłączyła się do niego. Śmiech rozpręstrzeniał się i po chwili cieszyli się już i ci na dziedzińcu, choć nie znali właściwego powodu. Była to normalna reakcja po ogromnym napięciu.

Jim nagle przypomniał sobie o czymś. Skinął na błotnego smoka.

–Secohu! Musisz zwrócić francuskim smokom ich własność!

Smok skinął łbem i wzbił się w powietrze.

Wreszcie śmiech umilkł.

–Hm! – chrząknął Brian tak głośno, że Smoczy Rycerz popatrzył na niego zaskoczony. Dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi.

Oczywiście, każde zwycięstwo należało uczcić biesiadą.

Znajdowali się na zamku Jima, a mistrz kopii widocznie obawiał się kompromitacji druha, który, nie znając dobrze średniowiecznych zwyczajów, łatwo mógł zapomnieć o tej powinności.

–Słuchajcie! – zawołał Smoczy Rycerz. – Musimy godnie uczcić ten pamiętny dzień!

Brian westchnął z ulgą.

Jim spojrzał na żonę.

–Pani! Czy możemy urządzić ucztę w Wielkiej Sieni, dla obecnych tu rycerzy, ale także dla tych z niższych klas, nawet najuboższych, którzy szukali u nas schronienia?

–Ależ oczywiście, panie! – potwierdziła Lady Angela, która natychmiast zrozumiała, o co chodzi Brianowi. – Wszystko będzie gotowe w mgnieniu oka!

Odwróciła się na pięcie, ujęła rąbek swej długiej sukni i zbiegła z platformy po schodach, pokrzykując jednocześnie na służbę i zbrojnych.

Jim odprowadził ją czułym spojrzeniem, po czym zwrócił się do Maga.

–Carolinusie, zostaniesz z nami, prawda? – zapytał.

–Chyba tak – oświadczył starzec, podkreślając wąsa. – Ale najpierw, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym chwilę pobyć sam, żeby pozbierać myśli. Czy pokój, w którym leżałem, dalej jest wolny?

–Oczywiście! – zawołał Smoczy Rycerz. – Ten pokój jest twój. Zawsze będzie czekał na ciebie. Możesz się tam udać. I wezwij służbę, jeśli będziesz czegośkolwiek potrzebować.

–Zrobię tak.

Z imbrykiem w ręku, Carolinus zszedł na dziedziniec.

Gdy oddalał się, Jim ujrzał, że z naczynia znowu wydobywa się para, zaś w powietrzu rozległa się cicha piosnka, niknąca w dali. Brzmiały w niej triumf i radość.

–Caro-lin-us! Caro-lin-us...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-29

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/